

# Zola Emil

## KARTKA MIŁOŚCI

Przekład: KATARZYNA WITWICKA I LESZEK K. RADZIKOWSKI

### CZĘŚĆ PIERWSZA

#### I

Na kominku, w czarce z niebieskiego szkła, płoną\* knotek zanurzony w oliwie, osłonięty książką, która rzucała cień na pół sypialni. Łagodne światło padały na okrągły stół i kanapę, tonęło w głębokich fat-dach aksamitnych kotar, migotało niebiesko w lustrze palisandrowej szafy stojącej między dwoma oknami, W pokoju urządzonym z mieszczańskim smakiem półmrok nocny nadawał błękitowi obić, mebli i dywanów ton łagodny i zamglony. Naprzeciw okien, pogrążone w cieniu łóżko, również osłonięte aksamitem, rysowało się ciemną plamą rozjaśnioną jedynie bielą pościeli. Ze skrzyżowanymi ramionami Helena, matka if wdowa, spała spokojnym snem uczciwej kobiety.

W głębokiej ciszy zegar wydzwonił pierwszą godzinę po północy. Hałasy dzielnicy zamarły; tu, na wzgórza Trocadero, docierał jedynie daleki pomruk Paryża. Oddech Heleny był lekki, pierś jej nie poruszała się prawie. Profil miała regularny i piękny, kasztanowate włosy związane w wielki węzeł. Spała głęboko i mocno, z głową przechyloną, jak gdyby; usnęła nasłuchując. W głębi szeroko otwarte drzwi tworzyły w ścianie czarny, prostokątny otwór.

Zegar wybił wpół do drugiej, poza tym nic nie zakłócało ciszy. Miarowe tykanie wahadła zdawało się także poddawać uśpieniu ogarniającemu cały pokój,- Zdawał się drzemać płonący kaganek, spały meble, spała robotka ręczna obok zgaszonej lampy. Helena zachowała we śnie łagodny wyraz powagi i do-\* broci.

Gdy wybiła druga, spokój został nagle zmacony — z ciemności sąsiedniego pokoju dpbiegły westchnienia, szelest pościeli, po czym znowu zapanowała cisza. Po chwili przerwał ją ciężki oddech, wciąż jednak nie budząc Heleny. Nagle ocknęła się: wyrwało ją ze snu niewyraźne bolesne westchnienie dziecka. Na wpół jeszcze uśpiona uniosła ręce ku skroniom, gdy zduszony jęk poderwał ją na nogi. Stanęła na dywanie.

— Joasiu! Joasiu!... co ci jest? Odpowiedzi

Dziecko nie odzywało się, więc Helena chwytając kaganek szepnęła do siebie:

— Boże mój, zasnęłam tak spokojnie, a przecież wieczorem nie czuła się zupełnie dobrze.

Przeszła szybko do sąsiedniego pokoju, gdzie panowała znowu głęboka cisza. Płomyzek oliwnej nocnej lampki migotał niepewnie i rzucał na sufit okrągłą plamę światła. Helena, nachylona nad łóżkiem dziecka, z początku nic nie mogła rozróżnić. Wreszcie w niebieskawym blasku kaganka dojrzała wśród rozrzuconej pościeli Joasię sztywną i wyprężoną, z głp- wą odrzuconą do tyłu, z twardymi, napiętymi mięśniami szyi. Skurcz wykrzywił jej piękną^ drobną twarzyczkę, oczy miała otwarte i utkwione w gzyms firanek.

— Boże mój! Boże! — wykrzyknęła Helena. — Ona umiera!

Postawiła kaganek i dotykała dziecka drżącymi rękoma. Nie mogła wyczuć pulsu. Zdawało się, że serce przestało bić. Ręce i nogi były sztywne. Helena, oszalała z przerażenia, wołała nieprzytomnie:

— Moje dziecko umiera! Ratunku! Moje dziecko, moje dziecko!

Pobiegła do sypialni potrącając o meble i kręcąc się bez celu, sama nie wiedząc, dokąd iść. Wreszcie wróciła do pokoiku dziecka i padła na kolana przed łóżkiem, nie przestając wzywać pomocy. Objęła Joasię, głaskała ją, całowała jej włosy, wciąż błagając o odpowiedź. O jedno słowo, jedno jedyne słowo. Co ją holi? Może dać jej lekarstwa tego samego co wczoraj? Może świeże powietrze orzeźwiłoby ją? Uparcie czekała, by dziecko coś powiedziało.

— Joasiu! Odezwij się do mnie, błagam, odezwij się!

Co tu robić, mój Boże! Tak nagle, w nocy. Nie ma nawet światła. Myśli jej się mąciły. Wciąż mówiła do córki pytając i odpowiadając sama sobie. Pewnie żołądek ją boli — nie, to gardło. Chyba nic poważnego! spokoju, tylko spokoju. Starła się zebrać myśli, oprzytomnieć. Lecz czując w ramionach sztywniejące ciało dziecka, odchodziła od zmysłów. Patrzyła na duszącą się, wstrząsaną konwulsjami córkę i starała się opanować, nie krzyzczeć. Ale krzyknęła wbrew ;woli.

Przebiegła jadalnię i bez tchu wpadła 'do kuchNi,

— Rozalko! Rozalko!... Prędko, doktoraL. Joasia umiera.

W alkwie za kuchnią rozespiana służąca zaczęła lamentować. Helena co tchu wróciła do sypialni. Nie czuła zimna mroźnej nocy, choć była w samej koszuli. Dziecko umrze przez tę dziewczynę. Upłynęła zaledwie minuta; Znow pobiegła do kuchni, potem znowu wróciła do siebie. Nerwowo, po omacku włożyła spódnicę, narzuciła na ramiona szal. Przewracała meble, swą gwałtowną rozpacz napelniała pokój, który drzemał w

błogiej ciszy. Pozostawiając otwarte drzwi zbiegła w rannych pantoflach z trzeciego piętra, uparcie powtarzając sobie, iż tylko ona sama zdoła sprowadzić doktora.

Konsjerżka pociągnęła za sznur i otworzyła bramę. Helena, nieprzytomna, z szumem w uszach, znalazła się na dworze. Pośpiesznie zesła w dół ulicą Vineuse i zadzwoniła 3o doktora Bodin, który leczył Joasię. Chwile oczekiwania wydały się jej wiecznością, wreszcie służąca otworzyła i oznajmiła, że doktor został wezwany do porodu. Helena stanęła na ulicy bezradna — nie знаła innego lekarza w tej dzielnicy. Dął lodowaty wiatr. W rannych pantoflach szła chwilę przed siebie po miękkim, świeżym śniegu, przyglądając się bramom domów. Przed oczami miała obraz Joasi — 'dręczyła ją myśl, że zabije córkę, jeśli natychmiast nie znajdzie doktora. Wreszcie, gdy wracała już na ulicę Vineuse, zaczęła natarczywie dzwonić do jakichś drzwi; zapyta, może podadzą jej adres

■jakiegoś lekarza. Nie otwierano, więc zadzwoniła znów. Wiatr rozwiewał jej pasma włosów i oblepiał spódnicę wokół nóg.

Wreszcie służący otworzył i dowiedziała się, że doktor Deberle śpi. A więc Opatrzność nie opuściła jej, zadzwoniła przypadkiem do jakiegoś doktora! Odepchnęła służącego i weszła powtarzając:

— Moje dziecko, moje dziecko umiera!... Proszę powiedzieć, żeby doktor koniecznie zszedł.

Była to wykwintnie urządzona willa. Wbiegła na piętro odtrącając służącego i na wszelkie jego sprzeciwy odpowiadając niezmiennie, że jej dziecko umiera. Zgodziła się wreszcie zaczekać w jakimś pokoju, lecz gdy usłyszała, że lekarz wstaje obok, zaczęła mówić przez drzwi:

— Prędeż, prędeż, panie doktorze... Błagam pana... Moje dziecko umiera!

A kiedy ukazał się w kurtce, bez krawata, pociągnęła go za sobą nie pozwalając mu nawet włożyć palta. Doktor poznał ją od razu: mieszkała w sąsiednim domu, który też należał do niego. Gdy dla skrócenia drogi przeprowadził ją ogrodem przez łączącą oba domy furtkę, wreszcie i ona się zorientowała.

— Ach, prawda! — rzekła — pan jest lekarzem, wiedziałam o tym przecież... Widzi pan, zupełnie straciłam głowę... Chodźmy prędeż, panie doktorze.

Na schodach chciała koniecznie, by szedł pierwszy, samego Boga nie prowadziłyby z większym nabożeństwem. W mieszkaniu paliła się już lampa, a przy Joasi siedziała Rozalka. Lekarz, gdy tylko wszedł, chwycił lampę i oświetlił nią dziecko, wciąż jeszcze zeszywniałe w bolesnym skurczu. Jedynie głowa opadła, a twarz drgała raz po raz. Przez chwilę nic nie mówił zagryzając wargi. Helena wpatrywała się w niego pełna trwogi.

— To nic groźnego... — szepnął, kiedy spostrzegł błagalne spojrzenie matki — ale trzeba ją stąd zabrać. Musi mieć więcej powietrza.

Helena zręcznie, pewnie uniosła dziecko. Rada by ucałować ręce lekarza za słowa otuchy, które tak bardzo ją pokrzepiły. Ale zaledwie położyła Joasię na swoim łóżku, ciałem dziewczynki zaczęły wstrząsać gwałtowne drgawki. Lekarz zdjął z lampy abażur i białe światło zalało pokój. Otworzył okno i polecił Rozalce wysunąć łóżko zza zasłony. Helena, znów ogarnięta trwogą, szepnęła:

— Ona umiera, panie doktorze!... Niech pan patrzy, niech pan patrzy!... Jakże się zmieniła. Nie poznaję jej prawie!

Nie odpowiadał. Uważnie przyglądał się konwulsjom dziecka.

— Niech pani stanie za łóżkiem i przytrzyma jej ręce, żeby się nie podrapała... — powiedział wreszcie. — Ostrożnie, nie tak mocno... Niech się pani nie niepokoi... Atak musi przejść sam.

Pochyleni nad łóżkiem oboje przytrzymywali Joasię, której całe ciało wyprężało się w gwałtownych wstrząsach. Doktor zapiął kurtkę, by zakryć odsłoniętą szyję. Helena miała szal zarzucony na ramiona. Ale Joasia szamocąc się i miotając ściągnęła szal i jednym szarpnięciem rozpięła doktorowi kurtkę pod szyją. Nie zauważyli tego, wcale nie zwracali na siebie uwagi.

Atak mijał. Dziecko było ogromnie wyczerpane. Lekarz zapewniał matkę, że kryzys już przeszedł, ale sam nie był całkiem tego pewny. Nie przestawał obserwować chorej i wypytywał Helenę stojącą nieruchomo koło łóżka: . — Ile ma lat?

— Jedenaście i pół, panie doktorze.

Zapadła cisza. Doktor pokiwał głową, pochylił się, by unieść zamknięte powieki Joasi i obejrzeć nablonek. Nie podnosząc wzroku na Helenę pytał dalej:

— Czy miewała w dzieciństwie konwulsje?

— Tak, panie doktorze, ale przeszły, gdy miała sześć lat... Jest bardzo wątpa. Od kilku dni zauważyłam, że jest jakaś nieswoja. Miała drgawki, chwilami nie rozumiała, co się do niej mówiło.

— Czy wiadomo pani coś o wypadkach chorób nerwowych w rodzinie?

— Nie, nie słyszałam o tym... Matka moja umarła na płuca...

Wahała się. Wstydziała się przyznać cło babki zamkniętej w domu obłąkanych. Ciężyło na niej tragiczne dziedzictwo.

— Proszę uważać — powiedział nagle lekarz — nadchodzi nowy atak.

Joasia otworzyła oczy. Błędnym wzrokiem rozglądała się dookoła, nie mówiąc ani słowa. Potem utkwiała oczy w jeden punkt, ciało wyprężyło się do tyłu, ręce i nogi wyciągnęły się i zeszywniały. Krew napłynęła do twarzy. Nagle zbladła, niemal zsiniała, pojawiły się drgawki.

— Niech jej pani nie puszcza — rzekł doktor. — Proszę przytrzymać drugą rękę.

Podbiegł do stolika, na którym postawił swą podręczną apteczkę. Wrócił z butelką i dał powąchać dziecku. Skutek był straszny. Joasia szarpnęła się, jakby rażona piorunem, i wyrwała się z rąk matki.

— Nie, nie, tylko nie eter! — krzyknęła Helena poczuwszy zapach. — Eter przyprawia ją o szok.

Z trudem zdołali razem utrzymać dziewczynkę. Miała teraz gwałtowne drgawki, unosiła się na piętach i karku jak złamana we dwoje. Potem opadła, zaczęła miotać się na łóżku przerzucając się z jednego boku na drugi. Zaciśnęła pięstki, wielki palec zgięty był do środka. Od czasu do czasu rozwierała dłonie i wyciągnawszy palce starała się chwycić cośkolwiek w powietrzu. Natrafiła na szal matki i wczepiła się w niego. Ale największą udrękę sprawiała Helenie, że, jak mówiła, nie poznawała córki. Jej biedny aniołek o tak słodkiej zazwyczaj twarzyczce miał teraz rysy wykrzywione, a zapadnięte oczy ukazywały niebieskawe białka.

— Niech pan zrobi cośkolwiek, błagam pana — szeptała Helena. — Nie mam już więcej sił, panie doktorze.

Przypomniała sobie, że córka jednej z jej marsylskich sąsiadek udusiła się w czasie podobnych konwulsji. Może doktor zwodzi nie chcąc jej trwożyć. Co chwila wydawało się jej, że Joasia, której oddech rwał się, wydaje już ostatnie tchnienie. Z sercem ściśniętym litością i przerażeniem zalała się łzami. Łzy padały na nagie ciałko dziecka, które się podkrywało.

Tymczasem doktor długimi, zręcznymi palcami zaczął naciskać dolną część szyi. Konwulsje złagodniały. Joasia po kilku mniej gwałtownych ruchach znieruchomiała bezwładnie. Leżała na środku łóżka, wyciągnięta, z rozpostartymi ramionami, a głowa opadła na piersi. Sprawiała wrażenie małego, ukrzyżowanego Chrystusa. Helena pochyliła się i złożyła długi pocałunek na jej czole.

— Czy to już koniec ataku? — spytała półgłosem. —\* Jak pan sądzi, czy ataki powtórzą się jeszcze?

Doktor rozłożył ręce. Po chwili odpowiedział:

— W każdym razie następne będą mniej gwałtowne.

Kazał Rozalce podać sobie szklankę i karafkę z wodą. Nalał pół szklanki, z dwóch buteleczek odliczył krople. Przy pomocy Heleny, która uniosła głowę chorej, wlał przez zaciśnięte zęby łyżeczkę lekarstwa. Lampa paliła się jasno wysokim, białym płomieniem, ukazując panujący w pokoju nieład i poroztrącane meble. Ubranie, które Helena kładąc się spać rzuciła na fotel, obsunęło się teraz i leżało na dywanie. Doktor nastąpił na gorset i podniósł go, by po nim nie deptać. Zapach werweny unosił się z rozścielonego łóżka i z porozrzuconej pościeli. Najintymniejsze strony życia kobiety zostały brutalnie ujawnione. Doktor sam sobie znalazł miednicę, umoczył ręcznik i przyłożył do skroni Joasi.

— Pani się zaziębi — powiedziała Rozalka trzęsąc się cała. — Może by zamknąć okno... Strasznie zimno tutaj.

■ — Nie, nie! — zawołała Helena, fl otwarte... Prawda, panie doktorze?

Chłodny podmuch poruszał firanki. Helena nie czuła go, choć szal zsunął się jej z ramion odkrywając piersi. Kok rozplótł się i włosy luźnymi pasmami opadły do bioder. Zawinęła rękawy, by jej nie przeszkadzały. Zapomniała o wszystkim myśląc tylko o dziecku. A obok doktor, zaafierowany, również nie pamiętał ani o rozpiętej kurtce, ani o kołnierzyku koszuli, który mu Joasia oderwała.

— Niech ją pani nieco uniesie — powiedział. — Nie tak... Proszę mi dać rękę.

Ujął jej rękę i podłożył pod głowę dziecka, któremu znów chciał wlać do ust łyżeczkę lekarstwa. Potem przywołał Helenę do siebie. Zwracał się do niej jak do swojej pomocnicy, a ona pilnie wypełniała polecenia widząc, że córka ma się lepiej.

— Niech pani tu przyjdzie... Proszę podeprzeć jej głowę ramieniem, osłucham ją teraz.

Zrobiła, jak kazał. Doktor pochylił się nad nią, by przyłożyć ucho do piersi Joasi. Policzkiem dotykał nagiego ramienia Heleny i słuchając serca dziecka mógł słyszeć bicie serca matki. Gdy wyprostował się, oddech jego spotkał się z oddechem Heleny.

— Tu wszystko w porządku — powiedział uspokajająco, a Helenę ogarnęła radość. — Niech ją pani położy, nie trzeba jej dłużej męczyć.

Znów jednak nastąpiły konwulsje. Ale były już znacznie łagodniejsze. Joasia wykrzyknęła nieprzytomnie kilka niezrozumiałych słów. Dwa następne ataki w krótkich odstępach czasu były jeszcze słabsze. Dziewczynka opadła bezwładnie w stanie takiego wyczerpania, iż lekarz zaniepokoił się znowu. Ułożył głowę Joasi bardzo wysoko, okrył ją kołdrą po szyję i jeszcze prawie całą godzinę pozostał przy niej czekając, aż oddech stanie się miarowy. Po drugiej stronie łóżka Helena trwała bez ruchu.

Z wolna rysy Joasi wygładziły się zupełnie. Lampa rzuciła na nią jasną smugę światła. Twarzyczka odia

Hi

zyskała swój uroczy, nieco wydłużony owal o wdzięku i delikatności młodej sarenki. Pod zamkniętymi powiekami niebieskawe barwy i jakby z lekka przezroczystymi można się było domyślać pięknych ciemnych oczu o wspaniałym blasku. Cienki nosek oddychał lekko, nieco zbyt wydatne usta uśmiechały się niewyraźnie. Spała wśród rozrzuconych na poduszce kruczoczarnych włosów.

— To był już ostatni atak — powiedział doktor półgłosem.

Odwrócił się, aby spakować swą podręczną apteczkę, i zabierał się do wyjścia. Helena podeszła do niego.

— Och, panie doktorze — prosiła błagalnie — niech pan jeszcze nie odchodzi. Niech pan jeszcze zostanie chwilę. Gdyby wróciły konwulsje... To pan ją przecież uratował.

Gestem dał do zrozumienia, że nie ma już powodów do obaw. Został jednak, aby ją uspokoić. Helena pozwoliła Rozalce położyć się spać. Wkrótce zaczęło świtać, dzień był łagodny i szary od śniegu, który bielił dachy. Doktor zamknął okno. Wśród głębokiej ciszy odzywali się oboje z rzadka i szeptem.

— Nic poważnego, zapewniam panią — mówił. — Wymaga tylko starannej opieki w tym wieku... Trzeba przede wszystkim dbać o to, by wiodła życie spokojne, szczęśliwe, bez wstrząsów.

Po chwili milczenia Helena odpowiedziała:

— Jest bardzo wrażliwa, bardzo nerwowa... Nie zawsze potrafię zapanować nad nią. Nieraz cieszy się lub martwi takimi drobiazgami... Tak bardzo się przejmuję, że mnie to niepokoi... Kocha mnie z taką egzaltacją i tak zazdrośnie, że płacze, kiedy tylko po- głaszczę inne dziecko.

— Tak, tak, wrażliwa, zazdrośna, nerwowa... — powtarzał kiwając głową. — To doktor Bodin leczy ją, prawda? Porozmawiam z nim. Trzeba będzie coś zaradzić. Mała jest w wieku, który decyduje o zdrowiu kobiety.

-Widząc jego życzliwość Helena czuła przyływ, wdzięczności.

— Ach, panie doktorze, jakże jestem wdzięczna za pana troskliwość!

Powiedziała to nieco głośniej i zaraz spojrzała na łóżko w obawie, czy nie obudziła Joasi. Spała zarumieniona, uśmiechając się lekko przez sen. Cisza pokoju stała się znów ociążała i senna. Obicia, meble, porozrzucone ubrania znów zdawały się drzemać, uspokajając i odpoczywać, pogrążając się w szarym brzasku nadchodzącego świtu, który powoli wpływał przez okna.

Helena stanęła znowu u wezglowia. Doktor stał po drugiej stronie łóżka, a między nimi spała Joasia odychając lekko.

— Jej ojciec często zapadał na zdrowiu — podjęła cicho Helena nawiązując do poprzednich pytań lekarza.

— Ja byłam zawsze zdrowa.

Doktor, który dotąd nawet jeszcze na nią nie spojrzał, podniósł wzrok i uśmiechnął się mimo woli, taka mu się wydała krzepka i silna. Uśmiechnęła się również swym spokojnym, dobrotliwym uśmiechem. Uszczęśliwiało ją własne zdrowie.

Nie spuszczał z niej oczu. Nigdy dotąd nie widział tak doskonałej urody. Postawna, wysoka, była niby ciemnowłosa Junona o jasnych, złotawych odblaskach. Gdy odwracała głowę, ukazywała profil o regularnych rysach posągu. Szare oczy i białe zęby rozjaśniały całą twarz. Okrągły, nieco zbyt wydatny podbródek nadawał jej wyraz rozsądku i mocy. Przede wszystkim zaś zdumiało go, jak pięknie była zbudowana. Szal, wciąż zsunięty niedbale, odsłaniał szyję i ramiona. Gruby warkocz o złotawym połysku spływał na kark i piersi. Pomimo nieuczesania, krzywo zapiętej spódnicy, zachowała wyraz wyniosłej godności i skromności,\* dzięki nim pozostała czysta pod spojrzeniem mężczyzny, w którym wzrastał niepokój.

Przez chwilę Helena również przyglądała mu się uważnie. Był to mężczyzna trzydziestopięcioletni.

Miał pociągłą, starannie wygoloną twarz, bystre oczy i nieco wąskie usta. Teraz ona z kolei spoglądała na jego obnażoną szyję. Stali naprzeciw siebie, a między nimi spała Joasia. Jeszcze niedawno tak obcy i dalecy, teraz stali się sobie bliscy. Joasia oddychała swobodnie. Helena powoli podciągnęła szal i okryła się nim. Doktor zapiął kołnierz kurtki.

— Mamo, mamó — powiedziała Joasia przez sen. Budziła się. Otworzyła oczy, spostrzegła lekarza i zaniepokoiła się. — Kto to? Kto to jest? — zapytała.

Matka pocałowała ją.

— Spij, kochanie. Byłaś trochę chora... A to jest mój dobry przyjaciel.

Zaskoczona dziewczynka nic nie pamiętała. Była senna i zasypiała znowu szepcząc:

— Chcę spać... Dobranoc, mameczko... Jeżeli to jest twój przyjaciel, będzie i moim.

Lekarz zapakował apteczkę. W milczeniu skłonił się i wyszedł. Helena przez chwilę nasłuchiwała oddechu dziecka. Potem siedząc na brzegu łóżka zadumała się. Jej spojrzenia i myśli uleciały w dal. Nie zgaszona lampa bladła w świetle rosnącego dnia.

u

Nazajutrz Helena pomyślała, iż wypadaloby pójść podziękować doktorowi Deberle. Do przyjścia zmusiła go przecież prawie siłą, spędził całą noc przy łóżku Joasi i czuła się nieco zakłopotana na myśl, że to, co zrobił dla nich, przekraczało chyba znacznie zakres wizyty lekarskiej. Wahała się jednak przez dwa dni, nie mogła się zdecydować, sama nie wiedząc dlaczego. Zastanawiając się nad tym, bez przerwy myślała o doktorze, a gdy pewnego ranka spotkała go, schowała się przed nim jak dziecko. Potem nie mogła sobie darować tego odruchu zawstydzienia. Prawa

1 zrównoważona z natury, buntowała się przeciw niepokojowi, który zakłócił jej życie, postanowiła więc

wreszcie, że jeszcze tego samego dnia pójdzie doktorowi podziękować.

Joasia zachorowała w nocy z wtorku na środę, teraz była już sobota. Dziewczynka czuła się zupełnie dobrze. Doktor Bodin, który przybiegł bardzo zaniepokojony, o doktorze Deberle mówił z szacunkiem biednego starego lekarza dzielnicowego dla bogatego i już sławnego kolegi. Uśmiechając się z lekka, dodał jednak, że majątek pochodzi od papy Deberle, człowieka, którego szanowała cała dzielnica Passy. Syn, nie kiwnąwszy palcem, odziedziczył półtora miliona franków i świetną klientelę. Chłopak bardzo zdolny zresztą — pośpieszył dorzucić doktor Bodin -r— i konsylium z nim w sprawie zdrowia jego drogiej przy- jaciółeczki Joasi będzie uważał za zaszczyt.

Około trzeciej po południu Helena z córką zeszyły<sup>1</sup> na dół i po chwili zadzwoniły na ulicy Vineuse do sąsiedniej willi. Obie były jeszcze w ciężkiej żałobie. Otworzył im lokaj we fraku i białym krawacie. Helena poznała od razu wielki westybul obity wschodnimi tkaninami, ale teraz w żardynierkach stały po obu stronach liczne kwiaty. Lokaj wprowadził je do małego salonu o obiciach i meblach koloru rezedy i czekał. Helena podała swe nazwisko:

— Pani Grandjean.

Lokaj pchnął drzwi do wspaniałego złoto-czarnego salonu i usuwając się powtórzył:

— Pani Grandjean.

Stojąc już w progu Helena chciała się cofnąć. Spozregła obok kominka, po przeciwległej stronie pokoju, młodą kobietę siedzącą na kanapie, którą prawie całą zakrywała swą rozłożystą, szeroką suknią. Naprzeciw niej siedziała uroczyście w kapeluszu i szalu osoba nie pierwszej już młodości.

—Bardzo przepraszam — powiedziała Helena — chciałabym się zobaczyć z doktorem Deberle.

I ujęła za rękę Joasie, którą wprowadziła przed sobą. Była zdziwiona i zakłopotana natknąwszy się tak' nieoczekiwanie na młodą nieznaną kobietę. Dla

czego nie zapytała od razu o doktora? Wiedziała przecież, że jest żonaty.

Pani Deberle kończyła właśnie opowiadać podnieconym, trochę piskliwym głosem:

— To było nadzwyczajne, nadzwyczajne... Umiera z takim realizmem!... Niech pani spojrzy, chwytą się za pierś w ten sposób, przechyla głowę do tyłu i cała staje się sina... Zapewniam panią, panno Aurelio, warto ją zobaczyć...

Wstała, podeszła do drzwi szeleszcząc głośno suknią i powiedziała z ujmującym wdziękiem:

— Niech pani będzie łaskawa wejść. Proszę bardzo... Męża nie ma w domu... Ale bardzo mi będzie przyjemnie, bardzo przyjemnie, naprawdę... To na pewno ta śliczna panienka, która tak ciężko chorowała kilka dni temu... Proszę bardzo, niech pani spocznie na chwilę.

Helena musiała sięść w fotelu, a Joasia nieśmiało przysiadła na brzeżku krzesła. Pani Deberle wróciła znów na swoją kanapkę i dodała ze ślicznym uśmiechem:

<sup>1</sup>—r Dziś jest mój dzień, Tak, przyjmuję w soboty... Wtedy Piotr wprowadza wszystkich. Zeszłego tygodnia wpuścił jakiegoś pułkownika chorego na podagrę.

— Co ty wygadujesz — szepnęła panna Aurelia, zubożała stara damą, która ją znała od dziecka.

Zapanowała chwila ciszy. Helena obrzuciła wzrokiem bogate urządzenie salonu, lśniące, czarno-złote meble i kotary. Na kominku, na stolikach i na fortepianie pełno było kwitnących kwiatów, a poprzez szyby okien, za którymi widać było nagi ogród i bezlistne drzewa, wpadało jasne światło dnia. Samotne polano tliło się na kominku, w pokoju rozchodziło się równomierne ciepło kaloryferów. Wystarczyło jeszcze jedno spojrzenie, by Helena zorientowała się, że te czarne i złote kolory są po prostu szczęśliwie dobranym tłem. Pani Deberle miała cerę białą jak mleko i kruczoczarne włosy. Była mała, pulchniutka, poru

szła się wolno i z wdziękiem. Wśród tego złota, pod puszystą koroną ciemnych włosów jej blada cera nabierała wspaniałego złocistego odbłasku. Wydała się Helenie naprawdę urocza.

— Konwulsje to straszna rzecz — podjęła pani Deberle. — Mój mały Lucjan też je przechodził, gdy miał roczek... Jak się pani musiała niepokoić! Ale teraz córeczka pani wygląda już doskonale. Mówiła rozwlekle, przeciągając sylaby, i przyglądała się Helenie, zaskoczona i oczarowana jej wspaniałą urodą. Nigdy jeszcze nie widziała kobiety równie majestatycznej w prostej żałobnej sukni, która oblekała jej wysoką i wyniosłą postać. Zachwyt jej wyraził się w mimowolnym uśmiechu, gdy zamieniła porozumiewawcze spojrzenie z panną Aurelią. Obie przyglądały się Helenie z tak naiwnym zachwytem, że i ona uśmiechnęła się leciutko.

Pani Deberle usadowiła 6ię wygodniej na kanapie i bawiąc się wachlarzem zwisającym u paska spytała:

— Czy była pani wczoraj na premierze w „Wodewilu”?

— Nie chodzę wcale do teatru — odparła Helena.

— Ach, mała Noemi była nadzwyczajna, nadzwyczajna... Umiera z takim realizmem!... Chwyta się za pierś, przechyla głowę do tyłu i cała staje się sina... Niezapomniane wrażenie, cudowne.

Przez chwilę jeszcze rozwodziła się nad aktorką, której grą była zachwycona. Potem omawiała inne nowinki paryskie, wystawę obrazów, gdzie widziała nadzwyczajne płótna, głupią powieść, która narobiła wiele wrzawy, w końcu napomknęła pannie Aurelii o jakimś skandaliku. I tak mówiąc bez przerwy, niestrudzona, szybko przechodziła z tematu na temat czując się w tym jak ryba w wodzie. Helena, dla której był to świat zupełnie obcy, przysłuchiwała się tylko i od czasu do czasu odpowiadała lakonicznie.

Drzwi otworzyły się, lokaj zameldował:

— Pani de Chermette... Pani Tissot...

Weszły dwie panie w wieczorowych sukniach. Pani Deberle wstała żywo, by je powitać. Tren jej sukni z czarnego jedwabiu, przybrany suto falbanami, był tak długi, że musiała go odrzucać nogą, za każdym razem, gdy się obracała.

Przez chwilę słychać było tylko gwar ich szczebiocących głosików.

— Ach, jakże się cieszę!... Dawno nie widziałam pani!...

— Przychodzimy w sprawie loterii, wie pani?

— Oczywiście, oczywiście.

— Musimy dzisiaj obejść jeszcze mnóstwo domów. Zaraz uciekamy.

— Ale przecież chwilę możecie u mnie zostać.

Obie damy przysiadły wreszcie na brzeżku kanapy.

Słodkie głosiki zaszcebiotały piskliwie:

— No i jak wczorajszy „Wodewil”?

— Nadzwyczajne! »

— Wie pani, gdy rozpina suknię i rozpuszcza włosy\*.- Tym osiąga cały efekt.

— Podobno coś pije specjalnie, aby tak posinić.

— Nie, nie, te ruchy, to wszystko jest przemyślane, ale trzeba było wpaść na ten pomysł.

— Nadzwyczajne!

Obie panie powstały i za chwilę już ich nie było. W salonie zapanował znów przytulny spokój. Hiacynty na kominku pachniały przenikliwie, odurzająco. Z ogrodu dobiegał hałas gwałtownej kłótni stada wróbli, które sfrunęły na trawnik. Pani Deberle zaciągnęła haftowane tiulowe firanki naprzeciw swojej kanapki i usiadła z powrotem w złagodzonej teraz złotym blasku salonu.

— Proszę mi darować — powiedziała — nie ma się chwili spokoju.

I znów bardzo serdecznie podjęła poważną rozmowę z Heleną. Musiała z plotek choć częściowo znać jej historię, przecież była właścicielką domu, w którym mieszkała Helena. Swobodnie i bardzo życzliwie, tak się przynajmniej wydawało, naprowadziła rozmowę



na męża Heleny i jego tragiczną śmierć w hotelu „du yar” przy ulicy Richelieu.

— I to zaraz po przybyciu, nieprawdaż? Nie była pani nigdy przedtem w Paryżu... To musiało być okropne, ten pogrzeb wśród samych obcych, nazajutrz po długiej podróży, gdy się jeszcze nie wie, gdzie i jak się obrócić.

Helena poważnie skinęła głową. Tak, przeżyła okropne chwile. Mąż jej umarł najzupełniej niespodziewanie. Nazajutrz po ich przybyciu nagle zasnął, w chwili gdy mieli razem wyjść na miasto. Nie знаła ani jednej ulicy, nie wiedziała nawet, w jakiej dzielnicy się znajduje. Przez cały tydzień była przykuta do konającego; pod oknami huczał Paryż, a czuła się samotna, opuszczona, zagubiona, jak na pustyni. Gdy po raz pierwszy znalazła się na ulicy, była już wdową. Wspomnienie tego wielkiego pokoju o nagich ścianach, pełnego lekarstw, gdzie nawet nie zdążyła rozpakować kufrow, ciągle jeszcze przejmują ją dreszczem.

— Jak słyszałam, mąż pani był od pani dwa razy starszy? — zapytała pani Deberle z wyrazem głębokiego współczucia, a panna Aurelia nastawiła uszu, by nie uronić ani słowa.

— Ach, nie, był zaledwie o sześć lat starszy ode mnie.

I pokrótce opowiedziała historię swego małżeństwa. Gdy mąż zakochał się w niej bez pamięci, mieszkała ze swym ojcem, panem Mouret, kapelusznikiem z ulicy des Petites-Maries w Marsylii. Rodzina Grandjean, bogaci właściciele cukrowni, nie mogli ścierpieć takiej ubogiej narzeczonej i uparcie sprzeciwiali się temu małżeństwu. Ślub ich, po oficjalnych zapowiedziach, odbył się skromnie, prawie po kryjomu. Potem żyli w ciężkich warunkach aż do czasu, gdy jeden z wujów umierając zapisał im około dziesięciu tysięcy franków renty. Grandjean, który znienawidził Marsylię, postanowił wyjechać wtedy na stałe do Paryża.

— Ile miała pani lat wychodząc za mąż? — zapytała pani Deberle.

— Siedemnaście.

— Musiała pani być wtedy prześliczna.

Helena udała, że nie słyszy, rozmowa urwała się.

— Pani Manguelin — zaanonsował lokaj.

Zjawiła się młoda kobieta, nieśmiała i zakłopotana.

Pani Deberle witając ją zaledwie się uniosła. Była to jedna z jej protegowanych z podziękowaniami za wyświadczoną przysługę. Pozostała niedługo i wyszła kłaniając się nisko.

Pani Deberle powróciła do przerwanej rozmowy z Heleną; mówiły teraz o księdzu Jouve, którego obie znały. Skromny wikariusz parafii Matki Boskiej Łaskawej w Passy dzięki swemu miłosierdziu był najbardziej poważany i lubiany w całej dzielnicy.

— To święty człowiek — mówiła pani Deberle z nabożną miną.

— Był dla nas bardzo dobry — opowiadała Helena. — Mąż mój znał go jeszcze z Marsylii. Jak tylko dowiedział się o ciosie, jaki mnie dotknął, zajął się sam wszystkim. To on ulokował nas tu, w Passy.

— Ma, zdaje się, brata? — spytała Julietta.

— Owszem, matka jego wyszła powtórnie za mąż... Pan Rambaud również znał mego męża... Prowadzi hurtownię oliwy i owoców południowych przy ulicy Rambuteau i, jak sędzę, jest człowiekiem zamożnym. — Po chwili dodała wesoło: — Ksiądz i jego brat to cały mój dwór.

Joasia siedząc na brzeżku krzesła nudziła się i niecierpliwie spoglądała na matkę. Jej delikatna twarzyczka sarenki wyglądała tak żałośnie, jakby wszystko, co mówiono, sprawiało jej przykrość. Chwilami zdawało się, że odurza ją ciężki i silny zapach salonu; rzucała ukradkiem dokoła nieufne spojrzenia, jakby w swej nadmiernej wrażliwości wietrzyła jakieś bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo. I przenosiła wzrok na matkę z wyrazem tyranizującego uwielbienia. n

Pani Deberle zauważyła niepokój dziecka. — Pani córeczce pewnie znudziło się zachowywać tak poważnie jak dorosła panna — powiedziała. — Spójrz, tam na stoliku są książki z obrazkami.

Joasia podeszła i zaczęła oglądać albumy, ale jej spojrzenia sponad książek rzucane w stronę matki wyrażały błagalną prośbę. Helena, ujęta uprzejmością i serdecznością gospodyni, nie miała ochoty odejść. Powolna, flegmatyczna, całymi godzinami mogła siedzieć na jednym miejscu. Kiedy jednak zaanonsowano kolejno panią Berthier, panią de Guiraud i panią Levasseur, uznała, że powinna się pożegnać. Ale pani Deberle zatrzymała ją. —• Proszę jeszcze zostać, muszę pani pokazać mojego syna.

Krąg pań przed kominkiem rozszerzał się coraz bardziej. Wszystkie mówiły jednocześnie. Jedna skarżyła się, że już nóg nie czuje, od kilku dni nie kładzie się przed czwartą nad ranem. Inna żaliła się na mamki, niepodobna znaleźć uczciwej. Rozmowa zesła wreszcie na krawcowe. Ppni Deberle utrzymywała, że kobieta nawet sukni nie potrafi dobrze skroić, do tego trzeba mężczyzny. Dwie panie szeptały ze sobą półgłosem, a gdy niespodzianie zapanowała cisza, dosłyszano urywek ich rozmowy i wtedy wszystkie, wachlując się, zaczęły się uśmiechać.

— Pan Malignon — zameldował lokaj.

Wszedł młody wysoki mężczyzna, bardzo starannie ubrany. Przywitano go lekkimi okrzykami radości. Pani Deberle nie wstając podała mu rękę.

— Jak tam wczorajszy „Wodewil”?

— Ohydnet wykrzyknął.

— Jak to, ohydne!... Jest taka wspaniała, gdy chwyta się za pierś i odrzuca głowę...

— Niechże pani da spokój! Taki realizm to ooś potwornego, aż się niedobrze robił

Zaczęli się spierać. Realizm — łatwo powiedzieć, oczywiście — ale młody człowiek wcale nie życzył sobie realizmu.

— W niczym, słyszy pani!... ~ mówił podnosząc głowę — w niczym, to upadła sztukę.

Piękne rzeczy ukazałyby cię w końcu na scenie. Dlaczego Noemi nie posunęła swego realizmu jeszcze dalej? Tu wykonał gest, który zgorszył wszystkie panie. Co za obrzydliwość! Ale gdy pani Deberle wygłosiła swoje zdanie o niezwykłym wrażeniu, jakie artystka wywoływała, a pani Levasseur opowiedziała, że jakaś dama zemdląca na balkonie, zgodzono się, że sukces był niezwykły. To położyło kret dyskusji.

Młody człowiek rozsiadł się w fotelu, a wokół niego rozpostarły się szerokie spódnice. Wydawał się bardzo zadomowiony u doktora. Urwał sobie kwiatek z żar- dynlerki i żuł go niedbale. Pani Deberle zapytała:

— Czy czytał pan powieść...

Nie dał jej dokończyć i odpowiedział z wyższością:

— Czytam najwyżej dwie książki na rok.

Co do wystawy plastyki w Cercie des Arts, to nie warto sobie nią głowy zawracać. Gdy już wszystkie aktualne tematy zostały wyczerpane, przysiadł się na kanapkę do Julietty i szeptem zamienił z nią kilka słów, podczas gdy reszta pań dalej żywo ze sobą rozmawiała.

— Patrzcie, już go nie ma! — wykrzyknęła pani Deberle.<sup>1</sup> — Przed godziną spotkałam go u pani Robinot.

— Tak, tak, a teraz poszedł Ho pani Lecomte. To chyba najbardziej zajęty człowiek w Paryżu—powiedziała pani Deberle. I zwracając się do Heleny, która przyglądała się tej scenie w milczeniu, dokończyła: — Przemięły chłopak, trudno go nie lubić... Ma udziały w kantorze wymiany. Bardzo bogaty zresztą i wio wszystko o wszystkim.

Panie zaczęły się rozchodzić.

— Do widzenia pani, liczę na panią w środę...-

— Oczywiście, oczywiście, w środę.

— Więc naprawdę wybiera się pani na ten wieczór? Nigdy nie wiadomo, z kim się człowiek spotka. Jeśli pani będzie, to i ja się wybiorę.

— Owszem, wybieram się, może pani na mnie liczyć. Proszę serdecznie pozdrowić pana de Guiraud.

Gdy pani Deberle wróciła, zastała Helenę pośrodku salonu. Joasia tuliła się do niej, kurczowo ścisnęła jej rękę, głaskała swymi nerwowymi palcami i ciągnęła ku drzwiom.

— Ach, prawda! — powiedziała pani Deberle. Zadzwoń na służącego: — Piotrze, niech panna Smith-son przyprowadzi Lucjana.

Gdy czekały w milczeniu, otworzyły się drzwi i bez żadnego anonsowania weszła śliczna szesnastoletnia dziewczyna, a za nią niezbyt wysoki staruszek o okrągłej i rumianej twarzy.

— Dzień dobry, siostrzyczko — powiedziała panienska całując Juliettę.

Dzień dobry, Paulinko... Dzień dobry, tatusiu... — odpowiedziała pani Deberle.

Panna Aurelia, która ciągle jeszcze siedziała koło kominka, wstała, by powitać pana Letellier. Na Boulevard des Capucines miał on duży sklep z jedwabiami. Od śmierci żony oprowadzał, gdzie mógł, swą córkę, szukając dla niej odpowiedniej partii.

— Czy byłaś wczoraj w „Wodewilu”? — zapytała Paulina.

— Och, wspaniale! — powiedziała machinalnie Julietta, przeglądając się w lustrze i poprawiając niesforny pukiel włosów.

Paulina nadąsała się jak rozkapryszone dziecko.

— Jakaż to okropna rzecz być młodą dziewczyną, nic nie można zobaczyć... O północy poszliśmy z tatką pod teatr, by się dowiedzieć, jak sztuka wypadła.

— Właśnie — powiedział ojciec — i spotkaliśmy Malignona. Bardzo mu się podobało.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła Julietta. — Przed chwilą był tu i orzekł, że to było ohydne... Z nim nigdy nic nie wiadomo.

— Miałaś dużo gości? — zapytała Paulina przeskakując nagle na inny temat.

— O, zatrzęsienie, kogo dziś nie było!... Ani chwili wytchnienia... Ledwie żyję... — Przerwała przypomniawszy sobie, że nie dokonała jeszcze prezentacji gości: — Mój ojciec, moja siostra... pani Grandjean.

Zaczęła się rozmowa o dzieciach i ich chorobach, które tyle kłopotu sprawiają matkom, gdy do salonu weszła panna Smithson, guwernantka Angielka, prowadząc za rękę małego chłopca. Pani Deberle upomniała ją ostro po angielsku, że dała na siebie tak długo czekać.

— Ach, jest mój mały Lucjan! — wykrzyknęła Paulina i głośno szeleszcząc suknią uklękła przed chłopcem.

— Daj mu spokój, zostaw go — powiedziała Julietta. — Podejdz, Lucjanie, i przywitaj się z panią.

Chłopiec zbliżył się onieśmielony. Miał najwyżej siedem lat, był tęgi i małego wzrostu, ubrany jak laleczka. Gdy zauważył, że wszyscy patrzą na niego z uśmiechem, zatrzymał się i przyglądał Joasi swymi niebieskimi, pełnymi zdziwienia oczami.

— No, podejdz — przynaglała go matka.

Spojrzał na nią pytająco i znów zrobił krok naprzód. Miał właściwą chłopcom ociężałość, szyję wciśniętą w ramiona, wydatne wargi i ściągnięte nieufnie brwi. Joasia poważna, blada i cała w czerni onieśmielała go.

— Ty także musisz być uprzejma, moja kochana — powiedziała Helena widząc nastroszenie Joasi.

Dziewczynka nie puszczała ręki matki i głaskała ją paluszkami między rękawem a rękawiczką. Z zalęknioną miną nerwowego i dzikiego dziecka, z głową opuszczoną czekała, aż Lucjan podejdzie bliżej, gotowa uciec przed pocałunkiem. Lecz popychana z lekka przez matkę, zrobiła wreszcie krok naprzód.

— A jednak, młoda damo, będziesz musiała pierwsza go pocałować — rzekła śmiejąc się pani Deber-

le. — Cóż to za kawał kłoca z mojego syna i z nim zawsze kobiety muszą zrobić pierwszy krok.

— Pocałuj go, Joasiu — powiedziała Helena.

Dziewczynka podniosła oczy na matkę. Potem, jak

gdyby ujęta zalęknioną miną chłopczyka, poczuła się wobec tej zakłopotanej figurki całkowicie rozbrojona i prześlicznie uśmiechnęła się do niego. Twarzyczka jej rozjaśniła się w przyływie nagłej czułości.

— Chętnie, mamó.

Chwyliła Lucjana w ramiona, niemal uniosła go do góry i pocałowała mocno w oba policzki. On także pocałował ją od razu.

■ — Wiwat! — krzyknęli wszyscy obecni.

Helena zęgnęła się, pani Deberle odprowadziła ją do drzwi.

— Bardzo proszę — powiedziała Helena — niech pani ode mnie podziękuje serdecznie mężowi... Gdyby nie on, nie wiem, co by się stało ze mną tamtej nocy.

— Henryka nie ma? — zapytał pan Letellier.

— Nie ma, wróci późno — odpowiedziała Julietta.

Widząc, że panna Aurelia podniosła się, by wyjść z panią Grand je an, dodała:

— Ależ pani zostaje u nas na obiedzie. To już przecież postanowione.

Stara panna, która każdej soboty oczekiwała takiego zaproszenia, zdecydowała się zdjąć szal i kapelusz. W salonie było duszno. Pan Letellier otworzył okno i stanął przy nim patrząc na krzak bzu, na którym ukazały się już pierwsze pączki. Paulina bawiła się z Lucjanem, goniąc go między krzesłami i fotelami poprzestawianymi przez gości.

Już na progu pani Deberle uściśniła bardzo serdecznie rękę Heleny.

— Mąż mój opowiadał mi o pani — powiedziała. — Niech mi pani wierzy, jestem pani niezmiernie życzliwa. Pani nieszczęście, samotność... Jestem bardzo rada, że panią poznałam, i mam nadzieję, że będziemy miały okazję widywać się częściej.

— Będzie mi bardzo miło i bardzo pani dziękuję —

odpowiedziała Helena niezmiernie wzruszona tym serdecznym odruchem u kobiety, która, jak jej się wydało, miała trochę przewrócone w głowie.

Nie cofały rąk i patrzyły sobie w oczy przyjaźnie. Julietta uśmiechając się wyznała przyczynę swej nagłej sympatii:

— Pani jest taka piękna! Musi się panią kochać.

Helena roześmiała się wesoło. Nigdy nie myślała

o swej urodzie. Zawołała Joasię, która ciekawie śledziła zabawę Pauliny z Lucjanem. Ale pani Deberle zatrzymała jeszcze dziewczynkę na chwilę i powiedziała:

— Bądźcie odąd dobrymi przyjaciółmi, a teraz pożegnajcie się.

Dzieci przesłały sobie całusy koniuszkami palców.

m

Każdego wtorku pan Rambaud i ksiądz Jouve bywali na obiedzie u Heleny. W pierwszych tygodniach jej wdowieństwa sami, z bezceremonialnością szczerych przyjaciół, wtargnęli do niej prawie przemocą i narzucili swe towarzystwo, chcąc przynajmniej raz na tydzień przerwać osamotnienie, w jakim żyła po śmierci męża. Z czasem wtorkowe obiady weszły w zwyczaj. Jakby to było ich obowiązkiem, zjawiali się obaj punktualnie o siódmej wieczór, zawsze w tym samym pogodnym nastroju.

Tego wtorku Helena, w oczekiwaniu swych gości, szyła pod oknem, korzystając z ostatnich blasków dziennego światła. Dnie całe spędzała tutaj w spokoju i ciszy. Hałasy miasta nie dochodziły tak wysoko. Lubiła swój duży, zaciszny pokój z jego mieszczańskim zbytkiem, palisandrami i obiciami z niebieskiego aksamitu. Gdy przyjaciele urządzali ją tutaj, nie wtrącała się do niczego i potem przez pierwsze tygodnie czuła się trochę obco wśród tego zbytku, który według pana Rambaud był szczytem piękna, wykwiutu

i wygody. Ksiądz nie wtrącał się także, zdał się całkowicie na gust brata, jedynie potem nie przestawał się zachwycać jego dziełem. Ale później Helena czuła się szczęśliwa w tym mieszkaniu, które wreszcie uznała za równie solidne i skromne jak ona sama. Ciężkie obicia, ciemne, bogato zdobione meble harmonizowały z jej spokojnym usposobieniem. Jediną rozrywką podczas długich godzin pracy były chwile, gdy patrzyła na wspaniałą panoramę wielkiego miasta, roztaczającego przed nią falujące morze dachów. Z jej zacisznego kącika otwierał się widok na bezmiar Pa

ryża.  
— Już nie widzę dobrze, mam — powiedziała Joasia siedząca obok niej na małym stołeczku.

I odłożyła robótkę patrząc na Paryż ginący w mroku. Joasia była zazwyczaj mało ruchliwa. Trzeba było aż gniewu matki, by zgodziła się na spacer do Lasku Bulońskiego, dokąd na wyraźne polecenie doktora Bodin Helena prowadziła ją codziennie na dwie godziny; poza tym prawie nie wychodziły z domu. W Paryżu, w śródmieściu, były w ciągu półtora roku zaledwie trzy razy. Dziewczynka najlepiej czuła się w tym dużym niebieskim pokoju. Pomagała matce szyc wyprawki dziecinne dla ubogich księdza Jouve i na tym czas jej upływał. Helena musiała się wyrzec nawet myśli uczenia jej muzyki. Katarynka grająca w ciszy dzielnicy przyprowadziła ją o drzenie, oczy zalewały się łzami.

Było już zupełnie ciemno, gdy weszła Rozalka niosąc lampę. Zdawała się całkowicie pochłonięta swym kucharskim popisem. Wtorkowy obiad był jedynym wydarzeniem tygodnia, które poruszało cały dom.

— Chyba już dzisiaj nie przyjdą, proszę pani? — zapytała.

Helena spojrziała na zegar.

— Jest dopiero za kwadrans siódma, na pewno zaraz nadejdą.

Rozalka był to prezent księdza Jouve. Gdy przybyła do Paryża, osobiście przywiózł ją wprost z dworca

Orleańskiego, tak że nie знаła w tym wielkim mieście ani jednej ulicy. Przysłał ją dawny jego kolega z seminarium, wiejski proboszcz z okolic Chartres. Była mała, gruba, o puciołowatej twarzy pod szerokim czepkiem, włosach ciemnych i sztywnych, spłaszczonym nosie i czerwonych ustach. Specjalnością jej były leguminy, ponieważ wychowała się na plebanii u swej chrzestnej matki, która była gospodynią proboszcza.

— Oho, przyszedł pan Rambaud! — powiedziała biegnąc do drzwi, nim jeszcze rozległ się dzwonek.

Wysoki, barczysty pan Rambaud miał szeroką twarz prowincjonalnego notariusza. Przy swych czterdziestu sześciu latach był już przyprószony siwizną, ale w jego dużych, stale jakby zdziwionych oczach było coś naiwnego i łagodnego jak u dziecka.

— Przyszedł już i ksiądz. Są wszyscy — mówiła Rozalka znowu otwierając drzwi.

Pan Rambaud przywitał się z Heleną i usiadł bez słowa, z uśmiechem człowieka, który czuje się u siebie. Joasia rzuciła się księdzu na szyję.

— Dobry wieczór, wiesz, byłam bardzo chora.

tr Bardzo chora, kochanie?

Obaj ogromnie się zaniepokoiili, a zwłaszcza ksiądz, mały, chudy, z ogromną głową, kanciasty i niezgrabny, zawsze w starej, wytartej sutannie. Jego na wpół zmużone oczy rozwarły się i zabłysły tkliwą życzliwością. Joasia ujęła go jedną rączką, a drugą podała panu Rambaud. Trzymali ją tak obaj i obrzucali zaniepokojonym spojrzeniem. Helena musiała opowiedzieć o chorobie. Ksiądz omal nie pogniewał się, że nie zawiadomiła go od razu. Obaj bracia wypytywali, czy przynajmniej na tym się skończyło, czy dziecku już nic nie grozi? Matka uśmiechnęła się.

— Kochacie ją bardziej ode mnie i napędzilibyście mi tylko jeszcze więcej strachu. Nie, jest już prawie zdrowa, tylko czasem odczuwa lekkie bóle i głowa jej trochę cięży... Ale będziemy się energicznie leczyć.

■— Obiad na stole, proszę pani — oznajmiła Rozalka.

W stołowym pokoju meble były mahoniowe: stół, kredens i osiem krzeseł. Rozalka zaciągnęła zasłony z czerwonego rypsu. Zwisająca nad stołem bardzo skromna lampa w mosiężnej oprawie oświetlała jasno nakrycia, rozstawione talerze i dymiącą zupę. Rozmowy przy obiedzie były każdego wtorku podobne do siebie, ale tego wieczora mówiono naturalnie o doktorze Deberle. Ksiądz Jouve wyrażał się o nim bardzo pochlebnie, mimo że doktor nie zaliczał się wcale do nabożnych. Mówił o nim jako o człowieku prawym i miłosiernym, niezwykle dobrym ojcu i mężu, który mógłby być przykładem dla innych. Co do pani Deberle, była to kobieta bez zarzutu mimo nieco żywego temperamentu, co zawdzięczała zapewne osobliwemu paryskiemu wychowaniu. Jednym słowem, przemiła para. Helena była tego samego zdania i wydawała się uradowana słowami księdza zachęcającymi ją raczej do podtrzymania tej znajomości, której początkowo trochę się obawiała.

— Pani żyje zbyt samotnie — powiedział ksiądz.

— Niewątpliwie — potwierdził pan Rambaud.

Helena patrzyła na nich z łagodnym uśmiechem zdającym się mówić, że oni dwaj wystarczają jej całkowicie i że lęka się wszelkich nowych znajomości. Biła już godzina dziesiąta i ksiądz wraz z bratem zaczęli się żegnać. Joasia usnęła w fotelu. Pochylili się nad nią i przez chwilę z zadowoleniem kiwali głowami widząc jej spokojny sen. Potem wycofali się na palcach do przedpokoju i powiedzieli cicho:

— A więc do wtorku.

— Byłbym zapomniał — powiedział ksiądz wracając już ze schodów. — Stara F6tu jest chora. Czy nie mogłaby pani zajść do niej?

— Pójdę tam Jutro ■— powiedziała Helena.

Ksiądz chętnie posyłał ją do swych biednych. Często rozmawiali ze sobą po cichu i mieli pewne wspólne sprawy, co do których porozumiewali się w pół słowa, a o których nie mówili przy innych. Nazajutrz Helena udała się do chorej sama. Od czasu gdy Joasia po powrocie od starego paralityka miała przez dwa dni nerwowe dreszcze, matka nie zabierała jej więcej ze sobą na takie wyprawy. Helena przeszła ulicę Vi-neuse, minęła ulicę Raynouard i skręciła w Mokry Zaulek, dziwaczne, strome przejście między ogrodami i tyłami domów, którym można było zejść po schodkach ze wzgórza Passy na wybrzeże. Pod tą skarpią w walącym się domu stara Fetu mieszkała na poddaszu oświetlonym małym okienkiem wychodzącym na dach. Całe umeblowanie izdebki stanowiło pogięte łóżko, kulawy stół i dziurawe krzesło.

— Ach, to moja dobra pani, moja dobra pani... — zaczęła płaczliwie stara na widok wchodzącej Heleny.

Leżała w łóżku. Mimo swej nędzy była bardzo tęga, jakby opuchnięta, o twarzy nabrzmiałej. Skostniałymi z zimna rękami podciągała wytarty strzęp koca, którym była przykryta. Miała chytre oczka, płaczliwy głos, jakąś hałaśliwą pokorę, którą wylewała w potoku słów.

— Moja dobra pani, niech Bóg pani wynagrodzi!... Jakże ja się męczę... Jakby mi psy wyżerały boki... Muszę mieć jakieś robaki w brzuchu. Widzi pani, o, tutaj. Z wierzchu nic nie widać, ból jest w środku... O, tu, tu! Już dwa dni bez przerwy. Czy można to wytrzymać, dobry Boże, jakże ja się męczę... Niech Bóg wynagrodzi moją dobrą panią! Nie zapomina pani o biednych. Bóg to pani policzy, tak, policzy...

Helena usiadła. Widząc garnek zaparzonych gorących ziółek, nalała do stojącego obok kubka i podała chorej. Przy ziółkach leżała torba cukru, dwie pomarańcze i ciasteczka.

— Był ktoś już u was? — zapytała Helena.

— Tak, tak, taka mała pani.. Ale co ona tam wie. To nie jest to, czego mi potrzeba... Gdybym miała kawałek mięsa! Sąsiadka ugotowałaby mi rosół... Och! Tutaj znów mnie rwie coraz gorzej. Jakby mnie pies gryzł... Ach, gdybym miała trochę rosółu...

Mimo tych dręczących cierpień chytrymi oczkami śledziła wszystkie ruchy Heleny, która szukała po

kieszeniach. Gdy zobaczyła położoną na stole dziesięć- ciofrankówkę, zaczęła jeszcze głośniejsz lamentować, usiłując się unieść na łokciu. Z wysiłkiem wyciągnęła rękę; dziesięćcfrankowy banknot zniknął ze stołu, a ona powtarzała dalej:

— Och, Boże, znów mnie łapiet... Tego nie można wytrzymać... Niech Bóg pani wynagrodzi; będę się modlić o to... Znów mnie rwie w całym ciele... Ksiądz mi przyrzekł, że pani przyjdzie... Tylko pani jedna potrafi... Kupię sobie kawałek mięsa... Widzi pani, teraz ból wlał mi tu niżej, w krzyże. Ludzie, pomóżcie mi! Już nie mogę dłużej, nie mogę...

Chciała się przewrócić na bok. Helena ściągnęła rękawiczki, uniosła ją, jak umiała najdelikatniej, i ułożyła inaczej. Stała jeszcze pochylona, gdy drzwi się otworzyły. Widok wchodzącego doktora Deberle tak zaskoczył Helenę, że aż się zaczerwieniła. A więc i on odbywał wizyty, o których nie wspominał!

— To pan doktor — jęknęła stara. — Niech niebo państwu obojgu wynagrodzi wasze litościwe serca!

Doktor dyskretnie skłonił się Helenie. Od chwili gdy wszedł, stara Fétu jęczała już znacznie ciszej. Skarżyła się tylko piskliwie jak chore dziecko. Zauważyła od razu, że dobra pani i dobry doktor znają się, i nie spuszczała z nich oka spoglądając to na jedno, to na drugie, a na jej pokrytej tysiącem zmarszczek twarzy widać było gorączkową pracę myśli. Doktor zadał jej kilka pytań, opukał prawy bok i powiedział do Heleny, która 'usiadła już z powrotem:

— To kamica żółciowa. Za kilka dni będzie mogła chodzić.

Wyrwał kartkę z bloczku, napisał kilka słów i powiedział do starej Fétu:

— Niech ktoś to zaniesie do apteki na ulicę Passy, a lekarstwo, które zrobią, proszę brać co dwie godziny.

Znowu posypały się błogosławieństwa. Helena nic ruszała się z miejsca. Doktor jakby się ościagał, patrzył na nią, aż oczy ich się spotkały. Wreszcie, by im nie przeszkadzać, uklonił się i wyszedł. Ledwo zniknął za drzwiami, stara Fétu podjęła na nowo swoje lamenty:

— Ach, co za zacny doktor!... Żeby mi tylko to lekarstwo pomogło!... Trzeba mi było zrobić sobie maści z łożu i mniszka, to ściąga wodę, co się ma w ciele... Nie ma co mówić, zna pani zacnego człowieka. Pani go pewnie zna już dawno?... Mój Boże, jakże mi się chce pić. Mam ogień we krwi... On jest żonaty, prawda? Zasłużył sobie na dobrą żonę i piękne dzieci... Jak to miło widzieć, że dobrzy ludzie się znają.

Helena wstała, by dać się jej czegoś napić.

— Więc do widzenia, matko Fétu — powiedziała — do jutra.

— Tak, tak... Jaka pani dobra... Żeby mi mogła mieć trochę bielizny. Widzi pani moją koszulę, cała porwana. Śpię jak na śmietniku\*, Ale to nic, to nic... Dobry Bóg wszystko pani wynagrodzi.

Nazajutrz, gdy Helena przyszła do starej, doktor już tam był. Siedząc na krześle wypisywał receptę, a kobieta mówiła ze swą płacziwą gadatliwością:

— Teraz, panie doktorze, to jakby ołów... Naprawdę. Muszę mieć ołów w boku. Waży chyba ze sto funtów, nie mogę się wcale ruszać. — Gdy zobaczyła Helenę, usta jej się już nie zamykały. — Ach, to moja dobra pani! Powiedziałam to panu doktorowi: „Ta pani przyjdzie, choćby się niebo miało zawalić... Prawdziwa święta, anioł z nieba, i piękna, taka piękna, że chciałoby się klękać przed nią, gdy przechodzi ulicą.” Ach, moja dobra pani, nic mi nie jest lepiej. Teraz mam ołów, o tu... Tak, opowiedziałam wszystko, co pani dla mnie robi. Sam cesarz nie zrobiłby więcej... Trzeba by być złym człowiekiem, żeby pani nie kochać, tak, bardzo złym...

Gdy tak z na wpół przymkniętymi oczami mówiła szybko, przewracając głowę na poduszce, doktor uśmiechał się do zakłopotanej i zmieszanej Heleny.

— Matko Fétu — powiedziała Helena — przyniosłam wam trochę bielizny.

— Dziękuję, dziękuję, Pan Bóg pani wynagrodzi.. To tak samo jak pan doktor, który z własnej woli robi dla biednych ludzi więcej dobrego niż ci wszyscy, których to jest obowiązkiem. Pani nawet nie wie, że leczył mnie przez cztery miesiące, a lekarstwa, a rosół, a wino. Między bogatymi nie znajdziesz takiego, co by dla wszystkich miał tyle serca. Jeszcze jeden anioł zesłany prosto od Boga... Och, och! Już mi chyba całe piekło tam siedzi.

Z kolei doktor wydawał się zakłopotany. Wstał, by ustąpić krzesła Helenie. Ale chociaż uprzednio miała zamiar posiedzieć przynajmniej kwadrans, odmówiła.

— Dziękuję panu. Bardzo się śpieszę.

Stara Fétu, wciąż kręcąc głową, wyciągnęła ręce i paczka z bielizną zniknęła w głębi jej barłogu, a ona skrzczała dalej:

— Można by śmiało powiedzieć, że państwo pasują do siebie jak ulał. Mówię to bez obrazy państwa, bo to święta prawda... Jak się patrzy na jedno, widzi się zaraz drugie... Zacni ludzie zawsze się znajdują... O miły Boże, proszę mi podać rękę, żebym się mogła obrócić... Tak, znajdują się.

— Do widzenia, matko Fétu — powiedziała Helena ustępując miejsca doktorowi. — Boję się, że jutro nie będę mogła przyjść.

Ale jednak przyszła następnego dnia. Stara kobieta chlzczała. Gdy tylko obudziła się i zobaczyła czarną suknię Heleny siedzącej na krześle, wykrzyknęła od razu:

— Był tu już... Sama już nie wiem doprawdy, co mi dał za lekarstwo, bo jestem sztywna jak patyk... Rozmawialiśmy o pani. Pytał się o różne rzeczy, czy pani zawsze taka smutna, czy pani się nigdy nie śmieje... To taki zacny człowiek!

Jakby starając się wyczytać z twarzy Heleny, jakie jej słowa robią wrażenie, stara Fétu mówiła wolniej nieco, przybierając wyraz przyimilny i pełen niepokoju, jaki mają zwykle ludzie biedni, gdy chcą się przypodobać bogatym. Zapewne spostrzegła na czole do brej pani zmarszczkę niezadowolenia, bo jej szeroka, nabrzmiała twarz, napięta i czerwona, przygasła nagle. Zaczęła znowu narzekać:

— Ciągle tylko śpię. Może mnie struli?... Na ulicy Annonciation umarła kobieta, której aptekarz dał lekarstwo zrobione dla kogo innego.

Tego dnia Helena przesiedziała prawie pół godziny u starej słuchając jej opowiadań o Normandii, gdzie się urodziła i gdzie piła takie dobre mleko. Gdy przerwała na chwilę, Helena zapytała jakby od niechcenia:

— Czy od dawna znacie pana doktora?

Stara kobieta, wyciągnięta na wznak, na wpół uniosła powieki i znowu je zamknęła.

— O, tak, Jeszcze jak dawno odpowiedziała prawie szeptem. — Jego ojciec leczył mnie przed czterdziestym ósmym, a on przychodził razem z nim.

— Słyszałam, że jego ojciec to był święty człowiek,

— Tak, tak... Tylko taki w gorącej wodzie kąpany... Syn, widzi pani, jest jeszcze lepszy. Gdy się dotknie do człowieka, jakby miał ręce z aksamitu.

Znów przez chwilę milczały obie.

—• Radzę wam robić wszystko, co pan doktor poleci — rzekła Helena. — To bardzo dobry lekarz. Uratował mi córkę.

— Tak, tak, na pewno! — zawołała stara Ffetu z przejęciem. — Można mieć do niego zaufanie. Wskrzesił małego chłopczyka, którego już prawie chowali... Och! Nikt mi nie powie, że jest taki drugi. Mam takie szczęście, że trafiam na samych najlepszych ludzi... Co wieczór za to dziękuję Panu Bogu. Nie zapominam ani o pani, ani o panu doktorze. Modłę się zawsze za oboje państwa razem... Niech Bóg ma w swej opiece panią i pana doktora, niech ześle WBzystko, czego państwo zapagną. Niech wynagrodzi stokrotnie! Niech zgotuje im miejsca w raj.

Uniosła się i splótłszy ręce z niezwykłą żarliwością zdawała się błagać niebiosa. Helena nie przerywała Jej i tylko się uśmiechała. Gadatliwa pokora starej



kobiety kołysała ją i usypiała dziwnie miło. Na odchodnym przyrzekła przynieść czepek i suknię, gdy tylko matka Fetu wyzdrowieje.

Przez cały tydzień Helena opiekowała się starą. Odwiedzanie chorej każdego popołudnia stało się już przyzwyczajeniem. Specjalnie lubiła chodzić Mokrym Zaułkiem. Ta stroma uJipzka wydawała się jej uroczą ze swym chłodem i ciszą, zawsze czystymi stopniami schodów, zmywanymi w czasie deszczu przez spływające ze skarpy strumienie wody. Doznawała dziwnego wrażenia lęku, gdy dochodziła do Zaułka i spoglądała z góry na jego pogłębiającą się stromość; zazwyczaj był pusty, bo znali go jedynie mieszkańcy sąsiednich ulic. Zbierała się na odwagę, przechodziła podcieniem, pod domem, który ciągnął się wzdłuż ulicy Raynouard, i drobnym kroczkiem zstępowała powoli w dół z siedmiu pięter po szerokich stopniach, wzdłuż których przebiegał kamienisty rynsztok zajmujący prawie połowę tego wąskiego przejścia. Mury ogrodów po lewej i prawej stronie były wybrzuszone, zżarte przez szary trąd pleśni. Drzewa wyciągały gałęzie pełne zwisających liści, bluszcz rozpościerał fałdy swego gęstego płaszcza i cała ta zieloność, przez którą tylko gdzieniegdzie prześwitywały skrawki błękitu nieba, dawała światło zielonkawe, bardzo łagodne i przyćmione. Gdy dochodziła do połowy schodów, przystawała, by odetchnąć, przyglądała się wiszącej tu latarni i słuchała śmiechów w ogrodach za furtkami, które zawsze były zamknięte. Czasem wchodziła z trudem pod górę staruszka, trzymając się czarnej i lśniącej poręczy przymocowanej do muru po prawej stronie, czasem wytworna pani podpierając się parasolką niby laską, czasem gromada uliczników zbiegała z góry stukając butami o stopnie. Ale najczęściej Helena była tu sama, a wówczas to puste i ustronne przejście, podobne do ścieżki w leśnym jarze, miało dla niej duży urok. Na dole odwracała się, spoglądała do góry i widok tych stromych schodów, które odważyła się przebyć, przejmował ją lekkim strachem.

Chłód i spokój Mokrego Zaułka wносиła ze sobą do mansardy starej Fetu. Ta otchłań nędzy i cierpienia już jej nie raziła, była tu jak u siebie. Otwierała okienko, aby przewietrzyć izdebkę, przestawiała stół, gdy jej zawadzał. Nagie ściany poddasza pobielone wapnem, okulałe meble przypominały, że niegdyś jako młoda dziewczyna marzyła nieraz o skromnym, prostym życiu. Największy urok znajdowała w dobrowolnie przyjętej roli siostry miłosierdzia, żyła tu stale w podniosłym wzruszeniu, a nie kończące się lamenty starej kobiety, wszystko, co widziała i czuła, wzbudzało w niej dreszcz niezmiernego współczucia. Wreszcie z widoczną niecierpliwością oczekiwała wizyty doktora Deberle. Wypytywała go o stan zdrowia starej Fetu, potem rozmawiali chwilę o czymś innym stojąc naprzeciw siebie i patrząc sobie w oczy. Zawiązała się między nimi pewna poufałość. Dziwili się, gdy odkrywali, że mają podobne upodobania. Często rozumieli się doskonale, nim jeszcze zaczęli mówić, to samo uczucie miłosierdzia przepelniało serca obojga. Niezwykle miła była Helenie szczerza życzliwość, jaka powstała między nimi w tak niezwykłych okolicznościach, i serce jej, już poruszone litością, bez oporu poddawało się tej życzliwości. Początkowo bała się doktora; w swym salonie zachowałaby zapewne pełen nieufności chłód, właściwy jej naturze. Ale tu byli daleko od świata, dzielili się jednym krzesłem, niemal uszczęśliwieni tymi biednymi i brzydkimi rzeczami, które ich zbliżyły i rozczułały. Pod koniec tygodnia znali się tak, jakby żyli od lat obok siebie. Ta jednocząca ich dobroć rozjaśniała poddasze starej Fetu. Chora powracała do zdrowia bardzo powoli. Doktor dziwił się i mówił, że pieści się, kiedy opowiadała mu, że teraz ma ołów w nogach. Nie przestawała stękać, leżała na wznak niespokojnie kręcąc głową i zamykała oczy, jakby nie chcąc ich krępować. Nawet któregoś dnia udała, że śpi, lecz śledziła ich spod przymkniętych powiek małymi czarnymi oczkami. Aż

wreszcie mogła już wstać z łóżka. Nazajutrz Helena przyniosła jej obiecaną suknię i czepek. Gdy nadszedł doktor, stara wykrzyknęła nagle:

— O mój Boże! A toż przecie sąsiadka prosiła, bym przypilnowała jej rosołu.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi zostawiając ich samych. Z początku rozmawiali dalej, nie zwróciwszy uwagi, że są zamknięci. Doktor nalegał, by Helena zaszła czasem na całe popołudnie do jego ogrodu przy ulicy Vineuse.

— Moja żona — mówił — wybiera się do pani z wizytą i wtedy zaprosi panią sama... Nasz ogród bardzo by się przydał pani córeczce.

— Ależ ja nie odmawiam. Wcale nie wymagam, by mnie zapraszano tak ceremonialnie i uroczyście — powiedziała śmiejąc się. — Nie chciałabym się tylko narzucać... Zresztą zobaczymy.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, wreszcie doktor zaczął się dziwić:

— Gdzież, do licha, ona poszła? Cały kwadrans już siedzi przy tym rosole.

Teraz dopiero Helena spostrzegła, że drzwi są zamknięte. W pierwszej chwili nie przywiązywała do tego wagi. Mówiła o pani Deberle, którą wychwalała przed mężem, ale gdy doktor wciąż odwracał głowę w stronę drzwi, i ona poczuła zakłopotanie i z kolei zauważyła:

— To bardzo dziwne, że jej dotąd nie ma.

Rozmowa urwała się. Helena nie wiedząc, co ma robić, otworzyła okienko, a gdy odwróciła się, starali się na siebie nie patrzeć. Przez to okienko, które wykrawało z odległego nieba mały niebieski krążek, dobiegały śmiechy dziecięce. Byli całkiem sami, ukryci przed wzrokiem ludzi, jedynie ten maleńki skrawek nieba patrzył na nich. W oddali dzieci umilkły, cisza stawała się kłopotliwa. Nikt by ich tu na tym zagubionym poddaszu nie szukał. Zakłopotanie stawało się coraz większe. Helena, niezadowolona z samej siebie, patrzyła uparcie na doktora.

— Mam dziś mnóstwo wizyt — rzekł szybko. — Muszę już iść, ona może wrócić nie wiadomo kiedy.

Wyszedł; Helena usiadła. W tej samej chwili zjawiła się stara Fetu, już od progu zasypując ją lawiną słów.

— Ach, nie mogłam się dowlec, zrobiło mi się słabo... Pan doktor poszedł? Ma się rozumieć, niewygodnie tutaj. Państwo to jak dwa anioły z nieba, że tyle czasu siedzicie u takiego biedaka jak ja. Bóg wam to wszystko wynagrodzi... To mi dziś wlało w nogi. Musiałam sobie usiąść na schodach. I nic więcej nie wiem, bo państwo zachowywali się tak cicho... Chciałabym mieć parę krzesel. Żebym to miała foteli A ten mój materac jest całkiem do niczego. Aż mi wstyd, gdy pani tu przychodzi... Cały dom należy do pani, skoczyłabym w ogień, gdyby trzeba było. Pan Bóg wie o tym, powtarzam Mu to nieraz... Boże mój! Spraw\* by spełniły się życzenia dobrej pani i pana doktora. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Helena słuchała jej i czuła się dziwnie zakłopotana. Obrzękła twarz starej napełniała ją niepokojem. Nigdy dotąd w tej ciasnej izdebce nie doznawała równie przykrego uczucia. Dławił ją zaduch, widziała całe niechlujstwo nędzy, jej wszystkie niedostatki i braki. Wyszła pośpiesznie; błogosławieństwa, jakimi odprowadzała ją stara Fetu, były jej niemiłe.

Jeszcze jedna przykrość spotkała ją w Zaułku. W połowie schodów, po prawej stronie, była przy murze stara, nie używana studnia zasłonięta kratą. Od dwóch dni, przechodząc obok, słyszała z dna miauczenie. Gdy wchodziła teraz na górę, miauczenie rozlegało się tak żalosne, że nie było wątpliwości: kot zdychał. Myśl, że biedne stworzenie, wrzucone do starej studni, ginie powolną głodową śmiercią, rozdzierała Helenie serce. Przyspieszyła kroku wiedząc, że długo nie odważy się przejść tędy, bojąc się usłyszeć to miauczenie śmierci.

Był właśnie wtorek. Wieczorem o siódmej, gdy Helena wykańczała kaftanik dziecinny, dwa dzwonki

W następnym tygodniu pani Deberle, rewizytując Helenę, była niezmiernie uprzejma, nawet serdeczna. A gdy wychodziła, zatrzymała się jeszcze na progu.

— Niech pani nie zapomni o swym przyrzeczeniu... Jak tylko będzie ładnie, proszę przyjść do ogrodu z Joasią. Takie jest zalecenie doktora.

Helena uśmiechnęła się.

— Tak, tak, nie zapomnę. Przyjdziemy na pewno. W trzy dni potem, w pogodne lutowe popołudnie rzeczywiście wybrała się tam z córką. Konsjerżka otworzyła im furtkę. W głębi ogrodu, w rodzaju cieplarni przerobionej na pawilon japoński, zastały pa

J rozległy się jak zwykle, a Rozalka otworzyła drzwi mówiąc:

— Dzisiaj ksiądz przychodzi pierwszy... o! pan Rambaud jest już także.

Obiad upłynął bardzo wesoło; Joasia czuła się już znacznie lepiej i obaj bracia, którzy ją stale rozpieszczali, uprosili Helenę, by mimo wyraźnych zakazów doktora Bodin pozwoliła jej zjeść trochę sałaty, którą bardzo lubiła. Gdy wszyscy przeszli do drugiego pokoju, dziewczynka nieśmiało zarzuciła ręce na szyję matki.

— Tak cię proszę, mameczko najdroższa, zabierz mnie jutro ze sobą do tej staruszki.

Ale ksiądz i pan Rambaud od razu się oburzyli. Nie można zabierać jej do biednych, bo nie umie się zachować. Ostatnim razem zemdląa dwukrotnie, a nawet we śnie przez trzy noce zalewała się łzami.

— Nie, nie — zapewniała — nie będę płakać, przyrzekam.

Matka pocałowała ją mówiąc:

— Nie trzeba już, kochanie, ta staruszka ma się już dobrze!... Nie pójde tam więcej, będę teraz zawsze przy tobie.

nią Deberle z jej siostrą Pauliną, siedzące beczynn timer z założonymi rękami; robótki, które haftowały, leżały porzucone na stoliku.

— Ach, jakże to miło z pani strony! — powiedziała Julietta. — Proszę, niech pani usiądzie... Paulinko, odsuń stół... Widzi pani, jest jeszcze trochę za chłodno, by siedzieć w ogrodzie, nieprawdaż? A z tego pawilonu będziemy doskonale widziały, co robią dzieci... Idźcie się bawić, dzieci. Uważajcie tylko, żeby się które nie przewróciło.

Szerokie oszklone drzwi pawilonu otwarto, a z obu stron spuszczone ruchome szyby, tak że ogród widać było jak na dłoni, niby z progu namiotu. Był to typowy wielkomiński ogródek z trawnikiem pośrodku i dwoma klombami po bokach. Prosta żelazna krata odgradzała go od ulicy Vineuse, ale krzewy i pnącza tak się przy niej rozrosły, że z zewnątrz nie można było niczego w ogrodzie dojrzeć. Bluszcz, powój i wi- ciokrzew pięły się i owijały wzdłuż kraty, a zaraz za tą pierwszą warstwą zieleni wyrastała druga z bżów i szczodrzenicy. Nawet zimą nie opadające liście bluszczu wraz ze spletanymi gałęziami wystarczały, by z zewnątrz nic nie było widać. Największą ozdobę ogrodu stanowiło kilka starych wspaniałych, wysokich wiązów w głębi, które" zasłaniały ciemne mury pięciopiętrowej kamienicy. Dzięki temu ten wciśnięty między sąsiadujące z nim budynki paryski ogródek, wymuskany jak salon, sprawiał złudzenie zakątka parku i wydawał się większy, niż był w istocie. Między dwoma wiązami wisiała huśtawka z deseczką zzieleniałą od wilgoci.

Helena pochylając się, by lepiej widzieć, przyglądała się ogrodowi.

— Och, to taka mała grządka — powiedziała z lekceważeniem pani Deberle. — Ale w Paryżu drzewa są rzadkością... Może się cieszyć ten, kto ma ich pół tuzina na własność.

— Nie, nie, ślicznie tu u pani — mówiła Helena. —: IJroczy ogród.

Tego dnia słońce tworzyło na bladym tle nieba pyłek jasnych blasków. Między bezlistnymi gałęziami przesączał się deszcz światła. Drzewa różowiały, małe fioletowe pączki nadawały szarości kory łagodniejszy ton. Na żwir alejek i trawnik padał blask, który roztopiał się i ginął w leciutkiej mgłę ścielącej się tuż nad ziemią. Nie było jeszcze ani jednego kwiatka, jedynie radość słońca głosiła nagiej ziemi, że wiosna już nadchodzi.

•• V. "

— Teraz jest tu jeszcze trochę smutno — ciągnęła pani Deberle. — Zobaczysz pani w czerwcu, jest się tu jak w prawdziwym gniazdku. Drzewa nie pozwalają nikomu obcemu zaglądać i jesteśmy wtedy całkowicie u siebie. — Przerwała i zawołała głośno: — Lucjanie, może byś nie ruszał kranu.

Chłopczyk, który jako gospodarz pokazywał Joasi ogród, zaprowadził ją do kranu pod tarasem i odkręcił kurek podstawiając noski swych bucików pod strumień wody. Przepadał za tą zabawą. Joasia, bardzo poważna, patrzyła, jak się chlapie w wodzie.

— Poczekaj — powiedziała Paulina wstając z krzesła — zaraz go uspokoję.

Julietta powstrzymała ją.

— Nie, nie, jesteś jeszcze bardziej postrzelona od niego. Przedwczoraj pochlapaliście się oboje tak, jakbyście się kąpali... Aż dziwne, doprawdy, żeby taka dorosła panna nie mogła dwóch minut usiedzieć spokojnie.

— I odwróciwszy się krzyknęła: — Lucjanie, w tej chwili zakręć kran, słyszysz!

Przestraszony chłopczyk chciał zamknąć wodę, ale tylko odkręcił kurek jeszcze bardziej i woda trysnęła ostrym strumieniem z takim szumem, że zupełnie stracił głowę. Cofnął się, cały spryskany.

— W tej chwili zakręć kran! — powtórzyła matka, której krew uderzyła do twarzy.

Lucjan wybuchnął płaczem przerażony tą rozszalałą wodą, której nie umiał już zatrzymać. Wtedy Joasia bez słowa zbliżyła się bardzo ostrożnie do kranu. Wcisnęła sobie spódniczkę pomiędzy kolana, podciąg-

42

nęła rękawy, by ich nie zmoczyć, i zakręciła kurek nie zachlapawszy się ani jedną kropelką. Potop ustał nagle.

Lucjan zdziwiony, przejęty szacunkiem, przestał płakać i podniósł swe wielkie oczy na dziewczynkę.

— Naprawdę, to dziecko wyprowadza mnie całkowicie z równowagi — mówiła pani Deberle, której twarz znowu przybladła. Usiadła ciężko na krześle, jakby niezmiernie zmęczona,

Helena uznała za stosowne wtrącić się.

— Joasiu — powiedziała — weź go za rękę i pospacerujcie sobie.

Dziewczynka ujęła Lucjana za rękę i z powagą, drobnymi kroczkami, ruszyli przez alejki. Była znacznie wyższa od niego, musiał więc wyciągnąć ramię do góry, ale ta uroczysta zabawa, polegająca na majestatycznym okrążaniu trawnika, zdawała się pochłaniać oboje; kroczyli z minami niezwykle poważnymi. Joasia, jak prawdziwa dama, rzuciła powłóczyście spojrzenia. Lucjan nie mógł się powstrzymać i od czasu do czasu zerkał nieśmiało na swą towarzyszkę. Nie mówili do siebie ani słowa.

-- Są bardzo zabawni — powiedziała pani Deberle, uśmiechnięta już i uspokojona. — Trzeba przyznać, że pani córeczka jest naprawdę czarującym dzieckiem... Taka posłuszna, taka grzeczna...

— Tak, gdy jest w obcym domu — odpowiedziała Helena. —5 Ona także potrafi być nieznośna, ale ze mnie bardzo kocha, więc stara się być grzeczna, by nie robić mi przykrości.

Panie rozmawiały dalej o dzieciach. Dziewczynki dojrzewają wcześniej niż chłopcy. Głupiutka mina Lucjana o niczym nie świadczy. Za rok, gdy troszkę zmądrzeje, będzie z niego kawał zucha. Po chwili rozmowa przeskoczyła ni stąd, ni zowąd na temat pewnej kobiety mieszkającej naprzeciw w małej oficynie, u której działa się naprawdę rzeczy... Pani Deberle urwała i zwróciła się do siostry:

— Paulinko, wyjdź na chwilę do ogrodu.

43

Młoda dziewczyna wyszła posłusznie i stanęła pod drzewami. Była przyzwyczajona, że ją wyprawiano za każdym razem, gdy rozmowa dotyczyła drażliwych spraw, o których nie wypadało mówić przy niej.

— Wczoraj stałam właśnie w oknie — podjęła Julietta — i widziałam doskonale tę kobietę... Nie zasuwam nawet firanek... To już jest nieprzyzwoite! Przecież dzieci mogą zobaczyć.

Mówiła zupełnie cicho, tonem pełnym zgorznienia, jednak uśmiechając się nieznacznie kącikami ust. Potem głośno zawołała:

— Pa u linko, możesz wrócić!

Pod drzewami Paulina patrzyła obojętnie w górę, czekając, aż siostra skończy. Wróciła do pawilonu i siadła na krześle, a tymczasem Julietta mówiła dalej do Heleny:

— A pani nic nie zauważyła?

— Nie — odpowiedziała Helena. — Moje okna nie wychodzą na oficynkę.

Młoda dziewczyna słuchała z miną niewiniątka, jakby wszystko rozumiała, mimo że nie była przy całej rozmowie.

— Takie śliczne gniazda są na drzewach! — powiedziała patrząc wciąż jeszcze w górę przez drzwi pawilonu.

Aby nie tracić kontenansu, pani Deberle zabrała się znowu do swego haftu. Ale robota wyraźnie jej nie szła. Dwa ściegi dłubała całą minutę. Helena, która nie znosiła beczynności, zapytała, czy na drugi raz może zabrać ze sobą robotkę. Nieco znudzona odwróciła się i oglądała japoński pawilon. Ściany i sufit pokryte były przetykaną złotem wzorzystą tkaniną, z kluczem wzlatających żurawi, z motylami, z jaskrawymi kwiatami i widokami, na których niebieskie łodzie płynęły po żółtych rzekach. Na pokrywających podłogę cienkich matach stały bambusowe krzesła i żardynierki, mebelki z laki zastawione gęsto bibelotami, drobiazgami z brązu, wazkami, dziwacznymi, pstrokatymi i jaskrawymi zabawkami. W głębi duży magot z porcelany saskiej, z podwiniętymi nogami, nagim, opasłym brzuchem, wybuchał gwałtownym śmiechem, kiwając zapamiętałą głową przy najmniejszym poruszeniu.

— Prawda, jaki brzydki? — zawołała Paulina śledząc spojrzenia Heleny. — Czy wiesz, Julietto, że wszystko, co tu nakupiłaś, to okropna tandeta? Piękny Malignon nazywa twoją japońszczyznę „kramem za trzynaście su"... Aha, właśnie go spotkałam. Piękny pan Malignon był w ładnym towarzystwie, nie ma co mówić... Co za dama! Mała Florence z „Varietss”.

— Gdzie, gdzie go spotkałaś? — zapytała żywo Julietta. — Muszę mu trochę podokuczać.

— Na bulwarze... Będzie dzisiaj u was?

Ale nie dowiedziała się. Dzieci znikły gdzieś i panie się zaniepokoiły. Gdzie mogły się podziać? Zaczęto je wołać i od razu odezwały się dwa cienie głosiki:

— Jesteśmy tutaj!

Były rzeczywiście „tutaj”: siedziały na środku trawnika ukryte za krzakiem.

— Co tam robicie?

-r- Przyjechaliśmy do oberży! — zawołał Lucjan. — Odpoczywamy właśnie w naszym pokoju.

Ubawione panie z uśmiechem przyglądały się dzieciom. Joasia bez reszty pochłonięta była zabawą. Zrywała trawę dookoła siebie, zapewne miało to być śniadanie. Kawałek deski znaleziony w krzakach był ich podróznym kufrem. Teraz rozmawiali. Joasia ogromnie przejęta powtarzała, że są w Szwajcarii i wybierają się zwiedzić lodowce, czym ogromnie zadziwiła Lucjana.

— Patrzcie! Już przyszedł — powiedziała niespodziewanie Paulina.

Pani Deberle odwróciła się i zobaczyła Malignona schodzącego z tarasu. Zaledwie się przywitał i usiadł, napadła na niego:

— Jest pan niezmiernie uprzejmy! Rozповіда pan wszystkim, że mam u siebie okropną tandetę.

— Ach, tak — odpowiedział spokojnie. — Ten sa-  
lonik... Oczywiście, że to tandeta. Nie ma pani ani jednego przedmiotu, na który warto by spojrzeć.

Była bardzo urażona.

— Nawet magot?

— Okropny, wszystko to takie małomieszczańskie, okropnie w złym guście! Nie dała mi się pani tym zająć...

Przerwała mu, pąsowa ze złości.

— A! Pański gust! Można by o nim coś niecoś powiedzieć! Ładny mi gust... Widziano pana w towarzystwie pewnej damy...

— Jakiej damy? — zapytał zaskoczony, gwałtownością napaści.

— Też mi gust! Winszuję panu serdecznie wyboru. Osoba, którą cały Paryż... — Umilkła spostrzegając Paulinę. Zapomniała o niej. — Paulinko — powiedziała — idź na chwilę do ogrodu.

— Ach, nie, już mnie to wreszcie nudzi — odpowiedziała buntując się młoda dziewczyna. — Nie dasz mi chwili spokoju.

■ — Idź do ogrodu — ■ powtórzyła Julietta stanowczo.

Paulina wstała ociągając się. Już w progu obejrzała się i dodała:

— Przynajmniej się pośpieszcie.

Ledwie wyszła, Julietta napadła ponownie na Malignona. Jak może dystyngowany młody człowiek pokazywać się publicznie z taką Florence! Ma co najmniej ze czterdzieści lat, brzydka jak straszdyło. Cała orkiestra mówiła jej już od pierwszych występów po imieniu.

— Skończyliście już? — zawołała Paulina spacerując pod drzewami z nadąsaną miną. — Już mi się tu sprzykrzyło.

Malignon bronił się. Nie znał żadnej Florence, nie zamienił z nią nigdy ani słowa. Widziano go może z jakąś inną kobietą, czasem towarzyszył żonie jednego ze swych przyjaciół. Kto wreszcie widział go z nią? Trzeba dowodów, świadków.

— Paulinko — zawołała nagle pani Deberle głośno — prawda, że spotkałaś go z Florence?

— Tak, tak — odpowiedziała dziewczyna — na bulwarze, naprzeciw Bignona.

Malignon uśmiechał się zakłopotany, a pani Deberle zawołała z triumfującą miną:

— Możesz wrócić, Paulinko, skończyliśmy.

Malignon miał na następny dzień łożę do „Folies-

-Dramatiques" i z całą galanterią ofiarował ją pani Deberle, nie okazując ani cienia urazy; sprzeczała się zresztą stale. Paulina dopytywała się, czy będzie mogła zobaczyć tę sztukę, a gdy Malignon roześmiał się kręcąc głową, powiedziała, że to głupie, że autorzy powinni pisać sztuki dla młodych panien. Jej pozwalano oglądać tylko Białą damą i teatr klasyczny.

Na dzieci przestano zwracać uwagę. Nagle Lucjan zaczął przeraźliwie krzyżeć.

— Coś mu zrobiła, Joasiu? — zapytała Helena.

— Nic mu nie zrobiłam, mamó — odpowiedziała dziewczynka. — Sam się przewrócił.

Ezecz miała się następująco: dzieci wyruszyły właśnie na słynne lodowce. Jak twierdziła Joasia, przybyli w góry, więc musieli oboje bardzo wysoko zadzierać nogi, bo chodzili po skałach. Lucjan zmęczony tą wspinaczką potknął się i przewrócił jak długi na środku klombu. Zawstydzony, wpadł w gniew i zaczął płakać ze złości.

— Podnieś go — zawołała Helena.

— Kiedy on nie chce, mamó. On chce się tarzać po ziemi.

I Joasia odsunęła się, jakby urażona i poirytowana widokiem tak źle wychowanego malca. Nie umie się bawić, jeszcze gotów splamić jej suknię. Miała minę kompromitującej się księżny. Pani Deberle zniecierpliwiona krzykiem Lucjana poprosiła siostrę, by go podniosła i uciszyła; Paulinie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pobiegła, przewróciła się obok niego i przez chwilę razem z nim tarzała się po ziemi. Chłopczyk bronił się, nie chciał, by go podniosła. Jed-

nak, choć z trudem, wstała trzymając go w ramionach, a chcąc go uspokoić, powiedziała:

— Cicho bądź, ty mazgaju! Idziemy się huścić.

Lucjan od razu umilkł. Joasia wyzbyła się swej dystyngowanej powagi i oczy jej zabłyśły niezmierną radością. Wszyscy troje pobiegli do huśtawki. Paulina pierwsza usiadła na deseczce.

— Rozhuśćcie mnie — powiedziała do dzieci.

Popychali huśtawkę całą siłą swych drobnych ramion. Była jednak za ciężka, zaledwie poruszyli ją z miejsca.

— Pchnijcie porządnie — powtórzyła. — To niezdary, niczego nie potrafią.

W pawilonie pani Deberle poczuła lekkie dreszcze. Powiedziała, że mimo pięknego słońca jest dość chłodno. Poprosiła Malignona, by podał jej burnus z białego kaszmiru, wiszący na klamce u okna. Malignon wstał i zarzucił go jej na plecy. Rozmawiali ze sobą poufale o sprawach zupełnie nie interesujących Heleny. Zaniepokojona, że Paulina może mimo woli zrobić dzieciom jakąś krzywdę, zeszła do ogrodu zostawiając Juliettę spierającą się z młodym człowiekiem o fasony modnych kapeluszy, którymi się zachwycali.

Spostrzegłszy matkę Joasia podbiegła do niej z przymiłą miną, z niemym błaganiem w całej swej postaci.

— Och, mammo! — mówiła — och, mammo!...

— Nie, nie — odpowiedziała Helena, która od razu zrozumiała, o co dziewczynce chodzi. — Wiesz sama, że ci nie wolno.

Joasia pasjami lubiła się huścić. Mówiła, że czuje się wtedy ptakiem. Wiatr owiewający jej twarz, gwałtowne wznoszenia i opadania, rytmiczny jak uderzenia skrzydeł, sprawiał jej rozkoszne wrażenie wzbijania się ponad chmury. Zdawało się jej, że unosi się hen, wysoko. Zawsze jednak źle się to kończyło. Raz znaleziono ją ucepijoną kurczowo sznurów huśtawki, omdlałą, z przerażającym wyrazem martwoty w szeroko rozwartych oczach. Innym razem spadła cała zdrętwiała, niby jaskółka trafiona śrutem.

— Ach, mammo — powtarzała wciąż — tylko troszeczkę, jedną minutkę.

Helena dla świętego spokoju pozwoliła jej wreszcie usiąść na huśtawce. Dziecko promieniało, z wniebowziętym wyrazem twarzy, z drżeniem zmysłowej rozkoszy, poruszającym jej obnażone ręce. A że matka huściła ją bardzo ostrożnie, więc Joasia prosiła szeptem:

— Mocniej, mocniej.

Ale Helena nie słuchała jej, nie wypuszczała z ręki sznura. Ona także ożywiła się, policzki nabrały rumieńców. Ruch, który nadawała huśtawce, udzielał się jej samej; bawiła się z córką jak rówieśnica, zatracając właściwy sobie wyraz powagi.

— No, dość tego — oświadczyła chwytając Joasię w ramiona.

— A teraz ty się pohuśćaj, mammo; proszę cię, pohuśćaj się — mówiła dziewczynka uwieszona na szyi maiki.

Widok matki wznoszącej się do nieba, jak mówiła, podniecał ją, sprawiał jej jeszcze większą uciechę, niż gdy się huściła sama. Ale Helena śmiejąc się pytała, kto ją rozbuja, bo gdy się huściła, to już lubiła huścić się bez pamięci, wznosić się wysoko, pod same chmury. W tym właśnie momencie zjawił się w ogrodzie, prowadzony przez konsjerżkę, pan Rambaud. Juliettę poznał kiedyś? u Heleny i teraz, nie zastawszy jej w domii, uważał, że może złożyć wizytę państwu Deberle. Julietta powitała go bardzo uprzejmie, ujęta jego dobroduszością, i zaraz wróciła do ożywionej rozmowy z Malignonem.

— Nasz kochany pan Rambaud cię rozbuja! nasz kochany pan Rambaud cię rozbuja! — wołała Joasia skacząc dokoła matki.

•T— Cicho bądź, nie jesteśmy u siebie w domu! — powiedziała Helena z udaną surowością.

I" — Ależ, Boże mój! — odezwał się pan Rambaud — I jeżeli to panią bawi, mogę panią pobujać. | Helena nie dała się długo namawiać. Jako młoda dziewczyna lubiła się huścić całymi godzinami i wspomnienie tych dawnych zabaw obudziło w niej teraz nieodparte pragnienie. Paulina, siedząca z Lucjanem na brzegu trawnika, wtrącała się ze swą bezceremonialnością wyemancypowanej dorastającej panny:

— Tak, tak. Pan rozhuścił panią... A potem mnie. Prawda, że pan mnie potem także rozhuścił? To przekonało Helenę. Młodość tkwiąca w niej pod poprawnym spokojem wyniosłej urody trysnęła nagle z uroczą prostotą. Była wesoła i naturalna jak pensjonarka. Nie miała w sobie cienia pruderii. Śmiejąc się powiedziała, że nie ma ochoty pokazywać swych nóg, i poprosiła o sznurek, którym związała spódnicę powyżej kostek. Potem, stając na huśtawce, wyciągniętymi rękami chwyciła za sznury i zawołała:

— A więc proszę, panie Rambaud... Najpierw powoli.

Pan Rambaud zawiesił już kapelusz na gałęzi. Jego szeroka i pełna dobroci twarz rozjaśniła się pobłażliwym uśmiechem. Sprawdził, czy sznury są mocne, obejrzał drzewa i zdecydował się pchnąć lekko huśtawkę. Tego dnia właśnie Helena po raz pierwszy zdjęła żalobę. Miała na sobie suknię szarą z kokardami koloru biadoliła. Wyprostowana, płynęła z wolna tuż nad ziemią, jakby kołysana.

— Mocniej — powiedziała — mocniej.

Pan Rambaud wyciągnął ramiona, schwytał mijającą go huśtawkę i pchnął silniej. Helena uniosła się w górę. Za każdym wzlotem wzbijała się wyżej, ale wciąż jeszcze powoli, z umiarem. Twarz jej była jeszcze nie zmieniona, poważna, tylko oczy błyszczały, a nozdrza rozdymały się lekko, jakby pijąc wiatr. Ani jedna fałda jej spódnicy nie poruszyła się, tylko spięte włosy rozluźniły się nieco.

— Mocniej, mocniej!

Gwałtowne pchnięcie uniosło ją w górę. Wzlatywała wciąż wyżej, ku słońcu. Wzbijała podmuch poruszający w ogrodzie trawę. Przesuwała się coraz szybciej, tak że nie można już było rozeznaczyć rysów jej twarzy. Uśmiechała się, zarumieniła, oczy błyszczały jak gwiazdy. Rozplecione włosy biły ją po szyi. Suknia pomimo przewiązania sznurkiem unosiła się odsłaniając białość kostek. Czuło się jej radość, jej swobodny oddech, jakby powietrze było jej żywiołem.

— Mocniej, mocniej!

Pan Rambaud, zasapany, z wypiekami na twarzy, wytężał wszystkie siły, Helena wzbijała się coraz wyżej.

— Och!, mamó, mamó! — powtarzała Joasia w zachwycie.

Usiadła na trawniku i przyglądała się matce, drobne swe piąstki przyciskając do piersi, jakby sama chciała wypić cały ten powiew wiatru. Brakowało jej tchu, odruchowo towarzyszyła kołysaniem ramion długim wychyleniom huśtawki. Wołała głośno:

— Wyżej, wyżej!

I matka wzbijała się coraz wyżej. Stopy jej sięgały gałęzi drzew.

— Wyżej, wyżej! Och, mamó, wyżej!

Helena ulatywała pod niebo. Drzewa uginały się skrzypiąc jak w czasie wichury. Widać było już tylko jej suknie łopoczące głośno. Gdy opadała z wyciągniętymi rękami, z piersią wysuniętą do przodu, schylała nieco głowę szybując przez chwilę tuż nad ziemią. I znowu unosił ją pęd, i znowu opadała z głową podaną w tył, uciekająca i omdlewająca, z przymkniętymi powiekami. Był to spazm rozkoszy — te wzloty i opadania, od których kręciło jej się w głowie. Wznosząc się wchodziła w słońce, w bładozłote, wczesnowiosenne słońce, którego promienie zdawały się sypać na ziemię pył złotego dżdżu. Jej kasztanowate włosy o bursztynowym odbłasku paliły się prawie, zdawała się płonąć cała, a jedwabne biadoliła kokardy, podobne do ognistych kwiatów, lśniły na mieniącej się jasno sukni. ]Wokół budziła się wiosna, liliowe pączki



drzew odznaczały się delikatnie na tle błękitnego nieba.

Joasia złożyła ręce. Matka ukazywała się jej niby święta w złocistej aureoli, ulatująca w obłoki. I głosem jakby pełnym bólu powtarzała cicho: „Ach, mamó, mamó...”

Pani Deberle i Malignon, zaciekawieni, zbliżyli się do drzew. Malignon zauważył, że ta pani jest bardzo odważna. Pani Deberle powiedziała z zalęknioną miną:

— Serce by mi pękło, jestem pewna.

Helena dosłyszała widać, bo odkrzyknęła spomiędzy gałęzi:

— O, ja mam serce zdrowe!... Jeszcze, jeszcze, panie Rambaud.

Rzeczywiście mówiła spokojnym głosem. Zdawała się mało sobie robić z obecności dwóch mężczyzn. Nie troszczyła się o nich wcale. Warkocz jej się rozplótł, sznurek rozwiązał, spódnice łopotały jak chorągwie.

Wzbijała się coraz wyżej.

Nagle zawołała niespodziewanie:

— Dostyc, panie Rambaud, dostyc!

Na tarasie ukazał się doktor Deberle. Zbliżył się, ucałował serdecznie żonę, uniósł Lucjana do góry i pocałował w czoło.

Spojrzał na Helenę i uśmiechnął się.

—r- Dostyc, dostyc! — powtarzała.

— Ależ dlaczego? — zapytał. — Czy przeszkadzam pani?

Nie odpowiedziała. Stała się bardzo poważna. Silnie rozbujana huśtawka nie zatrzymywała się, zachowując swój wahadłowy ruch, który wysoko unosił Helenę. Doktor, zdumiony i oczarowany, patrzył na nią z zachwytem: wyglądała wspaniale, wysoka i silna, zbudowana jak antyczny posąg, kołysząca się z wdziękiem w wiosennym słońcu. Ale wydawała się zaniepokojona i nagle zeskoczyła.

— Ostrożnie, ostrożnie! — krzyknęli wszyscy.

Helena jęknęła głucho. Upadła na żwir alejki i nie mogła się podnieść.

— Boże mój, co za szaleństwo! — powiedział doktor, bledy jak kreda.

Wszyscy podbiegli i otoczyli ją. Joasia tak się rozszlochała, że pan Rambaud, sam bliski omdlenia, musiał ją wziąć na ręce. Doktor, przejęty, wypytywał Helenę:

— To prawa noga panią boli, prawda!... Nie może pani wstać?

Nie odpowiadała, oszołomiona upadkiem, więc pytał dalej:

— Bardzo boli?

— Bardzo. Taki tępy ból tu, w kolanie — powiedziała z trudem.

— Przecież muszę zobaczyć, przecież muszę zobaczyć... — powtarzał. — To na pewno nic groźnego.

Posłał żonę po lekarstwa i opatrunki. Ukląkł na żwirze. Helena nie protestowała. Lecz gdy wyciągnął rękę, z wysiłkiem uniosła się nieco i owinęła spódnicej szelki wokół nóg.

— Nie, nie — wyszeptwała.

— Ale muszę przecież zobaczyć... powiedział.

Zadrżała lekko i powtórzyła jeszcze cichszym głosem:

— Nie, nie chcę... Nic mi nie jest, na pewno.

Spojrzał na nią zdziwiony. Zarumieniła się aż po

szyję. Przez chwilę patrzyli na siebie, mogło się zdawać, że czytają w głębi swych serc. Wtedy i on zmieszany podniósł się i stanął przy niej; nie nalegał już, by pozwoliła obejrzeć nogę.

Helena dała znak panu Rambaud, by się zbliżył, i szepnęła mu na ucho:

— Niech pan pójdzie do doktora Bodin i powie mu, co się stało.

Dziesięć minut później, gdy stary doktor nadszedł, Helena z nadludzkim wysiłkiem powstała. Doktor Bodin i pan Rambaud zaprowadzili ją na górę. Joasia szła za nimi zalana łzami.

— Będę czekał na pana, panie kolego — powie-\*

dział doktor Deberle. — Niech pan przyjdzie nas uspokoić.

W ogrodzie żywo omawiano wypadek. Malignon wykrzykiwał, że kobiety mają źle w głowie. Po jakiego licha ta piękna pani zabawiła się w skakanie z huśtawki? Paulina, zła, że wypadek pozbawił ją zabawy, uważała za bardzo nierozważne huśtanie się tak wysoko. Doktor Deberle nie mówił nic; był wyraźnie stroskany.

— Nic poważnego — powiedział doktor Bodin wracając. — Zwichnięcie, nic więcej... Będzie jednak musiała poleżeć ze dwa tygodnie w domu, to wszystko.

Pan Deberle przyjacielsko poklepał Malignona po plecach. Prosił, by żona wróciła do domu, bo było już stanowczo za chłodno. Wziął na ręce Lucjana i sam zaniósł go do mieszkania okrywając pocałunkami. Dom stał na szczycie wyniosłości, a w otchłani, kto\* ra otwierała się u jego stóp pod otwartymi szeroko! oknami pokoju Heleny, Paryż rozciągał się na olbrzymiej płaszczyźnie. Wybiła dziesiąta; tego pięknego poranka luty przynosił już łagodny zapach wiosny.

Helena wyciągnięta na szeszlongu, z zabandażowaną jeszcze nogą, czytała pod jednym z okien. Nie czuła bólu, ale przykuta tu od tygodnia nie mogła nawet szyc, do czego była przyzwyczajona. Nie wiedząc, czym się zająć, choć nie czytywała dotąd nigdy, otworzyła książkę, leżącą na stoliku. Z biblioteczki zaopatrzonej przez pana Bambaud w dobre książki wyjęła w ciągu półtora roku tylko tę jedną, używając jej do zasłaniania nocnej lampki. Wszystkie powieści uważała za zmyślane i naiwne. I ta także, Ivanhoe Waltera Scotta, wydała jej się z początku bardzo nudna. Potem ogarnęła ją szczególna ciekawość. Czytała dalej, to wzruszona, to znów zniechęcona, i z książką opuszczoną bezwładnie na kolana wpatrywała się długie chwile w niezmierny widnokrąg.

Tego ranka Paryż budził się z leniwym uśmiechem. Oba brzegi Sekwany tonęły we mgle unoszącej się nad rzeką. Był to lekki opar, jakby pył mleczny, prześwietlony wznoszącym się coraz wyżej słońcem. Miasta wcale nie było widać pod tą zasloną falującego błękitnego muślinu. W zagłębieniach mgła gęstniała nabierając niebieskawych odcieni, a na szerokich przestrzeniach stawała się przejrzysta, tworzyła niezmiernie delikatne złociste kurzawy, pod którymi zarysy ulic stawały się już prawie widoczne. Ponad nimi przez mgłę przedzierały się kopuły i strzeliste wieżycy, wznosząc swe szare sylwetki spowite jeszcze strzępami mgły. Czasami płyty żółtego oparu, jakby oderwane uderzeniem skrzydła jakiegoś ptaka-olbrzyma, zawisały w powietrzu, które zdawało się je wypijać. A ponad tym ogromem, ponad tą chmurą, która zatrzymała się nad uśpionym Paryżem, niebo przejrzyste, wyblakłe, nieomal białe, rozpościerało głębię swojego sklepienia. W delikatnej aureoli promieni słońce wznosiło się coraz wyżej. Światło łagodne,

lekko zamglonym blasku jutrzeńki, rozpylało się w złocisty deszcz promieni wypełniających przestrzeń swym ciepłym drżeniem. Był to jakiś uroczysty obrzęd światła, jakiś wszechwładny spokój, jakaś rzewna radość nieskończoności ponad miastem leniwym

1 ospałym, najeżonym złocistymi wieżycami, nieskorym, by się wynurzyć spod swych muślinów.

Rozległa panorama Paryża nigdy nie nużyła Heleny, a od tygodnia była jej jedyną rozrywką. Jasny we dnie, wieczorem płonący ogniem, Paryż był niezgłębiony i zmienny jak morze, przejmował i odzwierciedlał radości i smutki nieba. Jeden przebłysk słońca zalewał go falami złota, jedna chmura zasępiała i napełniała gwałtowną ulewą. Wciąż się odmieniał, bywał jasno pomarańczowo wy, gdy — jak na morzu — zdarzały się w nim zupełne cisze; wichry z godziny na godzinę zasnuwały go ołowianym cie-

nicm; pogody, radosne i słoneczne, zapalały na szczycie każdego dachu blaski iskier; nawałnice zatapiające niebo i ziemię zacierają widnokrąg w chaosie i zamęcie. Jak na pełnym morzu, Helena doznawała tu radosnych nadziei i posępnych smutków, zdawało jej się nawet, że czuje na twarzy jego silny powiew, jego gorzki zapach i wszystko, nawet nieprzerwany pomruk miasta, dawało jej złudzenie szumu morza bijącego o skały.

Marzyła zapatrzona w przestrzeń. Książka wypadła jej z rąk. Musiała odłożyć ją, przerwać czytanie, zastanowić się, odetchnąć. ^Odwlekała zaspokojenie swej ciekawości, sprawiała jej to prawie rozkosz Opowiadanie wzruszało ją tak bardzo, że brakło jej tchu. Tego dnia właśnie Paryż miał w sobie radość i niepokój jej własnego serca. Ileż w tym było uroku: nie wiedzieć, domyślać się, dowiadywać powoli, z niejasnym uczuciem, że rozpoczyna raz jeszcze swą młodość.

Jakże kłamały te powieści. Miała rację, że nie czytała ich nigdy. Były to bajki dobre dla pustych głów nie znających w życiu uczuć prawdziwych. A jednak była oczarowana, nieodparcie wracało marzenie o kawalerze Ivanhoe, którego tak namiętnie kochały dwie kobiety, piękna Żydówka Rebeka i szlachetnie urodzona lady Rowena. Wydało się jej, że ona także kochałaby z taką samą dumą i cierpliwą godnością, jak lady Rowena. Kochać, kochać! Słowo to, którego nie wymawiała, a które drżało w niej samo, zadzi- ' wiała ją i wywoływało uśmiech. W oddali białe płatki obłoków unoszone podmuchem żeglowały nad Paryżem, podobne do stada łabędzi. Wielkie strzępy mgły przesuwają się z wiatrem, lewy brzeg ukazał się na chwilę, drżący i niewyraźny jak widziane we śnie zaczarowane miasto, ale zwałił się nowy kłęb mgły i wszystko znikło jak zalane powodzią. Teraz opary, rozproszone równomiernie po wszystkich dzielnicach, rozplywały się we wspaniałe jezioro o białych i gładkich wodach. Jedynie nieco gęstszy nurt szarą smugą znaczył koryto Sekwany. Powoli po tych białych, tak spokojnych wodach zaczęły snuć się cienie, jak okręty o różowych żaglach, które młoda kobieta goniła rozmarzonym wzrokiem. Kochać, kochać! Uśmiechała się do swych nieuchwytnych marzeń.

Helena powróciła do książki. Czytała właśnie o oblężeniu zamku, jak to Rebeka, pielęgnując rannego Ivanhoe, opowiada mu o oglądanym przez okno przebiegu bitwy. Czuli się jak w pięknym śnie, jakby przechadzała się po jakimś rajskim ogrodzie o złocistych owocach, ogrodzie pełnym upojnych złud. Wreszcie, na końcu sceny, gdy Rebeka z twarzą osłoniętą woalem wyznaje miłość uszpienemu rycerzowi, Helena znowu opuściła książkę, z sercem tak przepelnionym wzruszeniem, iż nie mogła czytać dalej.

Boże mój! Czyżby to wszystko było prawdą? Wyciągnięta na kanapce, odrętwiała w bezruchu, na jaki była skazana, wpatrywała się w Paryż tajemniczy, zatopiony we mgle pod łagodnym, bladym słońcem. Wywołane czytaniem powieścią własne życie stanęło jej przed oczami. Była znów młodą dziewczyną w Marsylii u swego ojca, kapelusznika Mouret. Uliczka des Petites-Maries była ciemna, a w domu z kotła parującej wiecznie wody używanej przy wyrobie kapeluszy nawet w pogodne dni unosił się mdły odór wilgoci. Ujrzała swą matkę, zawsze chorą, która całowała ją bez słowa bladymi wargami. W swym dziecinnym pokoju nigdy nie widziała promienia słońca^ Wszyscy wokół niej pracowali ciężko, z trudem zarabiając na skromne utrzymanie. I to było wszystko. Aż do jej zamążpójścia nic nie zakłócało biegu jednostajnych dni. Pewnego ranka, gdy powracała z matką z targu, potrafiła koszem pełnym jarzyn młodego Grandjeana. Karol obejrzał się i poszedł za nimi. Oto cała historia ich miłości. Przez trzy miesiące spotykała go wszędzie: niezgrabny i pokorny, nie śmiał zbliżyć się do niej. Miała szesnaście lat i była nieco dumna ze swego wielbiciela, o którym wiedziała, że pochodzi z bardzo zamożnej rodziny. Wydawał

jej się jednak brzydki, lubiła się z niego pośmiać i w wielkim wilgotnym domu przesyiała noce spokojnym snem. Potem wydano ją za niego za męża. To małżeństwo dziwiło ją jeszcze teraz. Karol uwielbiał ją. Wieczorami, gdy kładła się, klękał przy łóżku całując jej nagie stopy. Uśmiechała się do niego życzliwie, strofu'jąc, że jest tak dziecinny. I znów zaczęła się szarzyćna powszedniego dnia. .

W ciągu następnych dwunastu lat nie wydarzyło się nic, co by naruszyło jej spokój. Żyła bardzo szczęśliwie, bez wstrząsów, bez uniesień zmysłów czy serca, pochłonięta drobnymi codziennymi kłopotami ich biednego gospodarstwa. Karol nadal całował jej białe jak alabaster stopy, a ona była dla niego pobłażliwa i macierzyńska. I znów nic więcej. Nagle zobaczyła pokój w hotelu „du Var”, martwego męża, czarną suknię wdowy rozłożoną na krześle. Płakała tak jak tego wieczoru zimowego, gdy umarła jej matka. Potem dni potoczyły się dalej. Od dwóch miesięcy czuła się znów bardzo szczęśliwa ze swą córką, odzyskała pogodę ducha. Boże mój! Czyżby to miało już być wszystko? A cóż mówiła ta książka, co opowiadała o wielkiej miłości opromieniającej całe życie?

Na widnokręgu, po powierzchni śpiącego jeziora zaczęły przebiegać powolne dreszcze. Potem nagle jezioro od razu jakby pękło, potworzyły się szczeliny i wreszcie od jednego krańca aż po drugi powstała głęboka rozpadlina, która zapowiadała roztopy. A z góry słońce w triumfalnej aureoli swych promieni nacierało zwycięsko na mgłę. Z wolna wielkie jezioro zdawało się wysychać, jakby wyciekało jakimś niewidzialnym kanałem. Opary, jeszcze przed, chwilą tak gęste, rozcieńczały się i nabierały żywych barw tęczy. Cały lewy brzeg był bładniebieski, dalej ciemniał stopniowo, aż w głębi przy Ogrodzie Botanicznym stawał się prawie fioletowy. Na prawym brzegu okolice Tuileries miały jasną, prawie cielistą różowość, a Mont- martre był jak rozżarzona luna karminowa podpalana złotem; wreszcie odległe dzielnice robotnicze coraz ciemniej8ne, ceglasczerwone, coraz mniej jaskrawe, przygasaly i przechodziły w siną szarość łupku. Nie można było jeszcze dojrzeć drgającego, prześwitującego miasta, podobnie jak nie można dojrzeć głębin morskich, które wzrok przy spokojnej wodzie zaledwie odgaduje, głębin z przerażającymi zaroślami olbrzymich traw, z ich pełnym grozy rojowiskiem, z ich potworami, których istnienia można się tylko domyślać. Wody opadały stale. Pozostała już z nich tylko przezroczysta zasłona rozpostartych muślinów, które znikaly jeden po drugim, a obraz Paryża stawał się coraz wyraźniejszy, przestawał być majakiem sennym.

Kochać, kochać! Dlaczego to słowo, tak pełne powabu, powracało ku niej stale, gdy goniła wzrokiem rozplywającą się mgłę? Czyż nie kochała swego męża, którego pielęgnowała jak dziecko? Obudziło się w niej bolesne wspomnienie ojca, który w trzy tygodnie po śmierci swej żony powiesił się w komórce, gdzie jeszcze wisały jej suknie. Skonał tam z twarzą wtuloną w jedną z jej sukien, wśród odzienia przesiąkniętego jeszcze zapachem tej, którą kochał przez całe życie. Marzenia Heleny raptownie zmieniły tok, zaczęła myśleć o drobiazgach swego gospodarstwa, o miesięcznym rozliczeniu, jakiego dokonała właśnie tego ranka z Rozalką. Była bardzo dumna, że wszystko miała w takim porządku. Przeżyła z górą trzydzieści lat, godna szacunku, niezachwiana w swych zasadach. Istniała dla niej tylko sprawiedliwość. Rozpamiętując swą przeszłość nie widziała w niej ani jednej chwili słabości, szła zawsze równym krokiem po zawsze prostej, równej drodze. Dni mogą się toczyć, ona na pewno będzie szła dalej spokojna, stopy jej ominą wszelkie przeszkody. To uczyniło ją surową, pełną pogardy i gniewu wobec tych zmyślonych istnień, którym bohaterstwo odbiera spokój serca. Prawdziwe było właśnie jej życie upływające w najgłębszym spokoju. — Nad Paryżem pozostał już tylko lekki dymek, prześwitująca drżąca mgielka, gotowa

rozpląnąć się, ulecieć. Helenę opanowało nagłe wzruszenie. Kochać, kochać! Słodycz tego słowa odnajdywała we wszystkim, nawet w dumie z własnej prawości, przestawała myśleć, z wilgotnymi od łez oczyma, skąpana w wiośnie.

Znów otworzyła książkę, Paryż wynurzał się. powoli. Nie wiał najłżejszy podmuch, jakby zakłęcie - wyczarowywało miasto. Ostatnie dymki oderwały się, uniosły i rozplywały w powietrzu. Pod promieniami" zwycięskiego słońca rozciągało się miasto nasycone światłem. Helena oparła twarz na rękach i patrzyła na przebudzenie olbrzyma.

Bezkresna dolina słończonych budynków. Na niknących w oddali wyniosłościach spiętrzały się niezliczone dachy, a poza nimi, za grzbietem tych wzgórz czuło się mnogość domów opadającą w dal ku wsiom i polom, których już wcale nie było widać. Całe morze, falujące, niezbadane, bez granic. Paryż rozpościerał się szeroko, równie wielki jak niebo ponad nim. Ozłocone porannym słońcem miasto wydawało się lanem dojrzałych kłosów, a ta olbrzymia panorama malowa- . na była z zadziwiającą prostotą dwiema tylko barwami: jasnym błękitem nieba i złotym odbłaskiem dachów. Ulewa promieni wiosennego słońca nadawała wszystkiemu jakiś czar młodości. Światło było tak czyste, że można było dostrzec wyraźnie najdrobniejsze szczegóły. W zawitym chaosie murów miasto mieniło się jak kryształ. Olśniewającą, nieruchomą jasność mącił chwilami nieznaczny powiew i wtedy obraz od- ległych dzielnic stawał się mniej ostry, drgający lekko, jakby oglądany poprzez niewidzialny płomień.

Helena przyglądała się ciekawie szerokim przestrzeniom rozciągającym się tuż pod jej oknami na stokach Trocadero i wzdłuż wybrzeży. Musiała wychylić się, by dojrzeć pusty prostokąt Pola Marsowego zamknięty w głębi ciemną linią Szkoły Wojskowej. W dole, na obszernym placu i na chodnikach po obu stronach Sekwany, dostrzegała przechodniów, ruchliwe, rojące się mrowisko czarnych punkcików. Żółte pudło autobusu było jedyną jasną plamą, przez most przejeżdżały dorożki i wozy, maleńkie jak dziecinne zabawki, a filigranowe koniki przypominały nakręcane figurki. Wśród spacerujących wzdłuż porosłej trawą skarpy odcinała się wyraźnie od zieleni piastunka w białym fartuchu. Helena spojrzała wyżej, postacie zacierały się, nie można ich było rozróżnić, nawet pojazdy stawały się maleńkie jak ziarnka piasku, pozostawało tylko olbrzymie cielsko miasta, opustoszałe i próżne, żywe jeszcze, wstrząsane głuchym drżeniem. Po lewej stronie, na pierwszym planie lśniły czerwone dachy Piekarni Wojskowej, a jej wysokie kominy dymiły powoli na drugim brzegu rzeki; między Esplanadą i polem Marsowym sterczała, niby zakątek parku, kępa starych wiązków i widać było dokładnie zaokrąglone korony nagich gałęzi, już usianych punkcikami zieleni. Pośrodku Sekwana, szeroka, wspaniała, wciśnięta między szare nadbrzeża, które sprawiały wrażenie morskiego portu przez nagromadzone na nich stopy wyładowanych beczek, szeregi wozów i dźwigi parowe. Helena wciąż powracała wzrokiem do tej błyszczącej wstęgi, pełnej przepływających barek podobnych do czarnych ptaków. Nie mogła oderwać wzroku od królewskiej rzeki, która jak srebrny galon dzieliła Paryż na dwoje. Tego ranka woda iskrzyła się w słońcu, miasto nie mogło być bardziej nasycone migocącym światłem. Spojrzenie Heleny zatrzymywało się kolejno na moście Inwalidów, Zgody, Królewskim; dalej mostów było coraz więcej, zdawały się stykać z sobą, ustawiać jeden na drugim, tworząc dziwaczne wielopiętrowe wiadukty o łukach przeróżnych kształtów. Rzeka ukazywała między tymi misternymi ' konstrukcjami rąbki swej niebieskiej szaty, coraz węższej i coraz bardziej niknącej. Helena patrzyła jeszcze dalej; wśród pogmatwanego bezładu domów rzeka wpływała w dwa koryta po obu stronach Cite, mosty były tu jak niteczki łączące oba brzegi, wieże katedry Marii Panny, całe złociste, wznosiły się niby słupy graniczne widnokągu,

[poza Którymi rzeka, budynki, kępy drzew stanowi- ły już tylko nasłoneczniony pył. W tym radosnym sercu Paryża zdawała się płonąć cała chwała miasta; Helena olśniona opuściła oczy. Na prawym brzegu, wśród starodrzewu Pól Elizejskich, olbrzymie oszklenia Pałacu Przemysłu rozpościerały swą śnieżną biel; dalej, za spłaszczonym dachem kościoła Sw. Magdaleny, podobnym do kamiennego grobowca, wznosił się olbrzymi masyw Opéry i wiele innych gmachów, kopuł, wież, kolumna Vendôme, Sw. Wincenty a Paulo, wieża Św. Jakuba, nieco bliżej ciężkie sześciany nowego Luwru i Tuileries, na wprost ukryte w lesie kasztanowców. Na lewym brzegu kopuła Inwalidów kapiąca od złota, ponad nią dwie nierówne wieże Sw. Sulpicjusza, bielejące w świetle, a jeszcze głębiej, na prawo, nowe wieże Sw. Klotyldy i niebieskawy Panteon, jakby wrośnięty we wzgórze, panujący nad miastem, rysujący swą wysmukłą kolumnadę na tle nieba, znieruchomiały w powietrzu jak balon na uwięzi.

Helena leniwie przesuwała wzrok wzdłuż całej panoramy Paryża. Doliny pogłębiały się, dachy domów zdawały się uginać, Wzgórze Młynów wznosiło się kipiącym stłoczeniem starego łupku, jak strumień spływały wielkie bulwary, na których domy zamazywały się w oddali, tak że nie można było rozróżnić ich dachówek. O tej wczesnej godzinie wznoszące się dopiero słońce nie oświetlało wcale ścian domów~ zwróconych ku Trocadero. Ani jedno okno nie błyszczało. Migotały jedynie oszklenia na dachach, iskrząc się żywo jak mika wśród ich ceglanej czerwieni. Ściany domów pozostały szare szarością ciepłą od odbłasków, a ten cień przerywany był jasnymi smugami słoń- j ca, wpadającymi z zagłębień długich poprzecznych ulic otwierających się na wprost Heleny. Z lewej strony wspaniała, bez żadnych załamań linię widnokrzęgu wybrzuszały wyniosłości Montmartre i Pdre-Lachaise. Szczegóły, tak na pierwszym planie wyraźne, las niezliczonych kominów, czarne punkciki tysięcy okien,

w oddali zacierały się, zabarwiały jaskrawo na żółto i niebiesko, jeszcze dalej zlewały się ze sobą w nieład nie kończącego się miasta, a ledwie widoczne przedmieścia wyglądały jak pole usiane drobnymi kamyczkami i zatopione w fioletowej mgłę pod wielką, rozlaną i drgającą jasnością nieba.

Helena patrzyła, poważna, zamyślona, gdy do pokoju wbiegła rozradowana Joasia.

— Mamo, mamo, popatrz!

Trzymała w ręku duży bukiet lewkonii i opowiadała ze śmiechem, że czatowała na Rozalkę powracającą z targu, by zajrzeć jej do koszyka. Grzebać w zakupach służącej było dla niej zawsze wielką uciechą.

— Patrz, mamo! To było w koszyku... Powąchaj, ale pachnie!

Jasne, nakrapiane czerwienią kwiaty napęliły cały pokój przenikliwym zapachem. Helena bardzo mocno przycisnęła Joasię do piersi, a lewkonie upadły jej na kolana. Kochać, kochać! Zapewne — przecież kochała swoje dziecko. Czyż nie wystarczała ta wielka miłość, która aż dotąd wypełniała jej życie? Ta miłość musi wystarczyć, nic nigdy nie może naruszyć słodyczy, trwałości i spokoju tego uczucia. Jeszcze mocniej przycisnęła córkę, jakby chciała oddalić od siebie myśli, które mogłyby grozić rozłąką. Joasia poddawała się tym niespodziewanym czułościom. Z wilgotnymi oczami, pieszczotliwym, pełnym wdzięku ruchem tuliła się do ramienia matki. Objęła ją i stała tak przy niej poważna, z twarzą przytuloną do jej piersi. A między nimi lewkonie pachniały odurzająco.

Nie mówiły nic do siebie przez długą chwilę. Wreszcie Joasia, ciągle jeszcze tuląc się do matki, zapytała cicho:

— Mamo, widzisz tam, koło rzeki, tę kopułę, taką całą różową... Co to jest?

Była to kopuła Instytutu. Helena patrzyła na nią długo, jakby się namyślając.

h— Nie wiem, kochanie — szepnęła wreszcie. ^Dziewczynka zadowolona się tą odpowiedzią i zno- Fwu nic do siebie nie mówiły. Ale wkrótce pytała da- lej:

— A to, tu blisko, te piękne drzewa? — wskazywała palcem skrawek Ogrodu Tuileryjskiego.

— Te piękne drzewa? — powtórzyła matka. Na lewo, tak?... Nie wiem, kochanie.

— Ach! — westchnęła Joasia. A po chwili zadumy dodała z poważną miną: — My nic nie wiemy. .

I naprawdę nic nie wiedziały o Paryżu. Od półtora roku miały go wciąż przed oczami i nie znały w nim ani jednego kamienia. Do miasta schodziły dotąd zaledwie trzy razy, ogromnie podniecone, powracały do siebie z bólem głowy, a tego, co widziały, nie mogły rozpoznać w widocznej z góry gmatwaninie dzielnic.

Joasia tipierała się jednak.

— Ach, musisz mi powiedzieć! — domagała się. — Te szyby, takie całe białe?... To takie wielkie, że chyba musisz wiedzieć.

Wskazywała na Pałac Przemysłu. Helena zawahała się:

— To dworzec... Nie, zdaje mi się, że to jakiś teatr. — Uśmiechnęła się, ucałowała włosy Joasi i powtórzyła jak zwykle: — Nie wiem, kochanie.

I w dalszym ciągu patrzyły na Paryż, nie siląc się dłużej, by go poznać: to było tak miło widzieć go, a nie znać wcale. Pozostawał niezmierzony i nieznany. Jak gdyby zatrzymały się na progu jakiegoś świata, którego widok miały bez przerwy przed sobą, odmawiając zejścia do niego. Często Paryż niepokoił je swoim oddechem odurzającym i ciepłym. Lecz tego ranka jego tajemniczość miała w sobie radość i niewinność dziecka, a oddech, który czuły na twarzy, był tylko pieszczotliwy.

Helena znów wzięła książkę, a Joasia, przytulona do matki, wciąż patrzyła na miasto. Niebo było jasne, powietrze nieruchome, bez najłżejszego podmuchu-

Dymy Piekarni Wojskowej wznosiły się zupełnie pionowo w lekkich kłębach, które rozplywały się bardzo wysoko. Powietrze drgało tuż ponad domami; to pulsowało zamknięte w nich życie. Głośny gwar ulic miło łagodniał w słońcu. Uwagę Joasi zwrócił jakiś szmer: stado białych gołębi wyleciało z gołębnika w sąsiedztwie i szybowało w powietrzu na wprost okna. Biały, fruwający śnieg ich skrzydeł wypełnił powietrze i zasłonił ogrom Paryża.

Helena marzyła ze wzniesionymi w górę, zapatrzonymi oczyma. Była szlachetnie urodzoną lady Rowena, kochała całą duszą, spokojnie i głęboko. Czuła odurzający zapach lewkonii leżących na jej kolanach, serce jej tajało w tym wiosennym poranku, w obliczu tak łagodnego w tej chwili wielkiego miasta.

I'

Pewnego dnia przed południem, gdy Helena porządkowała bibliotekę, w której od kilku dni przekładała książki, przybiegła do niej w podskokach Joasia klaszcząc w ręce.

— Mamo — wołała — żołnierz! żołnierz!

— Jaki żołnierz? — zdziwiła się Helena. — Czego ty chcesz? Jaki żołnierz?

Ale dziewczynka powtarzała tylko: „Żołnierz, żołnierz”, i skakała w górę jeszcze bardziej zapamiętała.

Zdarzały się jej czasem takie napady szalonej wesołości. Drzwi pozostawiła otwarte i Helena wstając zobaczyła ze zdziwieniem w przedpokoju żołnierza bardzo małego wzrostu. Rozalka wyszła na miasto, a Joasia mimo wyraźnego zakazu matki musiała widocznie bawić się na schodach.

— Czego sobie życzyacie, moi drodzy? — spytała Helena.

Mały żołnierz, bardzo zmieszany pojawieniem się łak pięknej pani w białym peniuarze przybranych koronkami, zasalutował szurając nogami po parkiecie.

— Bardzo przepraszam... Proszę wybaczyć...

Nic więcej nie zdołał wykrztusić; ślizgając się po wyfroterowanej podłodze cofnął się pod samą ścianę. Nie mógł odsunąć się już dalej, a widząc, że pani czeka i uśmiecha się mimo woli, szybko sięgnął do prawej kieszeni, skąd wydobyl niebieską chustkę, scy- - zoryk i kromkę chleba. Obejrzał każdy z tych przedmiotów i schował. Z lewej kieszeni wyciągnął kawałek sznurka, dwa zardzewiałe gwoździe i obrazki owinięte w kawałek starej gazety. -Wszystko to wpełchnął znów z powrotem, z niespokojną miną uderzył się po nogach i stropiony powtórzył niewyraźnie: err Bardzo przepraszam... Proszę wybaczyć...<sup>3</sup>

Nagle przytknął palec do nosa i wybuchnął głośnym śmiechem. Już sobie przypomniął. Co za gapa! Odpiął na piersiach dwa guziki płaszcza i zagłębił rękę po łokieć. Wreszcie wydobyl list i zanim podał go Helenie, potrząsnął nim gwałtownie, jakby otrzępywał z kurzu.

— List do mnie, nie mylicie się? — zapytała.

Jej nazwisko i adres istotnie były wypisane na kopercie niewprawnym chłopskim pismem, którego koślawe litery przewracały się na siebie. Niełatwo odczytała ten list pełen dziwacznych zwrotów, pisany niezwykle ortografią. Zastanawiała się nad każdym wierszem, a gdy nareszcie zrozumiała, o co chodzi, znowu uśmiech pojawił się na jej twarzy. Pisała ciotka Rozalki polecając Zefiryne Lacour, który mimo dwóch mszy odpawionych na jego intencję przez proboszcza padł przy losowaniu rekrutów. Otóż zważywszy, że Zefiryn był narzeczonym Rozalki, ciotka prosiła panią o pozwolenie, by młodzi mogli spotykać się w niedziele. Na trzech stronach listu prośba ta powtarzała się w tych samych, coraz bardziej zagmatwanych zwrotach, z wytrwałym wysiłkiem napisania czegoś jeszcze w tej sprawie nie dopowiedzianego. Nim podpisała się, ciotka utrafiła wreszcie w sedno: „Ksiądz proboszcz pozwala”, i złamała na tym swe pióro wśród mnóstwa kleksów.

Helena powoli złożyła list. Odczytując go, parę razy unosiła głowę, by popatrzeć na żołnierza. Stał wciąż jeszcze przyciśnięty do ściany, poruszał ustami i przy- pieczętowywał każde zdanie potakującym kiwnięciem głowy. Niewątpliwie musiał znać na pamięć cały list.

— Więc to wy jesteście Zefiryn Lacour? — spytała Helena.

Zaczął się śmiać i kiwać głową.

— Proszę wejść, nie stójcie tak, moi drodzy.

Zdecydował się wejść za nią do pokoju, ale stanął

tuż przy drzwiach; Helena usiadła. Przedtem w ciemnym przedpokoju nie mogła mu się przyjrzeć dokładnie. Był wzrostu Rozalki. Gdyby był jeszcze o cen



tymetr niższy, zwolniono by go z wojska. Miał rude, krótko ostrzyżone włosy, pokrytą piegami okrągłą twarz bez jednego włoska na brodzie, maleńkie, sprytnie oczy jak świderki. Za obszerny na niego płaszcz robił go jeszcze bardziej pękatym, nogi w czerwonych spodniach rozstawiał szeroko, a kepi z dużym daszkiem kołysał przed sobą. Śmieszył i rozczulał swą gapiowatą, pucolowatą dobroduszością, w której pod mundurem czuło się rolnika.

Helena wypytywała go, chcąc się coś więcej o nim dowiedzieć:

— Wyjechaliście z Beauce tydzień temu?

— Tak, proszę pani.

— Jesteście więc w Paryżu. No i nie bardzo się tym martwicie?

— Nie, proszę pani.

Z wolna nabierał odwagi, rozglądał się po pokoju, obicia z niebieskiego aksamitu robiły na nim wielkie wrażenie.

— Rozalki nic ma w domu — podjęła Helena — ale powinna niedługo wrócić. Jej ciotka nisze mi, że się kochacie.

Mały żołnierz nie odpowiadał, uśmiechał się tylko nieporadnie i znowu szurał nogą po dywanie.

— Więc jak odsłużyście wojsko, to się pobierzecie? — mówiła dalej Helena.

— Tak, ma się rozumieć — powiedział mocno zaczerwieniony — ma się rozumieć, jesteśmy przecież po słowie.

I ujęty uprzejmością pani, obracając kepi w palcach nabrał odwagi:

— O, to już kawał czasu... — zaczął opowiadać — jak byliśmy jeszcze małymi dziećmi, tośmy razem chodzili po sadach na Jabłka. Dobrze za to obrywaliśmy pasem, co prawda... Bo trzeba pani wiedzieć, że La-coury i Pichony mieszkali na tym samym końcu wsi, zaraz kolo siebie. Rozumie pani? Więc właśnie Rozalka i ja wychowaliśmy się razem, jedliśmy, że tak powiem, z Jednej miski... Potem wszyscy jej pomarli i wzięła ją do siebie ciotka Małgorzata. A ona, szelma, była Już wtedy robotna, szło jej wszystko piorunem... — Urwał czując, że się za bardzo rozgadał, i zapytał niepewnie: — Ale ona już to musi wszystko opowiadała?

— Tak, ale to nie szkodzi, mówcie dalej — powiedziała ubawiona Helena.

— No więc — ciągnął — była taka mocna aż strach, chociaż mała jak ptaszek, a trzeba było widzieć, jak jej się robota paliła w rękut Proszę mi wierzyć, jednego dnia, jak palnęła mojego dobrego znajomego, och, jak go palnęła! Przez tydzień miało się siniaki. No i tak to przyszło na nas. Wszyscy z wioski żenili nas ze sobą. Jeszcześmy nie mieli dziesięciu lat, jak już byliśmy po słowie... I tak zostało, proszę pani, tak zostało...

Przyłożył rękę do serca rozkładając szeroko palce. Helena spoważniała. Ten żołnierz wprowadzający się do jej kuchni niepokoił ją. Mógł sobie ksiądz proboszcz pozwalać, jej wydawało się to nieco ryzykowne. Na wsi ludzie bywają bardzo swobodni, zakochani zachowują się, jak im się żywnie podoba. Dała wyraz swym obawom. Gdy Zefiryn zrozumiał, o co chodzi, omal nic pękł ze śmiechu; powstrzymał się tylko przez szacunek, by nie wybuchnąć głośno wesołością.

— Och, proszę pani, proszę pani!... Od razu widać, że pani jej nie zna. Już nieraz mi się od niej dostało!... Mój Boże, chłopcy lubią sobie pożartować, no nie? Nieraz ją uszczypnąłem. A ona jak się nie odwróci, i buch w zęby... Ciotka stale jej powtarza: „Pamiętaj, moje dziecko, nie pozwalaj na łaskotki, nic dobrego z tego nie będzie.” I ksiądz proboszcz też swoje mówił i może to właśnie dlatego mamy się stale ku sobie... Mieliliśmy się pobrać 2araz po losowaniu rekrutów... No i figa! Wszystko się pokręciło. Rozalka powiedziała, że jedzie do Paryża na służbę, by uezierać posag, zanim wrócę... No i właśnie.

Przekładał kepi z jednej ręki do drugiej i prze- stępował z nogi na nogę. A gdy Helena milczała,

[wydało mu się, że powątpiewa w jego uczciwość. Uczuł się tym dotknięty i zawołał z przejęciem:

— Może pani myśli, że ja ją zwodzę?... Przecież [mówię, że jesteśmy po słowie! Ożenię się z nią, jak słońce na niebie!... Mogę to zaraz podpisać... Jak pani chce, to zaraz podpiszę na papierze.

Był bardzo wzruszony. Chodził po pokoju, rozglądając się za papierem i atramentem. Helena starała się go uspokoić. Powtarzał stale:

— Ja to pani podpiszę na papierze... Tak będzie najlepiej. Będzie pani spokojniejsza.

W tej chwili właśnie Joasia, która znów zniknęła z pokoju, wróciła tańcząc i klaszcząc w dłonie.

— Rozalka! Rozalka! Rozalka! — wyśpiewywała skocznie na melodię własnej kompozycji.

Przez otwarte drzwi rzeczywiście słychać było sapiący oddech służącej, która wchodziła po schodach z pełnym koszem w ręku. Zefiryn ukrył się w kącie pokoju, śmiejąc się po cichu od ucha do ucha, z błyskiem chłopskiej chytrłości w małych świdrujących' oczkach. Rozalka weszła prosto do pokoju, jak to zazwyczaj czyniła, by pokazać swej pani zakupy.

— Kupiłam kalafiory, proszę pani — powiedziała. — Niech pani zobaczy... dwa za osiemnaście su. .Wcale niedrogo.

Pokazywała swój na wpół otwarty koszyk, gdy nagle, uniółszy głowę, spostrzegła Zefiryna, uśmiechającego się kpiąco. Ze zdumienia znieruchomiała. Upłynęła dobra chwila, nim poznała go w mundurze. Jej pulchna twarz zbladła, krągłe oczy rozwarły się szeroko, a twarde czarne włosy niemal się zjeżyły.

— Och! — powiedziała tylko.

I ze zdziwienia wypuściła koszyk z ręki. Po dywanie potoczyły się kalafiory, cebula, jabłka. Zachwycona Joasia krzyknęła radośnie i rzuciła się na podłogę zbierając jabłka rozsypane po całym pokoju, pod fotelami, aż pod lustrzaną szafą. Rozalka, wciąż jeszcze nieruchoma, obezwładniona, powtarzała:

— Jak to!... Toć to ty!... Co ty tu robisz? Odezwij

że się... Co ty tu robisz? — Zwróciła się do Heleny i zapytała: — To chyba pani go tu wpuściła?

Zefiryn nic nie mówił, mrugał tylko chytrze. W oczach Rozalki zabłyśły łzy rozczulenia i nie znajdując innego sposobu dla okazania swej radości zaczęła się z niego naśmiewać.

—Patrzcie, jaki mi ładny — mówiła zbliżając się — jaki elegant w tym mundurze!... Przeszłabym koło niego i nawet bym mu nie powiedziała: „Pochwalony”... Ale cię ubrali! Wyglądasz, jakbyś miał garb na plecach. I głowę pięknie ci ogolili, podobnyś do pudła organisty... Dobry Boże, co za pokraka, co za pokraka.

Zefiryn, bardzo urażony, powiedział wreszcie:

— Przecież to nie moja wina... Jakby cię wzięli do wojska, to dopiero zobaczylibyśmy...

Zapomnieli zupełnie, gdzie się znajdują. Nie widzieli Heleny ani Joasi, która zbierała' jabłka. Z rękami wsuniętymi pod fartuch służąca stanęła naprzeciw żołnierza.

— Au nas jak tam, wszystko dobrze? — spytała.

— Dobrze, dobrze, tylko krowa Guignardów choruje. Sprowadzili cyrulika i powiedział, że ma wodę we środku.

— Jak ma wodę we środku, to już po niej... A tak, reszta, wszystko dobrze?

— Dobrze, dobrze, tylko karbowy złamał sobie rękę... A staremu Canivetowi się zmarło... Książdz proboszcz, jak wracał z Grandval, zgubił sakiewkę, miał tam trzydzieści su... Reszta wszystko dobrze.

Nie mówili więcej. Patrzyli na siebie błyszczącymi oczyma, a zaciśnięte usta poruszały się nieznacznie z czułym wyrazem. Zastępowało im to chyba pocałunek, gdyż nawet nie podali sobie rąk. Nagle Rozalka oprzytomniała i zaczęła rozpaczać na widok rozsypanych jarzyn. Co za śmietnik! Ładnego porządku narobiła w pokoju, a wszystko przez niego! Pani powinna była kazać mu czekać na schodach. Wciąż gderząc schyliła się i zbierała do koszyka jabłka, cebule i kalafiory, ku wielkiemu niezadowoleniu Joasi, która nę

chciała, by jej pomagano. A gdy wychodziła już do kuchni, (nie spojrzawszy więcej na Zefiryra, Helena, ujęta ich powściągliwym zachowaniem, zawołała ją z powrotem i powiedziała:

— Posłuchaj, moja droga. Twoja ciotka prosi, bym pozwoliła temu chłopcu odwiedzać cię w niedzielę... Przyjdzie więc po południu, a ty postaraj się, żeby twoja praca nie bardzo na tym ucierpiała.

Rozalka przystanęła, odwróciła tylko głowę. Była bardzo rada, ale dąsała się dalej.

— Och, proszę pani — zawołała — przecież będzie mi tylko przeszkadzał.

Znad ramienia rzuciła okiem na Zefiryra z tym swoim czułym wyrazem twarzy. Mały żołnierz przez chwilę jeszcze stał nieruchomo, rozdziawiwszy usta w niemym uśmiechu. Wreszcie, przykładając kępi do serca, wycofał się tyłem z pokoju wśród podziękowań. Salutował jeszcze na schodach, za zamkniętymi drzwiami.

— Mamo, czy to brat Rozalki? — spytała Joasia.

Pytanie było bardzo kłopotliwe. Helena zaczęła żałować zezwolenia danego w przystępie nagłej dobroci, której się teraz sama dziwiła. Chwilę zastanawiała się, jak odpowiedzieć.

— Nie, to jej kuzyn.

— Aha! — powiedziała dziewczynka poważnie.

Kuchnia Rozalki wychodziła na południe, na ogród doktora Deberle. Latem przez szerokie okno zaglądały tu gałęzie wiązów. Z całego mieszkania najweselsza była właśnie ta kuchnia, tak zalana słońcem, że Rozalka musiała zawiesić firanki z niebieskiego perkalu, które zaciągała po południu. Narzekała tylko, że kuchnia jest taka mała i wąska jak kiszka, z płytą po prawej, a stołem i kredensem po lewej stronie. Ale tak dobrze rozmieściła sprzęty i meble, że pod oknem pozostał jej jeszcze wolny kącik, gdzie wieczorami mogła posiedzieć i coś sobie robić. Ambicją Rozalki było utrzymać garnki, rondle i patelnie w nieskalanej czystości. Toteż gdy zaglądało tu słońce, po ścianach

szły odbłaski światła, miedziane garnki iskrzyły się złociście, wyszorowane dna patelni lśniły jak srebrne księżycy, a białe i niebieskie kafle komina dorzucały swój łagodny odbłask do tej ogólnej światłości.

W najbliższą sobotę po południu Helenę dobiegały tak niezwykle gwałtowne hałasy i stukania, że postanowiła zajrzeć do kuchni.

— Co się tu dzieje? — zapytała. — Z czym ty tak wojujesz?

— Sprzątam, proszę pani — odpowiedziała Rozalka, rozczochrana i spocona. Klęcząc na ziemi szorowała całą siłą swych małych rąk kamienną podłogę.

Gdy skończyła i wytarła, kuchnia była piękna jak nigdy dotąd. Panna młoda mogłaby tu spać na ziemi. Wszystko lśniło białością jak na weselu. Stół i kredens wydawały się zupełnie nowe, tak starannie były wyszorowane. Trzeba było zobaczyć ten cały wspaniały porządek, garnki i rondle — każdy na swoim miejscu według wielkości, a wyszorowane do czysta patelnie i ruszt nie miały nawet plamki sadzy. Helena stała chwilę w milczeniu, uśmiechnęła się i wyszła.

Odtąd już każdej soboty odbywało się takie sprzątanie, cztery godziny wśród kurzu i wody. Rozalka chciała w niedzielę popisać się czystością przed Zefiryrem. Był to jej dzień przyjęć. Pajęczyna byłaby dla niej hańbą. Gdy wszystko wokół niej lśniło czystością, rada z siebie wesoło nuciła. O trzeciej godzinie myła jeszcze raz ręce, kładła czepek z wstążkami, zaciągała do połowy perkalowe firanki, stwarzając przytulny półmrok, i czekała na Zefiryra wśród wzorowego porządku pachnącego miło tymiankiem i laurowymi liśćmi.

Punktualnie o wpół do czwartej zjawiał się Zefiryra; spacerował pod domem, póki zegar na kościele nie wybił pół godziny. Rozalka słyszała odgłos jego podkutych butów, gdy wchodził po schodach, i otwierała, gdy zatrzymywał się przed drzwiami. Zakazała mu dotykać sznura od dzwonka. Za każdym razem wymieniali te same słowa:

H— To ty?

— Tak, to ja.

Stali naprzeciw siebie z roziskrzonymi oczyma i zaciśniętymi ustami. Potem Zefiryn szedł za Rozalką, ale pozwałała mu wejść dopiero wtedy, gdy odebrała szablę i czako. Nie chciała patrzeć na to w swej kuchni i od razu chowała w głębi szafy. Swego ukochanego sadzała w wyszykowanym kąciku przy oknie i nie pozwałała mu się ruszać.

— Siedź spokojnie... Jeśli chcesz, możesz patrzeć, jak będę gotowała obiad dla pani.

Nigdy prawie nie przychodził z pustymi rękami. Przedpołudnia spędzał zazwyczaj z kolegami na włóczędce po lasku Meudon, spacerując bez końca, bez celu, oddychając świeżym powietrzem, tęskniąc za rodzinną wsią, za polami. By zająć czymś ręce, wycinał patyki, przycinał je i wykrawał w korze przeróżne wymyślne desenie. Zwalniał jeszcze kroku, zatrzymywał się nad rowem z czakiem zsuniętym na kark i nie spuszczał już oczu ze swego noża wyrzy- nającego arabeski. A że nie mógł się zdecydować na wyrzucenie tych patyków, przynosił je po południu Rozalce, która wyjmowała mu je z rąk narzekając, że zaśmieca kuchnię. W rzeczywistości jednak zbierała te kijki i miała pod łóżkiem całą ich wiązkę, rozmaitych wielkości i deseni.

Pewnej niedzieli przyniósł, schowane w czaku i starannie owinięte w chustkę do nosa, całe gniazdo z jajkami. Omlet z ptasich jaj jest wyśmienity, mówił. Rozalka wyrzuciła to paskudztwo, ale gniazdo zatrzymała, dołączając do kolekcji patyków. Zresztą zawsze miał kieszenie wypchane. Wydobywał z nich osobliwości, przezroczyste kamyczki pozbierane na brzegu Sekwany, stare żelastwo, dzikie, uschnięte jagody, jakieś do niczego niepodobne rupiecie, którymi już wzgardzili śmieciarze. Jego pasją były przede wszystkim obrazki. Zbierał po drodze kolorowe opakowania z czekolady lub mydła, z wymalowanymi na nich Murzynami, palmami, odaliskami lub bukietami róż.

Pokrywki starych porwanych pudełek z rozmarzonymi blondynkami, kolorowe obrazki i cynfolia z cukru jabłkowego \*, porzucone na okolicznych targowiskach, były trofeami radującymi ogromnie jego serce. Wszystkie te łupy wypychały mu kieszenie, a najładniejsze owijał starannie w kawałki gazet. W niedzielę, gdy Rozalka miała wolną chwilę między sosem a piecze- nią, Zefiryn pokazywał swe obrazki. Gdyby chciała, był je gotów jej ofiarować, a że papier dokoła nie zawsze był czysty, więc wycinał starannie malowanki, co go niezmiernie bawiło, a Rozalka gniewała się, bo skrawki papieru wlatywały jej do garnków. Trzeba było widzieć, z jaką chytrą wieśniaka z głębokiej prowincji zabierał się do nożyczek. Czasami, by jej nie przeszkadzał, sama mu je dawała, choć w niezbyt grzeczny sposób.

W rondelku skwierczała zasmażka. Rozalka z drewnianą łyżką w ręku pilnowała sosu, a Zefiryn wycinał obrazki z pochyloną głową, z ramionami poszerzonymi jeszcze przez czerwone epolety. Włosy miał tak krótko ostrzyżone, że widać było skórę na głowie, żółty kołnierz odstawał z tyłu odsłaniając opaloną szyję. Nieraz całe kwadransy nie odzywali się do siebie wcale. Gdy podnosił głowę, widział, jak Rozalka z poważną, skupioną miną nabiera mąkę, sieka pietruszkę lub przyprawia potrawy. Od czasu do czasu wymykało mu się parę słów.

Do licha, ależ to pachnie smacznie! Rozalka pochłonięta całkowicie gotowaniem nie raczyła od razu odpowiedzieć. Wreszcie po długiej chwili odzywała się: — Widzisz, to się musi teraz podduścić. Na tym kończyła się ich rozmowa. Nie mówili nawet o swych rodzinnych stronach. Gdy przypominali sobie coś, rozumieli się w pół słowa i zaśmiewali z tego przez całe popołudnie. To im wystarczało. Gdy

^MBMMfl

Rozalka wyprawiała Zefiryra, było im obojgu wesoło na duszy i promienieli radością.

— No, idź już! Muszę podać do stołu.

Zwracała mu jego czako i szablę, popychała przed sobą, a potem podawała pani obiad z rozradowaną twarzą, podczas gdy on, wymachując rękami, powracał do koszar, połączony zapachem tymianku i liści laurowych, który unosił ze sobą.

Z początku Helena poczuwała się do obowiązku pilnowania ich. Wchodziła niespodzianie do kuchni, niby dla wydania jakiegoś polecenia. Zawsze zastawała Zefiryra w jego kącie między stołem i oknem, obok beczki z wodą, tak że nie mógł swobodnie wyciągnąć nóg. Gdy tylko pani wchodziła, stawał na baczność i stał wyprostowany, odpowiadał tylko salutowaniem i chrząkał, pełen szacunku. Powoli Helena pozbyła się swych obaw widząc, że jej wejście nie płoszy ich i twarze zachowują zawsze spokój cierpliwych zakochanych.

A nawet Rozalka wydawała się śmielsza od Zefiryra. Była już od kilku miesięcy w Paryżu i okrzesała się trochę, mimo iż znała tylko trzy ulice: Passy, Franklina i Vineuse. Zefiryra, jak był, tak pozostał w swym pułku zahukany wieśniakiem. Rozalka zapewniała panią, że z dnia na dzień głupieje, gdyż w domu na pewno był sprytniejszy. „To wszystko przez ten mundur — mówiła — wszyscy chłopcy, gdy pójdą do wojska, głupieją aż strach.” W istocie Zefiryra, oszołomiony swym nowym życiem, jak gęś kiwał się i wybałuszał oczy. Pod epoletami zachował ocieężałość wieśniaka, w koszarach jeszcze nie nauczył się ani mówić, ani ruszać jak paryski wojak. „Och, pani może być spokojna, jemu figle nie w głowie.”

Toteż Rozalka traktowała go jak matka. Kręcąc rozeń prawiała mu morały, udzielała przestroóg przed zasadzkami, jakie na niego czyhały, a on przyjmował te pouczenia i potakiwał żywo kiwnięciem głowy. Co niedziela musiał dać słowo, że był w kościele, że pobożnie odmawia pacierz rano i wieczór. Napominała go, by chodził czysto, sama czyściła go na odchodnym szczotką, przyszywała naderwane guziki bluzy, oglądała od głowy do pięt, czy ma wszystko w porządku. Troszczyła się także o jego zdrowie i dawała mu rady na wszelkiego rodzaju choroby. Chcąc odwdziżyć się za zyczliwość, stale ofiarowywał się nanieść jej wody do beczki. Długo odmawiała bojąc się, że pochłapie schody. Ale któregoś dnia wniósł na górę dwa pełne wiadra nie uroniwszy ani kropli i odtąd co niedziela napełniał beczkę. Pomagał i w innych pracach. Wykonywał wszystkie cięższe roboty; potrafił doskonale przynieść masła ze straganu, jeśli zapomniała go kupić. Powoli zabrał się nawet do gotowania. Najpierw tylko obierał jarzyny, z czasem pozwoliła mu je krajać. Po sześciu tygodniach nie przyprawiał wprawdzie sosów, ale pilnował ich z drewnianą łyżką w ręku. Rozalka zrobiła sobie z niego pomocnika i czasem zanosila się ze śmiechu, gdy patrzyła, jak w czerwonych spodniach i żółtym kołnierzu uwijał się przy płycie, niby kuchcik, ze ścierką na ramieniu.

Pewnej niedzieli Helena zajrzała do kuchni. Pantofle tłumiły odgłos jej kroków; stanęła na progu, zanim któreś z nich ją usłyszało. Zefiryra siedział w swym kącie nad talerzem parującego rosołu. Rozalka, odwrócona plecami do drzwi, kroila mu grubą kromkę chleba.

— Masz, jedz, mój mały — mówiła. — Za dużo się włóczysz i z tego jesteś taki głodny... Masz! Będzie dosyć? A może chcesz jeszcze?

I patrzyła nań czułym, pełnym niepokoju wzrokiem. A on, puciołowaty, rozsiadł się nad rosołem, zagryzając każdy łyk kęssem chleba. Jego żółta od piegów twarz poczerwieniała od buchającej z talerza pary.

— A niechże cię! Co za rosół! — zamruczał. — Coś ty tam takiego nakładła?

— Czekaj — odpowiedziała — jeśli lubisz pory... Odwróciła się, spostrzegła panią i krzyknęła. Oboje osłupieli.

Po chwili Rozalka poczęła się gwałtownie tłumaczyć całą lawiną słów.

— To moja porcja, proszę pani. Daję słowo... Nie wzięłabym już sobie... Żeby tak miała jutra nie doczekać... Powiedziałam mu: „Jeśli chcesz moją porcję rosółu, mogę ci dać...” No, odezwij się, wiesz przecież, jak było... — Zaniepokojona milczeniem pani, sądząc, że się gniewa, mówiła dalej załamującym się głosem: — Umierał z głodu, proszę pani, ukradł mi surową marchewkę... Tak marnie ich karmi! I niech pani sobie wyobrazi, laził dziś, diabeł wie dokąd, brzegiem rzeki, sama już nie wiem gdzie... Chyba sama by pani powiedziała: „Rozalko, dajże mu tego rosółu...”

Stojąc naprzeciw małego żołnierza, który, oniemiały, z pełnymi ustami, nie miał odwagi przełknąć, Helena nie mogła dłużej zachować surowej miny. Powiedziała łagodnie:

— No, dobrze, moja droga, jeśli chłopak będzie igłodny, trzeba go zaprosić na obiad, i koniec... Zgadzam się na to.

Doznała tego samego uczucia wzruszenia, które już raz kazało jej zapomnieć o swych zastrzeżeniach. Tacy byli szczęśliwi w tej kuchni! Przez na wpół zaciągniętą perkalową zasłonkę widać było zachodzące słońce. W półmroku miedziane rondle rozpały na ścianach w głębi kuchni czerwone blaski. A w tym złotawym półcieniu ukazywali oboje swe okrągłe twarze, spokojne i jasne jak księżyc w pełni. Miłość ich nie mąciła harmonii i porządku otaczających sprzętów, była łagodna, pełna wzajemnego zaufania. Rozkwitali wśród tych kuchennych zapachów, najedzeni, z zaspokojonym sercem.

— Powiedz mi, mam — pytała wieczorem Joasia po długim namyśle — dlaczego kuzyn Rozalki nie całuje jej nigdy?

— A dlaczego mieliby się całować? — odpowiedziała Helena. — Pocałują się na imieniny.

We wtorek podczas obiadu Helena powiedziała nasłuchując:

— Ależ leje, słyszycie?... Jakże będziecie dzisiaj wracać do domu w taką ulewę; aż mi was żal!

— Ech! Co tam te parę kropel... — powiedział ksiądz, którego podniszczona sutanna miała już ramiona i plecy mokre.

— Ja mam wprawdzie dość daleko — mówił pan Rambaud — ale mimo wszystko wrócę pieszo, lubię deszcz... Mam zresztą parasol.

Joasia, zamyślona, poważnie wpatrywała się w ostatnią łyżkę makaronu, wreszcie powiedziała powoli:

— Rozalka mówiła, że nie przyjdziecie w taki deszcz... a mama powiedziała, że przyjdziecie... Przychodźcie zawsze. To bardzo miło.

Wszyscy się uśmiechnęli. Helena serdecznie skinęła głową w stronę księdza i pana Rambaud. Na dworze głucho szumiała ulewa, a żaluzje trzeszczały pod naporem gwałtownych uderzeń wiatru. Zima zdawała się wracać. Rozalka starannie zaciągnęła zasłony z czerwonego rypsu. Wśród wycia wichury mały stołowy pokój, zamknięty i cichy, oświetlony łagodnym światłem białej porcelanowej lampy wiszącej nad stołem stał się przytulnym schronieniem. Stojąca na mahoniowym kredensie porcelana łagodnie odbijała światło. W zaciszu tym wszyscy czworo rozmawiali swobodnie, czekając cierpliwie nad nieskazitelnie czystą zastawą mieszczńskiego stołu, aż służąca zechce im podać następne danie.

— Ach, państwo już czekają, to trudno! — powiedziała poufale Rozalka wnosząc półmisek. — To są zapiekane filety z solki dla pana Rambaud, a to trzeba koniecznie robić przed samym podaniem na stół. Pan Rambaud udawał smakosza, by zabawić Joasię i sprawić przyjemność Rozalce bardzo dumnej ze swych kucharskich umiejętności, i teraz aapytał zwracając się do niej:

— Patrzcie, patrzcie, cóżeś tam dzisiaj naszykowała?... Zawsze przynosisz jakieś niespodzianki, gdy już wcale nie jestem głodny.

— O! są tylko, jak zwykle, trzy dania — odpowie- Idziała Rozalka. — Nic więcej... Po filetach z solki tylko jeszcze pieczeń barania z brukselką... Naprawdę nic więcej.

Pan Rambaud spojrział kątem oka na Joasię. Dziewczynka bawiła się świetnie. Tłumiąc śmiech przyciskała rękę do ust i kręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że służąca skłamała. Wówczas i on cmoknął z miną pełną powątpiewania, a Rozalka udawała, że się gniewa.

— Pan mi nie wierzy, bo panienka się śmieje — powiedziała. — No dobrze, niech pan jej słucha i szykuje się na jeszcze jakieś przysmaki, a zobaczy pan, że będzie pan musiał dojadać sobie w domu.

Gdy służącej już nie było w pokoju, Joasia śmiała się coraz weselej i nie mogła utrzymać języka za zębami.

— Jesteś za bardzo łakomy, byłam w kuchni i... — zaczęła, ale powstrzymała się. — £, nie, nie trzeba mu mówić, prawda, mamó?... Nie ma nic więcej, nic, nic. Śmiałam się tak tylko, by cię oszukać.

Podobna scena powtarzała się co wtorku i zawsze z tym samym powodzeniem. Helena była wzruszona uprzejmością i zapałem, z jakim pan Rambaud brał udział w tej zabawie, ponieważ nie było dla niej tajemnicą, że przez długi czas żył bardzo skromnie, jak prawdziwy Prowansalczyk, zadowolając się na cały dzień małą rybką i kilkoma oliwkami. Co do księdza Jouve — ten nigdy nie wiedział, co je, i często nawet żartowano sobie z jego nieświadomości i roztargnienia. Joasia śledziła go błyszczącymi oczyma, a gdy podano następną potrawę, zapytała:

— Bardzo smaczna ta sielawka? Prawda?

— Doskonała, moja droga — mówił ksiądz. — Patrzcie, to rzeczywiście sielawka, a ja myślałem, że to turbot.

80

Wszyscy się śmieli, a ksiądz pytał w dobrej wierze, dlaczego się śmieją. Rozalka, która właśnie nadeszła, zdawała się być bardzo urażona. Och! Ksiądz proboszcz w jej wiosce znał się znacznie lepiej na jedzeniu, nie potrzebował nawet wchodzić do kuchni, by wiedzieć, co będzie na obiad; poznawał po samym zapachu, a krając drób potrafił określić jego wiek prawie co do tygodnia. Dobry Boże! Gdyby służyła u takiego proboszcza jak ksiądz Jouve, do dzisiaj nie nauczyłaby się przewrócić naleśnika. Ksiądz Jouve, który nie był ani trochę smakoszem i nawet nie miał nadziei nim zostać kiedykolwiek, usprawiedliwiał się z zakłopotaną miną, jak gdyby to rzeczywiście było jego wadą. Ale naprawdę miał zbyt wiele innych spraw na głowie.

—A to jest pieczeń barania — oświadczyła Rozalka stawiając półmisek na stole.

Wszyscy znowu śmieli się wesoło, a najweselej ksiądz Jouve. Uniósł swą wielką głowę i zmrużył oczy.

—Och, oczywiście, to pieczeń barania — mówił. — Sądzę, że sam bym to poznał.

Tego dnia zresztą ksiądz był jeszcze bardziej roztargniony niż zazwyczaj. Jadł szybko, z pośpiechem człowieka, którego nuży siedzenie przy stole i który w domu zwykł jadać na stojąco; a potem zamyślony czekał, aż inni skończą jeść, i jedynie uśmiechał się w odpowiedzi. Co chwilę spoglądał niespokojnie na brata, jakby chcąc mu dodać otuchy. Pan Rambaud był również jakiś nieswój; zawsze tak opanowany i zrównoważony, tego dnia wiercił się nerwowo na krześle, a niepokój jego objawiał się niezwykłą gadatliwością. Po pieczeniu z brukselką, gdy Rozalka opóźniła się z podaniem deseru, przy stole zapanowała cisza. Na dworze gwałtowność ulewy wzmogła się jeszcze, potoki deszczu biły o ściany domu. W jadalnym pokoju było nieco duszno. Helena odnosiła wrażenie, że coś wisi w powietrzu, że obaj bracia coś ukrywają. Przyglądała się im badawczo i wreszcie powiedziała:

— Boże mój, co za okropna pogoda)... Widzę, że to pa was źle wpływa, prawda? .Wyglądacie mi obaj, [jakby wam coś dolegało.  
| Zaprzeczyli i gorliwie zapewniali, że nic im nie jest. A gdy Rozalka wniosła olbrzymi półmisek, pan Rambaud zawołał, by ukryć swe wzruszenie:

— A co, nie mówiłem! Znowu jakaś niespodzian- ka!

Niespodzianką tego dnia był krem waniliowy, jedna ze specjalności Rozalki. Trzeba było widzieć trium- falną minę, z jaką postawiła go na stole. Joasia klaskała w ręce i powtarzała:

— A ja wiedziałam, a ja wiedziałam!... Widziałam W kuchni jajka!

— Ależ ja już wcale nie jestem głodny! — mówił pan Rambaud żałośnie. — Nie mogę już więcej jeść.

Rozalka nachmurzyła się ledwo powstrzymując gniew i powiedziała krótko, z miną pełną godności:

— Jak to, nie zje pan kremu, który zrobiłam specjalnie dla pana?... Niech pan tylko spróbuje oie jeść...

Niech pan tylko nie je.

Pan Rambaud musiał ustąpić i nabrał sobie ogromną porcję na talerz. Ksiądz, ciągle zajęty swymi myślami, zwinął serwetkę i nie czekając, aż inni skończą, wstał od stołu, co mu się zresztą często zdarzało. Z pochyloną głową chodził przez chwilę po pokoju, a gdy Helena wstała także, rzucił bratu porozumiewawcze spojrzenie i wyszedł z nią ć3o sypialni. Przez uchylone drzwi natychmiast dały się słyszeć ich głosy, choć poszczególnych słów nie można było rozróż- nić.

— Pośpiesz się — powiedziała Joasia do pana Rambaud, który jakoś nie mógł skończyć biskopka. — Chcę ci pokazać, co zrobiłam.

Nie śpieszył się jednak. Dopiero gdy Rozalka zabrała się do sprzątnięcia nakrycia, musiał wstać od stołu.

— Poczekaj, poczekaj — mówił, gdy dziewczynka ciągnęła go do sypialni.

Zmieszany i zalękniony odsunął się od drzwi, a gdy usłyszał podniesiony głos księdza, nogi ugięły się pod nim i musiał sięść znowu przy uprzątniętym już stole. Wyciągnął z kieszeni gazetę.

— Zrobię ci mały wózeczek — powiedział.

Joasia od razu przestała nalegać, by przejść do tamtego pokoju. Pan Rambaud zachwycał ją zawsze zręcz- nością, z jaką wykonywał z kawałków papieru najrozmaitsze zabawki. Robił ptaszki, łódeczki, wózki, klatki, infuły biskupie. Lecz tego dnia palce jego drżały przy składaniu papieru i wózek jakoś nie chciał się zrobić. Przy każdym głośniej wypowiedzianym w sąsiednim pokoju słowie pan Rambaud spuszczał głowę. Joasia, przejęta jego robotą, oparła się obok o stół.

— Potem zrobisz mi kurę —° powiedziała — i zaprzęgniemy ją do wozu.

W sypialni ksiądz Jouve stał w półcieniu, w jakim abażur pogrążał cały pokój. Helena siedziała na swym zwykłym miejscu przy stoliku, a ponieważ nie krępowwała się wtorkowymi gośćmi, zabrała się do roboty i w jasnym kręgu światła widać było tylko jej białe ręce zajęte szyciem małego dziecinnego czepeczka.

— Stan zdrowia Joasi nie niepokoi już pani? — zapytał ksiądz.

Nim odpowiedziała, potrząsnęła głową.

— Doktor Deberle nie widzi powodu do obaw. Ale moje biedactwo jest jeszcze bardzo zdenerwowane... Wczoraj znowu zemdląła mi na krześle.

— Brak jej ruchu — mówił dalej ksiądz. — Pani nie żyje tak jak wszyscy, za bardzo się pani odosab- nia od świata.

Zamilkł, zapanowała cisza. Niewątpliwie zagajenie rozmowy było udane, ale teraz, gdy miał przystąpić do rzeczy, zawahał się. Przysunął sobie krzesło i usiadł obok Heleny:

— Posłuchaj, dziecko drogie, już od dawna pragnę pomówić z panią poważnie... Tryb życia, jaki pani prowadzi, nie jest właściwy... W pani wieku nie na



leży się tak zamykać, jak to pani robi. Takie odosobnienie jest szkodliwe zarówno dla dziecka, jak dla pani samej... Wynikają z tego przeróżne niebezpieczeństwa i dla zdrowia, i jeszcze inne.

Helena, zaskoczona, uniosła głowę.

— Co ksiądz ma na myśli?...

\*— Boże mój! Ja może mało znam życie światowe — mówił dalej ksiądz nieco zakłopotany — wiem jednak, że kobieta pozbawiona opieki naraża się... Widzi pani, jest pani bardzo samotna i to osamotnienie, w jakim się pani pograżyła, nie jest wcale wskazane, proszę mi wierzyć. Nadejdzie dzień, że zacznie to pani dolegać.

— Ależ ja wcale nie narzekam, jest mi z tym bardzo dobrze! — wykrzyknęła Helena nieco poruszona.

Stary ksiądz pokiwał łagodnie swą wielką głową.

— Oczywiście, to wszystko jest bardzo miłe. Pani się czuje całkowicie szczęśliwa, rozumiem doskonale. Ale krocząc po tej drodze samotności i marzeń nigdy nie wiadomo, dokąd się trafi... Naturalnie, znam panią dobrze i wiem, że nie jest pani zdolna zbłądzić... Jednak wcześniej czy później może pani utracić swój spokój... Pewnego dnia, gdy będzie już za późno, miejsce, które pozostawia pani puste obok siebie i w swoim sercu, może okazać się zajęte przez jakieś uczucie bolesne i niegodne.

Na ocienioną twarz Heleny wystąpił rumieniec. Czyżby ksiądz czytał w jej sercu? Czyżby wiedział o tym niepokoju, jaki w niej narastał; o tych wzruszeniach, przeżywanych teraz tak głęboko, a których przyczyn aż do tej chwili nie chciała dociekać? Cze- peczek upadł jej na kolana. Ogarnęła ją jakaś niemoc, oczekiwała ze strony księdza jakby zrozumienia, które pozwoliłoby jej wreszcie wyznać i uświadomić sobie jasno to wszystko, co tłumiała dotąd w głębi serca. Skoro wiedział, mógł ją pytać; będzie się starała odpowiedzieć.

— Oddaję się cała w ręce księdza — szepnęła. — Ksiądz wie dobrze, że zawsze księdza słucham.

Milczał przez chwilę, wreszcie powiedział poważnie:

— Dziecko moje, powinna pani wyjść za mąż. Oniemiała ze zdziwienia, że daje jej podobną radę; siedziała w milczeniu, z opuszczonymi rękami. Oczekiwała czego innego — teraz nic już nie pojmowała. A ksiądz mówił dalej, przytaczając racje, mające ją skłonić do małżeństwa.

-- Niech pani nie zapomina, że jest pani jeszcze młoda... Nie powinna pani dłużej pozostawać w tym zapadłym kącie Paryża, nie śmiejąc się nigdzie pokazać, nie znając wcale życia. Trzeba wrócić między ludzi, by potem nie żałować gorzko swego odosobnienia... Pani nie dostrzega skutków tego stronienia od świata, ale przyjaciele widzą pani błąd i niepokoją się o panią.

Robił pauzę po każdym zdaniu, spodziewając się, że Helena mu przerwie, że będzie roztrząsać jego propozycje. Ale ona ani nie drgnęła, jakby skamieniała ze zdziwienia.

— Oczywiście, ma pani dziecko — mówił dalej. — Przez to sprawa staje się jeszcze bardziej drażliwa... Ale niechże pani sama powie, czy męska opieka także i Joasi nie wyszłaby na dobre... O, wiem, naturalnie, że należałoby znaleźć kogoś naprawdę dobrego, kto byłby dla niej prawdziwym ojcem.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Nie, nie, za nic... — zaprotestowała wzburzona, przejęta odrazą. — Co też mi ksiądz radzi, proszę księdza... Nigdy, słyższy ksiądz, nigdy! — Aż sama przeleżała się gwałtowności swjej odmowy. Propozycja! księdza poruszyła w jej sercu owe mroczne zakamarki, które dotychczas skrzętnie omijała, a ból, jakiego doświadczyła przy tym, ukazał jej wreszcie bezmiar własnego nieszczęścia, straszliwe zawstydenie kobiety, która się czuje do cna obnażona.

Stary ksiądz spoglądał na nią uśmiechając się pogodnie.

— Ależ ja nikogo nie kocham — próbowała się bro

nić. — Ja nie chcę... — A ponieważ nie spuszczał z niej oczu, wydało się jej, że czyta kłamstwo w jej twarzy; zaczerwieniła się i wyjąkała: — Niechże się ksiądz zastanowi, dopiero dwa tygodnie, jak zdjęłam żałobę... Nie, o tym nie ma mowy...

— Dziecko moje — powiedział ksiądz spokojnie — wiele przemyślałem, zanim zacząłem tę rozmowę. Sądzę, że to by dało pani szczęście... Niech się pani uspokoi. Postąpi pani według własnej woli.

Rozmowa urwała się. Helena starała się powstrzymać falę gwałtownych sprzeciwów, które cisnęły się jej na usta. Wzięła znowu do rąk czepeczek i zaczęła szyć ze spuszczoną głową. Wśród ciszy dał się słyszeć cienki głosik Joasi, która mówiła w stołowym pokoju:

— Nie zaprzęga się kury do wozu, zaprzęga się konia... Nie umiesz zrobić konia?

— Ach, nie. Konia za trudno zrobić — odparł pan Rambaud. — Ale, jak chcesz, nauczę cię robić wózki.

W ten sposób zawsze kończyła się zabawa. Joasia bardzo uważnie przyglądała się, jak jej przyjaciel składa papier niezliczoną ilość razy, potem sama próbowała składać, ale myliła się i tupiała ze złości nogami. Jednak łódki i infuły biskupie umiała już robić.

— Patrz — powtarzał cierpliwie pan Rambaud — załamujesz cztery rogi, w ten sposób, potem odwracasz...

Od kilku chwil nasłuchiwał uważnie i widać musiał posłyszeć parę słów z sąsiedniego pokoju, gdyż jego biedne ręce zaczęły drżeć jeszcze bardziej, a język plątał się tak, że połykał połowę słów.

Helena nie mogła się uspokoić i podjęła znowu rozmowę.

— Wyjść za męża? Za kogo? — zapytała nagle księdza odkładając robotę na stolik. — Ksiądz ma kogoś upatrzonego, prawda?

Ksiądz Jouve wstał i zaczął powoli chodzić po koju. Nie zatrzymując się skinął potwierdzająco głową.

— A więc proszę mi powiedzieć, kto to — zapytała.

Przez chwilę stał nieruchomo przed nią, potem wzruszył z lekka ramionami i powiedział:

— Po co? Skoro pani odmawia...

— To nic, chcę wiedzieć. Trudno, żebym coś postanowiła; przecież nie wiem, o kogo chodzi.

Nie odpowiedział od razu i stojąc przed nią patrzył jej prosto w twarz. Uśmiechnął się smutno i powiedział cicho:

— Więc pani się nie domyśla?

Nie, nie domyślała się. Próbowwała odgadnąć i pytała go wzrokiem. Wreszcie ksiądz bez słowa ruchem głowy wskazał na stołowy pokój.

— On! — wykrzyknęła stłumionym głosem.

Już się nie oburzała, siedziała milcząca i bardzo poważna. Na twarzy jej malowało się jedynie zdziwienie i smutek. Ze spuszczonymi oczyma trwała tak w zamyśleniu. Nie, z całą pewnością nigdy by nie odgadła, choć trudno byłoby znaleźć jakieś zastrzeżenie. Pan Rambaud był jedynym człowiekiem, któremu bez najmniejszej obawy oddałaby rękę. Wiedziała, że jest dobry, nie śmieszyła jej jego ociężałość mieszczaucha. Ale sama myśl o jego miłości mroziła ją i przerażała mimo całej, szczerzej życzliwości, jaką miała dla niego.

Ksiądz znów zaczął chodzić po pokoju, a gdy mijał drzwi jadalni, zatrzymał się i zawołał cicho Helenę:

— Proszę, niech pani spojrzy. Stanęła obok i patrzyła.

Pan Rambaud posadził Joasię na swym krześle. Sam oparł się o stół, a potem ukląkł na podłodze u stóp dziewczynki i objął ją ramieniem. Na stole stały łódki, pudełka, infuły biskupie i wózek zaprzężony w kurę.

— Więc kochasz mnie bardzo? — mówił. — Powtórz, że mnie bardzo kochasz.

— No chyba, bardzo ciebie kocham, przecież wiesz.

Zawahał się drząc cały, jakby miał się odważyć na oświadczyń.

— A gdybym chciał pozostać tutaj z tobą na zawsze, co byś powiedziała na to?

— Cieszyłabym się, bawilibyśmy się razem, prawda? To byłoby bardzo wesołe.

— Na zawsze, słyszysz, zostalibyśmy na zawsze.

Joasia wzięła do ręki łódkę — przerabiała ją na kapelusz żandarma — i powiedziała:

— Ale musiałaby mama pozwolić.

Ta odpowiedź przypomniała mu znowu wszystkie jego obawy. Rozstrzygał się jego los.

— Oczywiście — powiedział. — Ale jeżeli mama pozwoli, to ty też się zgodzisz, prawda?

Joasia kończyła składać kapelusz żandarma i zachwycona zaśpiewała po swojemu:

— Zgodzę się, tak, tak, tak... Zgodzę się, tak, tak, tak... Patrz, jaki piękny ten mój kapelusz!

Pan Rambaud, rozczulony do łez, wyprostował się na kolanach i uściskał dziewczynkę, a ona objęła go za szyję.

Brat miał się oświadczyć Helenie w jego imieniu, on sam starał się uzyskać zgodę Joasi.

— Widzi pani — powiedział ksiądz z uśmiechem — dziecko się zgadza.

Helena, wciąż bardzo poważna, nie sprzeciwiała się już. Ksiądz zaczął znowu przekonywać ją gorąco, wliczając dokładnie zalety pana Rambaud. Czyż nie byłby to prawdziwy ojciec dla Joasi? Znała go przecież, więc wiążąc się z nim nie ryzykowałaby na pewno. A gdy Helena nic nie odpowiedziała, ksiądz bardzo przejęty i pełen godności dodał, że podjął się tej misji mając na względzie nie tyle swego brata co jej własne szczęście.

— Wierzę księdzu, wiem, jak bardzo jest mi ksiądz życzliwy — powiedziała żywo. — Proszę zaczekać, chcę mu odpowiedzieć przy księdzu.

Biła dziesiąta. Pan Rambaud wszedł do sypialni. Helena wstała, wyciągnęła do niego rękę i powiedziała: /

— Dziękuję bardzo za pańską propozycję, drogi przyjacielu, jestem panu niezmiernie wdzięczna. Cieszę się, że dowiedziałam się o tym. — Spokojnie patrzyła mu prosto w twarz i trzymała w swym ręku jego wielką dłoń. A on, bardzo wzruszony, nie śmiał podnieść na nią oczu. — Proszę tylko o czas do namysłu — mówiła dalej. — Być może, że będę go potrzebowała bardzo dużo.

— Ile pani będzie chciała: pół roku, rok, jeszcze dłużej — wyjąkał z ulgą, szczęśliwy, że nie wyrzuciła go za drzwi od razu.

Helena uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ale spodziewam się, że pozostaniemy przyjaciółmi. Będzie pan przychodził jak dotąd i tylko przyrzeknie pan nie poruszać tej sprawy, póki sama nie zacznę o niej mówić... Zgoda?

Cofnął rękę i zaczął gorączkowo szukać kapelusza, kiwał głową potakująco, zgadzał się na wszystko. Dopiero w progu odzyskał mowę:

— Niech pani posłucha, teraz pani wie, że jestem przy pani, prawda? A więc proszę pamiętać, że będę przy niej zawsze, cokolwiek by się stało. To wszystko, co ksiądz powinien był wyjaśnić... Choćby po dziesięciu latach, jeśli pani tylko zechce, wystarczy jeden znak. Będzie tak, jak pani sobie życzy.

Sam teraz ujął rękę Heleny i uściśnął ją aż do bólu. Na schodach obaj bracia odwrócili się mówiąc jak zwykle:

— Do wtorku.

— Tak, do wtorku — odpowiedziała Helena.

Gdy wróciła do sypialni, odgłos nowej fali deszczu bijącej o okiennice zasnuł smutkiem jej duszę. Boże mój, co za ulewa, jakże ci biedacy zmokną! Otworzyła okno i wyjrzała na ulicę. Od gwałtownych podmuchów wiatru przygasały i chwiały się płomyki gazowych latarni. Między połyskującymi kałużami wśród strug deszczu, zobaczyła zgarbione plecy pana Rambaud, który, szczęśliwy, oddalał się tanecznym krokiem zdając się nie wiedzieć wcale o ulewie.

Joasia stała się bardzo poważna od chwili, gdy zrozumiała coś niecoś z ostatnich słów wypowiedzianych przez jej przyjaciela do matki. Włożyła nocne pantofelki i siedziała w koszuli na brzegu łóżka, głęboko zamyślona. Tak zastała ją matka, gdy przyszła ją pocałować.

— Dobranoc, Joasiu, pocałuj mnie.

Wydało się jej, że dziewczynka nie słyszy. Helena przyklękła, objęła ją i zapytała półgłosem:

— Więc chciałabyś, żeby zamieszkał z nami? Cieszyłabyś się?

Joasi nie zaskoczyło to pytanie, pewnie o tym właśnie myślała. Z wolna skinęła głową twierdząco.

— Ale czy wiesz — mówiła matka — że byłby z nami stale, w nocy i w dzień, przy stole, wszędzie.

W jasnych oczach dziewczynki coraz wyraźniej widać było niepokój. Oparła policzek na ramieniu matki, pocałowała ją w szyję i drżąc cała zapytała cicho:

— Mamo, a czy on by cię całował?

Rumieniec oblał twarz Heleny. W pierwszej chwili nie wiedziała, co odpowiedzieć na pytanie dziecka.

Wreszcie wyszeptła:

— Byłby jakby twoim ojcem, kochanie.

Drobne ramiona Joasi zacisnęły się na szyi matki. Nagle wybuchnęła gwałtownym płaczem.

— Nie, nie, już nie chcę... — mówiła szlochając. — Mamo, proszę cię, powiedz mu, że ja nie chcę. Idź mu powiedz, że ja nie chcę... — Zaczęła się dusić, padła matce objęcia całując ją i oblewając łzami. Helena starała się ją uspokoić powtarzając, że to się jakoś załatwi. Ale Joasia domagała się natychmiast stanowczej odpowiedzi. — Ach, powiedz, że nie, mateczko, powiedz: nie!... Zobaczysz, że ja umrę... Ach, nigdy, prawda, nigdy!

— Więc dobrze! Nie! Przrzekam ci, bądź rozsądna, połóż się.

Jeszcze kilka chwil podniecone dziecko w milczeniu ścisnęło matkę w swych ramionach, jakby nie mogąc się oderwać od niej i broniąc jej przed tymi, którzy ją chcieli zabrać. Wreszcie udało się Helenie położyć małą do łóżka, ale musiała czuwać przy niej do późna w nocy. Joasia Tzucała się we śnie, co pół godziny otwierała oczy, by przekonać się, czy matka jest przy niej, i znowu usypiała przyciskając usta do jej ręki.

m

Kwiecień był tego roku niezwykle piękny. W wiosennym słońcu ogród pokrył się delikatną, zwiewną i przezroczystą jak koronka zielonością. Przy kracie ogrodzenia wybujałe łodygi powoju wypuszczały cienkie młode pędy, a kapryfolium całe pokryte pąkami pachniało delikatnie, niemal słodko. Po obu stronach starannie utrzymanego i strzyżonego trawnika kwitły na klombach czerwone geranie i białe lewkonie. A w głębi między skupiskiem sąsiadujących ze sobą domów wiązy tworzyły zielone tło ogrodu z gałęzi pokrytych drobnymi listkami, drżącymi za najlżejszym podmuchem wiatru.

Już od przeszło trzech tygodni niebo było pogodne, bez najmniejszej chmurki. Zdawało się, że wiosna obchodzi uroczyste przebudzenie nowego życia, które Helena nosiła w sercu. Codziennie po południu schodziła z Joasią do ogrodu; miała już tam swoje miejsce pod pierwszym wiązem na prawo, gdzie zawsze stało dla niej krzesło, a na zwirze alejki odnajdywała strzępy nitki, posianych poprzedniego dnia.

— Jest pani u siebie — powtarzała co wieczór pani Deberle; Helena stała się przedmiotem jej egzaltowanej przyjaźni trwającej zwykle nie dłużej niż pół roku. — Do jutra. Niech się pani postara koniecznie przyjść wcześniej, dobrze?

I Helena naprawdę czuła się jak u siebie. Powoli przywykała do tego zielonego zakątka, z niecierpliwością dziecka nie mogąc się doczekać chwili, w której tam schodziła. W tym mieszczańskim ogródku za-

cli wy cała ją zwłaszcza nieskazitelna schludność trawnika i krzewów; zaden zapomniany chwast nie psuł symetrii zieleni. A po gracowanych każdego ranka alejkach chodziło się jak po dywanie. Znajdowała tu spokój i wytchnienie nie mącone nadmierną bujnością życia. Wśród tych wymuskanych klombów, wśród tych ścian bluszczu, z których ogrodnik wybierał pieczołowicie pożółkłe liście, nic nie zakłócało spokoju jej ducha. W ocienionym wiązami ustronnym ogródku, który pani Deberle napełniała ostrym zapachem perfum, Helena czuła się jak w salonie, i dbpiero gdy uniosła głowę, widok nieba przypominał jej, że jest na wolnym powietrzu i może oddychać pełnią piersią.

Często całe popołudnia spędzały tylko we dwie, nie widząc nikogo poza bawiącymi się przy nich Joasią i Lucjanem. Nieraz przez dłuższy czas nic nie mówiły do siebie, ale najczęściej Julietta, która nie lubiła marzeń, snuła niestrudzenie swe opowiadania, zadowolając się niemą aprobatą Heleny. Były to nie kończące się plotki o życiu kobiet z jej otoczenia, projekty przyjęć na przyszłą zimę, refleksje rozgadanej sroki na temat bieżących wydarzeń, cały bagaż wiadomości ze świata, skłębiony w ciasnej główce pięknej kobiety, a to wszystko zmieszane z wylewami czułości, zachwyty nad dziećmi i uczuciem przyjaźni. Helena nie zawsze słuchała tej zaplaniny, ale, ujęta dobrocią swej przyjaciółki ściskającej czule jej dłoń, wzruszała się niezmiernie, gdyż żyjąc teraz w stanie ciągłego roztkliwienia uważała Juliettę za chodzącą dobroć, za anioła.

Czasami zjawiali się goście, pani Deberle była wtedy uszczęśliwiona. Od Wielkanocy, jak przystało, nie przyjmowała już w soboty, ale nie znosiła samotności i była zachwycona, gdy ktoś ją bez ceremonii odwiedził w ogrodzie. Najpoważniejszym kłopotem był teraz dla niej wybór nadmorskiej miejscowości, do której wyjechałaby na sierpień. Z każdym gościem omawiała tę sprawę dokładnie od początku; mówiła, Ze

tego roku jedzie nad morze bez męża;ypytywała wszystkich szczegółowo i nie mogła się zdecydować. Nio dla niej był ten wyjazd, ale dla Lucjana. Piękny Malignon, który także zjawiał się w ogrodzie, w ogóle nie uznawał wyjazdów na lato. „Trzeba być szalonym — mówił — by wyjeżdżać z Paryża specjalnie po to, aby dostać kataru nad morzem.” Mimo to, siedząc niedbale okrakiem na ogrodowym krześle obok Julietty, mógł godzinami rozprawić o nadmorskich plażach. Wszystkie według niego śmierdziały rybami i prócz Trouville nie było ani jednej możliwie czystej. Dzień w dzień Helena nie nużąc się wysłuchiwała tych samych roztrząsań, bodaj nawet rada monotonii xliii, którajakolysała i usypiają. Po miesiącu dyskusji i rozważań pani Deberle nie wiedziała jeszcze, dokąd pojedzie.

Pewnogo wieczoru, żegnając Helenę, Julietta powiedziała:

— Jutro muszę wyjść do miasta, ale niech pani przyjdzie koniecznie... Proszę zaczekać na mnie, wrócę bardzo niedługo.

Helena zgodziła się i spędziła samotnie urocze popołudnie. Urzekał ją spokój tego pełnego słońca ustronia. Ponad nią wśród gałęzi wiązków swarliwe wróble trzepotały skrzydłami. I odtąd najmiłszymi były dla niej te popołudnia, w których Julietty nie było w ogrodzie.

Jej zażyłość z Juliettą i doktorem zacieśniała się coraz bardziej; nieraz zostawała u nich na obiedzie, zatrzymywana bezceremonialnie w ostatniej chwili. Gdy zasiedziała się dłużej pod wiązami, a Piotr schodził z tarasu oznajmiając: „Proszę pani, obiad podany”, Julietta zapraszała ją serdecznie i Helena cza\* sami ulegała jej prośbom. Były to obiady w ścisłym kółku rodzinnym, rozweselane figlami dzieci. Doktor Deberle i Helena sprawiali wrażenie dobrych przyjaciół, których zrównoważone, nieco chłodne usposobienia pasowały do siebie.

r— Jakże wy się świetnie rozumiecie... — mówiła

nieraz Julietta. — Mnie tacy spokojni ludzie doprowadzają do rozpacz.

Doktor wracał ze swych wizyt codziennie około szóstej; o tej porze zastawał panie w ogrodzie i siadał obok nich. Z początku Helena zrywała się od razu, chcąc odejść i zostawić małżeństwo samo. Lecz Julietta tak gwałtownie protestowała, że zostawała z nimi. Czuła się prawie przyjęta do rodziny, która wydawała się jej idealna. Gdy doktor przychodził, Julietta zawsze tym samym serdecznym ruchem nadstawiała policzek, a on ją całował; pomagał Lucjanowi wdrapać się na swe kolana i bawił się z nim nie przerywając rozmowy. Chłopiec targał go za włosy nie dając mówić, zatykał mu usta rękami i naprzykrzał się dotąd, aż zniecierpliwiony ojciec stawiał go na ziemi i kazał bawić się z Joasią. Helenę ogromnie śmieszyły te igraszki, przestawała na chwilę szyć i z uśmiechem pełnym spokojnego szczęścia przyglądała się ojcu, matce i dziecku. Gdy doktor całował żonę, nie krępowało jej to wcale, a figle Lucjana rozczulały ją. I zdawałoby się, że nigdzie nie czuła się lepiej niż pośród tej harmonii rodzinnej.

Nadchodził wieczór, słońce chyliło się ku zachodowi ozłacając wierzchołki drzew. Spokój spływał z blado nieba. Julietta, która nawet mało znanych sobie ludzi bez końca wypytywała o wszystko, zasypywała męża pytaniami, najczęściej nie czekając na odpowiedź.

— Gdzie byłeś? Co robiłeś?

Opowiadał o swych wizytach, o ludziach, z którymi stosunki kończyły się na wymianie ukłonów, o meblach lub tkaninach, które zauważył na sklepowych wystawach. Często, gdy mówił, wzrok jego spotykał się ze wzrokiem Heleny. Nie mieszało ich to wcale, patrzyli sobie prosto w twarz, jakby zaglądając w głąb serc, poważnieli na chwilę, a potem uśmiechając się spuszczały z wolna oczy. Nerwowe podniecenie Julietty, które pokrywała narzuconą sobie powagą, nie pozwalało im długo mówić ze sobą, ponieważ musiała brać udział w każdej rozmowie. Ale czasem udawało im się zamienić parę nic nie znaczących zdań, które dla nich nabierały jednak głębszego sensu i wyrażały więcej niż same słowa. Każdemu zdaniu przytakiwali lekkim skinieniem głowy, jakby zgadzali się we wszystkim. Było to zrozumienie całkowite, dogłębne; płynące z samego dna ich dusz i zacieśniające się jeszcze mocniej, gdy milczeli. Czasem Julietta przerywała swą paplaninę, zawstydzona tym, że wciąż mówi.

— Nudzi się pani, prawda? Mówimy o sprawach, które wcale pani nie obchodzą.

— Ależ nie, proszę się mną nie przejmować — odpowiadała Helena wesoło. — Ja się nigdy nie nudzę... Bardzo lubię słuchać i nic nie mówić.

Było to prawdą. W ogrodzie Deberle'ów czuła się najlepiej, gdy mogła nic nie mówić. Pochylona nad robotą, podnosiła od czasu do czasu oczy, by zamienić z doktorem jedno z tych długich spojrzeń, które łączyły ich nawzajem, i samolubnie zasklepiła się w swoim uczuciu. Między nią a Henrykiem — zdawała już sobie z tego sprawę — istniało nie ujawnione uczucie, coś bardzo tkliwego, tym bardziej pełnego uroku, że oprócz nich nikt na świecie o nim nie wiedział. Ale w uczuciu tym wszystko było jasne i czyste i Helena nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Najbardziej bliski był jej wtedy, gdy bawił się z Lucjanem lub całował Juliettę w policzek. Jakież był dobry dla żony i dziecka! Odkąd widywała go w otoczeniu jego najbliższych, zażyłość ich jeszcze się wzmogła. Teraz należała już niejako do rodziny i nie przychodziło jej na myśl, by kiedykolwiek mogło być inaczej. W myśli nazywała go Henrykiem, tak jak Julietta, i gdy usta jej wymawiały: „pan”, jakieś echo powtarzało w niej: „Henryk”.

Julietta wychodziła teraz prawie codziennie do miasta i pewnego dnia Henryk zastał pod więzami Helenę samą. — Co to, nie ma mojej żony? — Nie ma, porzuciła mnie — powiedziała śmiejąc;

się Helena. — Wrócił pan dzisiaj co prawda znacznie Wcześniej.

Dzieci bawiły się w drugim końcu ogrodu. Usiadł koło niej. To sam na sam nie wprawiało ich w zakłopotanie. Blisko godzinę rozmawiali swobodnie o najrozmaitszych sprawach, nie doznając ani przez chwilę chęci, by zrobić aluzję do uczuć, przepelniających im serca. Po co mówić o tym? Czyż nie wiedzieli dobrze, co mogliby sobie powiedzieć! Nie mieli z czego się zwierzać. Wystarczającym powodem do radości było już to, że są razem, że mają wspólny sąd o wszystkim, że nikt nie przeszkadzał im, że byli sami w tym ogrodzie, gdzie co wieczór całował przy niej swą żonę.

Tego dnia żartował sobie z jej zapału do pracy.

— Wie pani — powiedział — że nie wiem nawet, jaki kolor mają pani oczy, patrzy pani stale wyłącznie na swoje szycie.

Uniosła głowę i jak zawsze spojrzała mu prosto, w twarz.

— Widzę, że pan się chce trochę przekomarzać ze mną? — spytała cicho.

Ale on mówił dalej:

— Ach! A więc są szare... szare z niebieskim od- eieniem, prawda?

To było wszystko, na co się odważyli; ale te kilka słów, jakie między nimi padły, nabrały jakiejś niezmierniej czułości. Odtąd często zastawał ją samą o szarej godzinie. Stawali się sobie coraz bliżsi, choć nie starali się o to i nie zdawali sobie z tego sprawy. Głosy ich się zmieniały, nabierały czułych tonów, których nie miały, - gdy nie byli sami. A jednak gdy zjawiała się Julietta, wnosząc ze sobą podnieconą paplaninę o swych wędrówkach po Paryżu, nie byli ani trochę zakłopotani, mogli przy niej kończyć zaczęłą rozmowę nie mieszając się i nie odsuwając od siebie. Zdawało się, że ta piękna wiosna, ten ogród pełen kwitnących bzów przedłużał w nich pierwszy zachwyt miłości.

Choć pora nie była odpowiednia, w końcu miesiąca

pani Deberle przyszedł do głowy pomysł urządzenia wielkiego balu dla dzieci. Od razu zapaliła się do tego, zaprzatając nim całkowicie pustą główkę. Miał to być bal kostiumowy, taki, jakiego świat jeszcze nie widział. Natychmiast z zapalem zabrała się do przygotowań i swoim zwyczajem narobiła niezmiernie dużo szumu. W domu, poza domem, gdziekolwiek była, mówiła wyłącznie o tym balu. W ogrodzie narady toczyły się bez końca. Piękny Malignon uznał, że projekt jest nieco dziecinny, raczył się jednak nim zainteresować i przyrzekł sprowadzić na bal znajomego piosenkarza.

Pewnego popołudnia, gdy wszyscy byli w ogródku, Julietta poruszyła sprawę kostiumów Lucjana i Joasi.

— Nie mogę się zdecydować — powiedziała. — Sądzę, że chyba Pierrot z białego atlasu będzie najlepszy.

— Och! To takie pospolite! — rzekł Malignon. — Będzie pani miała na pewno z dobry tuzin Pierrotów na swym balu... Chwileczkę, zaraz coś się wymyśli...

Pograżył się w głębokiej zadumie, ssąc gałkę laski.

— Ja chcę być Subretką — wykrzyknęła nadchodząca Paulina.

— Ty! — powiedziała pani Deberle zaskoczona •?— ależ ty się w ogóle, nie przebierzesz! Czy uważasz się jeszcze za dziecko, stary koniu? Zechcesz łaskawie przyjść w białej sukni.

—| Szkoda! A tak się cieszyłam! — narzekała Paulina, która mimo swych osiemnastu<sup>1</sup> lat i krągłych kształtów lubiła się bawić z małymi dziećmi.

Helena tymczasem szła u stóp wiązu, podnosząc od czasu do czasu głowę, by uśmiechnąć się do doktora i pana Bambaud, którzy rozmawiali opodal. Pan Rambaud już się nieco zadomowił u Deberle'ów.

— A Joasia? — zapytał doktor. — Jak pani ją przebierze?

Przerwał mu okrzyk Ma lignona.

— Mam już, mam! Markiz Ludwika XV!

— |Wymachiwał triumfalnie laseczką, a widząc, że nikt nie podziela jego entuzjazmu, był bardzo zdziwiony.

— Jakże! Nie rozumiecie państwo?... Lucjan będzie | przyjmował gości, prawda? Więc stawiacie go pań- ; j stwo przy wejściu do salonu jako Markiza, z wielkim | bukietem róż w ręku, i będzie robił honory domu. j

— Ależ będziemy mieli tuziny Markizów — zaoponowała Julietta.

— Cóż to szkodzi? — powiedział spokojnie Malig-1| non. — Im więcej będzie Markizów, tym będzie zabawniej. Mówię pani, że to świetny pomysł!... Pan domu musi być Markizem, inaczej pani bal będzie do niczego.

Był taki zachwycony, że Julietta również zapaliła się do tego projektu. Rzeczywiście, kostium markiza Pompadour z białego atlasu w kwiaty byłby naprawdę uroczy.

— A Joasia? — powtórzył doktor.

Dziewczynka przybiegła i swym ulubionym pies- I czotliwym gestem przytuliła się do ramienia matki, a gdy Helena miała odpowiedzieć, szepnęła:

— Och, mam, pamiętasz, coś mi przyrzekła!

— Co takiego? — pytano dookoła.

Dziewczynka patrzyła na nią błagalnie, a Helena powiedziała śmiejąc się.

. — Joasia nie chce, aby wiadano, jak będzie przebrana.

— No, pewnie! Nie będzie przecież żadnej niespodzianki, gdy wszyscy będą wiedzieli.

Śmiano się przez chwilę z tej kokieterii, a pan Rambaud zaczął się z nią przekomarzać. Od pewnego czasu Joasia dąsała się na niego i biedaczysko, szczerze zmartwiony, chcąc się z powrotem wkraść w łaski małej przyjaciółki, zaczął się z nią droczyć sądząc, że ją tym sobie ujmie. Powtarzał patrząc na nią:

— A ja powiem, a ja powiem...

Joasia zbladła. Jej łagodna schorowana twarzyczka

nabrała twardego i okrutnego wyrazu, czoło przecięły dwie głębokie zmarszczki, podbródek wyciągnął się i drżał nerwowo. ,

— Ty! Ty nic nie powiesz — powiedziała zdławionym głosem.

A gdy udawał dalej, że chce powiedzieć, rzuciła się ku niemu jak szalona, krzyząc:

— Milcz! Słyszysz, masz milczeć!... Ja tak chcę!... Helena nie zdążyła zapobiec wybuchowi, jednemu z tych strasznych wybuchów zapamiętałej złości, które nieraz napadały dziewczynkę. Powiedziała tylko surowo:

— Joasiu, uważaj, żebym ja się nie musiała z tobą rozprawić!

Ale Joasia nie słuchała jej, nie słyszała, co do niej mówiono. Trzęsąc się od stóp do głowy, tupiąc nogami, dławiąc się powtarzała: „Ja tak chcę!... Ja tak chcę!...”, głosem, który stawał się coraz bardziej chrapliwy i dziki; schwyciła kurczowo ramię pana Rambaud wykręcając je z niezwykłą siłą. Na próżno Helena gniewała się na nią. Zmartwiona tą sceną przy obcych, nie mogąc poskromić córki surowością, powiedziała cicho i łagodnie:

—Bardzo mnie martwisz, Joasiu. Dziewczynka natychmiast puściła rękę pana Rambaud i odwróciła się do matki. A gdy zobaczyła jej strapioną twarz i oczy pełne powstrzymywanych łez, sama wybuchnęła łkaniem i krzyknęła rzucając się jej na szyję:

—Mamo, nie... Mamo, nie...

Głodziła ją po twarzy, by nie płakała. Matka powoli odsunęła ją od siebie, a wówczas Joasia, oszalała z żalu i rozpacz, padła na pobliską ławkę i rozsłochała się jeszcze głośnie. Lucjan, któremu zawsze stawiano ją za przykład, przyglądał jej się teraz zdziwiony, a nawet nieco zachwycony. A gdy składając robotę Helena przeproszała za niemłą scenę, Julietta powiedziała, że mała ma bardzo dobre serce, a teraz biedactwo tak ogromnie żałuje, iż jest już chyba do



statecznie ukarana. Mój Boże, dzieciom wszystko trzeba wybaczyć. Zawołała Joasię chcąc ją ucałować, ale dziewczyna dalej się dąsała i płacząc spazmatycznie nie ruszała się z ławki.

Doktor Deberle i pan Rambaud zbliżyli się do niej. Pan Rambaud, wzruszony, pochylił się i zapytał ją- A godnie:

— O co się na mnie gniewasz, kochanie moje? Co ja ci zrobiłem?

— Bo chciałeś mi zabrać mamusię — powiedziała 'dziewczynka odejmując ręce od zapłakanej twarzy.

Doktor słysząc to zaczął się śmiać, a pan Rambaud nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

— Co też ty wygadujesz?

— A tak, wtedy we wtorek... Sam dobrze wiesz, przecież klękałeś przy mnie pytając, co bym powiedziała, gdybyś został u nas.

Doktor już się nie uśmiechał, jego pobladłe wargi zaczęły drżeć, a pan Rambaud, przeciwnie, zaczerwienił się i wyjąkał cicho:

— Ależ przecież sama powiedziałaś, że będziemy zawsze bawili się razem.

\*

— Nie, nie, ja nie wiedziałam — zawołała Joasia gwałtownie — nie chcę, słyszysz!... Nie mów o tym I nigdy, nigdy, to będziemy przyjaciółmi.

Helena, stojąc ze swym koszykiem z robótką, do- I słyszała ostatnie słowa.

— Wstawaj, Joasiu — powiedziała. — Nie trzeba I zanudzać ludzi swoimi łzami.

Pożegnała się prowadząc dziewczynkę przed sobą. I Doktor, bardzo blady, wpatrywał się w nią uporczy- I wie. Pan Rambaud był niezwykle zmieszany. Pani I Deberle, Paulina i Malignon obracali Lucjana na I wszystkie strony, rozprawiając żywo o tym, jak się I będzie prezentował w kostiumie markiza Pompadour I przy swej dziecinnej figurce.

Nazajutrz Helena była pod więzami sama. Pani De- I berle, zajęta przygotowywaniem balu, zabrała ze sobą I do miasta Joasię i Lucjana. Doktor wrócił nieco wcz- I śniej niż zazwyczaj i żywo zbiegł z tarasu do ogrodu; ale nie usiadł przy Helenie, tylko krążył wokół odrywając z drzew kawałki kory. Helena, zaniepokojona jego dziwnym zachowaniem, podniosła na chwilę oczy, a potem zaczęła szyc drżącymi rękami.

— Pogoda zaczyna się psuć powiedziała zakłopotana ciszą. — Dzisiaj jest prawie zimno.

— Mamy dopiero kwiecień — odparł, usiłując mówić zupełnie spokojnie. Zdawało się, że chce odejść, ale wrócił i zapytał ją niespodziewanie: — Więc pani wychodzi za mąż?

Zaskoczona tym obcesowym pytaniem, wypuściła robotę z ręki. Była bardzo blada. Całą siłą woli starała się opanować i tylko szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w niego w milczeniu.

— Błagam panią — mówił pokornie — jedno słowo, niech mi pani tylko powie... Wychodzi pani za mąż?

— Tak, być może, a cóż to pana obchodzi — powiedziała wreszcie lodowatym tonem.

Drgnął gwałtownie i zawołał:

— Ależ to niemożliwe!

— A to dlaczego? — odpowiedziała nie spuszczając z niego oczu.

Patrzyła na niego tak, że nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

Chwilę jeszcze stał przy niej podnosząc ręce do skroni; dławiała go pasja. Bojąc się, że wybuchnie, odszedł, a Helena udawała, że zabiera się spokojnie do swej roboty.

Ale odtąd znikł już cały powab tych uroczych popołudni. Na próżno doktor starał się nazajutrz być delikatny i uprzejmy. Helena czuła skrępowanie, gdy tylko pozostawała z nim sam na sam. Nie było już między nimi tej miłej prostoty, tego pogodnego zaufania, dzięki któremu mogli dotąd przebywać swobodnie razem, radując się po prostu tym, że są we dwoje. Teraz pomimo starań, jakich dokładał, by jej nie trwo-

^Hr żyć, patrzył na nią czasami, drżąc gwałtownie, a fala krwi uderzała mu do twarzy. Helena także utraciła swój niezmacony spokój, wstrząsały ją dreszcze, zamyślała się, często siedziała z opuszczonymi beczynie rękoma. Zdawało się, że ocknął się w nich obojgu cały świat żądź i nienawiści.

Helena nie pozwalała więcej Joasi oddalać się od siebie. Doktor wciąż między sobą a Heleną zastawał tego świadka, który śledził go uważnie swymi wielkimi, przenikliwymi oczami. Najbardziej przykre dla Heleny było jednak uczucie nagłego zakłopotania, jakie ją ogarniało wobec pani Deberle. Gdy Julietta z włosami w nieładzie wracała do domu i nazywając ją „kochaniem” opowiadała z przejęciem o swych wyprawach do miasta, Helena nie mogła już słuchać jej spokojnie i z uśmiechem; w głębi serca czuła zamęt uczuć, których uświadomić sobie nie chciała. Jednocześnie jakby wstydziała się i miała do Julietty urazę. Jej prawa natura buntowała się i gdy podawała rękę przyjaciółce, nie mogła powstrzymać dreszczu, jaki ciepłe palce Julietty wywoływały na jej skórze.

Pogoda się popsowała. Padały ulewne deszcze i obie panie zmuszone były chronić się w japońskim pawilonie. Wymuskany ogród zamienił się w jedną wielką kałużę i przejście przez alejkę groziło ubłoceniem się po kostki. Ale gdy tylko między dwiema chmurami ukazywał się promień słońca, cała mokra zieloność wysychała natychmiast, na każdym kwiatku bzu zawisały perły rosy, a z wiązków spadały wielkie krople wody.

— A więc wreszcie w sobotę — powiedziała pewnego dnia pani Deberle. — Ach, moja droga, jestem już naprawdę zupełnie bez sił!... Będzie pani o drugiej, prawda? Joasia z Lucjanem otworzą bal.

Ulegając odruchowi serdeczności, uszczęśliwiona z przygotowań do swego balu, Julietta ucałowała oboje dzieci i ujmując ze śmiechem Helenę za ramiona pocałowała ją mocno w oba policzki.

To jako zapłata dla mnie — powiedziała wesoło.

— ■ Chyba zasłużyłam na to, nabiegałam się dosyć. Zobaczysz pani, jak się zabawa uda.

Helena pozostała chłodna. Doktor ponad głową uwieszono mu na szyi Lucjana patrzył na obie kobiety

iv

W przedsiönku willi stał Piotr we fraku i białym krawacie, otwierając drzwi przed każdym zajeżdżającym pojazdem. Wpadał wówczas powiew wilgotnego powietrza, a żółty odbłask deszczowego popołudnia rozjaśniał wąski przedsiönek pełen kotar i zielonych roślin. Była druga godzina, ale szarzało już jak w smutny dzień zimowy.

Z chwilą jednak gdy Piotr otwierał drzwi pierwszego salonu, jasne światło oślepiło wchodzących gości. Żaluzje były opuszczone, zasłony starannie poza- ciągane. Nie przenikał tu ani jeden promień, a dzięki porozstawianym wszędzie lampom, świecom, płonącym w żyrandolu i w kryształowych kandelabrach, jasno było jak w kościele. W głębi, za małym salonem, którego rezedowe tapety przyćmiewały nieco blask światła, duży czarno-złoty salon jaśniał niby podczas balu, jaki pani Deberle wydawała co roku w styczniu.

Tymczasem dzieci zaczynały się schodzić, a Paulina, bardzo przejęta, ustawiała rzędem krzesła w salonie naprzeciw drzwi do stołowego pokoju, które wyjęto i zastąpiono czerwoną kotarą.

— Tatusiu — wołała — mógłbyś mi trochę pomóc. Nigdy przecież nie będziemy gotowi.

Pan Letellier, który z założonymi w tył rękami uważnie oglądał świecznik, pośpieszył z pomocą. Paulina sama przenosiła krzesła. Posłuchała siostry i włożyła białą sukienkę; tylko wycięty w karo, głęboki dekolt stanika odsłaniał piersi.

— No, jesteśmy gotowi — powiedziała. — Mogą

przychodzić. Ale co sobie myśli Julietta? Jeszcze nie skończyła ubierać Lucjana.

Pani Deberle właśnie wprowadziła małego Markiza. Wszyscy obecni wydali okrzyk zachwytu. Co za laleczka! Był taki miłutki w swym surduciku z białego wzorzystego atłasu, w długiej haftowanej złotem kamizelce i spodniach z wiśniowego jedwabiu! Podbródek i drobne rączki tonęły w koronkach. Szpada, zabaweczka z szeroką różową kokardą, zwisała mu I u boku.

— Chodź, rób honory domu — powiedziała matka I wprowadzając go do pierwszego salonu.

Od tygodnia już uczył się witania gości. Teraz więc I stanął śmiało na swych małych nóżkach, z pudrowa- I ną głową odchyłoną nieco do tyłu, z trójkątnym ka- I peluszem pod lewą pachą, i przed każdym przy by-. I wającym gościem składał ukłon, podawał ramię, wpro- I wadzał do salonu, kłaniał się i wracał na miejsce. I Śmiano się wokół niego, taki był poważny i rezydent- I ny. W ten sposób wprowadził pięcioletnią Małgorzat- I kę Tissot w ślicznym stroju Mleczarki, z bańką mleka I zawieszoną u paska, dwie małe Berthier, Biankę i Zo- I się, z których jedna była Pajacem, a druga Subretką; I a nawet nie stropił się wobec Walentyny de Cher- I mette, poważnej czterastoletniej osoby, którą matka I zawsze przebierała za Hiszpankę. Był przy niej taki I drobnutki, że wydawało się, iż ona go niesie. W za- I kłopotanie wprowadziło go dopiero pięć panien Levas- I seur stanowiących całą gamę wzrostu: najmłodsza nie I miała jeszcze dwóch lat, a najstarsza dziesięć. Wszy I stkie pięć przebrane za Czerwone Kapturki, w cza- I pęczkach i sukienkach z pąsowego atłasu, przepasa- I nych czarnymi aksamitnymi szarfami, w szerokich I koronkowych fartuszkach. Nabrał jednak odwagi, od- I rzucił kapelusz, ujął dwie najstarsze pod lewe i prawe I ramię i wprowadził do salonu, a pozostałe trzy pi I dążyły za nim. Mimo ogólnej wesołości nie stracił ani I trochę tupetu małego mężczyzny. y

Tymczasem pani Deberle strofowała w kącie siostrę- I

— Coś podobnego! Jak mogłaś się tak wydekoltować!

— Phi, cóż takiego! Tatuś nic nie mówił — odpowiedziała spokojnie Paulina. — Jeśli chcesz, mogę sobie przypiąć bukiety.

Zerwała pęk kwiatów z jednej z zardynierek i wetknęła w wycięcie stanika. Matki w wieczorowych sukniach otoczyły panią Deberle, głośno podziwiając urządzone przyjęcie. Gdy Lucjan je mijał, Julietta poprawiła mu pudrowany lok, a on wspiął się, by spytać:

— A gdzie Joasia?

— Zaraz przyjdzie, mój drogi... Uważaj dobrze, żebyś się nie przewrócił. „, Prędko, przyszła mała Guiraud... Ach, jest za Alzatkę.

Salon zapełniał się; rzędy krzeseł ustawionych przed czerwoną kotarą były już prawie wszystkie zajęte, gwar głosów dziecięcych wzrastał. Chłopcy wchodzili grupami. Było już trzech Arlekinów, czterech Poliszyneli, jeden Figaro, Tyrolczycy, Szkoci. Mały Berthier był Paziem. Mały Guiraud, dwuletni brzdąc, obnosił swój strój Pierrota tak pociesznie, że każdy, kto przechodził koło niego, podnosił go i całował.

— Jest Joasia — powiedziała nagle pani Deberle. — Jaka prześliczna!

Rozległ się szmer podziwu, głowy wyciągnęły się wśród stłumionych okrzyków. Joasia stanęła na progu pierwszego salonu, podczas gdy Helena rozbierała się w przedpokoju. Dziewczynka w swym przebraniu Japonki wyglądała uroczo. Kimono haftowane w egzotyczne ptaki i kwiaty sięgało do ziemi zakrywając jej drobne nóżki. A pod szerokim pasem rozcięte poły ukazywały spód z zielonkawego, mieniącego się żółto jedwabiu. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej czarującego niż jej drobna twarzyczka pod przelkniętymi długimi szpilkami, wysoko upiętym kokiem, z jej wąskimi błyszczącymi oczami i bródką sarenki, co nadawało jej wyraz prawdziwej dziewczynki z Yeddo kroczącej wśród woni benzoesu i herbaty. Stała tak,

I wahająca się, mając w sobie chorobliwy smutek egzotycznego kwiatu, który marzy o swym ojczystym kraju.

Za nią zjawiła się Helena. Obie, przechodząc gwałtownie z szarości dnia na dworze do tego jaskrawego blasku świec, oślepienie, mrużyły oczy, lecz uśmiechały się. W przegrzanym, pachnącym fiołkami salonie zabrakło im trochę tchu, na ich chłodnych policzkach wystąpiły wypieki. Każdy z gości wchodząc miał ten sam wyraz zdumienia i wahania.

— No, Lucjanie! — zawołała pani Deberle.

Chłopczyk nie zauważył dotąd Joasi. Teraz rzucił się ku niej i wziął pod rękę zapominając złożyć ukłon. Oboje byli tak wytworni, tak filigranowi — mały Markiz w swym wzorzystym surduciku i Japoneczka w sukni haftowanej purpurą — że robili wrażenie figurek z saskiej porcelany, delikatnie malowanych i złoconych, które ożyły niespodziewanie.

— Wiesz, czekałem na ciebie — szepnął Lucjan. — Znudziło mi się już to podawanie ręki... Teraz będziemy razem, prawda?

I usiadł z nią w pierwszym rzędzie krzeseł zapominając zupełnie o obowiązkach pana domu.

— Byłam naprawdę niespokojna — powiedziała Julietta do Heleny. — Bałam się, że może Joasia zachorowała.

Helena usprawiedliwiała się: przy dzieciach jest zawsze roboty bez końca. Stała w jednym z rogów salonu między grupą pań, gdy wyczuła, że doktor staje za jej plecami. Wszedł rzeczywiście, odchylając czerwoną kotarę, za którą wsunął jeszcze głowę, by wydać ostatnie zlecenia. Lecz raptownie zatrzymał się. On także wyczuł obecność Heleny, mimo że stała do niego plecami. W sukni z czarnej jedwabnej koronki jej uroda była bardziej królewska niż kiedykolwiek. Zadrżał owiany chłodem, który wniosła ze dworu, a który jakby wydzieliał się z jej pleców i ramion nagich pod przezroczystą tkaniną.

— Henryk nie widzi nikogo — powiedziała śmiejąc się Paulina. — Jak się masz, Henryku.

Zbliżył się i przywitał z paniami. Stojąca obok panna Aurelia zatrzymała go na chwilę, by pokazać z daleka swego bratanka, którego przyprowadziła z sobą. Doktor przystanął uprzejmie. Helena bez słowa wyciągnęła rękę w czarnej rękawicze — doktor nie ośmielił się ucisnąć jej zbyt mocno.

— -----Jak to, jesteś już tutaj! — zawołała pani Deberle zjawiając się znów w salonie. — Szukam cię wszędzie... Dochodzi trzecia, można zaczynać.

— Naturalnie — powiedział. — W tej chwili.

Salon był już pełen gości. Rodzice w swych wieczorowych strojach tworzyli ciemne obramowanie wokół ścian salonu oświetlonego jasno blaskiem kandelabrow. Panie skupiły się zsunawszy swe krzesła, panowie, wciskając się tam, gdzie pozostało jeszcze trochę miejsca, stali nieruchomo pod ścianami, ale większość tłoczyła się w drzwiach sąsiedniego salonu. Snop światła padał na mały hałasujący świeatek, który niecierpliwiał się pośrodku obszernego pokoju pod wielkim żyrandolem. Było tam około setki pomieszanych ze sobą dzieci w wesołej pstrokacznie kolorowych kostiumów, gdzie przeważały niebieskie i różowe barwy. Była to jakby łąka jasnych główek wszystkich odcieni, od jasnopopielatych aż do czerwono- złotych, urozmaicona kokardami i kwiatami. Łan płowych czuprynek, poruszany, jak powiewem wiatru, wybuchami śmiechu. Czasami w tej gmatwaninie wstążek, jedwabiu i aksamitu ogłądała się za siebie jakaś twarzyczka o różowym nosku, roześmianej lub nadąsanej buzi, niebieskich, jakby załęknionych oczach. Były tam maleństwa, kruszynki, które ginęły pośród dziesięcioletnich zuchów, i matki wypatrywały ich na próżno. Większość chłopców siedziała zakłopotana, z gąpiowatą miną, obok dziewczynek, które rozkładały szeroko swe spódniczki. Ale niektórzy wykazywali wiele przedsiębiorczości trącając łokciami swe sąsiadki, chociaż ich nie znali, i śmiejąc im się

A  
M

w nos. Lecz małe dziewczynki zachowały majestat królowych. W grupach po trzy lub cztery, przyjaciółki wierciły się tak niespokojnie, aż krzesła trzeszczały, i rozmawiały tak głośno, że wreszcie nie było nic słychać. Wszystkie oczy były utkwione w czerwoną kotarę.

— Uwaga! — zawołał doktor i trzykrotnie zastukał w drzwi stołowego pokoju.

Czerwona kotara z wolna rozsunęła się i we framudze drzwi ukazał się teatr marionetek. Zapanowała cisza. Nagle zza kulis wyskoczył Poliszynel krzycząc: „Zgiń”, tak groźnie, że mały Guiraud także krzyknął z zachwyty i grozy. Była to jedna z tych strasznych historii, w której Poliszynel bije pałką Komisarza, zabija Żandarma i z szaleńczą wesołością depta wszystkie boskie i ludzkie prawa. Za każdym uderzeniem pałki ścinającej drewniane głowy cała widownia bezlitośnie wybuchała wesołym chichotem; każde uderzenie pałką, każdy pojedynek, w którym przeciwnicy tłukli się po głowach jak po pustych dyniach, każde łamanie nóg i rąk, po którym wszyscy wychodzili poszatkowani na kapustę, podwajały nieprzerwane wybuchy śmiechu rozlegające się ze wszystkich stron. A gdy Poliszynel przepiłowywał szyję Żandarma na brzegu rampy, radość doszła do szczytu. Operacja ta wywołała wesołość tak olbrzymią, że szeregi widzów popychały się przewracając na siebie. Jakaś czteroletnia dziewczynka, cała różowa i biała, przyciskała z błogim zachwytem rączki do serca, tak się jej to wydało urocze. Wszyscy klaskali, chłopcy śmieli się serdecznie na cały głos, akompaniując dźwięcznym śmiechem dziewczynek.

— Ale się bawią — szepnął doktor, który znowu stanął za Heleną.

Helena bawiła się razem z dziećmi, a on wdychał zapach jej włosów. W pewnej chwili, gdy Poliszynel moaniem uderzył pałką, odwróciła się i powiedziała:

— Wie pan, że to bardzo komiczne!

Podniecone dzieci brały żywy udział w akcji. Głośno

odpowiadały aktorom. Jakaś dziewczynka, która widocznie już tę sztukę widziała, mówiła, co będzie dalej. „Zaraz przepiłuje swą żonę... Teraz go powieszają. Najmłodsza Levasseur, ta dwuletnia, zawołała nagle:

— Mamo, czy go zamkną do ciemnej komórki?

Rozległy się okrzyki, głośne uwagi. Helena rozglądała się wśród dzieci.

— Nie widzę Joasi — powiedziała. — Ciekawam, czy dobrze się bawi.

Doktor pochylił się i szepnął jej do ucha:

— Widzi pani, tam, między Arlekinem a Normandką, widać szpilki w jej włosach. Zaśmiewa się.

Pozostał pochylony, czuł na swym policzku ciepło jej twarzy. Nie było dotąd między nimi żadnych wyznań, milczenie pozwalało im na przyjacielską poufałość od niedawna dopiero zmaconą dziwnym niepokojem. Ale teraz czuła na karku ciepło oddechu Henryka, zapominała się — wśród dźwięcznych śmiechów, rozbawionej dzieciarni czuła się sama małym dzieckiem. Głośne uderzenia pałki Poliszynela przyprawiały ją o drżenie, od którego dławilo w gardle; z błyszczącymi oczami zwracała się do Henryka.

— Mój Boże, jakież to głupie! — powtarzała co chwila. — Ależ się tłuką!

Podniecony jej bliskością odpowiadał:

— Ech, oni mają twarde głowy!

Na taką tylko odpowiedź umiał się zdobyć. Oboje zachowywali się jak dzieci, urzekano ich niezbyt przykładne życie Poliszynela. A gdy wreszcie na zakończenie sztuki zjawił się sam Diabeł i rozegrała się ostateczna batalia, ogólna rzeź, Helena odchylając się do tyłu przycisnęła plecami rękę Henryka opartą na poręczu jej fotela. Mali widzowie krzyżąc i klaszcząc w dłonie stukali krzesłami z zapamiętaniem.

Czerwona kotara zasunęła się. Wśród ogólnej wrzawy Paulina oznajmiła w swój zwykły sposób:

— Oto wreszcie piękny Malignon.

[Wszedł zadyszany, potrącając krzesła.

— Co za dziki pomysł tak szczerze pozasłaniać wszystkie okna! — zawołał zdziwiony. — Jakby się wchodziło do grobu. — A zwracając się do pani Deberle, która podeszła do niego, powiedział: — Ależ musiałem się nabiegać przez panią. Może być pani dumna... Od samego rana szukam Perdigueta, wie pani, tego śpiewaka... A że nie mogłem go złapać, przyprowadzam pani znakomitego Morizota...

Znakomity Morizot był amatorem, który kuglarski- mi sztuczkami zabawiał salony. Opróżniono mu jeden stolik i wykonał kilka swych popisowych sztuczek, które nikogo spośród małych widzów nie zachwycały. Biedne maleństwa nudziły się wyraźnie. Najmłodsze pospały się ssąc palce, starsze odwracały głowy uśmiechając się do rodziców, którzy sami ziewali dyskretnie. Toteż odetchnięto z ulgą, gdy znakomity Morizot zdecydował się uprzątnąć swój czarnoksiężski kramik.

— Ach, on jest naprawdę świetny — szepnęła Malignon do ucha pani Deberle.

Czerwona kotara rozsunięła się ponownie i dzieci, olśnione czarodziejskim widokiem, zerwały się na równe nogi.

Pokój stołowy oświetlony jasno dużą, wiszącą po- , środku lampą i dwoma dziesięcioramiennymi świecznikami prezentował się wspaniale; długi stół nakryty był i przystrojony jak na uroczysty obiad. Było pięćdziesiąt nakryć W środku i po obu końcach stołu w niskich koszach rozkwiatały bukiety kwiatów, a między nimi osiem wysokich pater, na których piętrzyły się „niespodzianki” w połyskujących różnokolorowych i złotych papierkach. Były tam góry ciastek, piramidy kandyzowanych owoców, stopy kanapek, poniżej zaś mnogość talerzy symetrycznie uszeregowanych, pełnych słodczy, babeczek, brioszy, ptysiów, a dalej biszkopty, obwarzanki i makaroniki.

Galaretki trzęsły się w kryształowych salaterkach. A dostosowane do wzrostu gości buteleczki szampana wielkości dłoni tworzyły na stole iskrzący wieniec srebrnych kołpaków. Jednym słowem wspaniała uczta, o jakiej zapewne marzą dzieci w snach, uczta podana uroczyście, jak wielkie przyjęcie dla starszych; czarodziejskie przeistoczenie stołu dorosłych, na który wysypano róg obfitości cukierni i sklepu z zabawkami.

— Uwaga, panowie podają ramię swoim damom! — powiedziała pani Deberle uradowana zachwytem dzieci.

Ale ustawienie ich w szeregu nie bardzo się udawało. Lucjan z dumną miną podał ramię Joasi i szedł z nią w pierwszej parze. Za nimi reszta dzieci tłoczyła się i popychała. Mamy musiały usadzić je przy stole.

1 pozostawały przy nich, zwłaszcza przy najmniejszych, pilnując, by się coś nie wydarzyło. Biesiadnicy byli zrazu bardzo onieśmieleni, przyglądali się sobie, nie mieli odwagi tknąć tych smakołyków, zagubieni i zakłopotani tym światem na opak, w którym dzieci siedzą przy stole, a dorośli stoją. Wreszcie najstarsi pierwsi odważyli się sięgnąć po coś. Potem, gdy wtrąciły się mamy, krając babki i podając wszystkim dokoła, uczta stała się ożywiona i bardzo hałaśliwa. Nieskazitelna symetria na stole znikła jak po huraganie, wszystko zaczęło się naraz ruszać, zmieniać miejsce, wyciągnięte ręce opróżniały krążące półmiski. Obie małe Berthier, Bianka i Zosia, zaśmiewały się nad swoimi talerzami, na których było wszystko, konfitury, krem, ciastka, owoce. Pięć panien Levasseur zgarniało ku sobie łakocie na zapas, a Walentyna, dumna ze swych czterestu lat, niby dorosła dama troszczyła się o sąsiadów. Lucjan chciał się okazać gościnnym panem domu i stworzył butelkę szampana, ale tak niefortunnie, że omal nie wylał całej na swe wiśniowe jedwabne spodenki. Zrobiło się zamieszanie.

— Nie ruszaj butelek! Ja sama otworzę szampana — zawołała Paulina.

Dwoiła się i troiła, doskonale bawiła się po swojemu. Gdy tylko wchodził Piotr, wyrywała mu dzbanek z czekoladą, by ze zreżnością kelnera napełniać filiżanki, co sprawiało jej niezwykłą przyjemność. Roznosiła lody i wodę z sokiem, rzucała wszystko, by zająć się jakimś zapomnianym brzdącem, i znów biegała dookoła wypytując to jednych, to drugich:

— Co chcesz, mój grubasie? Co? Brioszę?... Zaczekaj, kochanie, zaraz ci podam pomarańczę... Jedzcież, głupty, bawić będziecie się później.

Pani Deberle, bardziej opanowana, powtarzała, żej\* dzieci trzeba zostawić w spokoju, że dadzą sobie radę same. W rogu salonu kilka pań, a wśród nich Helena, | zaśmiewały się z tego, co się działo przy stole. Wszystkie te różowe buziaki chrupały zawzięcie białymi ząbkami. A najzabawniejsze było, gdy te dobrze ułożone dzieci zapominały się i zachowywały jak małe dzikusy. Brały szklanki w obie ręce, by wypić duszkiem, chlapały na siebie, plamiły swe kostiumy. Gwar stawał się coraz większy. Na półmiskach niewiele już zostało. Nawet Joasia nie mogła usiedzieć na krześle, / słysząc kadryla granego w salonie, a gdy matka podeszła do niej robiąc wymówki, że jadła za dużo, odpowiedziała:

— Ach, mam, kiedy ja dzisiaj jestem taka zdrowa!

Dzieci wstawały słysząc muzykę. Wokół stołu robiło się pusto i wkrótce pozostał przy nim tylko jeden maleńki tłuścioch, widocznie całkowicie obojętny na dźwięki fortepianu. Taki mały, że brodą opierał się o stół, siedział z serwetką na szyi, otwierając szeroko okrągłe oczy i usta za każdym razem, gdy matka podawała mu łyżeczkę czekolady. Filiżanka była wreszcie pusta, pozwolił sobie obetrzeć buzię, wciąż jeszcze przelękając i coraz szerzej otwierając oczy.

— Do licha, mój nieboraku, dobrze ci się powodzi! — powiedział Malignon przyglądając mu się zazdrośnie.

Teraz przyszła kolej na „niespodzianki”. Każde z dzieci wstając od stołu zabierało jedną paczuszkę w złożonym papierze, rozwijało niecierpliwie i wyjmowało z nich zabawki, maskaradowe przybranie głowy z kolorowej bibułki, ptaki, motyle. Ale największą radością były petardy, w każdej „niespodziance” znajdowała się jedna. Chłopcy strzelali odważnie, uszczęśliwieni hukiem, a dziewczynki, przymykając oczy, także próbowały strzelać, choć nie zawsze im się to udawało. Przez chwilę nie było nic słychać prócz huku salw. Wśród tego zgielku dzieci wróciły do salonu, gdzie fortepian bez przerwy wygrywał kadryla.

— Mam ochotę na brioszkę — powiedziała panna 'urelia.

Przy opuszczonym przez dzieci stole, pełnym jeszcze resztek wspaniałych przysmaków, usiadły teraz panie, które przezornie czekały, by móc wreszcie coś zjeść. Ponieważ nikogo ze służby nie było w pobliżu i nie miał im kto podawać, więc zajął się nimi Malignon. Ponalewał do filiżanek resztę czekolady, wypróżnił butelki do dna, znalazł nawet lody. Usłużnie troszcząc się o panie, nie przestawał jednak mówić

0 dziwnym pomysłem tak szczelnego pozasłaniania okien.

Naprawdę jesteśmy tu jak w piwnicy — powiedział.

Helena rozmawiała, stojąc, z panią Deberle. Julietta przesała do salonu, a gdy Helena chciała iść razem z nią, poczuła nagle, że ktoś lekko dotknął jej ramienia. Henryk nie odstępował jej, stał teraz za nią, uśmiechając się.

— Czym można pani służyć? Czy pani mi wszystkiego odmówi? — zapytał.

W tym zdawkowym pytaniu zawarł tak gorącą prośbę, że uczuła się ogromnie zmieszana. Rozumiała dobrze, co się w tych słowach kryje. Sama była nieco podniecona ogólną wesołością. Ten mały, rozbiegany 1 rozkrzyczany światek udzielał i jej swego rozochocenia. Zarumieniona, z błyszczącymi oczami odmówiła zrazu:

— Dziękuję bardzo za wszystko.

Ale gdy usilnie nalegał, zaniepokojona, chcąc się go pozbyć, zgodziła się.

— Więc dobrze, proszę o herbatę.

Za chwilę wrócił z herbatą, którą podał drżącymi rękoma. A gdy Helena piła, nachylił się ku niej — w jego nabrzmiałych, drżących ustach czuła już wyznanie wzbierające mu w sercu. Cofnęła się, oddała mu pustą filiżankę i uciekła do salonu, zostawiając go samego z panną Aurelią, która robiła dokładny przegląd półmisków.

W głębi salonu fortepian grał bez przerwy, bawiono się głośno i wesoło, salon huczał tańcem. Wokół kadryla, którego tańczyła Joasia z Lucjanem, utworzyło się koło ciekawych. Mały Markiz mylił nieco figury i dopiero gdy tańczył z Joasią, szło mu lepiej; obejmował ją wpół i kręcili się razem. Joasia poruszała się jak dama, dąsając się, że jej gniecie kostium, ale wreszcie i ona zapominała się w tańcu, obejmowała go i unosiła w górę. Fraczek z białego wzorzystego atłasu mieszał się z kimonem w haftowane ptaki i kwiaty. Mieli w sobie wdzięk wyjętych z gablotki figurek ze starej saskiej porcelany.

Po kadrylu Helena zawołała Joasię, by jej poprawić kimono.

— To wszystko przez niego — powiedziała dziewczynka. — Wszystko mi pogniółł i jest nieznośny.

Rodzice stojąc pod ścianami uśmiechali się do siebie. Fortepian znów się odezwał i dzieci zaczęły tańczyć, ale widząc, że są obserwowane, nie czuły się swobodnie, poważniały i starały się poruszać spokojnie, dystygowanie. Niektóre umiały tańczyć, ale większość nie знаła figur i podskakiwała w miejscu, nie bardzo wiedząc, co począć z rękami i nogami. Wmieszała się w to Paulina.

— Muszę się do was zabrać, niezdary.

Wpadła w środek kadryla, chwyciła za ręce dwóch tancerzy, jednego lewą ręką, drugiego prawą, i tak rozruszała wszystkich tańczących, że aż posadzka trzeszczała. Słysząc było tylko bezładne, nie do taktu przytupywanie, fortepian grał sam dla siebie. Reszta dorosłych także przyłączyła się do zabawy. Julietta i Helena wciągały do tańca nieśmiałe dziewczynki, prowadziły tańce, kierowały figurami, popychały kawalerów, tworzyły kółka. Matki powierzały im swe najmłodsze pociechy, by i one, trzymane za obie rączki, poskakały sobie. Bał był w pełni. Tańczący, podobni do rozdokazywanej szkoły, w której niespodziewanie zabrakło nauczyciela, bawili się ochoczo, z całego serca zaśmiewając się i popychając. Trudno sobie wyobrazić coś weselszego niż ten karnawał dzieciarni, niż tych małych mężczyzn i te małe kobietki w strojach wszystkich ludów i epok, miniaturowy świat bohaterów sceny i baśni. Przy słodkich minkach, zaróżowionych buziach i niebieskich oczach kostiumy także nabierały dziecięcej świeżości. Wyglądało to jak baśniowa maskarada amorków na zaręczynach jakiegoś księcia Czarar.

— Można się udusić — powtarzał Malignon — muszę odetchnąć.

Wychodził i otwierał na roścież drzwi salonu. Z zewnątrz wpadało wtedy blade światło dzienne odbijające smutno od jarzących się świec i lamp. Co kwadrans otwierał tak drzwi na całą szerokość.

Fortepian grał bez przerwy. Mała Guiraud, z wielką czarną kokardą Alzatki w jasnych włosach, tańczyła w ramionach dwukrotnie większego od siebie Arlekina. Jakiś Szkot tak gwałtownie okręcał w tańcu Małgorzatkę Tissot, że zgubiła w pędzie swą bańkę na mleko. Pajac brzęcząc dzwoneczkami obejmował Subretkę: to dwie nierozłączne Berthier, Bianka i Zosia, tańczyły ze sobą razem. A gdziekolwiek się spojrzęło, wszędzie pełno było panien Leyasseur, Czerwone Kapturki zdawały się mnożyć, czapeczki i suknie z pąsowego atłasu, przepasane czarnymi aksamitnymi szarfami, dwoiły się i troiły. Starsze dziewczynki i starsi chłopcy uciekli do drugiego salonu, by móc tańczyć swobodnie. Walentyna de Chermette, otulona w mantylę Hiszpanki, wykonywała skompliko-



wane pas naprzeciw młodzieńca we fraku. Nagle rozległy się głośne śmiechy, wołano się nawzajem i pokazywano sobie małego Guiraud, dwuletniego Pierróta, z maleńką dziewczynką w jego wieku, przebraną za pasterkę. By nie upaść, objęli się mocno i z policzkiem przytulonym do policzka zawzięcie dreptali w kółko, poważni i skupieni.

— Nie mogę już — powiedziała Helena zdyszana, opierając się o drzwi stołowego pokoju.

Wachlowała się, zaczerwieniona i zgrzana tańcem. Pierś jej unosiła się pod prześwitującą koronką stanika. I znów poczuła na ramionach oddech Henryka, który jej nie odstępował, ale nie miała już siły, by uciec przed jego wyznaniem. Przyniósł się i powiedział cicho, tuż przy jej włosach:

— Kocham panią! Jakże panią kocham!

Gończy żar ją ogarnął, zapłonęła od stóp do głowy. Boże mój! A więc powiedział — nie będzie już mogła udawać, że o tym nie wie! Jakże teraz zachowa spokój? Zaczerwienioną twarz zakryła wachlarzem. Rozochociona dzieciarnia tupiała zawzięcie, tańcząc ostatniego kadryla. Dźwięczały srebrzyste śmiechy, piskliwe okrzyki radości rozlegały się jak świergot ptaków. Dziwna świeżość biła od tych maleństw rozhasanych jak diabliki.

— Kocham panią! Jakże panią kocham! — powtórzył Henryk.

Zadrzała znowu, nie chciała słuchać. Nieprzytomna, cofnęła się do stołowego pokoju. Tu było pusto, tylko pan Letellier spał smacznie na krześle. Henryk wszedł za nią. Odważył się schwytać ją za rękę nie bacząc na nic; zadrzała, gdy zobaczyła jego twarz zmienioną pożądaniem. Powtarzał wciąż:

— Kocham panią, kocham panią!

— Proszę mnie puścić — powiedziała słabo. — Proszę mnie puścić, pan jest szalony!

W salonie rozbawiona dzieciarnia tańczyła zapamiętane\* tale, słychać było dzwoneczki Bianki Berthier i przytłumione dźwięki fortepianu. Pani Deberle i Paulina klaskały w dłonie w takt melodii. Tańczono polkę. Helena dostrzegła Joasię z Lucjanem, uśmiechniętych i trzymających się wpół w tańcu.

Szarpnęła się, wyrwała z rąk Henryka i uciekła do sąsiedniego pokoju, gdzie było już tylko dzienne światło. Jasność oślepiła ją nagle. Bała się wrócić do salonu z twarzą, na której każdy mógł wyczytać miłość. Przebiegła przez ogród i wróciła do siebie na górę, odprowadzana zgiełkiem i muzyką roztańczonego balu.

v

Gdy wróciła na górę do swojej klasztornej samotni, wydało się jej, że się udusi. Wracła zdyszana, gorejąca, podniecona przeżyтым wzruszeniem. Zaciszne mieszkanko, pełne spokoju, drzemiące w swych niebieskich aksamitach, wydało się jej dziwnie obce. Czyż ta odludna, martwa samotnia, gdzie nie miała czym oddychać, była naprawdę jej mieszkaniem? Jednym szarpnięciem otworzyła okno, oparła się o parapet i patrzyła przed siebie na rozległy widok Paryża.

Deszcz ustał, chmury, podobne do olbrzymiego stada rozpierzchającego się bezładnie, odpływały i nikły na zamglonym widnokręgu. Płat czystego, błękitnego nieba nad samym miastem rozrastał się powoli. Helena, wsparta łokciami na oknie, wciąż jeszcze zadyszana zbyt szybkim wchodzeniem na schody, nic nie widziała, słyszała tylko gwałtowne bicie własnego serca w rozfalowanej piersi. Oddychała głęboko — wydało się jej, że nad tym wielkim miastem, z jego dwoma milionami mieszkańców, nad tą niezmierną doliną wśród oddalonych wzgórz, przeciętą korytem rzeki, było zbyt mało powietrza, by mogła spokojnie, miarowo oddychać.

Przez chwilę stała tak, oszołomiona i przerażona, w zamroczeniu, które ogarniało ją całą. Nawał uczuć i myśli skłębionych bezładnie przelewał się przez nią

nie pozwalając opamiętać się i zastanowić. Szumiało jej w uszach, przed oczami snuły się szerokie jasne plamy. Uświadomiła sobie nagle ze zdumieniem, że ogląda rękawiczki na rękach, i przypomniała sobie, że u lewej miała przyszyć guzik. I niespodziewanie powiedziała głośno do samej siebie, powtarzając coraz ciszej:

— Kocham panią... Kocham panią... Boże mój, jakże panią kocham...

Odruchowo ukryła twarz w splecionych dłoniach, przyciskając palce do zamkniętych oczu, jakby chcąc powiększyć mrok, który ją otaczał. Zapagnęła zniknąć, unicestwić się, nic nie widzieć, być zupełnie sama wśród całkowitych ciemności. Zaczynała oddychać spokojnie. Na twarzy czuła tchnienie Paryża, był przy niej, choć nie chciała nań patrzeć; a jednak nie miała odwagi odejść od okna, bała się, że mogłoby pod nią nie być tego miasta, którego niezmierny ogrom koł jej wzburzenie.

I natychmiast zapomniała o nim. Mimo woli scena wyznania odradzała się stale w jej wyobraźni. Z głębi nieprzeniknionej czerni ukazywał się niezwykle wyraźnie Henryk, tak żywo, że dostrzegła drobne nerwowe drgania jego ust. Zbliżał się i pochylał nad nią. Bezwiednie rzuciła się w tył, nieprzytomna. Mimo to czuła jego gorący oddech na swych ramionach, słyszała wciąż jego głos: „Kocham panią... Kocham panią...” A gdy całym wysiłkiem woli udało się jej odegnać wizję, ta po chwili ukazywała się znów w oddali, z wolna przybliżała się, rosła i znów Henryk był przy niej, szedł za nią ze stołowego pokoju do salonu, powtarzając bez przerwy: „Kocham panią, kocham panią.” Słowa te, rozdzwonione potężnie w niej całej, rozsadzające jej pierś, uparcie wracały jak miarowe bicie dzwonu. Chciała zastanowić się, spokojnie rozważyć, unicestwiała w sobie obraz Henryka. Wyznał i nigdy już nie odważył się spojrzeć mu w oczy, jego gruboskórność mężczyzny zniweczyła czar ich uczuć.

Wspominała minione dni, gdy ją kochał, a nie był tak okrutny, by mówić jej o tym, szczęśliwe, piękne dni budzącej się wiosny, wśród zieleni ogrodu. Boże mój, wyznał! Myśl ta wracała uparcie, przesłaniała świat cały, i nawet grom z jasnego nieba burzący Paryż w jej oczach nie sprawiłby na niej teraz żadnego wrażenia. Serce jej buntowało się, pełne oburzenia, gniewu, urażonej godności, pomieszanych jednak ze skrytą rozkoszą nie do przecięcia, rozkoszą, która poruszała i upajała ją całą. Wyznał i wciąż wyznawał dalej, wciąż wracał uparcie ze swymi palącymi słowami: „Kocham panią... Kocham panią”, słowami, które niweczyły całe jej dotychczasowe życie uczciwej kobiety i matki.

A jednak w mrokach, w jakich sama się pogrążała, mimo zapamiętania się w wizjach i wspomnieniach, zachowała świadomość szerokich przestrzeni rozciągających się u jej stóp. Słyszała bez przerwy potężny szum, jakby zalewało i ogarniało ją całe morze pulsującego życia. Jakby dźwięki, zapachy, nawet blaski były ją po twarzy poprzez nerwowo splecione na niej dłonie. Chwilami pod jej zaciśnięte powieki zdawały się przenikać jasne błyski, a w blasku ich widziała gmachy, kopuły i wieże, rysujące się ostro w wyobraźni. Odjęła ręce od twarzy, otworzyła oczy- i stanęła olśniona. Bezbrzeżne niebo zawisło nad nią: Henryk znikł.

W oddali, na widnokręgu, widać było jedynie rozciągnięty wał chmur, jakby bezładne nagromadzenie kredowych skał. Na czystym, ciemnym błękitcie przepływały teraz tylko pojedyncze białe obłoki, żeglujące powoli jak flotylla wydymanych wiatrem żagli. Na północy, w kącie nieba, nad Montmartre, rozpościerała się niezmiernie delikatna biała firanka, jak jedwabna sieć zastawiona przez jakiegoś rybaka na tym cichym oceanie. A na zachodzie, w stronie wzgórz Meudon, już niewidocznych z okna Heleny, resztki ulewy zapewne zasłaniały jeszcze słońce, bo Paryż mimo rozjaśnionego nad nim nieba pozostawał

ciemny, mokry, zasnuty oparami wysychających dachów. Miasto rysowało się niezmiernie wyraźnie z ostrymi krawędziami i tysiącami okien swych domów; miało jednolitą niebieskawoszarą barwę łupku, na tle której odcinały się ciemne drzewa. Sekwana mieniła się przyćmionym blaskiem sztaby starego srebra. Po obu brzegach rzeki budynki zdawały się być powleczone sadzą. Wieża Św. Jakuba sterczała jak przeżarty rdzą rupiec muzealny. Panteon wznosił się ponad swą posepną, ciemną dzielnicą, podobny do olbrzymiego katafalku. Tylko na kopule Inwalidów połyskiwały złocenia niby lampy palące się w biały dzień, melancholijnie zadumane nad ciemną żalobą mroku okrywającą Paryż. Znikły kontury miasta. Paryż zasnuty mgłami zamazywał się i czerniał na widnokręgu, podobny do olbrzymiego, delikatnego szkicu węglem, bardzo wyrazistego pod przejrzystym niebem.

Helena patrząc na to smutne miasto pomyślała sobie, że Henryka nie zna wcale. Teraz, gdy jego obraz już jej nie prześladował, była znów silna. Buntowała się cała przeciw opętaniu, jakie od kilku tygodni zmuszało ją natrętnie do myśli o tym człowieku. Nie, nie znała go przecież wcale. Nic nie wiedziała o nim, o tym, co robił, o czym myślał, nie mogła sobie nawet powiedzieć, że był nieprzeciętną indywidualnością, i być może serca brakowało mu jeszcze bardziej niż zalet umysłu. Nękały ją te wszystkie wątpliwości, a na dnię każdej z nich znajdowała nową gorycz, starała się przebić ten mur nieświadomości, jaki oddzielał ją od Henryka i nie pozwalał jej go poznać. Nic o nim nie wiedziała, nigdy nic o nim wiedzieć nie będzie. Nie mogła sobie wyobrazić, by był czymś więcej niż brutalem, który słowami pełnymi ognia zburzył nienaruszony spokój i równowagę jej dotychczasowego szczęśliwego życia. Skąd on się wziął, by dręczyć ją w ten sposób? Nagle uświadomiła sobie, że przed sześciu tygodniami nawet nie wiedział o jej istnieniu, i myśl ta wydała jej się nie do zniesienia.

Boże mój! Nie znać się wcale, nie spotkać się przez całe życie, minąć się nic nie wiedząc o sobie. Rozpaczliwie zacisnęła ręce, łzy napłynęły jej do oczu.

Utkwiła wzrok w dalekich wieżach katedry Marii Panny ozłoconych promieniem słońca, który przedzierał się pomiędzy chmurkami. Głowa ciążyła jej od nawału kłębiących się, sprzecznych ze sobą myśli. Nie mogła tego znieść dłużej i patrzyła na Paryż chcąc jak zwykle odzyskać spokój w widoku morza jego dachów. Ileż to razy o tej samej godzinie, wśród ciszy pięknych wieczorów panorama wielkiego, nie znanego miasta kołysała ją do słodkich marzeń! Tymczasem u jej stóp cały Paryż rozłocił się niespodziewanie słońcem. Po pierwszym promieniu, który padł na katedrę Marii Panny, trysnęły inne, uderzając na miasto. Słońce zbliżając się do horyzontu przedzierało się przez chmury. Dzielnice ukazywały się w szachownicy światła i cienia. Przez chwilę cały lewy brzeg był ołowianoszary, a prawy cętkowały jasne plamy słonecznego blasku, jak olbrzymią, rozciągniętą aż do rzeki skórę lamparta. Później, w zależności od wiatru, który pędził chmury po niebie, jasne i ciemne plamy na ziemi zmieniały swe kształty i miejsca. Po złoconych dachach czarne cienie sunęły nieprzerwanie w jedną stronę, przemykając się spokojnie i cicho. Niektóre z nich, olbrzymie, płynęły z godnością admiralskiego okrętu, otoczone mniejszymi, które zachowywały porządek eskadry w szyku bojowym. Ogromny, wydłużony cień rozwierał swą smoczą paszczę i osaczał przez chwilę Paryż, jakby chcąc go połknąć. A gdy zniknął w oddali na widnokręgu, zmalały do wielkości robaczki, słońce wytrysnęło zza obłoku i zalało potokiem światła pozostawioną przez niego pustkę. Widać było złocistą kurzawę przeciekającą jak miętka piasek, rozszerzającą się w olbrzymie stożki i opadającą nieustannie na okolicę Pól Elizejskich, które obryzgiwała rojem migotliwych blasków. Długo trwała ta roziskrzona ulewa ze swymi ciągłymi bryzgami świetlnego pyłu.

Więc tak! Miłość była nieuchronna. Helena nie broniła się więcej. Była już u kresu sił w walce przeciw własnemu sercu. Henryk mógł ją wziąć, już by mu się nie opierała. Niech zakosztuje Wreszcie szczęścia nie walcząc dłużej. Dlaczego miałyby bez końca bronić się? Czyż nie czekała dosyć? Wspomnienia przeszłości napelniały ją pogardą i oburzeniem. Jak mogła wytrzymać w tym obojętnym chłdzie, z którego niegdyś była tak dumna? Wspominała swą młodość, gdy jako dorastająca dziewczyna wciąż drżała z zimna w Marsylii na ulicy des Petites-Maries; jako młoda mężatka wyżywała się w kłopotach gospodarskich, chłodna i obojętna wobec tego dużego dziecka, które całowało jej nagie stopy. We wszystkich chwilach swego życia zawsze tym samym krokiem dążyła po tej samej drodze, bez wzruszeń, które by naruszyły jej spokój. Jej obecne życie, jednostajne, senne, w którym nie było miejsca na namiętności, budziło w niej wstręt. Czyż rzeczywiście, czyż naprawdę była szczęśliwa przeżywszy w ten sposób trzydzieści lat, z sercem uspionym, wypełniając swą pustą egzystencję dumą uczciwej kobiety? Cóż to za obłuda — taka nieskazitelność, taka prawość nieugięta, która zamykała się w jałowym zadowoleniu dewocji! Nie, nie, dosyć tego, chciała żyć. Straszliwe szyderstwo zbudziło się w niej przeciw własnemu rozsądkowi. Rozsądek! Zaiste, budził w niej politowanie. Przez całe życie rozsądek nie przyniósł jej ani części radości, którą by można porównać do tej, jaką przeżywała od godziny. Dotąd nie wierzyła, by mogła upaść kiedykolwiek, była święcie przekonana, że dojdzie do końca swej drogi nawet się nie potknąwszy. A teraz pożądała tego upadku, pragnęła, by przyszedł natychmiast, by był całkowity. Bunt jej przeradzał się w to nieodparte pragnienie. Och, zatonąć w uścisku, przeżyć choć i w jednej minucie to, czego nie przeżyła dotąd wcale, i A jednak w głębi duszy było jej smutno. Miała w sobie niepokój, uczucie pustki i ciemności. Usiłowała się bronić. Czyż nie była wolna? Kochając Henryka nie zdradzała nikogo, mogła rozporządzać swymi ] uczuciami, jak jej się podobało. Czyż wszystko jej nie usprawiedliwiał? Jakież było jej życie prawie od dwóch lat. Teraz pojmowała, że wszystko czyniło ją słabą, przygotowywało do miłości. Jej wdowieństwo, Jej całkowita swoboda, jej samotność. Widocznie żar serca tlił się w niej w czasie długich wieczorów spędzanych między dwoma przyjaciółmi, księdzem i Jego bratem, ludźmi skromnymi, których spokój ją usy- l piał. Tlił się, gdy odgradzała się od świata, obok Paryża huczącego na widnokręgu. Tlił się stale, gdy wsparta lią rękach wyglądała przez okno, oddana marzeniom, jakich nie znała dawniej, a które powoli ją obezwładniały. Przypomniła sobie dokładnie pogodny poranek wiosenny, miasto czyste i białe w kryształowym powietrzu, jasny, młodzieńczy Paryż, w który wpatrywała się leniwie, leżąc na kanapie z książką opuszczoną na kolana. Właśnie owego dnia obudziła się jej miłość dając o sobie znać lekkim dreszczem, którego nie umiała wówczas określić i wobec którego zdawała się być dostatecznie silna. Dziś wyglądała przez to samo okno, ten sam Paryż płonął w zachodzącym słońcu, a ona czuła się pokonana przez swe rozbudzone zmysły. Wydało jej się, że jest to płomienny wieczór tamtego pogodnego ranka, że jeden dzień wystarczył, by ognie rozgorzały w jej sercu.

Niebo zmieniło się. Słońce zniżając się ku wzgórzom Meudon rozproszyło ostatnie chmury i zabłysło wspa- niale. Błękit nieba rozpałał się wieczorną zorzą. W dali, na widnokręgu, zwały kredowych skał zasłaniające krańce Charenton i Choisy-le-Roi zamieniły się w bloki najwyższej czerwieni; flotylla obłoczków płynących z wolna po błękitcie nad Paryżem pokryła się purpurowymi żaglami, a delikatna siatka z białego jedwabiu, rozciągnięta ponad Montmartre, nagle wydała się utkana ze złotych nici, której oczka miały schwytać gwiazdy, gdy się tylko ukazą. Pod tym płonącym sklepieniem leżało miasto całe żółte, porys-

I wane wielkimi cieniami. W dole, na obszernym placu, wzdłuż a lei, dorożki i omnibusy wymijały się w żółtej kurzawie, wśród czarnego mrowiska tłumu pieszych, oświetlonych błyskami promieni. Seminarium duchowne sunące parami wzdłuż Quai Debilly w rozproszonym świetle blasków tworzyło zwarty wąż sutann koloru ochry. Dalej masa powozów i pieszych zacierała się, a na oddalonych mostach można się było jedynie domyślać sznura pojazdów po błyszczących, Jw słońcu latarniach. Na lewo wysokie, proste i czerwone kominy Piekarni Wojskowej wyrzucały wielkie kłęby jasnego żółtawego dymu, a po drugiej stronie rzeki wspaniałe wiązy Quai d'Orsay tworzyły ciemną masę przerywaną promieniami słońca. Sekwana między stromymi brzegami oświetlonymi przez skośne promienie toczyła niespokojne fale, w których niebieskie, żółte i zielone barwy mieniły się na przemian. W górze rzeki ta jaskrawa pstrokaczna móż Dalekiego Wschodu zlewała się w jedną, coraz bardziej olśniewającą złotą barwę, jakby z niewidocznego za widnokretem tygla wylano roztopiony metal, który — w miarę jak stygł — płynąc rozszerzał się i mienił jaskrawymi kolorami. Rozstawione nad tym strumieniem roztopionej lawy coraz cieńsze w oddali mosty przerzucały przez rzekę swe szare kreski, ginące wreszcie w natłoczeniu płonących domów, ponad którymi dwie wieże katedry Marii Panny czerwieniły . się jak dwie pochodnie. Po obu stronach tych wież płonęły wyniosłe gmachy. Wśród starodrzewu Pól Elizejskich witraże Pałacu Przemysłu tworzyły olbrzymie ognisko płonących głowni. W oddali, za złamanym dachem Sw. Magdaleny, masyw Opery podobny był do bloku miedzi. A inne gmachy, kopuły i wieże, kolumna Vendôme, Sw. Wincenty a Paulo, wieża Św. Jakuba, pawilony nowego Luwru i Tuilerie, wszystkie w koronach z płomieni, tworzyły olbrzymie stopy ognia na każdym skrzyżowaniu ulic. Kopuła Inwalidów, cała w ogniu, błyszczała tak intensywnie, jakby lada chwila miała runąć zasypując deszczem iskier: rozległą dzielnicę. Za wieżami Sw. Sulpicjusza, jedną wyższą, drugą niższą, na tle przyćmionego nieba wznosił się Panteon, niby trawiony żarem królewski pałac pożogi. W miarę jak słońce zniżało się ku zachodowi, w całym Paryżu zapalały się stopy gmachów. Błyski igrały po szczytach domów, podczas gdy w wąwozach ulic drzemały czarne dymy. Wszystkie fronty domów zwróconych w stronę Trocadero czerwieniały iskrząc się swymi szybami. Deszcz iskier wznosił się ponad miastem, jakby jakiś olbrzymi miech dął bez przerwy w tę ogromną kuźnię. Coraz nowe ich snopy wybuchały z przyległych dzielnic, gdzie wąwozy ulic znały się ciemnymi, jakby wypalonymi liniami. Nawet u krańców równiny, w głębi rudego popieliska pokrywającego Zgaszone, a jeszcze ciepłe dzielnice, wybuchały spóźnione, świetliste race, jak z jakiegoś nie dogaszonego pieca. Paryż gorzał, cała płaszczyzna stała się wkrótce jednym wielkim paleniskiem. Niebo czerwieniło się coraz bardziej, chmury krwawiły ponad ogromem złotego i purpurowego miasta.

Helena, skąpana w tym morzu płomieni, wydana namiętności, która ją pożerała, patrzyła na płonący Paryż.

Nagle wstrząsnęło ją dotknięcie małej rączki. ,

— Mamo! Mamo! — wołała Joasia.

Helena odwróciła się.

— No, nareszcie... — mówiła dalej Joasia. — Nie słyszałaś? Wołałam cię z dziesięć razy.

Dziewczynka, jeszcze w stroju Japonki, miała oczy błyszczące i policzki zaróżowione od zabawy. Nie dała matce przyjść do słowa.

— Bardzo ładnie! Zostawiłaś mnie samą... Wiesz, szukano ciebie wszędzie, wreszcie Paulinka odprowadziła mnie aż do schodów, bo inaczej bałabym się przejść przez ulicę. — I tuląc czule swą twarzą do ust matki zapytała niespodziewanie: — Kochasz mnie?

Helena pocałowała ją z roztargnieniem. Była zdziwiona, jakby zniecierpliwiona, że dziecko wróciło tak

I wcześniej. Czyż rzeczywiście upłynęła już cała godzina, jak wymknęła się z balu? I odpowiedziała zaniepokojonemu dziecku, że istotnie czuła się słabo. Świeże powietrze zrobiło jej dobrze. Potrzebuje trochę spokoju.

— Nie bój się, jestem zanadto zmęczona — szepnęła Joasia. — Nie będę ci przeszkadzać, będę bardzo grzeczna... Ale mogę rozmawiać, prawda, mameczko?

Stała przy Helenie tuląc się do niej, szczęśliwa, że nie musi się od razu rozbierać; zachwycęła ją lamowane purpurą kimono i spód z zielonego jedwabiu. Potrząsała głową przysłuchując się, jak wisiorci u końców długich szpilek w jej fryzurze klekotały za każdym ruchem. Na balu musiała być grzeczna, rozsądna i nic nie mówić. Teraz brała za to odwet i cały potok szybkich słów popłynął z jej ust. Z miną niewiniątka, które zdawało się nic nie rozumieć, wszystko zauważyła, dosłyszała i wszystko zapamiętała.

— Wiesz, mamo, ten, co ruszał Poliszynem, to był stary człowiek z siwą brodą. Widziałam go doskonale, gdy kotara się odchyliła... Mały Guiraud beczał, ale głupił Bo mu powiedziano, że Zandarm przyjdzie nalać mu wody do zupy, i tak się wtedy rozkrzyczał, że trzeba go było zabrać... Przy stole Małgorzatka całkiem pomazała konfiturami swój kostium mleczarki. Jej mama wycierała ją i krzyczała: „Ach, ty brudasie!” Małgorzatka posmarowała sobie nawet włosy... Nie mówiłam nic, ale śmiać mi się chciało strasznie, jak dzieci się rzuciły na ciastka. Są źle wychowane, prawda, mameczko? — Milczała chwilę coś sobie przypominając, potem spytała zamyślona: — Powiedz, mamo, czy jadłaś te ciastka, takie żółte, a w środku z białym kremem. O, jakie to było pyszne, jakie pyszne!... Cały czas pilnowałam, żeby talerz był koło mnie.

Helena nie słuchała paplaniny dziecka. Ale Joasia mówiła bez przerwy, by uwolnić się od natłoku wrażeń, podając całą masę zauważonych na balu szczegółów. Najmniejsze drobiazgi nabierały dla niej nie- •zwyczajnej ważności.

— Wcale nie zauważyłaś, jak na samym początku odpiął mi się pasek. Jakaś pani, której nie znam, spięła mi go szpilką. Powiedziałam: „Bardzo pani .dziękuję.” Potem Lucjan ukłął się tą szpilką w tańcu i pytał się: „Co tam masz z przodu, co tak kłuje?” A ja wcale nie wiedziałam i powiedziałam mu, że nic nie mam. Dopiero Paulina zobaczyła i wpięła szpilkę jak potrzeba. Nie masz nawet pojęcia, jak się popychali. Jeden już zupełnie duży chłopiec, taki niegrzeczny, uderzył Zosię z tyłu tak, że mało nie upadła. Te Levasseur skakały na dwóch nogach od razu. Przecież tak się nie tańczy... Ale wiesz, najciekawsze było na końcu. Nie było cię Już wtedy, więc nie widziałaś. Wszyscy wzięli się za ręce i kręcili się wkoło. Można było umrzeć ze śmiechu. Nawet dorośli panowie też się kręcili. Naprawdę, nie kłamię!... Dlaczego nie wierzysz mi, mameczko?

Milczenie Heleny rozgniewało ją w końcu, przytuliła się mocno i szarpnęła ją za rękę. Wreszcie widząc, że nie doczeka się niczego prócz lakonicznych odpowiedzi, sama umilkła z wolna, pogrążając się również w zadumie, rozmyślając o tym balu, którego wspomnienie przepełniało jej młode serce. Teraz obie, matka i córka, trwały w milczeniu naprzeciw gorejącego Paryża. Oświetlony krwawiącymi chmurami stawał się dla nich jeszcze bardziej nie znany, podobny do jakiegoś legendarnego miasta, pokutującego za swe namiętności pod deszczem ognia.

— Kręcili się wkoło? — zapytała nagle Helena, jak obudzona ze snu.

— Tak, tak — szepnęła Joasia; teraz ona się zamyśliła.

— A pan doktor? Też tańczył?

— Naturalnie, kręcił się ze mną... Podnosił mnie do góry i pytał: „Gdzie twoja mama? Gdzie twoja mama?” Potem mnie pocałował.

Helena bezwiednie uśmiechnęła się na myśl o jego pieszczotach. Czyż rzeczywiście Henryka musiała znać i rozumieć? Przyjemniej było nie rozumieć go,

nie zrozumieć nigdy i przyjąć jako tego, na którego czekała od dawna. Dlaczego tak się dziwiła i niepokoiła? Stała na jej drodze, gdy wybiła godzina. [Tak było trzeba. Jej śmiała natura godziła się na wszystko. Kochała i była kochana, myśl ta napęliła ją spokojem i Helena mówiła sobie, że jest dość silna, by nie utracić swego szczęścia.

Noc nadchodziła powoli, powiał chłodny wiatr. Rozmarzona Joasia zadrzała. Oparła głowę na piersi matki i jak gdyby pytanie było wynikiem jej głębokiej zadumy, spytała po raz drugi:

— Kochasz mnie?

Helena wciąż uśmiechając się ujęła jej głowę w obie dłonie, jakby szukała czegoś na jej twarzy. Potem przycisnęła swe usta ponad małym różowym znamieniem. W to miejsce, wiedziała to dobrze, Henryk pocałował dziecko.

Tarcza słoneczna dotykała już ciemnego grzbietu wzgórz Meudon. Skośne promienie wyciągały się nad Paryżem coraz bardziej. Wydłużony cień kopuły Inwalidów zachodził na całą dzielnicę Saint-Germain; Opera, wieża Św. Jakuba, kolumny i iglice wież porysowały prawy brzeg Sekwany w czarne pręgi. Kontury fasad, krańce ulic, wyniosłe wysepki dachów płonęły przyćmionym ogniem. Szyby pociemniały, blaski dopalały się, domy przygasały powoli. Rozdzwoniły się dalekie dzwony. Głos ich to wzmagał się, to uciszał. Nadchodził wieczór, niebo rozpościerało nad palającym Paryżem swe fioletowe sklepienie porysowane w złote i purpurowe pasma. Nagle pożar wybuchł na nowo. Paryż wystrzelił ostatnim płomieniem, który oświetlił nawet najbardziej odległe przedmieścia. Potem jakby opadł popiół — dzielnice stały czerniejące jak wygasłe węgle.

### CZĘŚĆ TRZECIA

i

Pewnego majowego poranku Rozalka przybiegła z kuchni ze ścierką w rękę i zawołała poufale:

— Proszę pani! Niech pani zaraz idzie... Ksiądz jest na dole w ogrodzie doktora i coś tam kopie.

Helena nie ruszyła się z miejsca, ale Joasia pobiegła natychmiast. Po powrocie zawołała:

— Jaka ta Rozalka głupia! Ksiądz wcale nie kopie. Jest z ogrodnikiem, który układa mu kwiaty w małym wózku... Pani Deberle zrywa wszystkie róże...

— To na pewno do kościoła — odpowiedziała Helena nie przerywając haftowania.

Kilka minut później rozległ się dzwonek i ukazał się ksiądz Jouve. Wstąpił, by zawiadomić, że nie może przyjść w przyszły wtorek na obiad. Co wieczór będzie się teraz odprawiać nabożeństwo majowe. Proboszcz polecił mu zająć się ozdobieniem kościoła. Panie z parafii zaofiarowały kwiaty. Obiecano mu nawet dwie palmy wysokie na cztery metry, które postawi się po obu stronach ołtarza. Będzie przepięknie.

— Och, mamó, mamó... — wyszeptwała zachwycona Joasia.

— A więc dobrze! — powiedziała uśmiechając się Helena. — Nie ma rady. Skoro ksiądz nie może przyjść do nas, będziemy musiały wybrać się do księdza... Joasia nie może już usiedzieć słysząc o tych wszystkich kwiatkach księdza.

Helena nie była pobożna, nie chodziła na msze wymawiając się zdrowiem córki, która zawsze wracała z kościoła cała drżąca z zimna. Stary ksiądz unikał z nią rozmowy o religii. Mówił tylko z pełną dobroduszością tolerancją, że ludzie dobrzy zasługują sobie na zbawienie sami swą cnotą i miłosierdziem. A Bóg, jeśli zechce, potrafi pewnego dnia obudzić w nich wiarę.

Aż do następnego wieczoru Joasia myślała tylko o majowym nabożeństwie. Wypytywała matkę, wyobrażała sobie kościół pełen białych róż, woskowych świec, niebiańskich głosów, upojnych woni. Chciała być jak najbliżej ołtarza, by zobaczyć koronkową sukienkę Najświętszej Panny, sukienkę, która według słów księdza warta była majątek. Helena starała się uspokoić ją grożąc, że jeśli teraz się rozchoruje, wcale nie weźmie jej z sobą.

Wreszcie zaraz po obiedzie wybrały się do kościoła. Wieczory były jeszcze chłodne. Gdy doszły do ulicy Annonciation, gdzie znajdował się kościół Matki Boskiej Łaskawej, dziewczynka drżała z zimna.

— Kościół jest opalany — powiedziała matka. — Usiądziemy przy kaloryferze.

Gdy pchnęła obite ceratą drzwi, które miękko zamknęły się za nimi, owiało je ciepłe powietrze. Ołtarz jarzył się od płonących świec, a śpiewy rozbrzmiewały wokoło: nabożeństwo już się zaczęło. Helena widząc, że główna nawa jest zapelniona, chciała przejść boczną, ale zaledwie z trudem mogły się przecisnąć do ołtarza. Trzymając Joasię za rękę powoli posuwała się naprzód, wreszcie jednak dała za wygraną i zajęła pierwsze dwa wolne krzesła, jakie spostrzegła. Jeden z filarów zasłaniał im połowę ołtarza.

— Nic nie widzę, mamusiu — szepnęła Joasia zmartwiona. — Mamy bardzo złe miejsca.

Helena kazała jej być cicho, dziecko zaczęło się dąsać. Widziała tylko przed sobą ogromne plecy jakiejś starszej kobiety. Gdy matka obejrzała się, zobaczyła, że Joasia stoi na krześle.

— Zejdź zaraz! — powiedziała Helena tłumiąc głos. — Jesteś nieznośna.

Ale Joasia upierała się.

— Spójrz, mamo, pani Deberle jest tam... tam dalej... Daje nam znaki.

v Helena, bardzo niezadowolona, zachnęła się niecierpliwie. Szarpnęła dziewczynkę, która nie chciała usiąść. Od czasu balu przez całe trzy dni nie była u Deberle'ów tłumacząc się zajęciami w domu.

— Mamusiu — ciągnęła Joasia z uporem dziecka — pani Deberle patrzy na ciebie. Kłania ci się.

Trzeba się było wreszcie odwrócić i odkłonić. Obie panie skinęły sobie głowami. Pani Deberle w jedwabnej sukni w drobne paseczki, przybranej białymi koronkami, siedziała w środku głównej nawy, tuż przy prezbiterium, świeża i wyelegantowana. Obok niej Paulina dawała im gwałtowne znaki. Śpiewy rozbrzmiewały nadal, niski i monotony głos tłumu ciągnął się rozwlekle, a piskliwe głosy dziecięce przerywały czasem jednostajny rytm pieśni.

— Widzisz przecież, że nas zapraszają — mówiła z triumfem Joasia.

— Nie ma potrzeby, zupełnie dobrze jest nam tutaj.

— Och, mamusiu, chodźmy do nich... Mają akurat dwa wolne krzesła.

— Nie! Zejdź i usiądź.

Jednakże obie siostry nie troszcząc się zupełnie, że wzbudzają zgorszenie, nawet, przeciwnie, jakby zadowolone, że zwracają na siebie powszechną uwagę, nalegały z uśmiechem i Helena musiała ustąpić. Drżąc od hamowanej złości, przepychała przed sobą zachwyconą Joasię, starając się przecisnąć przez tłum. Nie było to łatwe. Rozmodlone kobiety nie chciały się ruszyć, piorunowały ją wzrokiem nie przerywając swych pieśni. Całe pięć minut przepychała się z trudem wśród burzy głosów, która huczała coraz donośniej. Gdy musiały przystawać nie mogąc iść dalej, Joasia tuliła się do matki, przerażona widokiem tych wszystkich otwartych w śpiewie czarnych i bezzębnych\* ust. Wreszcie znalazły się w luźniejszym nieco miejscu niedaleko prezbiterium, zaledwie parę kroków od pani Deberle.

— Chodźcie, chodźcie — szepnęła Julietta. — Ksiądz mówił mi, że przyjdziecie. Zatrzymałam dla was krze- sła<



Helena podziękowała i natychmiast otworzyła książeczkę do nabożeństwa, aby przerwać rozmowę. Lecz pani Deberle czuła się jak we własnym salonie, była czarująca i bardzo rozmowna. Pochyliła się do Heleny mówiąc:

— Dlaczego pani się nie pokazuje? Miałam jutro wybrać się do pani... Może była pani chora?

, — Ach, nie! Dziękuję! Miałam tyle na głowie...

— Wie pani, musi pani przyjść jutro do nas na obiad... Nikogo nie będzie, sami swoi...

— Bardzo miło z pani strony... Nie wiem tylko, czy...

Helena zdawała się przysłuchiwać pieśniom i pogrążyć w modlitwie, zdecydowana nie podtrzymywać dalej\* rozmowy. Paulina posadziła Joasię koło siebie przy kaloryferze, przy którym grzała się sama z błogim zadowoleniem. Owiewane ciepłem, obie wyciągały głowy, ciekawie oglądając wszystko dookoła: niskie sklepienie podzielone na ozdobne kasetony, przysadziste 'kolumny połączone łukami, wiszące świeczniki, dębową rzeźbioną ambonę. Ponad kłębiącą się falą głów rozkołysanych w rytmie pieśni wzrok ich sięgał aż do ciemnych zakamarków bocznych naw, do ukrytych kaplic lśniących złoceniami, do oddzielonej kratą chrzcielnicy przy głównych drzwiach. Stałe jednak wracały wzrokiem do jaśniejszego prezbiterium, pełnego żywych barw, błyszczącego złotem. Kryształowy, gorejący pajak zwisał ze sklepienia. Wielkie lichtarze tworzyły stopniowe szeregi świec, które jak gwiazdy przetykały ciemne tło kościoła, i odcinały jaskrawym światłem główny ołtarz przypominający wielki bukiet zieleni i kwiatów. U góry, w powodzi róż, Najświętsza Panienka, przystrojona atlasem i koronkami, w diademie z pereł, trzymała na ręku Dzieciątka Jezus w długiej sukience.

— Ciepło ci? — pytała Paulina. — Jak tu przyjemnie, prawda?

Joasia w zachwyceniu wpatrywała się w Matkę Boską umajoną kwiatami. Zaczynała drzeć. Bała się, że nie jest dość grzeczna, i spuściła oczy przypatrując się białym i czarnym kafłom posadzki, aby się nie rozpląkać. Czuła na swych włosach lekki powiew oddechów ministrantów.

Helena, z oczami utkwionymi w książkę do nabożeństwa, odsuwała się, ilekroć poczuła muśnięcie koronek Julietty. Wcale nie była przygotowana na to spotkanie. Pomimo przyrzeczenia, jakie sobie złożyła, że jej miłość do Henryka będzie czysta, że nigdy nie będzie do niego należeć, doznawała niemiłego uczucia na myśl, iż sprzeniewierza się tej ufnej i beztroskiej kobiecie siedzącej obok. Za nic nie pójdzie na ten obiad — myślała uparcie, bez przerwy, i szukała sposobu, jak by stopniowo zerwać tę znajomość, która obrażała jej poczucie prawości. Ale chrapliwe głosy śpiewających obok niej nie pozwalały się skupić, mimo woli poddawała się monotonnemu, kołyszącemu rytmowi pieśni, doznając nabożnego uniesienia, jakiego nigdy dotąd w żadnym kościele nie przeżywała.

— Słyszała pani o historii pani de Chermette? — zapytała Julietta nie mogąc dłużej oprzeć się chęci mówienia.

r —Nie, nic nie wiem.

— No więc... niech pani sobie wyobrazi... Zna pani jej córkę, taka bardzo wysoka jak na swoje piętnaście lat... Mówi się o jej małżeństwie w przyszłym roku z tym brunecikiem, co to się ciągle kręci koło matki... Stale o tym mówią.

— Ach, tak — odpowiedziała Helena, która nie słuchała prawie.

Pani Deberle wdała się w szczegóły historii pani ile Chermette. Nagle śpiew ustał. Organy jęknęły i ucichły. Julietta zamilkła, zaskoczona własnym głosem, tak donośnym wśród ciszy, która raptem zaległa. Tłum poruszył się: na ambonę wszedł ksiądz i rozpoczął kazanie. Helena przyrzekła sobie, że na ten obiad nie pójdzie na pewno. Z oczami utkwionymi w księdza zastanawiała się, jak by mogło wypaść jej pierwsze spotkanie z Henrykiem, spotkanie, którego tak się

lękała od trzech dni. Będzie jej na pewno robił wymówki, błady ze złości, że się tak u siebie zamknęła; bała się, że nie potrafi zachować się obojętnie. Zamyślona, przestawała widzieć księdza, jedynie od czasu do czasu docierał do niej jego przejmujący głos.

— „Była ta chwila niezwykła, gdy Najświętsza Panna pochylając głowę powiedziała: «Otom ja służebnica Pańska...»”

Och! Będzie odważna, wszak odzyskała już swój zdrowy rozsądek. Świadomość, że jest kochana, będzie dla niej zawsze radością, ale nigdy nie wyjawia mu swego uczucia, gdyż tylko za tę cenę, czuła to dobrze, ■ może osiągnąć spokój, ujdzie go kochać całym sercem, ale zadowoli się^ jednym słowem Henryka, jednym spojrzeniem zamienianym z rzadka, gdy przypadek postawi ich obok siebie^/Te marzenia nasuwały jej myśl o wieczności. Kościół, w którym się znajdowała, wydał jej się przyjazny i bezpieczny.

— „Anioł znikł — ciągnął ksiądz. — Maria zatoneła w rozmyślaniu nad boską tajemnicą, która się w niej spełniała, przenikały Ją miłość i światłość...” , — Doskonale mówi — szepnęła pani Deberle pochylając się ku Helenie. — A taki młody, chyba nie ma więcej jak trzydziestkę?

Pani Deberle była przejęta. Religia podobała się jej jako wzruszenie w dobrym tonie. Ofiarowywać kwiaty dla kościoła, widywać się i rozmawiać z księżmi, ludźmi grzecznymi, dyskretnymi i zawsze wyświeżo- nymi, bywać w kościele, elegancka, gdzie zdawała się udzielać protekcji Bogu maluczkich, wszystko to sprawiało jej szczególną przyjemność, tym większą, że mąż nie był wierzący i jej własna pobożność nabierała smaku zakazanego owocu. Helena spojrzała na nią odpowiadając jedynie skinieniem głowy. Obie były w podniosłym nastroju i radosne. Rozległo się szuranie krzeseł i pociąganie nosami, ksiądz schodził z ambony rzucając ostatnie słowa:

— „Niech miłość wypełni wasze serca, bogobojne dusze chrześcijańskie. Bóg się za was ofiarował, jest obecny w waszych sercach, łaski Jego przepełniają dusze wasze.”

Natychmiast zagrzmiały organy. Litania do Matki Boskiej potoczyła się w płomiennych wezwaniach. Z bocznych naw, z głębi ciemnych kaplic napływał śpiew daleki i przytłumiony, jak gdyby odpowiedź ziemi na anielskie głosy ministrantów. Ponad głowami unosił się powiew oddechów, od którego chwiały się płomienie świec. Wśród olbrzymiego bukietu róż, pośród kwiatów, które wędły wydzielając swoją ostatnią woń, Matka Boska zdawała się pochylać głowę i uśmiechać do Dzieciątka.

Nagle Helena obejrzała się, ogarnięta instynktownym niepokojem.

— Joasiu, źle się czujesz? — zapytała.

Dziewczynka, bardzo blada, ze łzami w óezącE,

wprawiona w ekstazę rytmem litanii, wpatrzona w ołtarz i opadający deszcz płatków różanych, odpowiedziała szepem:

— Ach, nie, mamusiu... Jestem szczęśliwa, naprawdę bardzo szczęśliwa. — Po chwili zapytała: — A gdzie jest nasz ksiądz?

Paulina wypatrzyła go; siedział w stallach obok ołtarza. Żeby Joasia mogła go zobaczyć, trzeba ją było podnieść do góry.

— Aha, już go widzę... Patrzy na nas... O, robi do nas małe oczko.

Ksiądz Jouve robił „małe oczko”, jak mówiła Joasia, gdy był z czegoś bardzo kontent. Helena przyjaźnie skinęła mu głową. Było to dla niej jakby gwarancją pokoju, ostatecznym powodem jej obecnej pogody ducha, która czyniła jej kościół drogim i usypiała ją w pełnym wyrozumiałości szczęściu. Przed ołtarzem chwiały się kadzielnice, lekki obłok dymu wzbijał się w górę. Nastąpiła chwila błogosławieństwa. Monstrancja jak promieniste słońce uniosła się i przesunęła z wolna nad pochylonymi ku ziemi głowami. Helena pozostała schylona, w błogim zapamiętaniu, aż usłyszała panią Deberle:

— Skończone. Wychodzimy.

Przesuwanie krzesel i odgłos kroków rozległy się pod sklepieniem kościoła. Paulina ujęła Joasię za rękę i idąc z nią naprzód spytała:

— Nie byłeś nigdy w teatrze?

— Nie. Czy tam jeszcze ładniej?

I dziewczynka westchnęła ciężko; z niedowierzaniem potrząsnęła głową: nic nie mogło być piękniejszego. Paulina nie odpowiadała, przez chwilę zatrzymała się przed jakimś księdzem w komży, który przechodził obok inich, a gdy tylko oddalił się nieco, powiedziała z przekonaniem i tak głośno, aż dwie kobiety obejrzały się:

— Ależ przystojny!

Helena podniosła się z kolan i wśród tłumu, który posuwał się powoli, szła obok Julietty. Przejęta do głębi, jakby zmęczona i bezsilna, nie odczuwała już żadnego zakłopotania z powodu jej obecności. W pewnej chwili dotknęły się ich obnażone ręce, a one uśmiechnęły się do siebie. Dusiły się w tłoku. Helena chciała, aby Julietta szła pierwsza i torowała drogę. Wróciła cała ich poprzednia zażyłość.

— A więc już na pewno? — spytała pani Deberle. — Czekamy na panią jutro wieczorem.

Helena nie zdobyła się na odmowę. Odpowie na dworze. Wyszły jedne z ostatnich. Paulina i Joasia czekały na chodniku przed kościołem. Nagle zatrzymał je jakiś lamentujący głos.

— Ach! Moja dobra pani. Jak to już dawno nie miałam szczęścia pani widzieć.

Była to stara Fétu. Zebrała w kruchcie. Jakby czyhała na Helenę, zagroziła jej przejście i mówiła da- lej:

— Ach, byłam bardzo chora. Wciąż to samo, we środku, wie pani... Teraz to jakby młotem waliło... Nic a nic nie lepiej, dobra paniuńciu... Nie miałam śmiałości mówić o tym. Niech Bóg pani wynagrodzi.

Helena wsunęła jej w rękę pieniądz i przyrzekła pamiętać o niej.

H

— Patrzcie — powiedziała pani Deberle zatrzymując się na stopniach — ktoś rozmawia z Pauliną i Joasią... Ależ to Henryk!

— Tak, tak — potwierdziła stara Fétu, która wodziła wzrokiem po obu paniach — to dobry pan doktor... Widziałam, jak przez całe nabożeństwo stał na chodniku przed kościołem... Na pewno czekał na panie... Święty człowiek! Mówię tak, bo to prawda, świadczę się Bogiem, który nas słyszy... Och, ja panią znam, ma pani męża, który zasłużył na szczęście... Oby niebo wysłuchało wszystkich waszych pragnień, oby wszystkie błogosławieństwa spłynęły na państwa. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen!

Wśród tysiąca zmarszczek jej pokurczonej jak stare jabłko twarzy małe oczka, niespokojne i złośliwe, ruszały się ciągle przeskakując z Julietty na Helenę, tak że nie wiadomo było, do której się zwraca mówiąc 0 panu doktorze. Szła wciąż za nimi nie przestając płaczkliwie zawodzić i wzywać imienia Pańskiego. "\*\*\*\*\*"Helena była zaskoczona i mile poruszona powściągliwością Henryka. Zaledwie ośmielał się podnieść na nią oczy. Gdy żona pokpiwała sobie z jego przekonań, które nie pozwoliły mu wejść do kościoła, wyjaśnił po prostu\* że paląc cygaro wyszedł na ich spotkanie, a Helena zrozumiała, że chciał ją zobaczyć i dowieść jej, jak bardzo się myli obawiając się jakiejś nowej natarczywości z jego strony. Zapewne i on przyrzekł sobie być rozsądny. Nie dociekała, czy był w tym szczery wobec samego siebie, czuła się zbyt nieszczęśliwa widząc, że on cierpi. Gdy rozstawała się z nimi na ulicy Vineuse, powiedziała wesoło:

— Więc dobrze! Zgoda, jutro o siódmej.

Tak więc stosunki zacieśniły się jeszcze bardziej

1 zaczęło się urocze życie. Helena miała uczucie, jakby Henryk nigdy nie zapomniał się ani na chwilę, marzyła, by tak właśnie było zawsze, by się kochali, lecz nie mówili już o swej miłości, by wystarczyło im, iż wiedzą o tym. Cudowne to były chwile, gdy nie wspominając o swym uczuciu ustawicznie je podtrzyra^-

w  
¥

f wali to jakimś gestem, to intonacją głosu, nawet milczeniem. Wszystko znajdowało ujście w tej miłości, pogrążało ich w owej żądzy, jaką nosili w sobie, żądzy, która była wokół nich niby powietrze — jedyne, jakim zdolni byli oddychać. Usprawiedliwiali ją przed sobą swą lojalnością, całkiem świadomi odgrywania wobec siebie komedii serc, nie pozwalając sobie na więcej niż uścisk dłoni, który nadawał zwyktemu powitaniu niezrównaną rozkosz.

Co wieczór panie naznaczały sobie spotkanie w kościele. Pani Deberle, zachwycona, znajdowała w tym nową rozrywkę, która urozmaicała monotonię przyjęć towarzyskich, koncertów, premier teatralnych. Przepadała za nowymi wrażeniami, spotykano ją teraz stale w towarzystwie zakonnicy i księży. Zasady religijne, które wyniosła z pensji, odżyły w jej roztrzepanej głowie i znajdowały wyraz w uczęszczaniu na majowe nabożeństwa, co bawiło ją jako wspomnienie czasów szkolnych i ówczesnego życia. Helena, wychowana całkowicie świecko, poddawała się czarowi majowych nabożeństw, szczęśliwa radością, jaką sprawiała Joasi. Obiad jadały teraz nieco wcześniej, przynaglając Rozalkę, by się nie spóźnić i zająć dobre miejsca. Po drodze wstępowały po Juliettę. Któregoś dnia wzięły ze sobą Lucjana, ale zachowywał się tak, że odtąd zostawiano go w domu. Wejście do ciepłego, jarzącego się od świec kościoła wprawiało Helenę w łagodne ukojenie, którego łaknęła coraz bardziej. Jeżeli nawet w ciągu dnia przeżywała jakieś zwątpienia lub jakiś dziwny niepokój ogarniał ją na myśl o Henryku, wieczorem kościół uśmierzał jej lęk. Śpiewy rozbrzmiewały pełne niezmiernego uniesienia. Świeżo ścięte kwiaty przesycały duszne powietrze swym aromatem aż po samo sklepienie. Helena oddychała upajającą atmosferą wiosny, najwyższego uwielbienia dla kobiety, a wobec Marii — dziewicy i matki — uwieńczonej białymi różami, przeżywała głęboko tę tajemnicę miłości i czystości. Każdego wieczoru klęczała coraz dłużej. Czasami sama była zaskoczona widząc, że rę-

be ma złożone do modlitwy. Po nabożeństwie nastę powała słodycz powrotu. Henryk czekał przed kościołem, wieczory stawały się coraz cieplejsze, wracano ciemnymi i cichymi ulicami Passy, z rzadka zamieniając słowa.

— Ależ pani staje się nabożna, moja kochana — powiedziała pewnego wieczoru pani Deberle ze śmiechem.

Była to prawda. Otwarte serce Heleny wzbierało pobożnością. Nigdy nie przypuszczałyby, że tak przyjemnie jest kochać. Przychodziła do kościoła jak do miejsca, gdzie mogła się rozrzewniać, wrzeszczać do łez, nie myśleć o niczym, unicestwiać się w niemym uwielbieniu. Każdego wieczoru na jedną godzinę przestawała się bronić. Rozkwitająca miłość nasilała w sobie, którą grzech cały miłgiał i gmić, męgła - Nareszcie znaleźć ujście w modlitwach przy wszystkim - Kien, wśród religijnego uniesienia tłumu. Szept pacierzy, klękanie, niewyraźne słowa, gesty powtarzane bez przerwy kołysały ją, wydawały się jej mową niezrównaną, zawsze tym samym uczuciem uniesienia, które wyrażało się zawsze tymi samymi gestami i słowami. Czuli nieodpartą potrzebę wiary i tonęła w zachwyceniu nad boskim miłosierdziem.

Julietta żartowała sobie nie tylko z Heleny, lecz twierdziła, że i Henryk zaczyna się nawracać. Bo czyż teraz, czekając na nie, nie wchodził do kościoła? Ten ateusz, poganin, który utrzymywał, że szuka stale duszy skalpelem i dotąd nie znalazł jej jeszcze; Julietta, gdy tylko spostrzegła go stojącego obok ambony za jedną z kolumn, trąciła Helenę łokciem:

— Niech pani patrzy, już tam stoi... Wie pani, że przed naszym ślubem nie chciał się wyświadczać... Ależ paradnie wygląda, patrzy na nas z tak zabawną miną. Niech pani tylko spojrzy.

Helena nie od razu podniosła głowę. Nabożeństwo miało się ku końcowi, kadzidła dymiły, organy rozbrzmiewały radośnie. Musiała jednak odpowiedzieć, ponieważ Julietta nie dawała jej spokoju.

— Tak, widzę go — szepnęła wreszcie nie podnosząc oczu.

Odgadła jego obecność w chwili, gdy w całym kościele zabrzmiało: „Hosanna”. Wydawało się jej, że oddech Henryka dociera do niej wraz z pieśnią i muska jej szyję, że czuje jego spojrzenia, jak otulają ją klęczącą i rozjaśniają całą nawę złocistym blaskiem, wtedy modliła się tak żarliwie, iż zaczynało jej brakować słów. Doktor, bardzo poważny, miał minę przykładowego małżonka, który przyszedł po obie panie tu, do przybytku Pana Boga, jak gdyby czekał na nie w westybulu teatru. A gdy spotykali się pośród powolnego posuwania się wiernych ku wyjściu, oboje czuli się bardziej bliscy sobie, te śpiewy i kwiaty wiązały ich silniej. Nie mówili nic, bo serca im drżały na ustach.

Po dwóch tygodniach pani Deberle znużyła się. Pasjonowała się stale czymś nowym, dręczona nieodpartą potrzebą robienia tego, co wszyscy. Teraz zajęła się organizowaniem kiermaszu dobroczynnego. Przebiegała po sześćdziesiąt pięter dziennie, wyprasząc obrazy u znanych malarzy, i spędzała wieczory przewodnicząc z dzwonkiem na zebraniach dobroczynnych pań. Tak więc pewnego czwartku wieczorem Helena z córką znalazły się same w kościele. Po kazaniu, gdy zaczęto śpiewać Magnificat, Helena tknięta przecuciem obejrzała się: Henryk stał na swym zwykłym miejscu. Pochyliła głowę i pozostała tak do końca nabożeństwa, czekając chwili powrotu.

— Ach, jak to dobrze, że pan przyszedł — powiedziała przy wyjściu Joasia z bezceremonialnością dziecka. — Bałabym się iść po tych ciemnych ulicach.

Henryk udał zdziwienie. Myślał, że zastanie tu swą żonę. Joasia odpowiedziała mu, a Helena szła za nimi w milczeniu. Gdy przechodzili we troje przez kruchtę, rozległ się koło nich lamentujący głos:

— Litości!... Bóg to wam wynagrodzi.

Co wieczór Joasia dawała dziesięć su starej Pstu. Gdy teraz żebraczka spostrzegła doktora z Heleną, zamiast głośnych jak zwykle podziękowań pochyliła tył ko głowę i pokiwała nią z wymownym uśmiechem. A ponieważ kościół już opustoszał, wlokła się za nimi mrucząc niezrozumiale. Czasem, gdy było ładnie, Helena i Julietta zamiast wracać ulicą Passy szły nieco dłuższą drogą przez ulicę Raynouard. Tego wieczoru Helena także skręciła w ulicę Raynouard. Spragniona ciszy i mroku uległa czarowi tej długiej i pustej ulicy, na której tylko gdzieś świeciły gazowe latarnie i na której prawie nigdy nikogo się nie spotykało.

Odległa od śródmieścia dzielnica Passy o tej porze zasypiała już, jak prowincjonalne miasteczko. Po obu stronach ulicy ciągnęły się domy; internaty panien, czarne i uśpione; mieszczańskie jadłodajnie, gdzie tylko w kuchniach świeciło się jeszcze. Wszystkie witryny sklepowe były już ciemne. Samotność ta cieszyła niezmiernie Helenę i Henryka. Nie śmiał wziąć jej pod rękę. Joasia szła pomiędzy nimi środkiem alei wysypanej piaskiem niby aleja w parku. Domy przerzedzały się, coraz więcej miejsca między nimi zajmowały rozległe ogrody, a przez otaczające je mury zwieszały się całe płaszczy powojów i kiście kwitnących bzów. Od czasu do czasu poprzez kratę można było dojrzeć ciemną głębię zieleni, gdzie trawniki odcinały się nieco jaśniej od drzew, a w prawie niewidocznych wazonach pęki irysów napełniały powietrze aromatem. Wszyscy troje szli powoli, wśród ciepła wiosennej, pachnącej nocy, a Joasia z dziecinną radością unosiła głowę i patrzyła w niebo.

— Och, mam, spójrz, ile gwiazd!

Z tyłu za nimi kroki starej Fetu zdawały się echem ich własnych kroków. Była coraz bliżej, słyhać było urywki łacińskich modlitw: „Ave Maria, gratia plena”, powtarzane bez końca jednostajnym głosem. Wracając z kościoła stara Fetu odmawiała różaniec.

— Mam jeszcze pieniędzy, czy mogę go jej dać? — zapytała Joasia matki.

I nie czekając odpowiedzi pobiegła ku starej, która skręcała już w Mokry Zaulek. Stara Fetu wzięła pie-

Iniędz wzywając wszystkich świętych niebios. Jednocześnie chwyciła małą za rękę, przytrzymała Ją i zapytała zmieniając głos;

— Czy tamta druga pani Jest chora?

— ■ Nie — odpowiedziała Joasia zdziwiona.

— Ach, niech Ją niobo ma w swojej opiece, niech ześle wszystkie łaski na nią i jej mężal... Niech panienka nie ucieka, moja dobra panienko. Zmówię tylko jedno Ave Marla na intencję mamy panienki, a panienka razem z mną odpowie: „Amon”,.. Mama nie będzie się gniewać, panienka ją dogoni.

Tymczasem Henryk i Helena stali drżący pod wielkimi kasztanami rosnącymi wzdłuż ulicy; nieoczekiwana samotność zaskoczyła ich trochę. Powoli uszli parę kroków. Deszcz kasztanowych kwiatów opadał na ziemię, szli po tym różowym dywanie, aż wreszcie zatrzymali się, zbyt wzruszeni, by móc iść dalej.

— Niech mi pani przebaczy — powiedział Iienryk.

— Tak, tak — wyszeptała Helena. — Błagam pana, nie mówmy o tym.

Poczuła, iż ujął jej rękę. Odsunęła się. Na szczęście nadbiegła Joasia.

— Mamo, mamo — wołała — zmówiłyśmy razem Ave Marla za twoje szczęście.

We troje skręcili w ulicę Vineuse, podczas gdy stara Fctu schodziła po schodach Zaulka kończąc swój różaniec.

Upłynął miesiąc. W tym czasie pani Deberle była jeszcze dwa albo trzy razy na majowym nabożeństwie. Ostatniej niedzieli Iienryk znowu odważył się przyjść do kościoła po Helenę i Joasię. Powrót był uroczy. Cały ten miesiąc upłynął w niezwykłej słodyczy. Kościół był jakby stworzony, by uśmierzać i zarazem podsycać namiętności. Zrazu Helena wierząc, że w tym przybytku wiary może kochać bez wstydu, uspokoiła się, ale głuchy ferment trwał, i gdy ocknęła się z nabożnego odrętwienia, poczuła się bezradna, skrępowana więzami, które poszarpałyby jej własne ciało, gdyby je chciała zerwać. Iienryk, pełen szacun ku, nie starał się zbliżyć. Jednak widziała dobrze płomień w jego oczach. Obawiała się jakiegoś porywczego wybuchu namiętności. Trawiona wewnętrznym ogniem, siebie samej zaczynała się lękać.

Pewnego popołudnia wracając ze spaceru z Joasią poszła ulicą Annonciation i wstąpiła do kościoła. Dziewczynka narzekała, że jest bardzo zmęczona. Wieczorne nabożeństwa majowe sprawiały jej taką radość, że do ostatniego dnia nie przyznawała się, iż niezmiernie ją męczą; zmizerniała bardzo i doktor zalecił dalekie spacery.

— Usiądź — powiedziała matka. — Odpocznijmy... Nie będziemy tu długo.

Posadziła ją przy filarze. Sama uklękła o kilka krzeseł dalej. W głębi nawy robotnicy zrywali obicia, wnosili wazony z kwiatami, gdyż nabożeństwa majowe skończyły się właśnie poprzedniego dnia. Helena, z twarzą ukrytą w dłoniach, nic nie słyszała, nic nie widziała, z trwogą zadając sobie w duchu pytanie, czy nie powinna wyznać księdzu Jouve, jak wielką toczy ze sobą walkę. Dałby jej jakąś radę, przywróciłby jej może utracony spokój. Lecz w głębi duszy z samego niepokoju rodziła się \_jiiimmiema-j^adość. Samo to cferplgfile było Jej drogą i obawiała się, że ićsładz potrafi "Ją z niego u leczy c. "Upłynęło dziesięć minut, minęła cała godzina. Pograżyła się w wewnętrznej rozterce.

A gdy wreszcie podniosła głowę z oczami mokrymi od łez, spostrzegła obok siebie księdza Jouve, który patrzył na nią ze smutkiem. On właśnie kierował robotnikami. Zobaczył Joasię i podszedł do nich.

— Co ci Jest, moje dziecko? — zapytał Helenę, która podniosła się żywo, ocierając oczy.

Nie potrafiła odpowiedzieć bojąc się, że padnie na kolana i wybuchnie płaczem. Ksiądz podszedł jeszcze bliżej i powiedział łagodnie:

— Nie chcę pani wypytywać, lecz czemu nie zwierzy się pani mnie jako księdzu, jeśli nie Jako przyja-  
cielowi?

— Później — szepnęła — później, przyrzekam to księdzu.

Tymczasem Joasia, zrazu grzeczna i cierpliwa, zajęła się oglądaniem witraży, figur przy głównych drzwiach, stacji drogi krzyżowej przedstawionej w małych płaskorzeźbach wzdłuż bocznych naw. Z wolna przejął ją chłód kościoła ogarniając niby całunem. Skupiona cisza kaplic, przeciągłe echa powstające za każdym najmniejszym szmerem, samo to miejsce święte, które przywodziło jej myśl o śmierci, napawały ją cierpieniem; była zbyt zmęczona, by móc myśleć. Najbardziej smuciło ją wynoszenie kwiatów. W miarę jak znikaly wielkie bukiety róż, ołtarz stawał się nagi i zimny. Pozbawione świece i dymu kadzidel marmury przejmowały zimnem. Po chwili przystrojona koronkami Matka Boska zachwiała się i upadła na wznak, na ręce dwóch robotników. Joasia krzyknęła cicho, wyciągnęła ramiona, wyprężyła się, zeszywniała w ataku, na który zanosilo się już od kilku dni.

Helena, oszalala z przerażenia, z pomocą zrozpaczonego księdza zaniosła ją do dorożki i, odwróciwszy się w stronę kruchty, wyciągnęła drżące ręce.

— To przez ten kościół! To przez ten kościół! — powtarzała z pasją, nie mogąc sobie darować tego miesiąca nabożnych uniesień.

II

Wieczorem Joasia poczuła się lepiej. Mogła wstać. Chcąc uspokoić matkę uparła się i przeszła z trudem do stołowego, gdzie usiadła przed swoim nakryciem.

— Nic mi nie będzie — powiedziała starając się uśmiechnąć. — Po prostu jestem już do niczego, wiesz dobrze... Jedz sama, chcę, żebyś jadła.

A widząc, że matka niepokoi się jej bladością i dreszczami, udawała, iż je z apetytem, choć nie mogła przełknąć ani kęsa. Obiecywała zjeść trochę konfitur. Helena podała je skwapliwie, a dziewczynka wciąż uśmiechając się i nerwowo potrząsając głową patrzyła na matkę z uwielbieniem; chciała dotrzymać obietnicy i zalała się łzami. ; — Nie mogę jeść, sama widzisz — wyszeptala. — nie gniewaj się na mnie.

Czuła się ogromnie zmęczona i słaba. Nogi miała jak z ołowiu, ramiona jakby w żelaznych kleszczach. Ale trzymała się dzielnie, zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć mimo przejmującego bólu gardła. Głowa ciążyła jej i w pewnej chwili skrzywiła się z bólu. Na widok córki tak zmizerowanej, bladej, a tak dzielnej, Helena odłożyła gruszkę, którą usiłowała jeść. Dławiły ją łzy. Odrzuciła serwetkę i uścisnęła Joasię.

— Moje kochanie, moje kochanie — powtarzała. Ze ściśniętym sercem patrzyła na jadalnię, gdzie dziewczynka tak często bawiła ją swym łakomstwem, gdy była zdrowa.

Joasia wyprostowała się i starała się uśmiechnąć.

— Nie martw się, nic mi nie będzie, zobaczysz... Teraz, jak skończyłaś jeść, połóż mnie do łóżka... Chciałam być przy stole, bo beze mnie nie zjadłabyś ani kawałka chleba. Już ja cię znam.

Helena zaniosła ją do łóżka, które przesunęła do sypialni i ustawiła przy swoim. Gdy Joasia leżała już, okryta aż po brodę, poczuła się lepiej. Skarżyła się tylko na głuche bóle w tyle głowy. Pod wpływem choroby namiętne przywiązanie do matki stało się jeszcze bardziej egzaltowane. Helena musiała całować ją, zapewniać, że ją bardzo kocha, i przyrzekać, że ucałuje jeszcze, gdy sama będzie kładła się spać.

— Nic nie szkodzi, nawet gdybym spała — powtarzała Joasia. — Nawet przez sen czuję cię zawsze.

Zamknęła oczy i zasnęła. Helena usiadła i czuwała przy niej. Gdy Kozalka weszła na palcach, pytając, czy może się położyć, Helena skinęła głową. Wybiła jedenasta, a Helena wciąż jeszcze siedziała przy Joasi, gdy wydało się jej, że słyszy lekkie stukanie do drzwi wejściowych. Bardzo zdziwiona wzięła lampę i poszła zobaczyć.

— Kto tam?

— Ja, niech pani otworzy — odpowiedział stłumiony głos.

Był to głos Henryka. Otworzyła pospiesznie. Widocznie dowiedział się o chorobie dziecka. Nie przyszło jej nawet do głowy, by cel jego wizyty mógł być inny. Nie wzywała go, gdyż myśl, że będzie dzielił jej troskę o zdrowie Joasi, była dla niej żenująca.

Henryk nie dopuścił jej do słowa. Drżący, z twarzą nabiegłą krwią, wszedł za nią do stołowego.

— Niech mi pani wybaczy — wyjąkał ściskając jej rękę. — Już trzy dni nie widziałem pani, musiałem panią koniecznie zobaczyć.

Helena wyrwała rękę. Cofnął się i mówił wpatrując się w nią:

— Niech się pani nie boi, Kocham panią... Byłbym pozostał pod pani drzwiami, gdyby mi pani nie otworzyła. Wiem, że wszystko to jest szaleństwem, ale Kocham panią... Kocham...

Słuchała go z poważnym i surowym wyrazem twarzy, nie mówiąc ani słowa. Przyjęcie, z jakim się spotkał, było dla niego zaskakujące. Potok namiętnych słów popłynął z jego ust.

— Och, po cóż gramy tę okrutną komedię?... Nie mogę dłużej, serce mi pęka, jestem gotów na wszystko, porwałbym panią i wprowadził, nie oglądając się na nikogo.

Wyciągnął ręce podniecony pożądaniem, zbliżył się, całował jej suknię, ręce drżały mu gorączkowo. Helena stała wyprostowana i zimna.

— Więc pan o niczym nie wie?... — spytała.

Ujął jej obnażoną rękę, wychylającą się z rękawa koronkowego peniuaru, i całował namiętnie. Obruszyła się gwałtownie:

— Proszę przestać! Widzi pan przecież, że nawet nie słyszę, co pan mówi. Nie mogę nawet o tym myśleć.

— Uspokoiła się i po raz drugi zapytała: — Więc pan o niczym nie wie?... i Joasia jest chora. Cieszę się bardzo, że pan przyszedł. Pomoże mi pan. —

Uniosła lampę i poszła pierwsza, na progu odwróciła się i powiedziała twardo, patrząc mu w oczy: — Zabraniam panu wracać do tych spraw tutaj... Nigdy, nigdy!

Wszedł za nią, cały drżący, jeszcze niezupełnie rozumiejąc, o co chodzi. W sypialni, wśród rozrzuconych ubrań i pościeli, znowu oddychał tym zapachem werweny, który go tak podniecił pierwszego wieczoru, kiedy to zobaczył Helenę z rozrzuconymi włosami, z zsuniętym z ramion szalem. Znowu więc znalazł się w tej sypialni nocą, mógł rzucić się na kolana, wchłaniać odurzający zapach, trwać w uwielbieniu do~ "Świtu i czekać ziszczenia swych marzeń. Tętniły mu" skronie, oparł się o dziecinne łóżeczko.

— Usnęła — powiedziała Helena cicho. — Niech" pan spojrz na nią.

Nie słyszał; jego rozbudzona namiętność nie chciała się uciszyć. Stała przed nim schylona, tak że widział jej pokryty drobnym złocistym puszkciem kark. Zamknął oczy, by stłumić pragnienie całowania tego karku.

— Niech pan spojrz, doktorze, jaka jest rozpalona... Czy to nic poważnego? Jak pan sądzi?...

Opanowany pożądaniem, które odbierało mu przytomność, ujął jednak rękę Joasi odruchowym gestem lekarza. Ale trudno mu było opanować się, przez chwilę trwał bez ruchu, prawie nie zdając sobie sprawy, że trzyma w dłoni rękę chorego dziecka.

— Czy ma bardzo wysoką gorączkę, doktorze?

— Bardzo wysoką gorączkę, sądzi pani? — powtórzył.

Znów zapadła cisza. Bęka dziecka paliła mu dłoń. W mężczyźnie budził się lekarz. Liczył uderzenia tętna. Płomień w jego oczach przygasał, twarz bladła z wolna. Zaniepokojony, pochylił się, uważnie przypatrując się Joasi.

— Atak jest bardzo poważny — wyszeptał wreszcie. — Ma pani rację... Boże mój, biedne dziecko!

Pożądanie zamarło w nim, pozostało tylko pragnienie:-



nie niesienia pomocy. Odzyskał zimną krew. Usiadł i zaczął rozpytywać Helenę o szczegóły, które poprzedziły atak, gdy niespodziewanie obudziła się Joasia. Jęcząc skarżyła się na ból głowy. Bóle szyi i ramion stały się tak gwałtowne, że przy każdym poruszeniu zalewała się łzami. Helena, klęcząc po drugiej stronie łóżka, usiłowała ją pocieszyć i uśmiechała się do niej, choć widok tych cierpień ścisnął jej serce.

— Czy jest tu ktoś, mamó? — spytała odwracając się i spostrzegając doktora.

— Tak, znasz pana przecież, to nasz przyjaciel.

Dziewczynka z wahaniem przyglądała mu się przez chwilę, starając się skupić. Wreszcie na twarzy jej odmalowała się czułość.

— Tak, tak, znam go... Lubię go bardzo... — Po chwili dodała pieszczotliwie: — Muszę wyzdrowieć, prawda, panie doktorze? Żeby się mama nie martwiła... Będę piła wszystko, co mi pan zapisze, naprawdę.

Doktor ujął ją znowu za puls, a Helena trzymała za drugą rękę, dziecko leżąc tak między nimi nerwowo potrząsało głową i patrzyło na oboje, jakby widziało ich po raz pierwszy. Po chwili Joasią targnął nowy atak bólu. Ręce dziecka skurczyły się i ciągnęły ich do siebie.

— Nie odchodźcie ode mnie, boję się... Brońcie mnie, nie dajcie im podchodzić do mnie... Nie chcę nikogo oprócz was dwojga, o tak, blisko, bliźniutko przy mnie, razem. — Przyciągnęła ich, konwulsyjnym ruchem zbliżając ku sobie, i powtarzała: — Razem, razem...

Kilkakrotnie jeszcze traciła przytomność... W chwilach ulgi zapadała w sen, w którym trwała bez oddechu, jak martwa. Po tych krótkich minutach budziła się gwałtownie, nic nie słysząc, nie widząc, oczy zachodziły jej mgłą. Prawie całą tę ciężką noc doktor spędził przy chorej. Zszedł tylko na chwilę, by przynieść lekarstwa. Gdy odchodził nad ranem, Helena odprowadziła go do przedpokoju, pełna obaw.

— No i co?. — spytała.

— Stan jest bardzo poważny — odparł. — Niech pani jednak nie traci nadziei, błagam panią, proszę mi zaufać... Przyjdę o dziesiątej rano.

Wróciwszy do pokoju Helena zastała Joasię siedzącą na łóżku, błędnym wzrokiem rozglądającą się dokoła.

— Zostawiliście mnie samą, zostawiliście mnie samą! — zawołała. — Boję się, nie chcę być sama.

Matka, chcąc ją uspokoić, pocałowała ją, ale Joasia wciąż szukała czegoś wokoło siebie.

— Gdzie on jest? Powiedz mu, żeby nie odchodził... Chcę, żeby tu był... Chcę...

— Wróci tu za chwilę, kochanie — przerwała Helena płacząc wraz z dzieckiem. — Nie opuści nas, przysięgam ci to. Za bardzo nas lubi... No, bądź grzeczna, połóż się. Ja zostanę przy tobie, poczekam, aż on wróci.

— Naprawdę, naprawdę? — szepnęła dziewczynka zapadając z wolna w głęboki sen.

Zaczęły się okropne dni, trzy tygodnie straszliwej trwogi. Gorączka nie ustępowała ani na chwilę. Joasią odzyskiwała trochę spokoju jedynie, gdy doktor był przy niej i trzymał ją za rękę, a drugą trzymała matka. Od nich oczekiwała ratunku, między nich dzieliła swe tyranizujące uwielbienie, jak gdyby rozumiała, że tym samym oddaje się pod opiekę wielkiej miłości. W swym nadmiernym przewrażliwieniu, spotęgowanym jeszcze chorobą, wierzyła, że jedynie ich ' miłość może ją ocalić. Gdy siedzieli po obu stronach jej łóżka, całymi godzinami patrzyła na nich poważ- nyin i przenikliwym spojrzeniem. W tym wzroku śmiertelnie chorego dziecka malowała się cała ludz- \* ka namiętność, przeczuła i przewidziana. Nie mówiła nic, wszystko wypowiadała ciepłym uściskiem, bła- \* gając, by się nie oddalali, i dając do zrozumienia, jak wielką ulgą jest dla niej ich widok razem. Gdy doktor, zmuszony odejść, powracał znowu, ogarniało ją radosne podniecenie, oczy utkwione bez przerwy W drzwi zaczynały błyszczeć; uspokajała się i usypiała

zadowolona, że oboje, doktor i matka, są przy niej, że słyszy ich przyciszoną rozmowę.

Nazajutrz po ataku zjawił się doktor Bodin. Ale Joasia nadała się, odwróciła głowę i nie dała mu się zbadać.

— Nie chcę go, mamó — szeptała — jego nie, proszę cię.

A gdy powrócił następnego dnia, Helena musiała mu powiedzieć o tej niechęci dziecka. Stary doktor nie wchodził więcej do pokoju chorej. Co drugi dzień dowiadywał się o jej zdrowie i rozmawiał czasem z doktorem Deberle, który słuchał go z szacunkiem należnym jego wiekowi.

Zresztą nie można było nawet próbować oszukać Joasi. Zmysły jej stały się nadzwyczaj wyczulone. Ksiądz i pan Rambaud przychodzili co wieczór i siedzieli całą godzinę w dręczącej ciszy. Pewnego razu, gdy doktor odchodził, Helena dała znak, by pan Rambaud zajął jego miejsce i ujął rękę małej. Ale po kilku minutach Joasia obudziła się, otworzyła oczy, wyrwała dłoń i płacząc narzekała, że się jej dokucza.

— Więc już nie kochasz mnie, nie chcesz, żebym był przy tobie? — powtarzał biedny pan Rambaud ze łzami w oczach.

Patrzyła na niego bez słowa, jakby nie chciała go w ogóle znać. I poczciwy człowiek z ciężkim sercem wracał do swego kąta. Doszło do tego, że wchodził na palcach, wsuwał się we wnękę okienną, skąd, na wpół ukryty za firanką, otepiał ze zmartwienia, wpatrywał się w chorą. Ksiądz, ze swą dużą, całkiem siwą głową na chudych ramionach, chował się tam również. Głośno wycierał nos, by ukryć łzy. Był tak przejęty niebezpieczeństwem grożącym jego małej przyjaciółce, że zapominał o swych biednych.

Na próżno jednak bracia kryli się w najdalszym kącie pokoju; Joasia wyczuwała ich obecność, drażnili ją, odwracała się od nich z wyrazem cierpienia nawet wtedy, gdy spała w gorączce. Matka pochylała się nad nią, by dosłyszeć co szepcze.

— Och, mamó, jak mnie boli... Duszę się... Wszystko to mnie męczy... Niech wszyscy idą sobie stąd zaraZ, zaraz...

Helena, jak mogła najogólniej, tłumaczyła im, że Joasia chce spać; więc odchodzili ze spuszczonej głowami. Ledwie wyszli, Joasia oddychała z ulgą, rozglądała się po pokoju, potem z niezmierną słodyczą spoglądała na matkę i doktora.

— Dobranoc — szeptała. — Jak mi teraz dobrze. Zostańcie ze mną.

Całe trzy tygodnie trzymała ich tak koło siebie. Henryk przychodził z początku dwa razy dziennie, potem spędzał tam całe wieczory, wreszcie poświęcał dziecku wszystkie wolne chwile. Początkowo podejrzewał u niej dur brzuszny, ale objawy były tak sprzeczne ze sobą, że wkrótce poczuł się zupełnie bezradny. Bez wątpienia był to rodzaj anemii, jedna z jej nieuchwytnych form, o groźnych komplikacjach w wieku pokwitania. Bał się więc osłabienia serca lub gruźlicy. Niepokoiło go nerwowe podniecenie Joasi, którego nie umiał uśmierzyć, a zwłaszcza uporczywa gorączka, która opierała się najsilniejszym nawet środkom. W kurację tę wkładał cały swój zapał i wiedzę w przeświadczeniu, że gra idzie o jego własne Szczęście, a nawet życie. Przez te trzy tygodnie, w pełnym przejęcia oczekiwaniu, ani razu nie obudziły się jego namiętności, nie drżał już zbliżając się do Heleny, a gdy spotykały się ich spojrzenia, był w nich tylko wyraz smutku dwojga ludzi, którym grozi wspólne nieszczęście.

A jednak z każdą chwilą serca ich silniej zespały się ze sobą. Żyli już tylko jedną jedyną myślą. Gdy wchodził, wystarczyło mu spojrzeć na Helenę, by wiedzieć, jak Joasia spędziła noc, sam zaś nie potrzebował nic mówić — Helena odgadywała od razu, co myśli o przebiegu choroby. Z właściwym matce męstwem kazała mu przysiąc, że będzie mówił prawdę, nie ukrywając niczego. Zawsze na nogach, nie śpiąc w ciągu 'dwudziestu nocy ani trzech godzin z rzędu, Helena

wykazała nadludzką siłę i spokój, bez jednej łzy, panując nad swą rozpaczą, by nie tracić głowy w tej walce o życie dziecka. Czuła w sobie i wokół siebie niezmierną pustkę, w której otaczający ją świat, jej wszystkie uczucia, nawet świadomość własnego istnienia unicestwiała się. Zapominała o wszystkim. Przy życiu trzymało ją jedynie konające ukochane dziecko i człowiek, który obiecywał dokonać dla niej cudu. Tylko jego jednego widziała i słyszała, jego każde słowo nabierało bezgranicznej wagi, jemu ufała bez zastrzeżeń, jakby pragnąc w ten sposób przelać w niego swe siły. Powoli i niedostrzegalnie stawali się prawie jedną istotą. Każdego niemal wieczoru, w chwilach napiętej grozy, gdy gorączka wzmagala się, trwali przy chorej, oboje cisi, osamotnieni w tym parnym pokoju. I jak gdyby chcąc być mniej samotni w tej walce ze śmiercią, łączyli swe dłonie w uściska, ręce ich spotykały się mimo woli na poręczy łóżka. Drżąc z niepokoju i żalu trwali tak, dopóki słabe westchnienie chorej, miarowy i spokojny jej oddech nie oznajmił im, że atak minął. Wtedy skinieniem głowy uspokajali się wzajemnie. Jeszcze tym razem miłość ich odnosiła zwycięstwo. I uścisk ich rąk stawał się silniejszy, silniejszy związek ich serc.

Któregoś wieczoru Henryk długo badał w milczeniu Joasię; Helena odgadła, że tai coś przed nią. Joasia skarżyła się na niezdolność pragnienie, dławiała się, z wyschniętego gardła dobywało się przeciągłe, świszczące chrapanie. Potem ogarnęła ją senność. Twarz miała bardzo czerwoną i tak obrzmiała, że nie mogła unieść powiek. Leżała nieruchomo i gdyby nie to chrapanie, można by ją wziąć za umarłą.

— Jest bardzo źle, prawda? Jak pan sądzi? — spytała Helena urywanym głosem. . Odpowiedział, że nie widzi żadnej zmiany. Ale był blady, siedział nieruchomo, zgnębiony swą bezradnością. Helena, mimo iż ze wszystkich sił starała się zapanować nad sobą, osunęła się na krzesło po drugiej stronie łóżka.

— Niech mi pan powie całą prawdę. Przrzekł mi pan niczego nie ukrywać. Czy nie ma ratunku?

Milczał.

— Widzi pan przecież, że jestem silna.\*. — mówiła dalej gwałtownie. — Ani płaczę, ani rozpaczam... Proszę mówić... Chcę wiedzieć całą prawdę.

Henryk popatrzył na nią.

— Jeżeli w ciągu godziny — powiedział powoli — nie oprzytomnieje, to koniec.

Zastygła skamieniała, ani jeden szloch nie wydarł się z jej piersi, choć ze zgrozy włosy stawały na głowie. Spojrzała na córkę, padła na kolana i ujęła ją w ramiona, jakby chcąc jeszcze bardziej wziąć w posiadanie i obronić w swych objęciach. Przez długą chwilę pochylała się nad jej twarzą, wpatrując się uporczywie, pragnąc przelać w nią swe własne technienie, swe własne życie. Zadyszany oddech chorej stał się coraz krótszy.

— Czy nie ma już ratunku? — zapytała podnosząc głowę Helena. — Niech pan tak nie stoi. Trzeba coś zrobić...

Zniechęcony, rozłożył ręce.

— Róbmy coś, trzeba coś zrobić... Sama nie wiem co. Cokolwiek chociaż... Przecież musi być jakaś rada... Chyba nie da jej pan tak umrzeć... To niemożliwe!

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — powiedział krótko.

Powstał. Rozpoczęła się zacięta walka. Wróciła mu cała zimna krew i stanowczość lekarza. Dotychczas obawiał się stosować środki zbyt gwałtowne, by nie osłabić dziecka i tak już mało życia mającego w sobie. Teraz nie wahał się dłużej, posłał Rozalkę po dwanaście pijawek, nie taił, że jest to próba rozpaczliwa, która może uratować lub zabić. Gdy Rozalka przyniosła pijawki, Helena zaczęła się wahać.

— Boże mój, Boże — szeptała — a jeśli to ją zabije.

\_ \Z trudem wymógł na niej zgodę.

<sup>1</sup>— Więc dobrze, niech pan przystawia te pijawki, niech niebo czuwa nad pana ręką, doktorze.

Nie odeszła od Joasi ani na krok, nie zgodziła się nawet powstać z klęczek, chciała trzymać jej główkę na swym ramieniu. Pochłonięty zabiegiem doktor nie mówił nic, żaden mięsień nie drgnął mu w twarzy, Z początku pijawki nie chciały się przyssać. Mijały minuty; w dużym pokoju, pogrążonym w mroku, sły-phać było tylko bezlitosne i uporczywe tykanie zegara. Każda sekunda unosiła nadzieję. W kręgu żółtego światła padającego spod abażuru lampy, wśród rozrzuconych prześcieradeł, udręczone nagie dziecko miało barwę wosku. Helena suchymi, płonącymi oczyma patrzyła na prawie już martwe ukochane ciało. Chętnie oddałaby wszystką krew, by zobaczyć jedną jej kroplę u córki. Na koniec czerwona kropla ukazała się, jedna po drugiej pijawki się przysysały. Ważył się los Joasi. Były to chwile pełne grozy i bolesnego wzruszenia. Czy to tchnienie było ostatnim, czy wracała do życia? Przez moment Helena czując, że dziecko sztywnieje, myślała, że już umiera — opanowała ją szalona chęć oderwać te pijawki, które tak chciwie piły krew jej córki. Powstrzymała się jednak, zniewolona jakąś siłą wyższą, klęczała w otępieniu, zdrętwiała, z otwartymi ustami. Bez przerwy sły-chać było tykanie zegara, cały pokój zdawał się pełen trwogi a wyczekiwania.

Dziewczynka poruszyła się. Jej powieki uniosły się z wolna, potem, jakby zdziwione i zmęczone, opadły znowu. Przez twarz przeszło drgnienie lekkie jak podmuch wiatru. Poruszyły się usta. Helena niecierpliwie pochyliła się przejęta śmiertelnym lękiem. — Mamo, mam — wyszeptowała Joasia.

Wówczas Henryk przysunął się do Heleny i powiedział:

— Uratowana.

— Uratowana... uratowana... — powtarzała jękając ńię, ogarnięta taką radością, że osunęła się na ziemię koło łóżka, spoglądając nieprzytomnie na dziecko i doktora.

Niespodziewanie zerwała się i rzuciła Henrykowi na szyję.

— Kocham cię!

Ścisnęła go i całowała. Wyznanie, na które tak 'długo nie mogła się zdobyć, wymknęło się jej wreszcie teraz w odprężeniu po przeżytej udręce. W tej cu-» downej chwili była jednocześnie matką i kochankąjv przynosiła w darze miłość spotęgowaną jeszcze przeaj wdzięczność.

— Płacę, patrz, mogę płakać! — powtarzała. — Boże mój, jak ja cię kocham, jacy my będziemy szczęśliwi!

Mówiła mu „ty”, płakała. Potok łez, wyschły od trzech tygodni, spływał po jej policzkach. Henryk trzymał ją w ramionach, tuląc ją i ufna jak dziecko, porwana tym wybuchem tkliwości. Potem znów upadła na kolana i objęła Joasię, by ją uśpić w swych ramionach, a gdy dziecko zapadało w sen, Helena podnosiła od czasu do czasu na Henryka oczy pałające miłością.

Była to noc pełna szczęścia. Doktor został do bardzo późna. Joasia, na której twarzy znać było odprężenie, wyczerpana, nie spała; leżała z zamkniętymi oczami, wyciągnięta na łóżku, okryta po samą brodę, a ciemne jej włosy odcinały się od bieli poduszki. Lampa na przysuniętym do kominka stoliku oświetlała tylko jeden kąt pokoju, pozostawiając w cieniu Helenę i Henryka, którzy siedzieli na swych zwykłych miejscach po dwóch stronach łóżka Joasi. Ale dziecko nie rozdzielało ich, przeciwnie, łączyło ze sobą, jakby swą niewinnością uświęcało ten pierwszy wieczór miłości. Po długich dniach trwogi, którą dopiero co przeżyli, mogli wreszcie zakosztować nieco spokoju. Nareszcie się odnaleźli, byli razem, nie tając już swych uczuć. Rozumieli dobrze, że miłość spotęgowana się w tych wspólnych trwogach i radościach, jakie nimi wstrząsnęły. Pokój, taki ciepły i przytulny,

pełen nabożnego milczenia wokół łóżka chorej, stawał się wiernym sprzymierzeńcem. Od czasu do czasu Helena wstawiała, szła na palcach po lekarstwa, poprawiała lampę, wydawała polecenia Rozalce. Doktor nie spuszczał z niej oczu i dawał znaki, by poruszała się cicho. A gdy siadała z powrotem, uśmiechali się do siebie. Nie odzywali się słowem, cała uwaga skupiona była na Joasi, która jakby uosabiała ich miłość. Ale zdarzało się, że gdy krzątali się przy niej, poprawiali kołdrę lub unosili jej głowę, ręce ich spotykały się i przez chwilę pozostawały tak obok siebie. Pozwalali sobie tylko na tę jedyną, mimowolną i skrytą pieśczętę.

— Ja nie śpię — szeptała Joasia. — Wiem dobrze, że jesteście przy mnie.

Ręce ich odsuwały się od siebie. Radowali się, że Joasia mówi. Nie mieli innych pragnień.

— Jak się czujesz, kochanie? — pytała Helena widząc, że Joasia porusza się.

. Nie od razu odpowiadała, mówiła jakby przez sen.

— Och, sama nie wiem... Ale cieszę się, że was słyszę.

Po chwili z wysiłkiem unosiła powieki i przyglądała się im. Uśmiechając się błogo, zamykała oczy.

Nazajutrz, gdy zjawił się ksiądz i pan Rambaud, Helena nie mogła powstrzymać odruchu zniecierpliwienia. Zawadzali, jej w szczęściu. A gdy wypytywali ją, drżąc z lęku przed złą nowiną, z całym okrucieństwem powiedziała, że Joasia nie czuje się lepiej. Nawet się nie zawahała, powodowana samolubnym pragnieniem zachowania tylko dla siebie i Henryka radości, że Joasia jest uratowana i że tylko oni wiedzą o tym. Jakim prawem chciano dzielić z nimi ich szczęście?! Należało do nich, zdawałoby się jej pomniejszone, gdyby ktoś jeszcze wiedział o nim. Tak jakby ktoś obcy wtrącał się do ich miłości. , Ksiądz zbliżył się do łóżka.

— Joasiu! To my, twoi przyjaciele... Nie poznajesz nas?.

Poważnie skinęła głową. Poznawała, ale nie chciała z nimi rozmawiać i zamyślona spojrzała na matkę porozumiewawczo. Obaj poczciwcy odeszli bardziej strapieni niż kiedykolwiek.

W trzy dni potem doktor pozwolił chorej zjeść pierwsze jajko na miękko. Stało się to wielkim wydarzeniem. Joasia zapragnęła koniecznie zjeść to jajko tylko w obecności matki i doktora, przy zamkniętych drzwiach. A że pan Rambaud akurat znajdował się tam, szepnęła do ucha Heleny, która rozłożyła serwetkę na łóżku:

— Poczekaj, aż on sobie pójdzie. — A gdy tylko wyszedł, zawołała: — Prędko, prędko... Przyjemniej jeść, gdy nie ma nikogo.

Helena pomogła jej usiąść, a Henryk podłożył dwie poduszki pod plecy, by miała oparcie. Uśmiechając się radośnie Joasia czekała z rozłożoną serwetką i talerzem na kolanach.

—g Stłuc ci jajko, dobrze? — spytała Helena.

— Tak, mamó, dobrze.

— A ja ci ukroję trzy kawałeczki bułki — powiedział doktor.

O, cztery, na pewno zjem cztery, zobaczysz!

Mówiła już doktorowi „ty”. Kiedy podał jej pierwszą kromkę, schwyciła go za rękę. Trzymała jeszcze rękę matki i ucałowała je obie z gwałtowną czułością.

— Daj spokój, bądź rozsądna — powiedziała Helena widząc, że dziewczynka jest bliska płaczu. — Jedz grzecznie jajeczko, żeby nam zrobić przyjemność.

Joasia zaczęła jeść, ale była tak osłabiona, że po drugiej kromce poczuła się zupełnie wyczerpana. Uśmiechała się przy każdym kęsku, mówiąc, że ma miękkie zęby. Henryk zachęcał ją. Helenie lzy napływały do oczu. Mój Boże! Jej dziecko już jadło! Wzruszona i przejęta patrzyła na to pierwsze jajko i bułkę. Nagle zmroziła ją myśl o Joasi martwej i wyciągniętej sztywno pod całunem. A oto mała jadła, jadła tak grzecznie, chociaż ruchy jej były jeszcze powolne i niepewne.

— Nie gniewaj się, mamó... Staram się, jak mogę, jem już trzecią kromkę... Cieszysz się?

— Tak, bardzo się cieszę, kochanie... Nie wiesz nawet, jak wielką sprawiasz mi radość.

W tym przyppywie szczęścia, które tamowało jej oddech, Helena zapomniała się i odruchowo oparła o ramię Henryka. Oboje uśmiechali się do dziecka. Ale Joasia jakby niespodziewanie zaczęła cierpieć. Spojrzała na nich nieufnie, spuściła głowę, przestała jeść, twarz jej pobladła z gniewu. Trzeba ją było położyć.

■ -----

Długie miesiące Joasia powracała do zdrowia. W sierpniu musiała jeszcze leżeć. Wieczorami wstawała, z trudem szła do fotela pod oknem i stamtąd, na wpół leżąc, godzinę lub dwie przyglądała się panoramie Paryża czerwieniącego w promieniach zachodzącego słońca. Jej biedne nóżki odmawiały posłuszeństwa. Uśmiechając się słabiutko, mówiła, że nie ma w niej nawet tyle krwi co w małym ptaszku, ale będzie miała jej więcej, jak będzie jadła dużo zupy. Do bulionu wkrawano jej kawałeczki surowego mięsa i wreszcie nawet polubiła tę potrawę, ponieważ bardzo chciała móc bawić się w ogrodzie.

Helena straciła rachubę upływających dni. Całe tygodnie i miesiące mijały podobne do siebie, a przecież pełne uroku. Nie wychodziła nigdzie, zajęta Joasią zapominała o bożym świecie, żadna nowina z zewnątrz nie docierała do niej. Pustelnik w swej samotni wśród skał nie byłby bardziej odcięty od świata niż ona ponad wielkim miastem wypełniającym horyzont zgiełkiem i dymem. Każde żywsze spojrzenie Joasi, każdy uśmiech, każde najmniejsze poruszenie uszczęśliwiała Helenę; dni całe upływały jej na śledzeniu rekonwalescencji, dziecko było uratowane i świadomość ta była dla niej wszystkim. Włosom Joasi po wracała ich dawna puszystość, oczom blask, z każdą chwilą odzyskiwała córkę coraz bardziej i Helenie zdawało się, że daje jej życie po raz drugi. Im powolniejszy był ten powrót do zdrowia, tym większym napełniał szczęściem, przypominając dawne dni, gdy ją karmiła; patrząc na powrót sił Joasi doznawała wzruszeń głębszych niemal niż wtedy, gdy w swych dłoniach trzymała maleńkie nóżki dziecka zastanawiając się, czy prędko zaczną biegać.

Było jednak coś, co niepokoilo Helenę. Raz po raz dostrzegała jakiś cień przemykający po nagle pobladłej twarzy Joasi patrzącej na nią nieufnie i obco. Dlaczego Joasia, wesoła i ożywiona, tak się zmieniała niespodziewanie? Może dolegało jej coś, może ukrywała przed nią jakieś cierpienie?

— Co ci jest, powiedz mi, kochanie! Dopiero co się śmiałaś, a teraz jesteś taka smutna. Może boli cię coś? Powiedz mi.

Ale Joasia gwałtownie odwracała głowę, chowając twarz w poduszkę.

— Nic mi nie jest — odpowiadała krótko. — Daj mi spokój, proszę cię.

Pewnego popołudnia zacięła się i trwała w swym uporze, z oczami utkwionymi w ścianę, bardzo smutna, a zrozpaczona matka nie wiedziała, co o tym sądzić. Doktor był bezradny, stany takie powtarzały się zawsze w czasie jego wizyt; przypisywał je podrażnieniu chorej. Zalecał przede wszystkim, by Joasi nie sprzeciwiano się w niczym.

Gdy któregoś popołudnia Joasia spała, Henryk bardzo rad z widocznej poprawy zatrzymał się dłużej, rozmawiając przy oknie z Heleną, zajęta znowu swym wiecznym szyciem. Od czasu owej strasznej nocy, kiedy w namiętnym wybuchu wyznała mu swą miłość, słodycz świadomości, że się nawzajem kochają, pozwalała im nie troszczyć się o to, co będzie dalej, zapomnieć o całym świecie i żyć spokojnie, bez wstrząsów. W tym pokoju, pełnym jeszcze tragicznych wspomnień walki ze śmiercią u łóżka dziecka oddy;-

chającego przez sen miarowo i ufnie, byli jakby opancerzeni przeciw zmysłom i wszelkim z ich strony nie-  
spodziankom. Ale w miarę jak chora powracała do sił, ich miłość budziła się także, nabierała życia, krew biła  
żywym tętnem; to, że byli razem, przejmowało ich dreszczem szczęścia. Radowali się chwilą obecną nic  
zastanawiając się, co będzie, gdy Joasia wstanie z łóżka, a miłość ich objawi się im już nieskrepowana, wolna i  
silna.

By nie budzić małej, mówili ściszymi głosami i przez całe godziny tylko z rzadka odzywali się do siebie.  
Słowa mogły być banalne, a przecież wzruszały ich głęboko. Tego dnia oboje byli bardzo poruszeni.

— Jest znacznie lepiej, może mi pani wierzyć — powiedział doktor. — Za dwa tygodnie będzie mogła  
zejść do ogrodu.

Igła w rękach Heleny migiała szybko.

— Wczoraj — odpowiedziała cicho — była znowu bardzo smutna... Ale dziś rano śmiała się wesoło- i  
obiecała, że będzie rozsądna.

Zapanowała długa cisza. Sen Joasi nappełniał ich wielkim spokojem. Czuli się wtedy swobodniejsi, bliżsi  
sobie.

— Już dawno nie była pani w ogrodzie — mówił. — Pełno w nim teraz kwiatów.

— Zakwitły już pewno stokrotki, prawda?

— Tak, klomb wygląda wspaniale... Powój wspiął się już aż na wiązy. Wygląda jak kaskada zieleni.

I znów zapadła cisza. Helena przestała szyć, patrzyła na niego z uśmiechem, oboje zamarzyli o cienistych,  
pełnych mroku alejach, gdzie płatki róż opadały deszczem. Doktor pochylony nad Heleną wchłaniał lekki  
zapach werweny unoszący się z jej pc- niuaru. Szelest pościeli zakłócił ich spokój.

— Budzi się — powiedziała Helena unosząc głowę.

Henryk cofnął się. Spojrzał również w stronę łóżka. Joasia objęła przez sen poduszkę drobnymi rączkami i  
oparła o nią podbródek zwracając twarz pro

sto w ich" stronę. Ale nie otworzyła oczu, oddychała równo i powoli, zdawała się znów zapadać w sen.

— Pani tak stale szyje?. — spytał zbliżając się znowu.

— Muszę mieć ręce czymś zajęte, to odruchowe prawie, myśli mi się przy tym lepiej... Mogę wtedy bez  
znużenia całymi godzinami myśleć o jednym.

Nic nie odpowiedział, patrzył na igłę, która z rytmicznym, ledwo dosłyszalnym szelestem kłuła per- kal, i  
wydawało mu się, że nitka ta porywa i zszywa razem ich życia. Całymi godzinami ona mogłaby szyć, a on  
słuchać po prostu szeptu tej igły, tego rytmicznego kołysania, które choć stale mówiło o jednym, nigdy ich nie  
nużyło. Oboje pragnęli tylko trwać tak obok siebie przez dni całe w tym spokojnym ustroniu, zachowując ciszę,  
by nie zakłócać snu dziecka. Czarowne trwanie, bezszelestne, w którym słyszeli bicie swych serc,  
niewysłowiona słodycz zespolenia miłości i wieczności.

— Jaka pani dobra, laka pani dobra! — powtarzał bez końca, nie umiejąc znaleźć innych słów na wy-  
rażenie radości, jakiej doznawał przy niej.

Znowu uniosła głowę; świadomość, że jest tak gorąco kochana, nie wprawiała jej w najmniejsze za-  
kłopotanie. Twarz Henryka była blisko jej twarzy. Spojrzeli sobie w oczy.

— Muszę szyć, proszę mi nie przeszkadzać — powiedziała bardzo cicho. — Nigdy tego nie dokończę.

Lecz nagle instynktowny niepokój kazał jej się odwrócić. Zobaczyła śmiertelnie bladą Joasię przyglądającą  
się im czarnymi jak atrament oczami. Leżała jak przedtem, z twarzą opartą o poduszkę, którą ciągle jeszcze  
trzymała w ramionach. Tylko teraz oczy miała otwarte i patrzyła na nich.

— Joasiu, co ci jest? — spytała Helena. — Boli cię coś? Może chcesz czego?

Joasia nie odpowiadała, leżała nieruchomo, nawet nie spuściła powiek i uparcie wpatrywała się w nich  
swymi wielkimi, płonącymi oczami. Pobladła i zapad

nięta twarz skurczyła się grymasem gniewu. Zaciśnęła pięści jak przed atakiem konwulsji. Helena poderwała się gwałtownie i błagała ją, by przemówiła, ale Joasia, zacięta w swym upartym milczeniu, utkwiała w matce spojrzenie tak ponure, że ta zaczerwieniła się wreszcie i wykrztusiła:

— Niech pan zobaczy, co jej jest, doktorzel

Henryk odsunął swe krzesło od krzesła Heleny. Zbliżył się do łóżka i chciał unieść rękę dziecka kurczowo ściskającą poduszkę. Gdy tylko dotknął Joasi, wstrząsnęła się cała i gwałtownie obróciła do ściany krzycząc:

— Nie dotykajcie mnie!... Nie chcę was!

Schowała się z głową pod kołdrę. Daremnie przez cały kwadrans starali się ją uspokoić, przemawiając najczulej. Gdy nie przestawali przekonywać jej, wreszcie uniosła się i składając ręce prosiła:

— Błagam, zostawcie mnie!... Nie chcę was!... Zostawcie mnie.

Helena, wstrząśnięta, wróciła na swe miejsce przy oknie, ale Henryk nie usiadł już przy niej: zrozumieli wszystko. Joasia była zazdrosna. Byli bezradni. Doktor chodził w milczeniu po pokoju, a widząc niespokojne spojrzenia, jakie Helena rzucała w stronę łóżka, wyszedł. Po jego odejściu podeszła znów do córki, mimo oporu wzięła ją w ramiona i starała się wytłumaczyć.

— Posłuchaj, moja maleńka, jestem już teraz z tobą sama... Popatrz na mnie, odpowiedz mi... Może cię coś boli? To przeze mnie martwisz się? Musisz mi wszystko powiedzieć... Czy to na mnie się gniewasz?... Co cię trapi?...

Na próżno jednak dopytywała się na wszystkie sposoby, Joasia zapewniała uparcie, że nic jej nie jest. Wreszcie wybuchła:

— Już mnie nie kochasz... Już mnie nie kochasz... — powtarzała.

I Rozszlochała się gwałtownie. Kurczowo ścisnęła ręce wokół szyi matki, namiętnie całując jej twarz. Helena z zamarłym sercem, przytłoczona niewysłowionym smutkiem, przez długą chwilę tuliła ją do piersi, mieszając swe łzy z jej łzami i przysięgając, że nigdy nikogo nie będzie tak kochała.

Od owego dnia byle słowo, byle spojrzenie budziło zazdrość Joasi. Instynktownie, dopóki była w niebezpieczeństwie, znosiła tę tkliwą miłość matki i doktora, którą czuła wokół siebie i która uratowała jej życie. Ale teraz, gdy przybywało jej sił, nie chciała z nikim dzielić się matką. Powzięła do doktora głuchą urazę, która skrycie wzrastała i zamieniała się w nienawiść, w miarę jak Joasia czuła się coraz lepiej. Wszystko to leżało w jej przekornej główce, w jej naturze podejrzliwej i skrytej. Nigdy nie chciała o tym mówić, może sama nie zdawała sobie sprawy, o co jej chodzi. Gdy doktor zbyt blisko podchodził do matki, przyciskała ręce do piersi: tam ją bolało, paliło. Nie umiała tego inaczej określić. Błądła, dusiła się prawie z niepohamowanej złości. Nie umiała opanować tych wybuchów, a gdy strofowano ją, czuła się pokrzywdzona i jeszcze bardziej zacinała się w milczeniu. Helena drżała w obawie, by Joasia nie uświadomiła sobie przyczyny swoich niepokojów, i odwracała oczy pod wzrokiem dwunastoletniego dziecka, które tak wcześniej stawało się zazdrosną, rozbudzoną kobietą.

— Jakże mnie martwisz, Joasiu — mówiła ze łzami w oczach, widząc, jak się miota w przystępie chorobliwego podniecenia, które, choć starała się je stłumić w sobie, prawie ją dusiło.

Dawniej słowa takie zawsze rzucały Joasię zalaną łzami w ramiona matki, teraz nie robiły na niej wrażenia. Joasia stała się zupełnie inna. Dziesięć razy na dzień zmieniał się jej humor. Najczęściej przemawiała do matki tak, jakby mówiła do Rozalki, krótko i rozkazująco, zajmowała ją co chwila najrozmaitszymi drobiazgami, była niecierpliwa, stale się na coś użalała.



— Podaj mi moje ziółka... Jakże marudzisz!... Kogo to obchodzi, że umieram z pragnienia.

A gdy Helena podawała jej żądane ziółka, Joasia grymasiła:

— Gorzkie, nie osłodziłaś... Nie chcą.

Gwałtownie rzuciła się na łóżku, po chwili znów

odpychała ziółka mówiąc, że są przesłodzone. Robią jej to naumyślnie, nikt się o nią nie troszczy. Helena, obawiając się rozdrażnić ją jeszcze bardziej, nie odpowiadała nic, patrzyła tylko na nią smutno i wielkie łzy spływały jej po policzkach.

Joasia jakby specjalnie zachowywała swe napady złości na godziny, w których bywał doktor. Gdy tylko wchodził, pochylała głowę i wtulała się w pościel z nieufnością dzikiego zwierzątka, które nie znosi zbliżenia się obcego. Zdarzało się, że w ogóle nie chciała się odzywać, dawała się osłuchać i zbadać sobie puls, leżąc nieruchoma, z oczami utkwionymi w sufit. Kiedy indziej nie chciała nawet na niego patrzeć, zakrywała oczy rękami z taką zawziętością, że trzeba je było odrywać siłą. Któregoś wieczoru, gdy matka podawała jej łyżkę z lekarstwem, powiedziała z całym okrucieństwem:

— Nie chcę, to trucizna.

Helena, zaskoczona, z sercem przeszytym ostrym bólem, bała się dociekać znaczenia tych słów.

— Co ty mówisz, kochanie? — zapytała. — Czy rozumiesz, co powiedziałaś? Lekarstwa nigdy nie są smaczne, ale trzeba je zażyć.

Joasia jednak zachowała swe zawzięte milczenie, odwracając głowę. Odtąd już stale pokazywała humory, brała lub nie brała lekarstwa, jak jej się podobało w danej chwili. Podejrzliwie wahała flaszki i nieufnie oglądała te, które stały na nocnej szafce. A gdy już raz odsunęła jedną, pamiętała ją dobrze i prędzej umarłaby, aniżeli wypła z niej bodaj jedną kroplę. Jedynie poczciwy pan Rambaud potrafił ją czasem namówić. Teraz znów, na odmianę, dla niego była przesadnie czuła, zwłaszcza w obecności doktora, i zerkąła na matkę, by się przekonać, czy sympatia, jaką okazuje panu Rambaud, sprawia jej przykrość.

— Ach, to ty, kochany panie Rambaud! — wołała, gdy tylko się zjawiał. — Chodź, siadaj przy mnie bliźutko... Może masz pomarańcze?

Siadała na łóżku, śmiejąc się przetrząsała mu kieszenie, gdzie zawsze były dla niej jakieś łakocie. Potem całowała go, odgrywając komedię miłości, zadowolona, gdyż widząc bladą, udręczoną twarz matki, sądziła, że mści się na niej. Pan Rambaud promieniał, szczęśliwy, że jego ukochana Joasia jest dla niego znów miła. Ale zanim jeszcze wchodził do sypialni, Helena wybiegała do przedpokoju, by go uprzedzić, jak ma postępować. Więc udawał, że nagle spostrzegł lekarstwa na nocnej szafce.

— Co to, pijesz syrop?

Twarc Joasi chmurzyła się; mówiła cicho:

— Nie, nie piję, to niedobre, śmierdzi, nie będę tego piła!

— Jak to? Nie będziesz piła? — dziwił się pan Rambaud, z wesołą miną. — Mogę się założyć, że to doskonale... Dasz mi spróbować?

Nie czekając na pozwolenie nalewał sobie pełną łyżkę i wypijał bez skrzywienia, udając nawet, że mu ogromnie smakuje.

— Wspaniale! — mrucał. — Nie masz wcale racji. Wiesz, spróbuj choć odrobinę.

Rozbawiona Joasia nie opierała się więcej. Zgadzała się wypić wszystko, czego tylko skosztował pan Rambaud, uważnie przyglądała się jego ruchom i starała się odczytać z jego twarzy, jak mu smakowało lekarstwo. Poczciwiec cały miesiąc karmił się medykamentami. Gdy Helena mu dziękowała, wzruszał tylko ramionami.

— Niech pani da spokój! To całkiem smaczne! — mówił, sam wreszcie przekonany, iż dla własnej przyjemności popija lekarstwa dziecka.

Całe wieczory spędzał przy Joasi, a ksiądz Jouve

przychodził co drugi dzień. Joasia zatrzymywała ich, jak mogła najdłużej, i dąsała się, gdy odchodzili. Bała się teraz pozostawać sam na sam z matką i doktorem, pragnęła, by zawsze był ktoś jeszcze, kto by ich krępował. Często bez powodu wołała Rozalkę. A gdy pozostawała z nimi sama, nie spuszczała z nich oczu śledząc każdy ich krok. Bładła, gdy tylko spotykały się ich ręce. Nie mogli sobie nic powiedzieć po cichu — zaraz unosiła głowę, irytowała się, chciała wiedzieć, o czym mówili. Nie mogła ścierpieć, by suknia matki dotykała choćby trzewików doktora. Nie mogli ani się zbliżyć, ani popatrzeć na siebie, bo natychmiast zaczynała drzeć nerwowo. Nawet gdy uśmiechnęli się poza jej plecami, w swym niezwykłym przewrażliwieniu, wzmożonym jeszcze chorobą, potrafiła to odczuć od razu i natychmiast odwracała głowę. Zawsze doskonale wyczuwała, kiedy byli sobie bardziej bliscy, bardziej siebie pragnęli, jakby w powietrzu coś od nich ku niej promieniowało. W takie dni była szczególnie ponura i cierpiała podobnie jak nerwowe kobiety przed gwałtowną burzą.

Wszyscy uważali, że Joasia jest już uratowana, i Helena sama nabierała powoli tego przekonania. Toteż nieliczne ataki przypisywała chwilowym kaprysom rozpieszczonego dziecka. Po sześciu tygodniach śmiertelnej trwogi, którą dopiero przeżyła, pragnęłaby żyć trochę dla siebie. Joasia teraz mogła się obywać całymi godzinami bez jej opieki, a po tym długim okresie, w którym prawie nie wiedziała, że oddycha, owe chwile swobody były dla niej odpoczynkiem i rozkosznym odprężeniem. Przewracała w szufladach, z radością odnajdywała dawno zapomniane drobiazgi, [zajmowała się błahostkami, chcąc odnaleźć rytm swej dawnej, szczęśliwej codzienności] I w tym powrocie do życia miłość jej potęgowała. Się, Henryk stawał fjj niejako należnym zadośćuczynieniem za wszystkie przecierpiane udreki. Wśród ścian tego pokoju czuli się jakby odgradzeni od świata, przeszkody wydawały się nieważne, zapomnieli o wszystkim. Nic już nie dzieliło ich poza tym dzieckiem, tak rozjątrzoną ich miłością.

A właśnie sama Joasia podniecała ich pragnienia. Bez przerwy między nimi, bez przerwy podejrzliwa, zmuszała do ciągłego odgrywania komedii, udawania obojętności, co jeszcze bardziej podsycalo miłość. Całymi dniami nie mogli zamienić ani słowa, czując, że Joasia słucha uważnie, nawet gdy zdawała się drzemać. Gdy kiedyś wieczorem Helena odprowadzała Henryka do przedpokoju, milcząca, pokonana, gotowa rzucić mu się na szyję, dobiegło ją zza zamkniętych drzwi wołanie Joasi: „Mamo, mamo!”, tak przeraźliwym głosem, jak gdy by sparzył ją żar pocałunku, którym doktor musnął włosy jej matki. Helena musiała czym prędzej wrócić do pokoju, gdyż usłyszała, że dziewczynka wyskoczyła z łóżka. Spotkała ją, jak biegła w koszuli, cała rozdygotana i podniecona. Odtąd ani na chwilę nie chciała już pozostawać sama. Przy powitaniu i pożegnaniu musiał im już wystarczyć jedynie uścisk dłoni. Pani Deberle od miesiąca bawiła z małym Łucjanem nad morzem; doktor, który teraz rozporządzał całym swym wolnym czasem, nie miał odwagi spędzić z Heleną więcej niż dziesięć minut. Skończyły się uroczyste, długie rozmowy przy oknie. Gdy spoglądali na siebie, w oczach ich zapalały się coraz gorętsze ognie.

Najbardziej męczące były dla nich zmienne humory Joasi. Pewnego razu, gdy doktor pochylił się nad nią, zalała się łzami. Cały dzień zamiast nienawiści potrafiła okazywać chorobliwą wprost czułość. Zatrzymywała go przy łóżku. Bez przerwy wzywała do siebie matkę, jakby pragnąc widzieć ich razem, wzruszonych i uśmiechniętych. Uszczęśliwiona Helena marzyła, by dni te trwały bez końca. Ale już w nocy Joasia była wzburzona i zła. Nie mogła odżałować, że była miła a nazajutrz przyjęła doktora tak wrogo, że matka prosiła wzrokiem, by odszedł. Podobne sceny powtarzały się stale. Po uroczych godzinach, jakich im użyczała w przystępie namiętnych czułości, przy-

chodziły, jak smagnięcia batem, godziny złe, po których pragnęli być ze sobą sami.

Wreszcie uczucie buntu zaczęło powoli kielkować w Helenie. Chętnie oddałaby życie dla córki, ale dlaczego to niedobre dziecko, teraz gdy już było uratowane, dręczyło ją tak bardzo? Gdy tylko pogrążyła się w marzeniach, jakie ją teraz często nawiedzały, w mglisty sen, w którym widziała siebie idącą wraz z Henrykiem w jakimś czarownym i nieznanym kraju, nagle zjawiał się przed nią obraz drętwiejącej Joasi. Była to nie kończąca się rozterka jej serca i sumienia, rozterka między miłością matki a kobiety, która sprawiała jej nieznośne cierpienie. Któregoś wieczoru doktor mimo wyraźnego zakazu Heleny przyszedł bardzo późno. Od tygodnia nie mogli zamienić ze sobą jednego słowa. Helena nie chciała go wypuścić, ale, jakby pragnąc ją uspokoić, delikatnie popchnął ją do sypialni. Tam oboje nie obawiali się siebie. Joasia spała głęboko. Usiedli na swych zwykłych miejscach przy oknie, z dala od lampy, pogrążeni w pełnym spokoju cieniu. Dwie godziny rozmawiali, zbliżając ku sobie twarze, by mówić tak cicho, aby ciszy uspionej sypialni nie mącił żaden szmer. Od czasu do czasu odwracali głowy spoglądając na delikatną twarz Joasi, której złączone rączki spoczywały na kołdrze. Ale potem zapomnieli się. Szept icti stał się głośniejszy. W pewnej chwili Helena ocknęła się i cofnęła ręce płonące od pocałunków Henryka. Przeszedł ją dreszcz na myśl o ohydzie, której o mało się nie dopuścili.

— Mamo, mamo... — wyszeptała niespodziewanie Joasia miotając się, jakby dręczona jakimś koszmarem. Rzuciła się na łóżku z oczami klejącymi się od snu, usiłując usiąść.

— Niech pan się schowa, błagam pana, niech pap się schowa — powtarzała Helena niespokojnie. — Widok pana może ją zabić.

Henryk ukrył się we wnęce okiennej, za kotarą z niebieskiego aksamitu. Ale dziecko nie przestawało się skarżyć.

— Mamo, mamo, jak mMe strasznie boli!

— Jestem przy tobie, kochanie... Co cię boli?

— Nie wiem... Tutaj, widzisz. Pali mnie. — Miała otwarte oczy, wykrzywioną twarz i obie ręce przyciskała do piersi. — Tak nagle mnie zabolalo... Spałam, prawda? I nagle poczułam jakby jakiś wielki ogień.

— Ale to już przeszło? Teraz już nic nie czujesz, prawda?

— Czuję, czuję ciągle.

I nieufnie rozejrzała się po pokoju. Była już teraz zupełnie rozbudzona, zasępiła się i pobladła.

— Czy nie ma tu nikogo, mamo? — zapytała.

— Ależ nie, kochanie.

Potrząsnęła głową, patrzyła dokoła, jakby węszyła w powietrzu, ze wzrastającym wciąż podnieceniem.

— Nie, ja wiem na pewno... Tu ktoś jest. Boję się, mamo, boję się... Oszukujesz mnie, tu ktoś jest!

Zaczął się atak nerwowy. Szlochając spazmatycznie Joasia zakryła głowę kołdrą, jakby chowała się przed jakimś niebezpieczeństwem. Helena, szalejąc z niepokoju, kazała Henrykowi natychmiast odejść. Chciał pozostać, by ratować dziecko, ale wypchnęła go za drzwi. Wróciła i pochwyciła w ramiona dziewczynkę, bez przerwy powtarzającą skargę, którą zawsze wyrażała swe wielkie cierpienia:

— Ty mnie już nie kochasz, już mnie nie kochasz!

— Cicho, aniołeczku, nie mów tak! — zawołała matka. — Kocham cię więcej niż kogokolwiek na świecie... Przekonasz się, jak cię kocham!

Do rana czuwała nad nią, a widząc, że jej uczucie do Henryka tak boleśnie rani tę drogą istotę, przerażona, postanowiła jej całkowicie i wyłącznie poświęcić swe serce. Joasia żyła przecież tylko jej miłością. Nazajutrz odbyło się konsylium. Doktor Bodin nadszedł jakby przypadkiem i niby bawiąc się z chorą zbadał ją i osłuchał dokładnie. Potem długo naradzał

się z doktorem Deberle, który czfekał w drugim pokoju. Obaj byli zdania, że obecny stan Joasi nie jest poważny, lecz obawiali się powikłań i długo wypytywali Helenę o historię rodziny uważając, że zachodzi tu wypadek jednej z owych dziedzicznych chorób nerwowych, wobec których nauka jest bezsilna. I Helena opowiedziała im to wszystko, co już po części wiedzieli, a mianowicie, że babka jej zamknięta była w domu obłąkanych w Tulettes, kilka kilometrów od Plassans, że matka jej umarła wprawdzie na galopujące suchoty, ale przez całe życie nie była całkiem normalna i miała ataki nerwowe. Ona sama podobna była raczej do ojca, którego przypominała z twarzy, jak i ze zrównoważonego usposobienia. Joasia natomiast stanowiła żywy portret babki, jedynie była delikatniejsza i nigdy zapewne nie osiągnie jej wzrostu ani kościstej budowy. Obaj lekarze powtórzyli raz jeszcze, że trzeba postępować z nią bardzo łagodnie i bardzo oględnie. Przy tych dolegliwościach bled- nicowych, które sprzyjają rozwojowi tylu ciężkich schorzeń, nigdy nie jest się dość ostrożnym.

Henryk słuchał starego doktora Bodin z szacunkiem, jakiego nie okazywał żadnemu ze swych kolegów. Kądził się go z miną ucznia nie dowierzającego samemu sobie. W rzeczywistości zaczynał drzeć przed tym dzieckiem, z którym przy całej swej wiedzy i doświadczeniu nie umiał dać sobie rady. Obawiał się, że może spowodować jego śmierć i utracić Helenę. Minął tydzień. Helena nie przyjmowała go więcej w pokoju chorej. Sam zaprzestał w końcu swych wizyt, dotknięty boleśnie, nieomal chory.

Pod koniec sierpnia Joasia mogła nareszcie wstawać i chodzić po mieszkaniu. Od dwóch tygodni nie miała ataków, poweselała, odżyła od razu. Helena nie odstępowała córki, oddana jej bez reszty, i to wystarczyło, by dziecko wyzdrowiało. Z początku dziewczynka była nieufna, nie dowierzała nawet pocałunkom matki, śledziła każde jej poruszenie, zasypiała trzymając ją za rękę, nawet wę śnie pragnęła ją mieć dla siebie. Potem widząc, że jest z matką sama, że z nikim się nią nie dzieli, powoli nabierała zaufania, szczęśliwa z powrotu dobrych dni, gdy obie szyły przy oknie. Z dnia na dzień miała coraz żywsze rumieńce. Rozalka mówiła, że rozkwita w oczach.

Jednak czasami wieczorem, z nadejściem zmroku, Helenie opadały ręce. Od czasu choroby córki była poważna, nieco blada, a na czole jej pojawiła się głęboka zmarszczka, której przedtem nie miała. Joasia, gdy tylko spostrzegała jeden z tych momentów znużenia, jedną z tych chwil pustki i zwątpień, czuła się także bardzo nieszczęśliwa, a w sercu jej budził się jakby jakiś niejasny wyrzut Łagodnie, bez słowa, zarzucała matce ramiona na szyję. Potem pytała cichutko:

— Czy jesteś szczęśliwa, mameczko?

Helena drżała. Odpowiadała pośpiesznie!

— Ależ tak, kochanie.

Dziecko nastawało dalej:

— Naprawdę jesteś szczęśliwa, naprawdę jesteś szczęśliwa?

— Oczywiście... Dlaczego miałabym nie być szczęśliwa?

Wtedy Joasia ścisnęła ją z całej siły swymi drobnymi ramionami, jak gdyby chcąc dać jej zadośćuczynienie. Będzie ją kochać tak mocno — mówiła — tak mocno, że w całym Paryżu nie znajdzie się drugiej równie szczęśliwej matki,

IV

W sierpniu ogród doktora Deberle wyglądał jak prawdziwa kotlina zieleni. Przy samym ogrodzeniu bzy i żarnowce plątały ze sobą gałęzie, a pnącze — bluszcze, powoje, kapryfolium — wypuszczały na wszystkie strony niezliczone pędy, które pięły się i plątały, spadały kaskadą i pełzając po murach domów pocierały aż do wiązów w głębi ogrodu, gdzie prze

wieszane gęsto między drzewami tworzyły namiot z liści. Wiązy wznosiły się niby potężne, sękaty kolumny tej zielonej komnaty. Ogródek był tak mały, że wystarczył niewielki nawet kawałek cienia, by zakryć go całkowicie. W południe słońce tworzyło pośrodku jedną jedyną żółtą plamę, podkreślając okrągłość trawnika otoczonego klombami. Przed tarasem rósł duży krzak róży obsypany gęsto ogromnymi herbacianymi kwiatami. Wieczorem\* gdy po dniu upalnym robiło się chłodniej, zapach róż przenikał wszędzie i przesycał powietrze pod wiązami. A gdy na ulicy Vineuse katarynki wygrywały poleczki, uroczy, zagubiony zakątek, ukryty przed ciekawym wzrokiem sąsiadów, budził marzenia o dziewiczym lesie.

— Proszę pani — pytała co wieczór Rozalka — dlaczego panienka nie schodzi do ogrodu? Tam pod drzewami byłoby jej tak dobrze.

Gałęzie jednego z wiązów wdzierały się przez okno do kuchni, mogła obrywać liście ręką i ten olbrzymi bukiet zieleni, którego nie można było przeniknąć wzrokiem, cieszył ją niezmiernie. Ale Helena odpowiadała:

— Joasia jest jeszcze za słaba, w cieniu byłoby jej za chłodno.

Rozalka jednak upierała się przy swoim. Gdy jakiś pomysł wydał się jej dobry, niełatwo dawała go sobie wybić z głowy. Pani myliła się na pewno uważając, że cień może panience zaszkodzić. Raczej chyba pani nie chce przeszkadzać tamtym państwu, ale pani nie ma racji, panienka na pewno nie przeszkadzałaby nikomu, nie ma tam nigdy żywej duszy, pan doktor wcale się nie pokazuje, a pani doktorowa ma zostać w kąpielach nad morzem do połowy września, a że to prawda, to najlepszy dowód, iż konsjerżka prosiła Zefiryndę, by pogracował ścieżki, i już drugie niedzielne popołudnie spędzają tam razem. Zefiryndę i ona. Ach, jak tam ładnie, jak tam ładnie, aż trudno uwie- rzyć!

Helena odmawiała stale. Joasia miała wielką ochotę

też zejść do ogrodu, o którym tak często mówiła w czasie swojej choroby, ale dziwne uczucie zakłopotania, pod wpływem którego spuszczała oczy, nie pozwalało jej poruszać z matką tej sprawy. Wreszcie następnej niedzieli Rozalka, zadyszana, stanęła przed Heleną i powiedziała:

— No, proszę pani, naprawdę nie ma nikogo. Jestem tylko ja i Zefiryndę, który gracjuje... Niech pani pozwoli panience zejść. Nie wyobraża sobie pani nawet, jak tam przyjemnie. Niech pani tylko sama zejdzie na chwileczkę i zobaczy.

Mówiła tak przekonywująco, że Helena ustąpiła. Owinęła Joasię szalem i kazała Rozalce zabrać gruby pled. Dziewczynka swój niemy zachwyt przejawiała tylko blaskiem świecących oczu; chciała zejść do ogrodu sama, bez niczyjej pomocy, by pokazać, jaka jest już silna. Matka szła za nią z wyciągniętymi ramionami, gotowa podtrzymać ją w każdej chwili. A gdy stanęły wreszcie na dole w ogrodzie, obie krzyknęły ze zdziwienia. Jakże mało podobny był ten nieprzenikniony gąszcz zieleni do wystrzyżonego i wypielęgowanego ogródka, jaki widziały wiosną. Nie poznawały go zupełnie.

— A nie mówiłam! — powtarzała Rozalka z triumfem.

Krzewy rozrosły się tak, że alejki zamieniły się w wąskie ścieżki tworząc labirynt, w którym suknie zaczepiały o gałęzie. Można by sądzić, że to jakiś macecznik leśny pod zwartym sklepieniem liści, które przepuszczało zielonkawe światło, łagodne i pełne tajemniczego uroku. Helena odszukała wiąź, pod którym siadywała w kwietniu.

— Nie, nie chcę, żeby Joasia tu siedziała — powiedziała. — W cieniu będzie jej za chłodno.

— Zaraz, zaraz — odparła Rozalka. — Zobacz pani.

Parę kroków dalej wychodziło się już z tego lasu. A tam, wśród wysokich, zielonych ścian, na trawniku, było słońce wpadające przez lukę w listowiu, jak na

polankę leśną, szerokim pasmem promieni. Było cicho i ciepło. Gdy patrzyło się w górę, widać było tylko gałęzie drzew rysujące się jak delikatna koronka na błękitu nieba. Zwiędłe od upału herbaciane róże drzemały na gałązkach. Klomby białych i czerwonych stokrotek, z lekka już przekwitających, wyglądały jak strzępy starego dywanu.

— Zobacz pani — powtarzała Rozalka. — Niech mi pani pozwoli. Sama to wszystko uszykuje.

Złożyła pled we dwoje i ułożyła na ścieżce na skraju cienia. Posadziła Joasię otuloną szalem, mówiąc, by wyciągnęła nóżki. Dzięki temu dziecko miało głowę w cieniu, a nogi na słońcu.

— Wygodnie ci, kochanie? — spytała Helena.

— O, tak — odpowiedziała Joasia. — Widzisz, wcale mi nie zimno. Tak jakbym się grzała przy ognisku. Jak tu pachnie, jak tu miło!

Helena niespokojnie spoglądała na zamknięte okiennice willi i powiedziała, że na chwilę wróci na górę. Rozalce pozostawiła całą masę poleceń: żeby uważała na słońce, żeby nie dała Joasi siedzieć tu dłużej niż pół godziny i żeby nie spuszczała z niej oka.

— Nie bój się, mamol — zawołała Joasia śmiejąc się. — Przecież tędy powozy nie jeżdżą.

Gdy została sama, nabrała ze ścieżki pełne garście żwiru i przesywała z jednej ręki do drugiej. Zefiryn gracował alejki. Na widok pani i panienki pospiesznie włożył mundur zawieszony na gałęzi, przez szacunek przestał gracować i stanął bez ruchu. W ciągu całej choroby Joasi przychodził jak zwykle co niedziela, ale przemykał się do kuchni tak ostrożnie, że Helena nigdy nie domyśliłaby się jego obecności, gdyby Rozalka za każdym razem nie pytała w jego imieniu o zdrowie panienki, dodając, że i on także martwi się z nimi wszystkimi razem. Ograbierał pięknych manier, jak powiadała, w Paryżu zrobił się bardzo elegancki. Teraz oparty o grabie, patrząc na Joasię kiwał głową z wyrazem sympatii. Kiedy go spostrzegła, uśmiechnęła się.

— Byłam bardzo chora — powiedziała.

— Wiem, proszę panienki — odrzekł przykładając rękę do serca. Chciał powiedzieć coś miłego, jakiś żarcik, który by ją rozweselił, i dodał: — Zdrowie panienki odpoczęło, widzi panienka. Teraz dopiero pokaże, co umie.

Joasia nabrała garść kamyczków, Zefiryn, zadowolony z siebie, śmiał się po cichu od ucha do ucha i ze wszystkich sił wziął się znowu do pracy. Grabie jego regularnie skrzypiały po żwirze. Po kilku minutach Rozalka widząc, że dziewczynka jest zajęta swoją zabawą, szczęśliwa i spokojna, powoli odeszła od niej, jakby przyciągana przez skrzywienie grabi. Zefiryn był po drugiej stronie trawnika w samym słońcu.

— Pocisz się jak wół — powiedziała, — Zdejm mundur. Panienka się nie obrazi.

Zdjął bluzę i powiesił z powrotem na gałęzi. Jego czerwone spodnie, spięte w pasie rzemieniem, sięgały mu niemal po same pachy, a koszula ze zgrzebnego płótna, spięta pod brodą sztywnym kołnierzem, sama była tak sztywna, że odstawała, i przez to Jeszcze bardziej wydawał się pękaty. Kołysząc się zakasał rękawy, by raz Jeszcze móc pokazać Rozalce dwa płonące serca, które kazał sobie wytatuować w koszarach, z dewizą: „Na wieki.”

— Czy byłeś dzisiaj na mszy? — zapytała Rozalka, która co niedziela przeprowadzała tego rodzaju szczegółowe dochodzenie.

— Na mszy... na mszy — przedrzeźniał kpiąco.

Jego czerwone uszy odstawały od krótko ostrzyżonej głowy i cała okrągła figurka wyrażała bezgraniczne szyderstwo.

— Oczywiście, że byłem na tej twojej mszy — powiedział w końcu.

— Kłamiesz! — wykrzyknęła Rozalka gwałtownie, — Już ja widzę, że kłamiesz, nos ci się ruszaf... Ach, Zefirynie, Zefirynie, zgubisz swoją duszę, już nie wierzysz w Boga... Uważaj, uważaj!

Zamiast odpowiedzi zalotnym gestem chciał ją objąć wpeł. Ale Rozalka zgorzyla się bardzo i zawołała:

— Zachowuj się przyzwoicie, bo będziesz musiał włożyć mundur!... Wstydu nie masz! Przecież panienka patrzy.

Zefiryn zaczął więc gracować z zapalem. Joasia przyglądała się im ukradkiem. Zabawa już się jej znudziła, po kamyczkach zbierała listki i zrywała trawę, ogarniało ją lenistwo, bawiła się najlepiej nic nie robiąc i patrząc na słońce, które oświetlało ją coraz wyżej. Jeszcze przed chwilą nagrzewało tylko nogi do kolan, teraz sięgało już do pasa, było jej coraz goręcej i ciepło promieni słonecznych odczuwała jak pieszczotę, jak miłe łaskotanie. Najbardziej bawiły ją śliczne, okrągłe, złotożółte plamy tańczące po szalu. Zupełnie jakby to były zwierzątka. I wykręcała głowę, by sprawdzić, czy nie wdrapują się jej aż do twarzy. Czekając na to, wyciągnęła ku słońcu swe drobne ręce. Jakież były wątle! Jakie przejrzyste! Słońce przeświecało je na wskroś, a przecież wydawały się jej ładne, różowe jak muszeczki; cienkie i długie, podobne do rączek ze świętego obrazka. Odurzało ją świeże powietrze, wielkie drzewa wokół i skwar letniego dnia. Zdawało się jej, że zasypia, a jednak widziała, słyszała wszystko. To było takie miłe, takie urocze.

— Panienko, musi się panienka przesunąć — powiedziała Rozalka wracając do Joasi. — Słońce tu za bardzo piecze.

Ale Joasia ruciem ręki dała znać, by jej nie ruszać. Było jej zbyt dobrze. Teraz przypatrywała się już tylko służącej i małemu żołnierzowi, ulegając ciekawości dziecka dla spraw ukrywanych przez dorosłych. Spuściła oczy nie chcąc, by widzieli, że na nich patrzy; udawała, że zasnęła, ale skrycie spod długich rżęs śledziła ich uważnie.

Rozalka niedługo pozostała przy niej. Była bezsilna, gdy słyszała skrzypienie grabi; jak gdyby zniewolona, krok za krokiem zbliżała się znów do Zefiry. Tędy\* mawiała mu jego nowy sposób bycia, lecz w głębi serca była rada, zachwycona, pełna tajonego uwielbienia. W swych długich spacerach z kolegami po Ogrodzie Botanicznym i placu du Chateau d'Eaux, przy którym znajdowały się ich koszary, mały żołnierz nabierał zalotnych i wyszukanych manier paryskiego wojaka. Stał się szarmancki, wymowny, mówił kwiecistym stylem, tak miłym dla uszu dam. Czasem gdy kołysząc ramionami wygłaszał swe zawile powiedzonka, zachłystywała się z podziwu i czerwieniła z dumy słuchając słów, których nie rozumiała. Mundur już go nie krępował, z zawadiacką miną wywijał rękami tak zamasyżycie, aż czako chwiała mu się na głowie; nosił je po swojemu, prawie na karku, odsłaniając okrągłą twarz ze sterczącym nosem. Nabral pewności siebie, zaczął kobieci, czasami zdarzało mu się popić. Ze swymi drwinkami, ze swym niedowiarstwem miał teraz na pewno szersze poglądy od niej. W tym Paryżu stał się aż nazbyt śmiały. Rozalka, zachwycona i rozgniewana, gubiła się, wahała między chęcią wydra pania mu oczu a słuchania tego, co wygaduje.

Tymczasem Zefiryn, gracując, posuwał się po alejce, aż zaszedł za duży krzew trzmieliny, zerkając z ukosa na Rozalkę i jakby przyzywając ją do siebie małymi pociągnięciami grabi\*. Gdy podeszła blisko, uszczypnął ją mocno w biodro.

— Nie masz czego wrzeszczeć — powiedział. — To tak z miłości. A to masz na dokładkę!

Odważył się i cmoknął ją jak popadło. A gdy ona z kolei uszczypnęła go aż do krwi, pocałował ją po raz drugi, tym razem w nos. Zaczzerwieniła się jak piwonka, w głębi duszy bardzo rada, żałując tylko, że nie może odpłacić mu się policzkiem z powodu obecności panienki.

— Ukłułam się — powiedziała wróciwszy do Joasi, tłumacząc w ten sposób swój okrzyk przed chwilą.

Ale dziewczynka widziała całą scenę poprzez cienkie gałęzie trzmieliny. Koszula i czerwone spodnie żołnierza wyraźnie odcinały się na tle zieleni. Z wol

na podniosła oczy na Rozalkę i patrzyła na nią przez jJ chwilę. Rozalka zaczerwieniła się jeszcze mocniej, miała wilgotne usta i potargane włosy. Joasia znowu przymknęła powieki, nabrała garstkę kamyków, nie .1 miała jednak siły bawić się nimi, oparła obie ręce I

0 rozgrzaną ziemię, senna wśród drgań przesyconego m słońcem powietrza. Wezbrała w niej fala zdrowia I dławiała ją prawie. Drzewa wydawały się olbrzymie I i potężne, zapach róż odurzał. Marzyła o czymś niejasnym, zdumiona i oczarowana.

— O czym panienka myśli, proszę panienki? — spytała zaniepokojona Rozalka.

— Nie wiem. O niczym — odpowiedziała Joasia. — Owszem, nawet wiem.. Widzisz, chciałabym żyć długo, aż będę bardzo stara.

Nie umiała wytłumaczyć, co chciała przez to powiedzieć. To jej tak przyszło do głowy — mówiła. Dopiero wieczorem, po obiedzie, gdy wciąż była zamyślona, a matka wypytywała ją, powiedziała nagle:

— Mamo, czy kuzyni żenią się z kuzynkami?

— Oczywiście — odparła Helena. — Dlaczego pytasz o to?

— Tak sobie. Chcę tylko wiedzieć.

Helena zresztą przywykła do jej dziwnych pytań. Godzina spędzona w ogrodzie tak dobrze zrobiła dziewczynce, że odtąd schodziła tam każdego słonecznego dnia. Opory Heleny rozproszyły się z wolna, willa była stale zamknięta, Henryk nie pokazywał się i wreszcie Helena zaczęła przesiadywać przy Joasi na brzegu pledu. Ale następnej niedzieli zaniepokoiła się I widząc z rana otwarte okna.

— Jak Boga kocham, wietrzą tylko pokoje — m6- J wiła Rozalka namawiając ją, by zeszła do ogrodu. — j Przecież mówię pani, że tam nikogo nie ma.

^Tego dnia upał był jeszcze większy. Grad złotych I strzał przenikał między liśćmi. Joasia nabrała już I trochę sił i spacerowała dziesięć minut, podtrzymy\* I wana przez matkę. Potem, zmęczona, wróciła na swój I pled zostawiając na nim nieco miejsca dla Heleny\* I

Obie uśmiechały się ubawione, że tak siedzą na ziemi. Zefiryń skończył gracować i pomagał Rozalce zrywać pietruszkę, której kilka zapomnianych kępek rosło wśród trawy w głębi ogrodu.

Nagle w willi zaczął się wielki ruch, a gdy Helena zabierała się do ucieczki, na tarasie ukazała się pani Deberle. Była w podróżnej sukni, mówiła głośno, bardzo zaaferowana. Lecz gdy spostrzegła panią Grandjean z córką siedzące przed trawnikiem na ziemi, podbiegła ku nim, obsypała pocałunkami i oszołomiła potokiem słów.

— Ach, to pani!... Jakże się cieszę, że was widzę!... Pocałuj mnie, kochana Joasiu. Podobno byłaś bardzo chora, mój biedny kotku? Ale już ci jest lepiej, jesteś przecież taka rumiana. Ileż razy myślałam o pani, moja droga! Pisałam do pani, czy mój list doszedł? Wyobrażam sobie, jakie straszne chwile przeżyła pani. Ale już po wszystkim... Muszę panią uściskać.

Helena wstała. Musiała pozwolić pocałować się w oba policzki i oddać pocałunki. Te czułości przejmowały ją chłodem, wykrztusiła z trudem:

— Proszę nam wybaczyć to najście na ogród.

— Ależ pani żartuje! — odpowiedziała porywczo 'Julietta.— Czyż nie jest pani tu u siebie?

Odeszła od nich na chwilę i z tarasu, poprzez wszystkie pootwierane na oścież pokoje, zawołała:

— Piotrze, proszę nie zapomnieć niczego, było siedemnaście pakunków! — I zaraz wróciła opowiadając o swej podróży. — Pogoda była cudowna! Byliśmy w Trouville, wie pani. Na plaży aż ciasno, tyle ludzi. Samo najlepsze towarzystwo... Miałam masę gości, masę gości... Ojciec przyjechał z Pa u linką na dwa tygodnie. Zresztą to nieważne, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Prawda! Nie mówiłam jeszcze wcale... Ale opowiem to pani później. — Nachyliła się, znowu pocałowała Joasię i nagle spytała poważnie: — Czy nie jestem przypadkiem opalona?

— Ależ nie, skąd rr odpowiedziała Helena przyglądając się jej.



Jak zwykle oczy Julietty były jasne i puste, ręce pulchne, twarz piękna i pełna powabu. Nie starzała się wcale. Nawet morskie powietrze nie naruszyło jej jasnej cery. Znad morza wróciła równie niezmieniona jak ze spaceru po Paryżu, ze swej zwykłej wędrowki po sklepach, z których przynosiła jakby odbłaski wystaw sklepowych. Była pełna serdecznej życzliwości, co tym bardziej krępowało Helenę, że zdawała sobie sprawę, iż sama jest odpychająco sztywna. Joasia nie wstawała z pledu, wyciągnęła tylko swą delikatną, obolałą głowę i zaciśnięte, jakby kostniejące z zimną rękę ku słońcu.

— Chwileczkę, nie widziała pani jeszcze Lucjana — zawołała Julietta. — Musi go pani koniecznie zobaczyć... Urósł ogromnie.

A gdy przyprowadzono chłopczyka, którego pokojówka umyła z kurzu po podróży, matka chcąc go pokazać popychała go i okręcała nim na wszystkie strony. Lucjan, gruby, pyzaty, cały opalony od wiatru dzięki zabawom na plaży, tryskający zdrowiem, trochę nawet zapasiony, miał po umyciu nachmurzoną minę. Był źle wytarty, jeden policzek jeszcze wilgotny, zaczerwieniony od nacierania ręcznikiem. Gdy zobaczył Joasię, zatrzymał się, zaskoczony. Spoglądała na niego. Jej piękne oczy, rozszerzone i smutne, uwydatniały się w twarzy wychudzonej, mizernej, kre- dowobladej na tle czerni włosów opadających w puklach na ramiona. Pomimo wielkiego upału drżała lekko i zziębnięte ręce wyciągała wciąż ku słońcu, jak do wielkiego ognia.

— Cóż to, nawet nie pocałujesz Joasi? — powiedziała Julietta.

Ale Lucjan jakby się bał. Wreszcie namyślił się, ostrożnie wyciągnął usta, by jak najmniej zbliżyć się do chorej. Potem cofnął się szybko. Helenie lzy napłynęły do oczu. Jakże to dziecko wyglądało zdrowo! A jej Joasia, zaledwie obeszła trawnik dokoła, tak bardzo się zasapała! Jakże szczęśliwe bywają matki!

Julietta pojęła nagle swe okrucieństwo i rozgniewała się na Lucjana.

— Ach, co za gapa!... To tak się całuje panienki?... Nie ma pani pojęcia, moja droga, jaki się zrobił w Trouville nieznośny.

Plątała się w tłumaczeniach. Na szczęście nadszedł doktor.

Skorzystała z tego i wykrzyknęła:

— O, jest Henryk!

Powrotu rodziny spodziewał się dopiero wieczorem, ale przyjechali innym pociągiem. Długo, szeroko i niezbyt jasno tłumaczyła to Julietta. Doktor słuchał z uśmiechem.

— Najważniejsze, żeście dojechali — powiedział. Bez słowa uklonił się Helenie. Przez chwilę wzrok jego zatrzymał się na Joasi — zmieszany, odwrócił głowę. Dziewczynka wytrzymała to spojrzenie z powagą i rozplótszy ręce odruchowo schwyła matkę za suknię, przyciągając do siebie.

— Co za zuch — powiedział doktor podnosząc Lucjana i całując go w oba policzki. — Wyrósł jak dąb.

— No, a ja, cóż to, zapomina się o mnie? — powiedziała Julietta.

Nadstawiła twarz. Henryk wciąż trzymając Lucjaną na ręku pochylił się ku żonie, by ją pocałować. Wszyscy troje uśmiechali się do siebie.

Helena, bardzo błada, zaczęła się żegnać, ale Joasia nie zgodziła się, chciała widzieć, jej uważne spojrzenia zatrzymywały się na Deberle'ach i wracały do matki. Gdy Julietta nadstawiła mężowi usta do pocałunku, oczy dziewczynki zapłonęły.

— Jest już za ciężki — mówił doktor stawiając Lucjana na ziemi. — Więc pogoda była piękna?... Widziałem wczoraj Malignona, opowiadał mi, jak tam było... Dlaczego nie wróciliście razem?

— Ach, on jest nieznośny — szepnęła Julietta poważniejąc, z zakłopotanym wyrazem twarzy. — Trudno już było z nim wytrzymać.

— Twój ojciec miał nadzieję, że... Nasz przyjaciel nie oświadczył się o Paulinkę?

— Kto? On? Malignon? — wykrzyknęła zdziwiona i jakby obrażona. Potem z gestem znudzenia dodała:  
— Dajże spokój, przecież to wariat. Jakże jestem szczęśliwa, że wróciłam do domu.

Na pozór bez żadnej przyczyny zrobiła się niezwykle czuła, co było nieco dziwne u takiego uroczego, postrzelonego stworzenia. Przytuliła się do męża unosząc głowę ku niemu. Trzymał ją przez chwilę w ramionach czule, z pobłażliwym uśmiechem. Zdawali się zapominać, że nie są sami.

Joasia nie spuszczała z niefi oczu. Jej blade usta drżały ze złości, twarz wykfzywił grymas kobiety zadowolonej i rozgniewanej. Ból, który odczuwała, był tak dojmujący, że musiała odwrócić wzrok. I właśnie w tej samej chwili spostrzegła w głębi ogrodu Rozalkę i Zefiryna, którzy nadal szukali pietruszki. Nie chcąc zapewne państwu przeszkadzać, zaszyli się w najgęstsze krzewy, przysiedli koło siebie. Zefiryn ukradkiem łapał ją za nogi, a ona bez słowa biła go po rękach. Między dwiema gałęziami Joasia dostrzegła twarz małego żołnierzyka, czerwona i okrągła jak księżyc w pełni, figlarną i podnieconą. Baraszkując skryli się oboje za zielenią. Słońce doszło do zenitu, drzewa drzemały w przegrzonym powietrzu, nie poruszał się ani jeden listek. Spod wiązów dochodził mdły zapach ziemi nigdy nie przewracanej łopata. Płatki ostatniej róż jeden za drugim z wolna opadały na taras. Joasia, wstrząśnięta do głębi, podniosła oczy na matkę, a widząc Helenę milczącą i nieruchomą wobec rozgrywającej się sceny, obrzuciła ją spojrzeniem pełnym najwyższej udręki, jednym z tych gł<sup>o</sup> bokich dziecinnych spojrzeń, których nikt nie ośmielił się dociekać.

Pani Deberle zbliżyła się do niej wreszcie i po\* wiedziała:

— Mam nadzieję, że będziemy się widywać... P<>"

nie waż Joasia jest zdrowsza, powinna codziennie przychodzić do ogrodu.

Helena szukała wymówki tłumacząc, że nie chce zbyt męczyć dziecka. Ale sama Joasia zaprotestowała żywo:

— Nie, nie, tak dobrze jest na słońcu... Będziemy tu przychodzić. Chyba tu dla mnie miejsca wystarczy, prawda, proszę pani? — I uśmiechnęła się do doktora, który stał za żoną: — Panie doktorze, niechże pan powie mamie, że powietrze mi nie zaszkodzi.

Podszedł bliżej. Tak oswojony z ludzkim cierpieniem, zarumienił się przecież słysząc łagodne słowa tego dziecka zwrócone do siebie.

— Oczywiście — powiedział niepewnie — świeże powietrze może tylko przyspieszyć powrót do zdrowia.

— A widzisz, mateczko, musimy tu koniecznie przychodzić — powiedziała z uroczym, czułym spojrzeniem, choć łyzy dławiły ją w gardle.

Na tarasie pojawił się Piotr, wszystkie siedemnaście pakunków pani doktorowej zostało wniesione. Julietta oświadczyła, że jest brudna jak straszdyło i musi się zaraz wykąpać, pobiegła do domu, a doktor i Lucjan odeszli za nią. Gdy zostały same, Helena uklękła na pledzie i niby otulając szalem Joasię spytała cicho:

— Więc nie gniewasz się już na doktora? Dziewczynka poważnie potrząsnęła głową.

— Nie, mamo.

Milczały obie. Helena drżącymi, niezgrabnymi rękami zdawała się nie umieć zawiązać szala. Joasia szepnęła:

— Dlaczego on kocha innych?... Ja nie chcę.\*; I spojrzenie czarnych oczu stało się twarde, a małe rączki czule pogłaskały ramiona matki. Helena chciała odpowiedzieć ostro, ale przeraziła się sama słów, które cisnęły się jej na usta. Słońce zniżało się, obie poszły na górę do siebie. Zefiryn wrócił z pęczkiem pietruszki, którą otrząsał z ziemi, rzucając Ro-

zalce zabójcze spojrzenia. Teraz, gdy w ogrodzie nie było już nikogo, Rozalka trzymała się z daleka, mając się na baczności, a gdy uszczypnął ją w chwili, kiedy schyłona zwiłała pled, grzmotnęła go pięścią w plecy, aż zadudniło w nim jak w pustej beczce. Napelniło go to taką radością, że jeszcze gdy wszedł do kuchni, śmiał się w duchu, wciąż otrzepując swoją pietruszkę.

Odtąd Joasia napierała się zawsze, by zejść do ogrodu, jak tylko usłyszała w nim głos pani Deberle. Chciwie słuchała plotek Rozalki o sąsiadach z małej willi, interesowała się bardzo ich trybem życia. Czasami nawet wymykała się z pokoju i czatowała na nich wyglądając przez okno w kuchni. W ogrodzie, siedząc w małym fotelu, który Julietta kazała dla niej wynosić z salonu, przyglądała się pilnie całej rodzinie; wobec Lucjana była bardzo powściągliwa, niecierpliwiły ją jego pytania i zabawy, zwłaszcza gdy doktor był przy tym. Wtedy, jakby zmęczona, wyciągała się na fotelu, z otwartymi oczami, i obserwowała uważnie. Dla Heleny te popołudnia w ogrodzie były udręką. A jednak powracała tu, powracała mimo buntu całej swej istoty. Za każdym razem doznawała ucisku serca, gdy Henryk po powrocie z miasta całował włosy Julietty. A kiedy — chcąc ukryć swą wzburzoną twarz — udawała, że zajmuje się Joasią, spostrzegając, że dziewczynka, ze swymi czarnymi, szeroko otwartymi oczami i podbródkiem drżącym z hamowanej złości, była jeszcze bardziej blada od niej. Joasia zadreżczała się także. W dniu kiedy matka — u krańca sił — konała z miłości i odwracała oczy\* Joasia stawiała się tak ponura i zgnębiona, że trzeba było wracać i kłaść ją do łóżka. Gdy doktor zbliżał się do żony, zmieniała się na twarzy, drżała i ściagała go płomiennym wzrokiem zdradzonej kochanki

— Kaszlę zawsze z rana — powiedziała do niego któregoś dnia. — Musi pan przyjść zbadać mnie.

Zaczęły się deszcze. Joasia chciała, by doktor wznowił wizyty. Czuła się już dużo lepiej. Matka, by J] zadowolić, musiała przyjąć parę zaproszeń na obiad do Deberle'ów. Dziewczynka, której serce tak długo rozdarło było ponurą walką, zdawała się uspokajać nareszcie, kiedy zupełnie już powróciła do zdrowia. I znów pytała matkę:

— Czy jesteś szczęśliwa, mameczko?

— Tak, bardzo szczęśliwa, moja najdroższa.

Joasia promieniała. „Trzeba jej wybaczyć — mówiła — dawne niegrzeczności.” Wspominała o nich jak o zupełnie niezależnych od jej woli wybuchach, jakby o bólu głowy, który ją schwycił niespodziewanie. Coś w niej wzbierało, burzyło się. Naprawdę sama nie wiedziała co. Najrozmaitsze myśli były się w niej ze sobą, myśli nieokreślone, szkaradne sny, których nawet nie mogłaby powtórzyć. Ale teraz wyzdrowiała, to już minęło i nigdy nie wróci.

yr

Zapadła noc. Na pobladłym niebie błyszcząły już pierwsze gwiazdy, na miasto prószył popiół zmierzchu zasypując je powoli, bez przerwy. Wielkie kłęby cienia wypełniały wszystkie zakamarki, a w oddali, na widnokręgu, narastała czarna wstęga, jak fala atramentu, pochłaniając resztki dnia, nieśmiałe blaski, które cofały się ku zachodowi. Poniżej Passy jeszcze tylko kilka płaszczyzn dachów było widoczne, ale fala mroku toczyła się dalej, robiło się coraz ciemniej.

— Jakież ciepły wieczór! — szepnęła Helena siedząc przy oknie, odurzona parnym powietrzem, które słał ku niej Paryż.

— Śliczną noc zesłał nam daś Pan — powiedział za jej plecami ksiądz Jouve. — Będzie piękna jesień.

Joasia spała już. Tego wtorku była tak senna pod koniec obiadu, że matka widząc jej zmęczenie położyła ją. Pan Rambaud, prawdziwy majster, zajął się z zapalem naprawianiem nakręcanej zabawki Joasi. Był to prezent od niego, piękna lalka mówiąca i cho-

dzająca, którą dziewczynka popsuła. W pokoju było duszno, ostatnie upały wrześnie mężczyźli Helenę ogromnie, otworzyła więc szeroko okno, by zaczerpnąć świeżego powietrza i popatrzeć na to morze czerni, ten bezmiar mroku rozciągający się przed jej oknami. Pragnęła w tej chwili być sama, przysunęła sobie fotel do okna — głos księdza zabrzmiał za jej plecami niespodziewanie. Mówił dalej, spokojnie i cicho:

— Czy dobrze okryła pani dziecko?... Tu na wzgórzu powietrze jest zawsze ostre.

Nie mogła się zdobyć na odpowiedź, pragnęła ciszy. Upajał ją czar wieczoru, wszystko powoli wsiąkało w ciemność, kontury zacieraly się, hałasy cichły, zamierały. Na szczytach wież i iglic odbijały się blaski zachodzącego słońca jak nikłe światełka nocnych lampek. Pierwszy zgasł Sw. Augustyn, Panteon jeszcze przez chwilę lśnił niebieskawym światłem, błyszcząca kopuła Inwalidów utonęła niby księżyc wśród napływających chmur. ITa noc, ze swym rozciągniętym w głąb ciemności bezkresem, była oceanem cienia, czarną otchłanią, w której zaledwie można się było domyślać istnienia świata.f Z niewidocznego miasta dochodził potężny a łagodny szmer, słabe, ale wyraźne poszczególne odgłosy można było jeszcze odróżnić w przeciągłym, chrapliwym szumie: turkot omnibusów na wybrzeżu, gwizd pociągu przejeżdżającego przez Pont du Jour. Sekwana weszła po ostatnich burzach i rozlana szeroko na samym dole w bruzdzie mroku oddychała głęboko jak żywa istota. Ciepły opar unosił się z gorących jeszcze dachów, a w tym nagrzanym po upalnym dniu powietrze od rzeki dochodziły słabe powiewy chłodu. Zagubiony Paryż odpoczywał jak rozmarzony olbrzym, który pozwala otulić się nocy i przez chwilę trwa nieruchomo z otwartymi oczami.

Ta chwila przerwy w życiu wielkiego miasta zawsze ogromnie wzruszała Helenę. Od trzech miesięcy nie wychodziła s domu, przykuta do łóżka Joasi, i je dynym towarzyszem jej wieczorów spędzanych przy chorej był ogromny Paryż rozciągnięty na widnokręgu. W czasie lipcowych i sierpniowych upałów okna prawie zawsze były szeroko otwarte, ilekroć przeszła przez pokój, poruszyła się, odwróciła głowę — wciąż miała przed oczami jego odwieczną, niezmienną panoramę. Był zawsze obecny, nie opuszczał jej nigdy, dzielił z nią wszystkie cierpienia i nadzieje, jak natrętny, narzucający się przyjaciel. Nie chciała go znać, nigdy nie była tak daleka od niego, tak nie dbająca o jego ulice i mieszkańców, a on sam wdzierał się do jej pustelni.j Te kilka kwadratowych stóp, ten pokój udręk i trosk, którego drzwi pieczołowicie zamykała przed światem, dla Paryża zawsze był dostępny przez swe otwarte okna! Bardzo często, chcąc ukryć łzy przed chorym dzieckiem, oparta o parapet płakała patrząc na miasto, a owego dnia, gdy była już pewna, że traci Joasię, oniemiała z bólu, dławiąc się od łez długo stała przy oknie wpatrzona w dymiące kominy Piekarni Wojskowej. Często także radość nadziei powierzała widokom zagubionych w oddali przedmieść. Paryż żył jej życiem. Każda niemal budowla przypominała jej jakąś chwilę wzruszenia, smutku lub radości. Ale najbardziej lubiła miasto 0 zmierzchu, gdy u schyłku dnia, oczekując na zapalenie gazowych latarni pozwalało na kwadrans wytchnienia i marzeń.

— Ile gwiazd!... — szepnął ksiądz Jouve. — Świecą ich całe miliony.

Przysunął sobie krzesło i usiadł koło Heleny. Teraz

1 ona uniosła wzrok i patrzyła na wrześnie niebo, w którym gwiazdy tkwiły jak złote gwoździe. Jedna, prawie na samym widnokręgu, świeciła jak szafir, a inigławica niewidocznego niemal pyłu gwiazdnego zasypywała sklepienie iskrzącym się piaskiemJWielki Wóz obracał się powoli, podnosząc w górę dyszel.

— Niech ksiądz spojrzy — mówiła Helena — tę niebieską gwiazdę, z tej strony nieba, widuję każdego

wieczoru... Ale teraz już zaciłodzi, co wieczór osuwa się niżej.

Ksiądz już jej nie przeszkadzał. Jego obecność była jeszcze jednym źródłem ukojenia. Od czasu do czasu przerywali milczenie zamieniając ze sobą kilka słów. Helenę zawsze bardzo ciekawił widok nieba i teraz wypytywała o nazwy gwiazd, ale ich nie znał i odpowiadał niepewnie.

— Czy widzi ksiądz tę piękną gwiazdę, która tak jasno świeci?

— Na lewo, prawda? Obole tej zielonej, trochę mniejszej... Nie pamiętam, jest ich tak wiele.

Drżąc ze wzruszenia, wpatrzeni w niebo, zamilkli olśnieni nieskończonym rojem światów, których wciąż przybywało. Gwiazd były już całe miliony, a jeszcze liczne icli krocie ukazywały się bez przerwy w bezdennej głębinie nieba. Ta niezliczona moc światów rozkwitała, pieniała się, żarzyła spokojnym ogniem drogich kamieni. Bieliła się już Mleczna Droga rozpościerając swój gwiazdny drobiazg tak liczny i tak odległy, że na firmamencie tworzył po prostu tylko wstęgą światła.

— Przeraza mnie to niebo — powiedziała Helena bardzo cicho.

Pochyliła głowę, by nie patrzeć na nie więcej, i przeniosła wzrok na ciemną próżnię, która pochłonęła Paryż. Tu nie było widać jeszcze ani jednego iswiatła — całkowita noc, nieprzenikniona ciemność rozpostarła się równomiernie dokoła. Wysokie i przeciągłe głosy wielkiego miasta łagodniały i przycichły-

— Pani płacze? — zapytał ksiądz usłyszawszy jej łkanie.

— Tak — odpowiedziała krótko.

Nie widzieli się wcale. Płakała długo, drżąc z lekka całym ciałem. Za icli plecami Joasia spała spokojnym, niewinnym snem, a pan Bambaud, pochłonięty swą robotą, pochylał siwiejącą głowę nad lalką, której poodejmował ręce i nogi. Czasem słycać było

ciche trzaski odskakującej sprężyny lub zniekształcone słowa dziecięce, które jego grube palce wydobywały z zepsutego mechanizmu, jak umiały najdelikatniej. A gdy lalka zaczynała mówić zbyt głośno, od razu przerywał robotę zły i niespokojny, spoglądając, czy nie obudził Joasi. I ostrożnie zabierał się z powrotem do roboty, posługując się tylko parą nożyczek i szydłem.

— Dlaczego pani płacze, moja córko? — spytał ksiądz po chwili. — Czy nie mógłbym pani w czymś pomóc?

— Niech" mnie ksiądz zostawi — szepnęła Helena. — Będzie mi lżej, jak się wypłaczę... Zaraz, zaraz...

Nie mogła mówić dalej, dławiły ją łzy. Już kiedyś przy tym samym oknie załamała się i płakała, ale była wtedy sama i mogła w ciemnościach płakać do woli, czekając, aż jej udręka spłynie wraz ze łzami. Teraz nie miała przecież żadnego powodu do zmartwienia: dziecko jej było uratowane, a ona sama powróciła do swego codziennego, pogodnego trybu życia. I oto . nagle, niespodziewanie zbudziło się w niej uczucie dotkliwego bólu, niezgłębionej pustki, której nie miała nadziei zapełnić, bezbrzeżnej rozpacz, w której się pogrążyła wraz z bliskimi, życzliwymi jej ludźmi. Nie umiałyby określić, jakie groziło jej nieszczęście, straciła wszelką nadzieję i płakała)

W czasie majowych nabożeństw, w kościele pełnym zapachu kwiatów rozczułała się już podobnie. Teraz, jak doznanie religijne, wzruszył ją rozległy widnokrąg pogrążonego w mroku Paryża. Myśl o tych dwóch milionach ludzi, których okrywała ciemność, przejmowała ją smutkiem. Zdawało się, że miasto rozrasta się nieskończenie. Potem, gdy czarna noc zapadła całkowicie, gdy Paryż znikł wraz ze swymi obumierającymi odgłosami, jej ściśnięte serce zdawało się pękać i łzy spłynęły z oczu wobec tego majestatu. Najchętniej złożyłaby ręce i zaczęła się modlić. Pragnienie wiary i miłości, ukorzenia się przed

Stwórcą przejmowało 'dreszczem. Radością i nabożnym lękiem napawało ją to rozświecanie się gwiazd.

Po dłuższym milczeniu ksiądz Jouve zapytał z naciskiem:

— -Córko moja, powinna się pani zwierzyć. Dlaczego pani się waha?

Płakała jeszcze, ale już łagodniej, jak dziecko, zmęczona i bezsilna.

— Boi się pani kościoła — mówił dalej. — Myślałem, była taka chwila, że Bóg zdobył pani serce. Okazało się inaczej. Niezbadane są zamierzenia boskie... A więc skoro nie dowierza pani księdzu, dlaczego miałyby pani dłużej kryć się przed przyjacielem?

— Ma ksiądz rację — powiedziała cicho. — Tak, mam zmartwienie i ksiądz jest mi potrzebny... Muszę księdzu coś wyznać. Gdy byłam dzieckiem, nie chodziłam wcale do kościoła, dziś każde nabożeństwo napętnia mnie głębokim wzruszeniem... A teraz, widzi ksiądz, właśnie w tej chwili, te odgłosy Paryża przypominające organy, ten ogrom nocy, to cudowne niebo, wszystko to wzruszyło mnie do łez... Ach, jakże chciałabym wierzyć w Bogall Niech mi ksiądz pomoże, poradzi.

Ksiądz Jouve uspokajał ją kładąc delikatnie swą 'dłoń na jej rękę.

— Niech mi pani wszystko powie — rzekł z prostotą.

Przez chwilę, udręczona, walczyła ze sobą.

— Nic mi nie jest, zapewniam księdza... Niczego przed księdzem nie ukrywam... Płacę bez przyczyny, bo się po prostu duszę, bo łyż mi same płyną\*" Ksiądz zna moje życie, nie mam sobie nic do zarzucenia, ani jednego błędu, nie wstydę się niczego... I nie wiem Bama, i nie wiem sama... i

Głos jej zamarł. Ksiądz odpowiedział powoli, z naciskiem:

— Pani kocha, moja córko.

Zadrzała, nie śmiała zaprzeczyć. Znów nastąpiła ci"

sza. W drzemiącym pod nimi morzu ciemności, w otchłani poniżej ich stóp, w miejscu, którego nie mogliby bliżej określić, zabłysło światełko. Światelka pojawiały się kolejno jedno za drugim. Od razu jasne, wykluwały się wśród nocy niespodziewanie i trwały nieruchome, skrząc się jak gwiazdy. Był to jakby drugi wschód gwiazd na powierzchni jeziora ciemności. Wkrótce światełka zarysowały się, jak lśniąca paciorki, podwójną linią biegnącą od Troca- dero ku Paryżowi; inne szeregi migocących punkcików skrzyżowały się z nimi, znacząc krzywe linie tworząc całe konstelacje, przedziwne i wspaniałe. W głębokim milczeniu Helena śledziła wzrokiem to iskrzenie się, którego ogniki były przedłużeniem nieba poniżej widnokręgu, w nieskończoność. Ziemia zniknęła i ze wszystkich stron widziało się tylko firmament. I znów ogarnęło ją wzruszenie, któremu uległa przed chwilą, gdy Wielki Wóz zaczął się obracać wokół bieguna, podnosząc dyszel do góry. Roziskrzony Paryż rozciągał się smutny i bezdenny, nasuwał przerażające rojenia o firmamencie, w którym lęły się światy.

Monotonnym i łagodnym głosem, do którego przy-i wykl w konfesjonale, ksiądz długo szeptał jej do ucha. Kiedyś wieczorem przestrzegał ją przeciw, że jej sa|b> motność do niczego dobrego nie prowadzi. Nikt ni# może bezkarnie wyłamywać się z normalnego życiaBj Znadto się odosabiając pozostawiła wolny przystęjs\$ niebezpiecznym marzeniom.

— Jestem bardzo stary, moje dziecko — mówił ci-> cho — i już nieraz spotykałem kobiety, które zwracały się do nas ze łzami, modlitwami, pragnieniem. \* wiary i ukorzenia się... Czyż mogę się dzisiaj mylić? | Te kobiety, które zdają się tak żarliwie szukać Boga, 1 to tylko biedne, dręczone namiętnością istoty. To tyK JS ko mężczyznę uwielbiają one w naszych kościołach.

Targana wzruszeniem, starając się usilnie zrozumieć samą siebie, nie słuchała go prawie. Wyznani^ wymknęło się jej cicho, zduszone:

— A więc tak! Kocham... To wszystko. Więcej nic nie wiem, więcej nic nie wiem.

Już jej nie przerywał. Mówiła gorączkowo krótkimi, urywanymi zdaniami i doznawała gorzkiej radości wyznając swą miłość, dzieląc się z tym starcem tajemnicą, którą tłumila od tak dawna.

— Przysięgłam księdzu, że nie rozumiem samej siebie... Sama nie wiem, skąd się to u mnie wzięło. Prawdopodobnie stało się to nagle, ale odczuwać słodycz tego uczucia zaczęłam dopiero powoli... Dlaczego zresztą mam udawać silniejszą, niż jestem? Nie starałam się unikać świata, byłam zbyt szczęśliwa... Dzisiaj mam jeszcze mniej odwagi... Widzi ksiądz, moja córka była chora, omal jej nie utraciłam... Więc tak! Moja miłość była równie głęboka jak moje cierpienie; po tych straszliwych dniach powróciła wszechmocna, ośwładnęła mnie i czuję, że mnie unosi... — Cała rozdygotana, odetchnęła głęboko. — Teraz jestem u kresu sił... Miał ksiądz rację, to zwierzenie się przed księdzem ulżyło mi... Ale błagam, niech mi ksiądz powie, co się dzieje w głębi mego serca. Byłam taka spokojna, taka szczęśliwa... Jakby grom we mnie uderzył. Dlaczego właśnie we mnie? Dlaczego nie w inną? Nic przecież w tym celu nie zrobiłam, czułam się tak bezpieczna... O, gdyby ksiądz wiedział!... Samej siebie już nie poznaję... Ach, niech mi ksiądz pomoże, niech mnie ksiądz ratuje!

Widząc, że umilkła, ksiądz machinalnie, ze swobodą doświadczonego spowiednika, zapytał:

— Kto to jest, powiedz mi, kto to jest?]

Zawahała się. Nagle dziwny szmer kazał się jej odwrócić. To lalce w rękach pana Rambaud z wolna wracało jej nakręcane życie, przeszła trzy kroki po stole ze zgrzytem niezupełnie jeszcze naprawionego mechanizmu, potem wywróciła się na wznak i gdyby nie pan Rambaud, spadłaby na ziemię. Pełen ojcowskiej troski, z wyciągniętymi rękami czuwał nad nią gotów podtrzymać. Gdy Helena odwróciła sta uśmiechnął się do niej ufnie, jak gdyby obiecując, że lalka na pewno ćdzie chodziła. I znów nożyczkami i szydłem zaczął dłubać w zabawce. Joasia spała.

Ten widok pełen spokoju i ciszy nagle jakby przyniósł Helenie odprężenie: wyszeptła do ucha księdza imię. Ksiądz nie poruszył się, w cieniu nie można było dojrzeć jego twarzy.

— Wiedziałem, kto to — powiedział po chwili milczenia — ale chciałem, by mi pani sama wyznała..? Musi pani bardzo cierpieć, moja córko.

Powstrzymał się od jakiegokolwiek banalnej uwagi o obowiązkach. Helena, bezgranicznie smutna, złamana tym pobłażliwym współczuciem księdza, znów śledziła wzrokiem światełka, które przetykały złotem Ziemi płaszcz Paryża. Mnożyły się w nieskończoność. Wyglądały jak iskierki biegnące po czarnym popiele spalonego papieru. Wyruszały z Trocadero w kierunku serca miasta. Wkrótce drugie ich skupisko ukazało się na lewo w stronie Montmartre, potem trzecie na prawo za Inwalidami i wreszcie jeszcze jedno, bardziej w tyle, w stronie Panteonu. Ze wszystkich tych ognisk rozchodziły się od razu szeregi małych ogników.

— Przypomina sobie pani naszą rozmowę? — mówił ksiądz powoli. — Nie zmieniłem swego zdania\*.  
Trzeba, by pani wyszła za mąż, moja córko.

— Ja? — powiedziała, zmiażdżona. — Przecież wyznałam księdzu... Ksiądz sam rozumie, że nie mogę...

— Trzeba, by pani wyszła za mąż — powtórzył z większym jeszcze naciskiem. — Poślubi pani uczciwego człowieka... — Zdawał się rosnąć w swej zniszczonej sutannie. Jego wielka głowa, śmiesznie przechylona zazwyczaj na jedno ramię, z na wpół przymkniętymi oczami, uniosła się teraz, jego spojrzenia stały się śmiałe i jaśniejsze, widziała, jak oczy błyszczą mu wśród nocy. — Poślubi pani uczciwego człowieka, który stanie się ojcem dla Joasi i przy którym wróci pani dawny- spokój ducha.

— Alei ja go nie kocham... Boże mój, nie kocham go przecież.

— Pokocha go pani, moja córko... On kocha panią i jest dobrym człowiekiem.

Helena broniła się. Ściszyła głos słysząc szmer, jaki dochodził zza ich pleców od strony pana Rambaud. Od pół roku nie narzucał si<sup>^</sup> ani razu ze swą miłością, był cierpliwy i wytrwały w swej nadziei. Czekał z prostotą, z pełnym ufności spokojem, gotów do najbardziej bohaterskich wyrzeczeń. Ksiądz odwrócił się w jego stronę.

— Chce pani, bym powiedział mu wszystko?... On poda pani rękę, uratuje panią. A pani go uczyni niezmiernie szczęśliwym

Powstrzymała go, wstrząśnięta. Buntowała się w głębi duszy. Przerażali ją ci spokojni i troskliwi ludzie, którzy tak zimno i trzeźwo patrzyli na jej gorejące serce. W«33Jamże świecie oni zryli, że mogli nie widzieć i nie rQzu<sup>m</sup>^eń^dlaczego-tyle- cierpiała? KsiądzZTwerokim gestem wskazał ręką na rozległą przestrzeń.

— Moja córko, widzi pani tę piękną noc, niech pani porówna swój niepokój z tym ukojeniem świata. Dlaczego odrzuca pani szczęście od siebie?

Cały Paryż był już oświetlony. W morzu ciemności małe tańczące światełka przetykały gęsto widnokrąg od krańca do krańca. Całe ich miliony błyszczwały nieruchomo w pogodzie letniej nocy. Tych światełek, jakby zawieszonych w przestrzeni, nie poruszał żaden podmuch wiatru, żadne drganie powietrza. Niewidoczny Paryż zatonął w nieskończoności rozległej jak sklepienie nieba. Na dole, pod stokami Trocadero, poruszające się szybko ogniki przecinały ciemności świetlistą racą spadającej gwiazdy: zapewne latarnie jakiejś dorozki lub omnibusu. W promieniach gazowych latarni wydzielających jakby żółte mgiełki odcinały się niewyraźnie pogmatwane fronty domów i skrawki koron drzew o jaskrawej zieleni dekoracji teatralnych. Na moście Inwalidów gwiazdy krzyżowały bezustannie. Poniżej, na tle wstęgi jeszcze głębszej czerni, ukazywał się istny cud: plejada komet, których złociste ogony wydłużały się w deszcz iskier. Były to odbicia latarni mostu w wodach Sekwany. Ale dalej zaczynało się już nieznanne. Długą krzywiznę rzeki znaczył podwójny szereg gazowych latarni, przecięty licznymi poprzecznymi rzędami świateł, niby wielka, przerzucona w poprzek Paryża drabina świetlna, wsparta końcami o krawędzie nieba, wśród gwiazd. Z lewej strony, od Łuku Triumfalnego, ciągnęły się Pola Elizejskie jakby druga gwiazdna dolina, aż do Placu Zgody, gdzie rozprzestrzeniała się w roziskrzone rojowisko świateł. Dalej Tuilerie, Luwr, skupiska ' stłoczonych domów nad brzegiem wody i — nieco głębiej — ratusz tworzyły ciemne pasma poprzedzielane gdzieniegdzie błyszczącymi kwadratami wielkich placów. Jeszcze dalej, w gmatwaniu dachów, światełka rozpryskiwały się i nic już nie można było dojrzeć prócz jakiegoś jasnego zagłębienia alei, jakiegoś zakrętu bulwaru, jakiegoś skrzącego się światłami skrzyżowania ulic. Na prawo, na drugim brzegu rzeki, wyraźnie rysowała się jedynie Esplanada swym prostokątem płomieni, podobna do Oriona zimowych nocy, który zagubił swój pendent. Długie ulice dzielnicy Saint-Germain smutnie świeciły rzadkimi latarniami, a dalej za nimi ludne części miasta jarzyły się mgławicami ścieśnionych drobniutkich iskier. Jak daleko sięgał wzrok, aż do samych przedmieść, skrzące rojowisko gazowych latarni i okien jak kurzawa świetlna zasypywało najdalsze okolice miriadem słońc, pyłem gwiazdnym, którego wzrok ludzki już nie był w stanie rozróżnić. Gmachy publiczne były ciemne, nie rozjaśnione ani jednym światłem, ani jedną latarnią. Chwilami odnosiło się wrażenie, że to jakieś święto olbrzymów, jakiś rozjarzony pałac cyklopów, z jego schodami, balustradami, oknami, frontonami, tarasami, jego kamiennym światłem, którego dziwaczny i potężny zarys uwydatniały smugi świetlne szeregów lamp. Stale wracało złudzenie, że powstają nowe gwiazdozbiory, że niebo wciąż się rozrasta.



Helena, śledząc wzrokiem szeroki gest księdza, obej-Imowała spojrzeniem oświetlony Paryż. Również i tykli [gwiazd tutaj nie znała z imienia. Jakże chętnie zapytałaby, co to świeci się tam na prawo, patrzyła na to co wieczora. Inne ciekawiły ją także. Były wśród nich takie, które lubiła, lub które ją niepokoiły i drażniły.

— Ojczy mój — powiedziała, używając po raz pierwszy tego zwrotu pełnego szacunku i czułości — niech mi ksiądz pozwoli żyć. Właśnie piękno tej nocy wzruszyło mnie tak bardzo... Ksiądz się myli, ksiądz nie potrafi pocieszyć mnie w tym strapieniu, bo ksiądz nie może mnie zrozumieć.-

, Rozłożył ręce i zrezygowany opuścił je powoli. <sup>4</sup>

— Zapewne, tak widocznie musi być... — powiedział po chwili cicho. — ,Wzywa pani ratunku i nie przyjmuje pomocy. Ileż to wysłuchałem rozpaczliwych wyznań, iluż łzom nie mogłem zapobiec!... Niech pani posłucha, moja córko. Proszę mi tylko przyrzec, że jeżeli życie stanie się dla pani kiedykolwiek zbyt ciężkie, będzie pani pamiętała, że pewien porządny człowiek kocha panią i na panią czeka... Wystarczy złożyć swą rękę w jego dłoni, by odzyskać spokój.

— Przyrzekam to księdzu — poważnie powiedziała Helena.

Właśnie gdy dawała tę obietnicę, w pokoju rozległ się śmiech. Joasia obudziła się i zobaczyła lalkę chodzącą po stoliku. Pan Rambaud, zachwycony swym dziełem, nadstawiał w dalszym ciągu ręce, obawiając się, że lalka upadnie. Ale lalka trzymała się mocno, tupała małymi buciczkami i kręciła głową, za każdym razem powtarzając te same słowa głosem papugi.

— Och! A to ci sztuka! — szepnęła Joasia, jeszcze niezupełnie rozbudzona. — Coś ty jej zrobił? Była popsuta, a teraz się rusza. Daj mi ją na chwilę, chcę zobaczyć... Jaki ty jesteś kochany...

Nad świecącym Paryżem unosiła się luna blasku\*.

Można by powiedzieć, że to czerwone tchnienie żaru. Z początku była tylko nikłą bladeścią wśród ciemnej nocy, ledwo dostrzegalnym odbłaskiem. Potem z wolna, w miarę jak noc gęstniała, luna stawała się coraz bardziej krwawa i wisząc nieruchomo w powietrzu nad miastem, utworzona z orgii światel tętniącego życiem miasta, przypominała jedną z tych chmur, pełną grzmotów i płomieni, które wieńczą kratery wulkanów. -

## CZEŚĆ czwarta

### I

Podano wodą do płukania ust i panie ostrożnie wycierały palce. Przy stole zapanowała chwila ciszy. Pani Deberle spojrzała dokoła, sprawdziła, czy wszyscy już zjedli, i wstała bez słowa, a goście wśród głośniego odsuwania krzeseł poszli za jej przykładem. Siwy starszy pan, sąsiad Julietty z prawej strony, pośpieszył ofiarować jej ramię.

— Nie, nie — powiedziała, sama kierując go w stronę drzwi. — Napijemy się kawy w małym salonie.

Goście szli za nimi parami. Dwie panie i dwóch panów prowadziło dalej rozpoczętą przy stole rozmowę i pozostało w jadalni. W małym salonie goście stali się znów swobodni i weseli. Kawa była już podana na wielkiej tacy z laki. Pani Deberle, troskliwa gospodyni, krążyła wśród gości uważając, by każdemu podano to, co lubi. Najwięcej krzątała się Paulina, zajmując się przede wszystkim panami. Było dwanaście osób, a więc mniej więcej tyle, ile państwo Deberle, począwszy od grudnia, zapraszali na obiad w każdą środę. Wieczorem, po dziesiątej, gości przybywało jeszcze więcej.

— Czy pozwoli pan filiżankę kawy? — pytała Paulina małego, łysiego pana de Guiraud. — Ach, prawda, pan kawy nie pije... W takim razie może kieliszek likieru?

Ale potem myliła się i zamiast likieru przynosiła koniak. Uśmiechając się, z pewną siebie miną obchodziła goście zaglądając wszystkim w oczy i poruszając się swobodnie mimo długiego trenu. Ubrana była w strojną białą suknię z indyjskiego kaszmiru, z kwadratowym dekoltem, przybraną łąbodziem puchem. Gdy już wszyscy panowie stali z filiżankami w rękę i popijali małymi łykami kawę, starając się nie po\*plamić ubrań, zajęła się młodym Tissot, wysokim, smukłym chłopcem, który bardzo jej się podobał.

Helena miała na sobie czarną aksamitną suknię bez żadnych przybrań, w której wyglądała nieco poważnie i surowo. Nie chciała pić kawy i trochę zmęczona siadła na uboczu koło stolika, na którym leżały pudełka z cygarami. W małym salonie panowie palili. Doktor zbliżył się i wybierając sobie cygaro zapytał:

— Jak się czuje Joasia?

— Dziękuję, bardzo dobrze — odpowiedziała. — Byliśmy dzisiaj w Lasku, była ogromnie rozbawiona, rozbiegana... Teraz już na pewno śpi.

Uśmiechając się przyjaźnie rozmawiali swobodnie jak ludzie, którzy widują się codziennie. Niespodziewanie usłyszeli Juliettę mówiącą bardzo głośno:

— Przecież pani Grandjean może potwierdzić... Prawda, pani Heleno, że z Trouville wróciłam dziesiątego września. Zaczęły się deszcze, na plaży nie było już co robić.

Otoczona gronem pań opowiadała o swym pobycie nad morzem. Helena musiała wstać i podejść do nich.

— My cały miesiąc byliśmy w Dinard — opowiadała pani de Chermette. — Cudowna okolica, a towarzystwo przemile!

— Tuż za domem był ogród, a potem zaraz promenada nad samym morzem — mówiła dalej pani Deberle. — Wie pani, byłam już zdecydowana sprowadzić mój powóz ze stangretem... Na spacerach byłoby o wiele wygodniej... Ale pani Levasseur przyjechała nas odwiedzić...

— Tak, kiedyś w niedzielę — potwierdziła pani Levasseur. — Byliśmy wtedy w Cabourg... Urządziła się pani tam naprawdę świetnie, choć zdaje mi się, że trochę drogo.

— Ale, ale — przerwała pani Berthier zwracając się do Julietty — słyszałam, że pan Malignon uczył panią pływać?

Helena zauważyła na twarzy pani Deberle nagle pomieszenie i niezadowolenie. Już kilkakrotnie spo-

strzegła, że nazwisko Malignona przy niej wymienione wprawiało ją w zakłopotanie. Młoda kobieta potrafiła się jednak opanować.

— Świetny pływak, rzeczywiście! — zaśmiała się % cłrwiąco. — Czyż kiedykolwiek mógłby on kogoś czegoś nauczyć... A ja się strasznie boję zimnej wody. Już na sam widok kąpiących się cała dygocę.

I podnosząc z wdziękiem swe pełne ramiona wstrząsnęła się jak mokry, otrzepujący się ptak.

— A więc to bajka? — powiedziała pani de Guiraud.

— Oczywiście. Gotowa jestem założyć się, że Malignon sam ją wymyślił. Od czasu gdy spędził tam cały miesiąc z nami, nie daje mi spokoju.

Nadchodzili nowi goście. Panie wydekoltowane, » z pękami kwiatów we włosach, uśmiechały się skłaniając głowy przy powitaniu; panowie we frakach, z kapeluszami w ręku, kłaniali się, jedni przechodzili w milczeniu, inni silili się powiedzieć coś uprzejmego. Pani Deberle, nie przerywając rozmowy, wyróżniała przyjaciół podając im końce palców na powitanie. Zjawiła się panna Aurelia i natychmiast zaczęła się rozplływać w zachwycie nad suknią Julietty z wytłaczanego aksamitu koloru morskiej wody, przybraną błyszczącym jedwabiem. Wszystkie panie jakby teraz dopiero zauważyły suknię. Ach, jaka wspaiała, cudowna, naprawdę prześliczna! Była od Wormsa, przez całe pięć minut mówiono o niej. Kończono pić kawę, puste filiżanki goście odstawiali gdzie się dało, na tacę, na stoliki. Jeszcze tylko siwy, starszy pan bawił którąś z pań rozmową, popijając kawę i zatrzymując się przy każdym łyku. Powietrze przesycone było mocnym aromatem kawy zmieszonym z perfumami kobiet.

— Panno Paulinko, czy pani wie, że ja nic nie do` stałem do picia — powiedział młody Tissot do Pauliny, która opowiadała mu o pracowni malarza, |§|| wraz z ojcem oglądała obrazy.

— Jak to, nie dostał pan nic do picia?... Sama panu podałam filiżankę kawy.

— Ależ nie, panno Paulinko, zapewniam panią.

— ■ Pamiętam przecież doskonale, że panu coś podawałam. Zaraz, zaraz, dostanie pan chartreuse...

Pani Deberle dyskretnym ruchem głowy dała znak mężowi. Doktor zorientował się i sam otworzył drzwi do dużego salonu, dokąd przeszli wszyscy goście, a Piotr tymczasem sprzątał naczynia po kawie. W wielkim salonie było dość chłodno; sześć lamp i żyrandol o dziesięciu świecach rzucały jasne białe światło. Przed kominkiem zasiadły półkolem panie, a pośród ich rozłożystych sukien stało kilku panów. Przez otwarte drzwi z rezedowego salonu dobiegał piskliwy głos Pauliny, która została tam z młodym Tissot:

— Teraz, jak już nalałam, musi pan wypić i nie ma o czym mówić... Bo co ja teraz z tym zrobię? Piotr już przecież wszystko sprzątnął. — Po chwili ukazała się w swej białej sukni przybranej łabędzim puchem i oznajmiła z uśmiechem, który rozchyłał jej świeże usta i ukazywał białe zęby: — Jest i piękny Malignon.

Pan Deberle stał niedaleko wejścia. Pani Deberle, siedząca wśród pań na bardzo niskim pufie, wstawiała co chwila. W dalszym ciągu wymieniano ukłony i uściski rąk. Gdy zjawił się Malignon, Julietta udała, że go nie dostrzega. Był ubrany według ostatniej mody, włosy miał ufryzowane w drobne fale, z przedziałkiem, który sięgał aż do karku. W drzwiach włożył do prawego oka monokl krzywiąc się przy tym z lekka — z miną „bardzo wytworną”, jak mówiła Paulina — i rozglądał się wokoło po salonie. Bez słowa, poufale potrząsnął ręką doktora i podszedł do pani Deberle, przed którą zgiął swą wysmukłą postać w doskonale dopasowanym, czarnym fraku.

— Ach, to pan — powiedziała tak, żeby być słyszana. — Podobno pan teraz pływasz

f Nie zrozumiał, ale mimo to odpowiedział starając się być dowcipny:

— Oczywiście... Zdarzyło mi się nawet uratować tonącego wyżła.

Panie były oczarowane żartem. Sama pani Deberle wydawała się rozbrojona.

— Nie mam nic przeciwko temu, by ratował pan wyżły — odpowiedziała. — Ale wie pan przecież, że ja nie kąpałam się w Trouville ani razu.

— Ach, chodzi o tę moją lekcję pływania? — zawołał. — Czyż któregoś wieczoru u pani po obiedzie nie mówiłem, że przy pływaniu trzeba ruszać nogami i rękami?

Wszystkie panie wybuchnęły śmiechem. Był niezrównany. Julietta wzruszyła ramionami. Niepodobna rozmawiać z nim poważnie. Wstała, by przywitać pewną damę, która była u niej po raz pierwszy i uchodziła za talent muzyczny. Helena patrzyła, słuchała. Siedziała przy kominku, jak zawsze spokojna, poważna. Malignon zdawał się specjalnie ją zaciekawiać. Zauważyła, że umiejętnie manewrował, by zbliżyć się do pani Deberle, rozmawiającej z kimś za jej plecami. Nagle głosy się ściszyły. Helena przechyliła się do tyłu, by lepiej słyszeć. Głos Malignona mówił:

— Dlaczego nie przyszła pani wczoraj? Czekałem aż do szóstej.

— Szalona głowo, niech pan da spokój — szepnęła Julietta.

Malignon przeciągając sylaby zaczął mówić głośno, tak aby go wszyscy słyszeli:

— Co? Nie wierzy pani w historię mego wyżła? Dostałem za niego przecież medal, mogę pani pokazać. — I dodał bardzo cicho: — Pani mi przyrzekła... Pamięta pani...

Do salonu weszła rodzina złożona z kilku osób. ni Deberle rozplywała się w uprzejmościach, Malignon z monoklem w oku znalazł się znów wśród pań. Helena siedziała blada, wstrząśnięta tym, co dosłyszała przed chwilą. Było to dla niej jak uderzenie piorunu, coś nieoczekiwanie potwornego. Jak to, więc ta kobieta z tak spokojną, pogodną i świeżą twarzą, tak szczęśliwa, mogła zdradzać męża? Helena uważała ją dotąd za ptasi mózdzek, a pewna doza łagodnego egoizmu powinna ją była właśnie uchronić od szaleństw. I w dodatku jeszcze z takim Malignonem! Nagle przypomniały jej się popołudnia w ogrodzie, widziała Juliettę uśmiechniętą i czuła, gdy mąż całował jej włosy. Więc przecież się kochali. Pod wpływem uczuć, których nie umiała sobie wytłumaczyć, Helenę ogarnęła złość na Juliettę, jakby Julietta zdradziła ją samą. Czuła się upokorzona za Henryka, ogarnęła ją wściekła zazdrość, a wzburzenie tak wyraźnie malowało się na jej twarzy, że panna Aurelia zapytała:

— Co pani jest?... Czy pani źle się czuje?

Stara panna widząc, że Helena jest sama, usiadła przy niej. Okazywała jej serdeczną przyjaźń, ujęta uprzejmością, z jaką ta piękna i poważna kobieta wysłuchiwała całymi godzinami jej gadaniny.

Ale Helena nie odpowiedziała. Nieodparcie zapragnęła zobaczyć natychmiast Henryka, dowiedzieć się, co robi w tej chwili, ujrzeć jego twarz. Podniosła się, rozejrzała po salonie, aż wreszcie go dostrzegła. Stał rozmawiając z jakimś otyłym, bladym mężczyzną, zupełnie spokojny, zadowolony, ze swym zwykłym ironicznym uśmieszkiem. Patrzyła na niego przez chwilę i odczuła politowanie, które go jakby pomniejszało, a jednocześnie kochała go więcej niż dotąd, uczuciem, w którym teraz przejawiała się także niejasna chęć zaopiekowania się nim, bardzo nieśmiała jeszcze pragnienie wynagrodzenia mu utraconego szczęścia.

— Ach, to będzie bardzo zabawne — mówiła panna Aurelia — jeżeli siostra pani de Guiraud zaśpiewa... Już dziesiąty raz będę słuchać Turkaweczek, w tym roku nic innego nie śpiewa... Wie pani, że rozeszła aię z mężem, Widzi pani tego bruneta, taną

koło drzwi. H<| ze tobą w najlepszej komitywie. A Ju- 1 lottu musi go zapraszać, inaczej on by nio przyzili. •.-

— Ach, taki — odpowiedziała Helena,

Pani Deberle przechodziła żywo od jednej grupy ftośel do drugiej, prosząc o elszą, bo siostra pani da Guiraud będzie śpiewać. W salonie było już pełno, zo trzydzieści pań siedziało pośrodku, śmiejąc ulg i rozmawiając szeptem, dwie inno, stojąc, mówiły głośniej, podkreślając słowa wdzięczącymi się poru\* szoniarni ramion. Pomiedzy paniami, wAród wspania\* łych toalet, kręciło się kilku panów tak swobodnych, Jakby byli we własnym domu. Dyskretne: „pst”, obiegło pokój, szmer głosów ucichł, twarzo zamarły i przybrały wyraz znudzony. W dusznym powietrzu mulonu słyhać było tylko szelest wachlarzy.

Siostra pani do Gulraud Iplewała, lecz Helena nic słyhała Jej wcalo, przypatrywała się Mallgnonowi, który wydawał się tak zasłuchany w Turkaweczkuch, jakby nic poza muzyką dla niego nio istniało. Czyż to możliwe?.. Z takim bubkioml., Na pewno )c\$ZGZ9 w Trouvillo zaczęli tę niebezpieczną zabuwę, Z pod' (duhunych przez Helonę słów wynikało, że JuUftł dotąd nio uległa, ale upadek wydawał się już nlcds- loki. Patrzyłu na nich troje. Malignon, zachwycony, kołysał się w takt melodii, pani Doborlo grzecznio\* wyrażała swój podziw, a doktor milczał z miną cierpliwą i uprzejmą, czekając końca utworu, by wrócić do rozmowy z otyłym, bladym panem.

Śpiewaczka ukończyła, odezwały się lekkie okładki i głosy podziwu.

~ - Cudowno! Zachwycająco!

Piękny Malignon, wyciągając ręce w rękawiczkach ponad głowami pań, klaskał bezgłośnie, powtarzając „Brawol Brawol”, swym melodyjnym głosem, który wybijał się ponad inno.

Zachwyt ostygł od razu, na twarzach znów po)\*' wiły nią uśmiechy, kilka pań powstało, rozmowy f<sup>l</sup> toczyły się dalej wśród ogólnego odprężenia. W s<sup>\*10</sup> nie Wyło coraz goręcej, woń pizmu unosiła siii to jSW jów w powiewie wachlarzy. Chwilami wśród szmeru rozmów rozlegał się perlisy śmiech, czasem głośniej wypowiedziane słowo zwracało na siebie powHzachn.t uwagę. Już trzy razy Julietta zaglądała do saloniku nalegając na kryjących się tam panów, by nie pozo- wta wiali pań samych. Szli za nią posłusznie, a za dziesięć minut znikali znowu.

— ■■ To nieznośni) — mruzczała, zagniewana — żeby choć jeden chciał zostać z nami.

Tymczasem panna Aurelia wymieniała Helenie na ■ zwiska pań, które dopiero od niedawna zaczęły bywać na wieczorach doktordatwa, Była to sama śmietanka mieszczaństwa Passy, ludzie bardzo zamożni. Wreszcie, nachylając się do Heleny, dodała:

— Już ostatecznie postanowiono... Pani de Chermette wydaje swoją córkę za tego wysokiego blondyna, z którym sama przez półtora roku, wie pani... Przynajmniej Jedna teściowa, która będzie kochać swego zięcia, Urwała nagle, zaskoczona. — Patrzcie! Mąż pani Leyasneur rozmawia z amantem swej żony! Julietta zaklinała się przeciw, że nie będzie ich zapraszać razem,

Helena powoli wodziła wzrokiem dokoła salonu. Wlqc w tym wytwornym świecie, wśród tego na pozór tak solidnego mieszczaństwa były tylko same kobiety grzeszno. Jej prowincjonalna surowość była zaskoczona rozwiązłością tolerowaną w życiu paryskim. Gorzko szydziła sama z siebie przypominając sobie, Jak bardzo cierpiała, gdy Julietta kładła rękę na Jej dłoni. Zaiste, głupia była ze swymi skrupułami! Rozpusta, w nieco obłudnoJ formie, zaprawiona odrobiną wyrafinowanej pikanterii, zagnieżdziła się tu na dobre. Julietta, okrągłutka, maleńka, wypieszczona, wydawała się w najlepszej komitywie z Malignonem. Wtulona w fotel słyhała teraz dowcipów, które Jej opowiadał, Pan Deberle przechodząc zbliżył się do nich.

Dzisiaj już się nit sprzoczało? — zapytał.

- Nio — odpowiedziała Julietta zo śmiechem. —

Za dużo wygaduje głupstw... Żebyś słyszał te bzdury, które plecie...

Śpiewano znowu, ale tym razem trudniej było uprosić gości o ciszę. Młody Tissot śpiewał duet z Faworyty wraz z bardzo już dojrzałą damą, uczesaną jak mała dziewczynka. Paulina stojąc obok drzwi, pośród czarnych fraków, wpatrywała się w śpiewającego; z tak nieukrywanym uwielbieniem, jakby to było dzieło sztuki.

— Ach, jaki piękny! — wymknęło się jej tak głośno, że wszyscy usłyszeli, gdy akompaniament ścichł. na chwilę.

Było już bardzo późno, na twarzach gości widoczne było znużenie. Panie, tkwiące w swych fotelach od trzech godzin, miały miny znudzone, a jednak jakby znajdowały przyjemność w tym nudzeniu się tutaj. Śpiewu słuchano jednym uchem, w przerwach podejmowano rozmowę, która wydawała się przedłużać; niem dźwięków fortepianu. Pan Letellier opowiadał, iż niedawno powrócił z Lyonu, gdzie zamawiał jedwabie; był bardzo zdziwiony, że Saona nie wpada do Rodanu. Sędzia de Guiraud wypowiadał sentencje o konieczności poskromienia przestępczości w Paryżu. Skupiono się wokół kogoś, kto znał jakiegoś Chińczyka i mówił o nim ciekawe historie. W rogu pokoju dwie panie rozmawiały o swych służących. W grupie kobiet, gdzie królował Malignon, mówiono o literaturze: pani Tissot utrzymywała, że Balzaka nie można czytać, Malignon nie zaprzeczał, zauważył tylko, że u Balzaka, nieczęsto wprawdzie, ale trafiają się ustępy dobrze napisane.

— Chwileczkę ciszy! — zawołała Paulina. — grała. Będzie grała.

Miała grać właśnie owa pianistka o tak niezwykle® talencie. Wszyscy przez grzeczność odwrócili się w jej stronę. Ale wśród ogólnego skupienia dochodziły P<sup>o</sup> niesione głosy mężczyźni sprzeczekających się w W saloniku. Pani Deberle, zrozpaczona, załamywała jej radnie ręce.

— I co z takimi robić? — westchnęła. — Niechże już tam siedzą, skoro nie chcą tu przyjść, ale przynajmniej niech będą cicho!

I wysłała Paulinę, która uszczęśliwiona misją pobiegła spełnić polecenie.

— Czy panowie nie wiedzą, że będzie grała... — powiedziała z dziewczęcą śmiałością i stała przed nimi pewna siebie w swej królewskiej toalecie. — Proszę bardzo o spokój.

Mówiła donośnie, przenikliwym głosem. Śmiejąc się, żartując, została tam z mężczyznami i hałas wzmógł się jeszcze. Gorąca dyskusja trwała dalej, a Paulina brała w niej żywy udział. Pani Deberle siedziała w salonie jak na szpilkach. Zresztą goście mieli już dosyć muzyki i słuchali obojętnie. Pianistka zaciskając usta przerwała grę mimo przesadnych zachwyków, jakie pani domu uważała za konieczne jej wyrazić.

Helena cierpiała. Henryk jakby jej nie dostrzegał. Nie podchodził do niej więcej. Od czasu do czasu uśmiechał się z daleka. Na początku wieczoru była nawet rada, że zachowuje się tak rozsądnie. Ale odkąd dowiedziała się o historii tamtych dwojga, pragnęła czegoś, sama nie wiedziała czego, jakiegoś dowodu uczucia, chociażby nawet za cenę własnej kompromitacji. Nurtowało ją jakieś pragnienie, w którym różne złe myśli dochodziły do głosu. Czyż jej już nie kochał? Jak mógł być tak obojętny? Może czekał odpowiedniejszej chwili? Ach, gdyby mu mogła opowiedzieć wszystko, uświadomić go o niegodziwości tej kobiety, która nosiła jego nazwisko! Podczas gdy od fortepianu dobiegały ją żywe trele, kołysały ją marzenia: Henryk porzucił Juliettę i teraz ona będzie z nim, jako jego żona, w dalekich krajach, których nawet nazwy sama nie znała.

Drgnęła, ktoś mówił do niej.

— Może pani pozwoli na herbatę? — pytała Paulina.

Wszyscy przeszli do jadalni. Salon opustoszał. Podniosła się niechętnie, w głowie miała zamęt. Zdawało

jej się, że wszystko to było snem, spokojna i uśmiechnięta niemoralność mieszczańska, podsłuchane słowa, bliski upadek Julietty. Gdyby to było prawdą, Henryk dawno byłby przy niej, razem opuściliby już ten dom.

— Można pani podać herbatę?

Uśmiechnęła się i dziękowała pani Deberle, która zatrzymała dla niej miejsce przy stole. Stół zastawiony był ciastkami i słodyczami, wielka babka i dwa torty królowały uroczyście pośrodku. Z braku miejsca filiżanki stały ciasno obok siebie, poprzedzielane szarymi serwetkami z długą frędzlą. Tylko panie siedziały. Zsunęły rękawiczki i jadły trzymając końcami palców ciasteczka i owoce w cukrze, same sobie nalewały, częstowały się śmietanką. Kilka pań zaofiarowało się obsłużyć mężczyzn, którzy stali pod ścianami i popijali herbatę starając się przezornie nie trącać nawzajem. Inni czekali cierpliwie w obu salonach, aż ciastka dotrą do nich. Wieczór ten był dla Pauliny nieprzerwanym pasmem triumfów. Rozmawiano głośniejszym śmiechem mieszał się z brzękiem srebrnej zastawy, a zapach piżma z przenikliwym zapachem herbaty.

— Może mi pani podać brioszkę — powiedziała panna Aurelia, która znów znalazła się obok Heleny. — Te wszystkie słodycze to żadne jedzenie. — Opróżniła już dwa talerze. Z napchanymi ustami mówiła dalej: — O, goście się rozchodzą... Będzie nam luźniej.

Panie rzeczywiście żegnały się z Juliettą. Wielu mężczyzn znikło już po angielsku. Pokoje opróżniały się. Pozostali panowie mogli z kolei usiąść przy stole. Tylko panna Aurelia nie zwalniała swego miejsca. Miała wielką ochotę na szklankę ponczu.

— Przyniosę pani — zaofiarowała się Helena powstając.

— O nie, dziękuję, niech się pani nie trudzi.

Helena już od kilku minut obserwowała Malignona. Podał doktorowi rękę, a teraz już na progu kłaniał się Julietcie. Twarz miała świeżą, oczy pogodne, uśmiech uprzejmy i można by pomyśleć, że Malignon wyraża jej uznanie za udany wieczór.

Helena podeszła do stolika przy drzwiach, gdzie Piotr nalewał poncz, i stanęła tak, by być ukrytą za portierą. Słuchała.

— Niech pani przyjdzie pojutrze... Będę czekał o trzeciej... Bardzo proszę — mówił Malignon.

— Ani rusz nie potrafi pan być poważny — odpowiedziała pani Deberle śmiejąc się. — Stale plecie pan głupstwa!

Nalegał, powtarzając bez przerwy:

— Będę na panią czekał... Pojutrze... Wie pani, gdzie...

— A więc dobrze, pojutrze — odpowiedziała krótko szeptem.

Malignon uklonił się i wyszedł. Pani de Chermette wychodziła razem z panią Tissot. Julietta odprowadzała je wesoło do przedpokoju mówiąc z najbardziej czarującą miną do pani de Chermette:

— Pojutrze będę u pani... Mam całą furę wizyt tego dnia.

Helena stała nieruchoma, bardzo blada. Piotr rozlał już poncz i podał jej szklankę. Wzięła ją machinalnie i zaniósła pannie Aurelii, która teraz atakowała z zapalem kandyzowane owoce.

— Ach, pani jest taka uprzejma — wykrzyknęła stara panna. — Byłabym zawołała Piotra... Naprawdę powinno się podawać poncz również i paniom... Gdy się jest już w moim wieku... — Urwała widząc bladą Helenę. — Pani jest chyba chora... Niech się pani napije ponczu.

— Dziękuję, nic mi nie jest... Tak tu duszno... Słaniała się, wróciła do opustoszałego salonu i upadła na fotel. Lampy rzucały czerwone światło, w lichtarzach dopalały się resztki świec tak małe, że pro-fitki groziły pęknięciem. W jadalni słychać było pożegnania ostatnich gości. Helena zapomniała, że też powinna już odejść, chciała zostać, przemyśleć wszystko. A więc to nie było złudzenie. Julietta pójdzie do

niego. Wiedziała nawet dokładnie kiedy. Pojutrze. Teraz i ona nie będzie miała skrupułów, myśl ta wracała do niej uporczywie. Potem pomyślała, że powinna pomówić z Juliettą i uchronić ją przed tym krokiem, 'ale ten odruch życzliwości przerażał ją, odpychał go jak natręta. Patrzyła na kominek, gdzie głównie dopalały się z trzaskiem. Po wyjściu gości powietrze w salonie było duszne i ciężkie.

— O, pani jest tutaj — zawołała Julietta wracając do salonu. — To bardzo miło, że pani jeszcze została... Nareszcie można odetchnąć. — A gdy Helena, zaskoczona, chciała wstać, dodała: — Niech pani zaczeka, nie panią nie nagli. Henryku, podaj mi mój flakon. I

Pozostali już prawie sami domownicy. Siedząc przed wygasłym kominkiem rozmawiali swobodnie w sennej, znużonej atmosferze wielkiego pokoju. Drzwi były pootwierane, widać było pusty salonik, pustą jadalnię, całą amfiladę pokoi jeszcze oświetloną i pograżoną w głuchej ciszy. Henryk był dla żony uprzedzająco grzeczny i czuły. Z sypialni na piętrze przyniósł jej flakon, który wachała przymykając oczy, i dopytywał się czy nie jest zbyt zmęczona. Tak, była trochę zmęczona, ale bardzo szczęśliwa, że wszystko tak się udało. Opowiadała, że zazwyczaj po swych przyjęciach nie może zasnąć i przewraca się na łóżku aż do samego rana. Henryk uśmiechał się, goście żartowali. Dom cały ogarniała senna ociężałość. Helena patrzyła na nich i przeszedł ją dreszcz.

Piotr poszedł sprowadzić dorożkę dla ostatnich dwóch osób. Pozostała już tylko Helena. Wybiła pierwsza po północy. Henryk, nie krępując się już wcale, wspiął się i zdmuchnął dwie dopalające się świece, by nie pękły profitki. Wszystko zdawało się usypiać, światła gasły jedno po drugim, pokój tonął w intymny® półmroku.

— Przeze mnie nie możecie się jeszcze położyć — Pf wiedziała Helena zrywając się z krzesła. — Wyrzućcie mnie wreszcie.

Poczerwieniła mocno, krew uderzyła jej do głowy-

210

Odprowadzili ją do drzwi. W przedpokoju było chłodno i doktor zaniepokoił się o żonę, która miała wydekoltowaną suknię.

— Wracaj, zaziębisz się... Jesteś bardzo zgrzana.

— A więc do widzenia — powiedziała Julietta całując Helenę, co się jej zdarzało w chwilach czułości. — Niechże pani wpada do nas częściej.

Przed wielkim zwierciadłem, które zajmowało całą ścianę przedpokoju, Henryk uśmiechając się podawał Helenie szeroko rozpostarte futro. A gdy wsunęła ręce w rękawy, troskliwie podniósł jej kołnierz. Oglądali swe odbicia w zwierciadle, byli we dwoje. Od trzech miesięcy zamieniali jedynie przyjacielskie uściski rąk, usiłowali się przecież nie kochać. Nagle, nie odwracając się, otulona futrem, opadła mu w ramiona. Henryk nie uśmiechał się już, twarz mu się zmieniła, stała się napięta, płonąca. Nieprzytomnie ścisnął Helenę, całując w szyję. Odrzuciła głowę do tyłu oddając mu pocałunek.

n

Nie spała całą noc. Przewracała się w pościeli rozgorączkowana, a gdy tylko zaczynała zasypiać, ten sam niepokój budził ją nagle. W zmorach półsnu dręczyła ją wciąż natrętna myśl: chciała wiedzieć, gdzie miała odbyć się schadzka. Zdawało się jej, że to by ją uspokoiło. Nie mogła to być kawalerka Malignona na antresoli przy ulicy Taitbout, o której często rozmawiano u Deberle'ów. Więc gdzie? Więc gdzie? Mimo woli łamała sobie bez przerwy głowę i zapominała zupełnie o całej historii, pograżając się bez reszty w tych domysłach denerwujących i pełnych skrytych pragnień.

O świcie zaczęła się ubierać i ku własnemu zdumieniu powiedziała głośno:

— Więc to jutro.

Z jedną nogą obutą i opuszczonymi rękoma zasta-



la wiała się, czy to nie będzie czasem w którymś z hotelików, w jakimś ukrytym wynajętym pokoju. Przepuszczenie napełniło ją wstrętem. Miała stale przed oczami wytworną garsonierę, z ciężkimi kotarami, kwiatami, z jasno płonącym ogniem na wszystkich kominkach. I była tam już nie Julietta z Malignonem, lecz ona sama z Henrykiem, ukryta w przytulnym zaciszu, dokąd hałasy z zewnątrz nie dochodzą wcale. Wstrząsnęła się z zimna w swym nie dopiętym peniuarze. Gdzie to może być? Gdzie?

— Dzień dobry, mateczko! — zawołała Joasia, która obudziła się właśnie.

Od czasu gdy czuła się już lepiej, sypiała znów w swym pokoiku. Jak co dzień przybiegła w koszuli, boso i rzuciła się Helenie na szyję. Potem wróciła szybko do siebie i wskoczyła jeszcze na chwilę do ciepłego łóżka. Bawiło ją to i zaśmiewała się pod kołdrą. Powtórzyła raz jeszcze tę zabawę.

—Dzień dobry, mateczko! — I uciekła. Zanosila się od śmiechu. Zarzuciła sobie prześcieradło na głowę, i mówiła spod niego grubym przytłumionym głosem. — Nie ma mnie... Nie ma mnie...

Te figle nie bawiły dzisiaj Heleny. Wreszcie Joasia, zniechęcona, zasnęła znowu. Było jeszcze bardzo wczesnie. Koło ósmej weszła Rozalka podając swój przegląd porannych wiadomości. Jaka wstrętna pogoda; gdy chodziła po mleko, o mało nie pogubiła trzewików w błocie. Prawdziwa odwilż, a przy tym tak ciepło, że aż duszno. Nagle przypomniała sobie: wczoraj wieczór przychodziła do pani jakaś stara kobieta.

—O, właśnie! — zawołała słysząc dzwonek. — To na pewno znowu ona!

Była to stara Fetu ubrana niezwykle starannie i czysto, okazała w białym czepku, w nowej sukni, w kra-  
ciastej wełnianej chustce skrzyżowanej na piersiach. Jednak nadal mówiła swym płaczącym głosem:

— To ja, moja dobra pani, ośmieliłam się właśnie- Chciałam panią o coś prosić...

Helena przyglądała się nieco zaskoczona jej wystro-? jeniem.

—Macie się już lepiej, matko Fetu?

— Tak, tak, lepiej nie lepiej, a bo to ja będę zdrowa... Pani przecie wie, zawsze mam coś takiego dziwnego we środku: coś mi się tam rusza, ale trochę mi lepiej, chodzę... Trafiło mi się szczęście... Nadziwić się nie mogę, szczęście i ja... Prowadzę jednemu panu gospodarstwo. Dużo można by o tym gadać...

Mówiła coraz wolniej, wśród tysiąca zmarszczek jej twarzy mrużyły się małe, świdrujące oczka. Zdawała się czekać na pytania Heleny. Ale Helena, siedząc przy ogniu rozpalonym przez Rozalkę, zamyślona, roz-  
targniona i niezupełnie przytomna, słuchała jej jednym uchem.

— Czego ode mnie chcecie, matko Fetu? — zapytała.

Stara nie odpowiedziała od razu. Oglądała uważnie pokój, palisandrowe meble, obicia z niebieskiego ak-  
samitu. I z pokorą i uniżeniem biedaka zaczęła mówić:

— Jak tu ładnie u pani, niech pani się nie gniewa... Mój pan ma taki sam pokój, ale jego jest różowy... Ach, dużo by o tym opowiadać. Nie uwierzy pani, taki młody pan, taki wykształcony, a wynajął w naszym domu mieszkanie. Choć nasz dom na to nie wygląda, ale na drugim i pierwszym piętrze mieszkania są u nas bardzo ładne... No i cicho jak na wsi! Nie ma powozów... Dwa tygodnie szykowali mu to mieszkanie i wyszykowali jak w pałacu... — Zatrzymała się widząc, że Helena słucha uważniej. — Ma tam pracować — mówiła dalej jeszcze wolniej. — Powiada, że ma tam pracować... U nas konsjerżki nie ma, pani przecie wie. To mu się spodobało. Nie podobają mu się konsjerżki w domu... Już on wie dlaczego... — Znów urwała, jak gdyby nagle przyszło jej coś do głowy: — Zaraz, zaraz, pani musi go znać, tego mojego pana... To znajomy jednej pani przyjaciółki.

1 B

» — Ach, tak — powiedziała Helena blednąc. <sup>TM</sup> — Na pewno to ta pani obok, co to pani z nią chodziła do kościoła... Będzie temu kilka dni, jak sama u nas była.

Zmrużyła oczy śledząc ukradkiem wzburzenie do- ■ brej pani. Helena zapytała, starając się zapanować nad 1 swym głosem:

— Wchodziła do niego na górę?

— Nie, rozmyśliła się, może zapomniała czegoś... A Stałam właśnie w bramie. Pytała mnie o pana Vin- ' cent, ale potem wsiadła z powrotem do dorożki wołając | do dorożkarza: „Spóźniłam się, wracamy...” O, to bar- ,. dzo prędka pani, ale bardzo grzeczna, bardzo dystygowana. Pan Bóg niedużo takich zsyła na ten świat. Trudno taką drugą znaleźć, no, ja o pani nie mówię... Niech wam wszystkim niebo błogosławi! — Nawykła do nie kończącego się odmawiania litanii, ciągnęła tak dalej potoczyście, swobodnie, bez zająknięcia. Na jej pomarszczonej twarzy widać było nieustający wysilek myśli. Kontenta z siebie rozpromieniła się teraz cała. — Więc chciałabym bardzo mieć jakieś porządne trzewiki — mówiła dalej bez żadnego przejścia. — Mój pan jest dla mnie bardzo dobry, ale o to nie mogę go prosić... Pani sama widzi, że jestem ubrana, potrzeba mi tylko dobrych trzewików. Te, co mam, niech pani sama popatrzy, są dziurawe, a teraz taka chlapa, można dostać kolki... Właśnie wczoraj miałam kolkę, aż mnie skręcało całe popołudnie... Gdybym miała dobre trzewiki...

— Przyniosę wam trzewiki — powiedziała Helena odprawiając ją gestem. A gdy stara, cofając się tylni wychodziła nie przerywając ukłonów i podziękowań, zapytała ją: — O której godzinie jesteście w domu sama?

— Mego pana nigdy nie ma w domu po szóstej ja odpowiedziała stara kobieta — ale niech się 0iff8| trudzi, przyjdę sama, niech pani zostawi trzewiki wj u konsjerżki... Jak pani sobie życzy zresztą. Jest aniołem z nieba! Aniołem z nieba! Pan Bóg to pani wszystko wynagrodzi.

Słychać było, jak jeszcze na schodach mówiła głośno do siebie. Helena siedziała oszołomiona nowinami, jakie stara przyniosła tak dziwnie w samą porę. Teraz już wiedziała gdzie. Różowy pokoik w tym starym walącym się domu! Przypominała sobie te ociekające wilgocią schody, żółtkle drzwi na każdym piętrze, po- czerniałe od brudnych rąk, całą tę nędzę, która ją tak wzruszała zeszłej zimy, gdy odwiedzała starą Fetu, i starała się wyobrazić sobie różowy pokój wśród szpetoty tej biedy. Gdy tak siedziała głęboko zamyślona, dwie małe ciepłe rączki zakryły jej oczy zaczerwienione od bezsenności, a śmiejący się głos zapytał:

— Zgadnij, kto to?... Zgadnij, kto to?...

Joasię obudził głos starej Fetu. Widząc zamknięte drzwi do pokoiku, szybko ubrała się sama, by zrobić matce niespodziankę.

— Zgadnij, kto to?... Zgadnij, kto to?... — powtarzała śmiejąc się coraz głośniej.

Gdy Rozalka weszła niosąc śniadanie, Joasia wołała:

— Nic nie mów... Ciebie nikt nie pyta.

— Daj już spokój, ty figlarko — powiedziała Helena. — Myślisz, że nie wiem, kto to?

Uszczęśliwiona swym pomysłem dziewczynka usiadła na kolanach matki, wierząc się i kołysząc. Prze- konywała ją z całą powagą:

— Przecież to mogła być całkiem inna dziewczynka... No nie? Jakaś mała dziewczynka, która by ci przyniosła list od swojej mamy z zaproszeniem na obiad... I ona zakryłaby ci oczy.

— Nie bądź niemądra — powiedziała Helena stawiając ją na ziemi. — Co ty pleciesz? Rozalko, dawaj śniadanie.

Służąca przypatrywała się Joasi mówiąc, że panienka cudacznie się wystroiła. Istotnie Joasia w pośpiechu nie włożyła nawet pantofli. Ze źle dopiętej, krót-

kiej flanelowej spódniczki wystawała koszula. Ciepły j kaftanik był również nie zapięty i widać było jej delikatne płaskie ciało podlotka z nikłymi różowymi plamkami ledwo zarysowujących się piersi. Włosy miała potargane, pończochy krzywo włożone, a przecież pełna była uroku w tym nieładzie ubrania.

Pochyliła się, obejrzała siebie i wybuchnęła śmiechem.

— Ależ ja ślicznie wyglądam, mamó, zobacz!... Zostanę tak... Powiedz, zgadzasz się? To strasznie śmiesznie.

Helena tłumiąc zniecierpliwienie spytała jak co dzień:

— Umyłaś się chociaż?

— Och, mamó! — powiedziała Joasia nagle strapiona — och, mamó... Deszcz pada, jest tak brzydko.

— W takim razie nie dostaniesz śniadania... Rozalko, umyj ją.

Zazwyczaj sama doglądała mycia. Ale tego dnia czuła się naprawdę chora, stanęła obok ognia, cała drżąca, chociaż było bardzo ciepło. Rozalka przysunęła do kominka stolik, na którym rozłożyła serwetkę i ustawiła dwie białe porcelanowe filiżanki. Tuż przed kominkiem syczała kawa z mlekiem w srebrnym im- bryku podarowanym przez pana Rambaud. O tej rannej porze nie sprzątnięty pokój, jeszcze jakby rozespany i pełen nocnego nieładu, był przytulny i pogodny.

— Mamó, mamó! — krzyczała Joasia z głębi pokoiku. — Rozalka aż mi skórę zdziera, dosyć tego mycia... Ojoj! Jak zimno!

Z oczami utkwionymi w imbryk Helena zamyśliła się głęboko. Musi tam pójść, musi się przekonać. My» o schadzce w tym brudnym kącie Paryża gniewała ją i nie dawała spokoju. Ta tajemniczość, ów godny Malignona pomysł z romantycznej powieści, ch\$ wskrzeszenia tanim kosztem ustronnych pawiloniki z czasów Regencji wydała się jej w bardzo guście. A jednak pomimo odrazy była podnlecoM

przejęta; cisza i półmrok, które musiały panować w różowym pokoju, zaprzętały jej wyobraźnię.

— Panienko — powtarzała Rozalka — jeżeli panienka nie da mi się umyć, zawołam panią.

— Och, napohałaś mi mydła do oczu — skarżyła się Joasia głosem niebrzmiałym łzami. — Już mam tego dosyć, puść mnie... Uszy umyję jutro.

Ale pluskanie wody nie ustawało, głośno spływała z gąbki do miednicy, słychać było szamotanie się. Joasia płakała. Prawie jednocześnie ukazała się wołając wesoło:

— Już skończone, już skończone..^

Otrząsała się z jeszcze mokrymi włosami, zacerwieniona od wycierania, cała pachnąca świeżością. Szarpiąc się z Rozalką zsunęła z siebie kaftanik, spódnica rozwiązała jej się, pończochy opadły ukazując chude nóżki. W tej chwili, wedle słów Rozalki, panienka wyglądała jak Dzieciątko Jezus. Joasia dumna, że jest czysta, nie chciała, by ją ubierano.

— Popatrz tylko, mamó, na moje ręce, szyję i uszy... O, proszę! Pozwól mi się teraz ogrzać trochę, tak mi przyjemnie... Nie powiesz chyba, że mi się dzisiaj śniadanie nie należy.

Skuliła się przy ogniu w swym małym fotelu. Rozalka nalewała białą kawę. Joasia wzięła filiżankę na kolana i poważnie maczała grzanki, z miną dorosłej osoby. Helena zazwyczaj zabraniała jej jeść w ten sposób, ale teraz miała głowę zaprzętniętą czym innym. Nic nie jadła, tylko piła kawę. Przy ostatnim kęsku Joasię ogarnęły wyrzuty sumienia. Widok tak bardzo bladej matki przejął ją smutkiem. Odstawiła filiżankę i rzuciła się Helenie na szyję.

— Mamó, a może teraz ty jesteś chora?... Przecież nie zrobiłam ci chyba żadnego zmartwienia, powiedz?

— Nie, kochanie, przeciwnie, jesteś bardzo grzeczna — szepnęła Helena całując ją. — Jestem tylko trochę zmęczona. Źle spałam... Idź się bawić, nie martw się.

Myślała, jak przeraźliwie długi będzie ten dzień.

\_\_\_\_\_ | się zając czekając wieczoru. Od pewnego czasu nie brała igły do ręki, praca wydawała się jej zbyt ciężka, przez całe godziny siedząc nieruchomo z opuszczonymi rękami dusiła się w swym pokoju i chciała wyjść na ulicę, by odetchnąć świeżym powietrzem, ale nie ruszała się z miejsca. To ten pokój przyprawiał ją o chorobę. Za te dwa lata, które w nim przeżyła, znienawidziła go wraz z jego niebieskimi pluszami i z tą niezmierną panoramą wielkiego miasta. Stał się dla niej wstrętny, marzyła o małym miesz- ikanku przy jakiejś ruchliwej ulicy, której hałas by »ją odurzał. Boże mój, jak ten czas wolno upływał! Wzięła książkę, ale natrętna myśl, która tłukła się w jej głowie wciąż tymi samymi obrazami, przesłaniała litery.

Bozalka sprzątnęła pokój, Joasia była już uczesana i ubrana. Helena siedząc przy oknie usiłowała czytać, a wśród poustawianych mebli Joasia, która miała właśnie jeden ze swych dni hałaśliwej wesołości, rozpoczęła wielką zabawę. Nie przejmowała się wcale, że jest zupełnie sama, świetnie potrafiła w zabawie udawać trzy lub cztery osoby, robiła to z głębokim przekonaniem i bardzo komiczną powagą. Najpierw była damą składającą wizyty. Wychodziła do jadalni, potem wracała kłaniając się, uśmiechając i kręcąc zalotnie głową.

— Dzień dobry pani... Jak się pani miewa? Tak dawno nie widziałam pani... To cudowne, naprawdę... Boże mój, byłam chora, proszę pani. Tak, miałam tyfus, a to bardzo nieprzyjemne... Och, nie znać tego po pani wcale, pani jest coraz młodsza, daję słowo! A jak dzieci pani? Ja miałam od zeszłego roku troje...

I dalej kłaniała się wdzięcznie stolikowi, który grał rolę gospodyni domu. Potem zsunęła krzesła i przez godzinę prowadziła rozmowę z całym wyimaginowanym towarzystwem, z niewiarygodną obfitością słów.

— Nie pleć głupstw, Joasiu ~ mówiła matka od czasu do czasu, gdy paplanina małej zaczynała ją niecierpliwie.

— Ależ, mam, jestem u mojej przyjaciółki... Ona mi coś opowiada, więc muszę jej odpowiedzieć... Prawda, że jak podają herbatę, to nie można chować ciastek do kieszeni? — I zaczynała się żegnać. — Do widzenia pani... Herbata była znakomita... Proszę pozdrowić serdecznie męża...

Od razu zaczynała bawić się w coś innego. Siadając na krześle okrakiem, jak chłopiec, niby wyjeżdżała powozem po sprawunki.

— Janie, nie tak szybko, boję się... Stańcie! Jesteśmy już przed modystką... Panienko, ile kosztuje ten kapelusz? Trzysta franków to wcale niedrogo. Ale nie podoba mi się. Chciałabym, żeby był z ptakiem, o, takim dużym... Jedziemy, Janie! Zawieźcie mnie do kolonialnego sklepu. Nie ma pan miodu? Ależ tak, proszę pani, jest, proszę bardzo. Ach, jaki dobry! Nie, nie wezmę go, proszę mi dać cukru za dwa su. Ależ proszę uważać, Janie! O właśnie, powóz się przewrócił! Panie posterunkowy, ta fura na nas najechała... Czy nic się pani złego nie stało? Nic, nic, panie posterunkowy... Janie, Janie, wracamy!... Wioi Wio! Proszę zaczekać, muszę zamówić koszule. Trzy tuziny koszul dla pani... Potrzebne mi także buciki i gorset... Wio! Wio! Boże mój, tyle mam na głowie.

Wachlowała się, była teraz panią, która wraca do domu i gniewa się na służbę. Nigdy nie brakło jej pomysłów, fantastyczne obrazy mnożyły się bez końca, były to jakby urywki, skrócone odbicia jej rozgoryczkowanej wyobraźni. Cały ranek i całe popołudnie kręciła się, tańczyła, rozmawiała sama ze sobą, a gdy się zmęczyła, wystarczał jakiś taboret, jakaś parasolka wyciągnięta z kąta, kawałek szmaty rozpostartej na podłodze, by przenieść ją w świat nowej dudy z nowym wątkiem pomysłów. Wymyślała wszystko: osoby, scenerie, sytuacje. Bawiła się tak, jakby była wśród tuzina rówieśników.

Wreszcie nadszedł wieczór. Dochodziła szósta. Heleną budząc się zę swego pełnego niepokoju odrętwię-j

lia, w którym przetrwała dzień cały, gwałtownym [ruchem narzuciła szal na ramiona.

— Wychodzisz, mamó? — spytała zdziwiona Joasia,

— Tak, kochanie, tu niedaleko, muszę coś załatwić. Nie będę długo... Bądź grzeczna.

Na dworze nadal była odwilż. Rzeka błota płynęła ulicami. Helena wstąpiła do sklepu z obuwiem na ulicy Passy, gdzie już raz była ze starą Fetu, potem wróciła na ulicę Raynouard. Niebo było szare, z ziemi unosiła się mgła. Mimo wczesnej pory ulica ze swymi rzadkimi gazowymi latarniami, których światło tworzyło żółte plamy w oparze wilgoci, ciągnęła się przed nią pusta i przejmująca lękiem. Przyśpieszyła kroku przemykając tuż pod ścianami domów, kryła się, jak gdyby szła na schadzkę. Jednak gdy skręciła szybko w Zaulek, zatrzymała się pod sklepieniem bramy, ogarnięta prawdziwym strachem. Przejście otwierało się u jej stóp jak czarna jama. Nie widziała jego dna, dostrzegała tylko w tej mrocznej studni drżące światelko samotnej latarni, która go oświetlała. Wreszcie zdecydowała się. Ujęła żelazną poręcz, by nie upaść. Czubkami palców macała szerokie stopnie. Na prawo i na lewo mury ścieśniały się, ciemność wydłużała je niezmiernie, ponad nimi bezlistne gałęzie drzew rysowały się niewyraźnie jak olbrzymie ramiona o wyciągniętych i zaciśniętych dłoniach. Drżała na myśl, że furka któregoś z ogrodów otworzy się i ktoś ją napadnie. Nie było jednak nikogo, schodziła na dół, jak mogła najszybciej, yftem jakiś cień wynurzył się z mroku; gdy zakaszła, przeszedł ją lodowaty dreszcz; była to stara kobieta, która z wysiłkiem wchodziła na górę. Helena odetchnęła z ulgą, uniosła starannie suknię, której tren włókl się po zabloconych stopniach. Błoto było tak gęste że z trudem wyciągała z niego trzewiki. Na dole obejrzała się odruchowo. W Zaulku z wilgotnych g\*<sup>1</sup> łązi kapała woda, gazowa latarnia świeciła jak lampk\*<sup>2</sup> 'górnika zawieszona na ścianie szybu zagrożonego P<sup>0</sup><sup>^</sup> myciem.

Helena weszła po schodach wielkiego domu prosto na poddasze, gdzie bywała kiedyś tak często. Stukała długo, lecz nikt nie otwierał. Zaskoczona i stropiona zeszła na dół. Stara Fétu była pewnie w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Helena jednak nie odważyła się tam zająć. Kilka minut stała na ulicy oświetlonej naftową latarnią. Znowu weszła na górę, zawahała się, patrzyła na drzwi i odchodziła już, gdy ukazała się stara Fetu przechylona przez poręcz.

— Jak to, to moja dobra pani jest na schodach — zawołała. — Ależ niech pani wejdzie Niech pani nie stoi tu, bo się pani przeziębii... Powietrze jest zdradliwe, prawdziwa febra...

— Nie, dziękuję — powiedziała Helena. — Macie tutaj wasze trzewiki, matko Fétu.

Zaglądała przez drzwi, których stara Fetu nie zamknęła za sobą. <sup>k</sup>Widać było róg płyty kuchennej.

— Jestem sama, mówię pani — powtarzała starucha. — Niechże pani wejdzie... Z tej strony jest kuchnia... Ach, jest pani taka dobra dla biednych ludzi, nie gardzi pani nimi, to święta prawda!

Helena poszła za starą kobietą, mimo odrazy do samej siebie, wstydząc się własnego postępowania.

— Macie wasze trzewiki...

— Mój Boże, jakże tu pani dziękować... Jakie śliczne trzewiki!... Niech pani poczeka, zaraz je przymierzę. Jak na moją nogę, pasują jak rękawiczki... Niech się dobrze noszą. W tym to przynajmniej można chodzić, człowiek nie boi się błota... Pani mnie uratowała. Darowała mi pani dziesięć lat życia... moja dobra pani. Nie mówię tego, aby mówić, to szczerza prawda. Już ja tam przypochebiać nie umiem.

Rozczulała się własnymi słowami, chwyciła i całowała ręce Heleny. W rondelku grzało się wino, na stole przy lampie wyciągała szyję na wpół pusta butelka bordeaux. Poza tym stały tylko cztery talerze, szklanka, dwa garnuszki i kociołek. Czulo się, że stara Fétu zadomowiła się na dobre w tej kawalerskiej kuchni, gdzie paliła pod płytą tylko dla siebie.

Widząc, że wzrok Heleny zatrzymał się na rondelku z winem, zaczęła kaszleć i narzekać.

— Znowu mnie to chwyciło w brzuchu — jęczała. — Doktor może sobie gadać, co chce, a ja na pewno mam tam robaka... Kropelka wina stawia mnie na nogi... Bardzo mnie martwi ta choroba, moja dobra pani. Nikomu takiej nie życzę, to straszna choroba\*\*! Tak mi dojadła, że chyba teraz mogę sobie pozwolić na tę trochę wina. Raz mi się poszczęściło, żem trafiła na takiego dobrego pana... Niech mu niebo błogosławi.

Włożyła do wina dwa duże kawałki cukru. Była teraz jeszcze grubsza, jej małe oczka ginęły w obrzęklej, nalanej tłuszczem twarzy. W jej powolnych ruchach widać było błogie zadowolenie. Pragnienia całego jej życia zdawały się wreszcie być zaspokojone. Była do tego jak urodzona. Kiedy chowała cukier, Helena zauważyła w głębi szafy słoik konfitur, paczkę biszkoptów i inne przysmaki, a nawet cygara ukradzione panu.

— No dobrze! Do widzenia, matko Fétu, pójdę już. Stara odstawiła garnuszek w kącie komina i powiedziała:

— Niechże pani zaczeka, to i tak za gorące, wypiję za chwilę... Nie, nie, niech pani tędy nie wychodzi. Przepraszam bardzo, że wprowadziłam panią do kuchni... Pójdziemy dookoła.

Wzięła lampę i poszła naprzód wąskim korytarzem. Helena z bijącym sercem szła za nią. Ściany korytarza popękane, okopcone, oczekiwały wilgocią. Minęła jakieś drzwi, szła teraz po grubym dywanie. Stara Fétu wprowadziła ją do zaciszego pokoju.

— A co? — powiedziała unosząc lampę do góry. Ślicznie, prawda?

Były to dwa niewielkie pokoje, między którymi zamiast wyjętych z zawiasów drzwi wisiały kotary. W obu pokojach ściany obite były różowym wzorzystym kretonem w stylu Ludwika XV, w puciołowate amorki igrające wśród kwiatnych girland. W pierwszym pokoju był stolik, dwie kanapki i fotele, drugi, mniejszy, zajmowało ogromne łóżko. Stara Fétu zwróciła uwagę Heleny na kryształowy mały żyrandol zawieszony u sufitu na złożonych łańcuchach; w jej pojęciu był szczytem wykwintu. Stara objaśniała dokładnie:

— Pani sobie nie może wyobrazić, co to za pocieszny człowiek. W biały dzień zapala światło i siedzi, pali cygara i gapi się przed siebie... Widać, że go to bawi... Niech mu będzie, pieniędzy wydał na to, oj, wydali

Helena • nic nie mówiąc obeszła pokoje. Wydały się jej nieprzyzwoite. Były zbyt różowe, łóżko zbyt duże, meble zbyt nowe. Aż nazbyt jaskrawo czuło się, że mieszkanie miało służyć do jednego tylko celu. Modystka uległaby tu od razu. A jednocześnie ogarniał ją niepokój i podniecenie; starucha tymczasem mówiła mrugając oczami.

— Ten młody pan... każe się nazywać panem Vincent... Mnie tam wszystko jedno, dokąd mi płaci.

— Do widzenia, matko Fétu — powiedziała Helena, której z odrazy robiło się niedobrze.

Chciała wyjść, otworzyła drzwi i znalazła się w amfiladzie trzech małych pokojków zupełnie pustych i straszliwie brudnych. Strzępy tapet zwisały ze ścian, sufity były czarne, kawałki tynku poniewierały się po zniszczonej posadzce.. Czuć było odór zatęchłej nędzy.

— Nie tędy, nie tędy — zawołała stara Fétu. — Te drzwi przecież są zwykle zamknięte... To są inne pokoje, tych nie kazał urządzać. Ba! I tak go to kosztowało niemało... Ach, tu, ma się rozumieć, już nie tak ładnie!... Tędy, moja dobra pani, tędy.

Gdy Helena wróciła do różowego buduaru, zatrzymała ją i jeszcze raz całowała po rękach.

— Nie jestem niewdzięczna... Nie zapomnę nigdy o tych trzewikach. Zupełnie jak na mnie szyte i takie ciepłe, mogłabym przejść w nich ze trzy mile!... O cóż miałabym się modlić do Pana Boga dla pani? O Boże mój, wysłuchaj mnie, uczynj ją najszczęśliwszą z ko-

RTiet! Ty, który widzisz wszystko w moim sercu, wiesz, [czego jej zyczę. ,W. imię Ojca i Syna, i Ducha świętego, amen!

Niespodziewanie, w napadzie zapału religijnego zęgnąła się raz po raz, przyklękała przed wielkim łóżkiem i kryształową lampką. Potem, otwierając drzwi na schody, już zupełnie innym głosem powie-, działa cicho do ucha Heleny:

— Kiedy pani zechce, proszę zastukać do kuchni, zawsze tam jestem.

Helena odurzona, oglądając się za siebie, jakby wychodziła z podejrzanego miejsca, zbiegła ze schodów, przeszła Zaułkiem i znalazła się na ulicy Vineuse, sama nie wiedząc jak i kiedy. Tam dopiero zastanowiły ją ostatnie słowa starej kobiety. Nie, na pewno jej noga nie postanie więcej w tym domu. Jałmużny już tam nie musi zanosić. Po cóż więc miałyby pukać do kuchni? Teraz nie miała już po co, była zadowolona: wiedziała. I czuła pogardę dla siebie i dla tamtych. Jakież to było obrzydliwe, że tam poszła! Oba pokoiki wraz z ich kwiecistym kretonem miała stale przed oczami. Jednym spojrzeniem objęła i zapamiętała najdrobniejsze szczegóły, nawet miejsca, gdzie stały krzesła, nawet fałdy kotar upiętych nad łóżkiem. I zaraz przypominały się jej trzy pozostałe pokoje, brudne, puste i zapuszczone. Wizja tych murów oślizłych, ukrytych za igrającymi amorkami, wzbudziła w niej gniew połączony ze wstrętem.

— Nareszcie przyszła pani — wołała Rozalka, która czekała na schodach. — Dobry mi będzie obiad, od pół godziny już się wszystko przypala!

Przy stole Joasia zasypała matkę pytaniami. Gdzie była? Co robiła? A że otrzymywała krótkie, zdawkowe odpowiedzi, wreszcie zaczęła się bawić sama. Na krzesło obok siebie posadziła lalkę i po siostrzanemu podzieliła się z nią połową deseru.

— Przede wszystkim proszę jeść czysto, moja P<sup>aQn</sup> po... No, proszę się obetrzeć... Och, co za brudasek, nie umie nawet sobie założyć serwetki!... No tak, bardzo ładnie... A oto biszkopcik... Co panienka mówi? Chce panienka konfitur do niego?... Co? Będzie tak smaczniejszy... Niech panienka da, obiorę panience kawałek jabłuszka...

I przeznaczoną dla lalki część kładła na krzesło. Ale Sdy jej własny talerz był już pusty, odbierała po kawałku ofiarowane przysmaki i zjadała mówiąc za lalkę:

— Och! Wyśmienite!... Jeszcze nigdy nie jadłam takich dobrych konfitur. Gdzie pani je kupuje? Powiem mężowi, żeby mi kupił cały słoik... Czy te piękne jabłka rwała pani we własnym ogrodzie?

Bawiąc się tak usnęła z lalką w ramionach. Od samego rana bawiła się bez przerwy. Jej małe nóżki odmawiały posłuszeństwa. Zmogło ją zmęczenie. Zaczęła osuwać się z krzesła. Śmiała się nawet przez sen, musiała śnić, że wciąż się jeszcze bawi. Całkowicie bezwładną matka położyła do łóżka — zapewne w trakcie wielkiego przyjęcia z aniołami.

Teraz Helena była sama w pokoju. Zamknęła się i spędziła straszny wieczór przy wygasłym kominku. Traciła panowanie nad sobą, trawiły ją skryte myśli, do których przyznać się nie śmiała. Jak gdyby jakaś zła i przewrotna, całkowicie jej obca kobieta mówiła do niej rozkazującym tonem, któremu nie mogła się oprzeć. Gdy północ wybiła, zmusiła się, by się położyć. Ale w łóżku jej udręka stała się już nie do zniesienia. Drzemała tylko, przewracając się jakby na rozżarzonych węglach. Prześladowały ją widziadła wyolbrzymione jeszcze bezsennością. Wreszcie głowę zaprzątęła natrętną myśl, zakorzeniła się, ścisnęła za gardło, ovladnęła nią zupełnie; Helena daremnie starała się ją odepchnąć. Około drugiej w nocy wstała, odrętwiała i blada jak lunatyczka. Zapaliła lampę i napisała list zmieniając charakter pisma. Był to anonim sformułowany niejasno na trześci linijkach, liścik zapraszający doktora Deberle, by tegoż dnia, w tym a tym miejscu stawił się o tej a tej godzinie. Bez wyjaś-

nień, bez podpisu. Zakleiła kopertę i schowała do kieszeni sukni leżącej na fotelu, a gdy się położyła, zasnęła od razu, nie westchnąwszy nawet, zmorzona kamiennym snem.

SH1

Nazajutrz Rozalka mogła podać śniadanie dopiero o dziewiątej. Helena wstała późno, blada, udręczona sennymi widziadłami minionej nocy. Gdy włożyła rękę do kieszeni sukni, natrafiła na list. Wsunęła go głębiej i bez słowa usiadła przy stoliku. Także Joasia była osowiała, całkiem bez humoru i jakby niespokojna. Ociągając się wstała z łóżka i wcale nie miała tego rana ochoty do zabawy. Z ołowianego nieba blade i smutne światło wpadało do pokoju. Krople deszczu od czasu do czasu uderzały o szyby.

— Panienska ma dziś znowu swój zły dzień — mówiła Rozalka, której nikt nie odpowiadał. — Panienska nie może być nawet dwa dni z rzędu w dobrym humorze... Nie trzeba było wczoraj tak skakać!

— Może jesteś chora, Joasiu? — zapytała Helena.

— Nie, mam — powiedziała dziewczynka. — To przez tę szkaradną pogodę.

Helena nie odzywając się ani słowem skończyła pić kawę i siedziała zamyślona, zapatrzona w ogień. Powstała wreszcie uznając, że obowiązek nakazuje jej pomówić z Juliettą, by zaniechała popołudniowej schadzki. Jak miała tego dokonać, nie wiedziała, ale nagle stało się dla niej oczywiste, że krok taki jest niezbędny. Tylko tym miała zaprzątniętą głowę, myśl o tym narzucała się jej uparcie i natrętnie. Wybiła dziesiąta, zaczęła się ubierać. Joasia przyglądała się jej, a gdy ujrzała, że matka bierze kapelusz, skuliła swe drobne ramiona, jakby jej było zimno — cień cierpienia pojawił się na jej twarzy. Zawsze była bardzo zazdrosna, gdy matka wychodziła, nie chciała zostawać sama napierając się, by zabierała ją ze sobą.

—Rozalko — powiedziała Helena — nie marudź, sprzątnij szybko... Nie wychodź nigdzie. Wrócę za chwilę.

Pochyliła się, szybko pocałowała Joasię nie dostrzegając jej zmartwienia. Gdy tylko wyszła, dziewczynka, która jedynie przez dumę dotąd nie skarżyła się, rozszlochała się głośno.

— O! Jak to nieładnie, paniensko! — mówiła Rozalka pocieszając ją. — Boże mój, przecież nikt paniensce mamy nie ukradnie. Musi swoje pozalutować... Nie może się panienska stale trzymać maminej spódnicy.

Helena skręciła w ulicę Vineuse, idąc tuż pod ścianami domów, by jak najmniej zmoknąć. Otworzył jej Piotr, wydawał się bardzo zakłopotany.

— Czy zastałam panią doktorową?

— Tak, proszę pani, tylko że ja nie wiem... — A gdy Helena bez ceremonii chciała wejść do salonu, ośmielił się zatrzymać ją. — Może pani będzie łaskawa poczekać... Pójdę się dowiedzieć.

Starając się jak najmniej uchylać drzwi, wsunął się do pokoju i natychmiast dał się słyszeć gniewny głos Julietty:

— Po co ją Piotr wpuścił! Mówiłam przecież wyraźnie... Coś podobnego, żeby ani minuty nie mieć spokoju. Helena pchnęła drzwi, zdecydowana spełnić to, co uważała za swój obowiązek.

— Ach, to pani — powiedziała Julietta, gdy ją ujrzała — I nie zrozumiałam dobrze. Ale wciąż miała niezadowolony wyraz twarzy. Najwidoczniej gość był nie w porę.

— Czy przeszkadzam może? — spytała Helena.

— Nie, nie... Widzi pani, szykujemy niespodziankę. Mamy próbę Kaprysu<sup>x</sup>, chcemy go grać u mnie w którąś środę. Specjalnie umówiliśmy się na rano, żeby



nikt się nie dowiedział... Niech już pani zostanie. Tyl- |ko proszę nas nie zdradzić. — I nie zajmując się więcej Heleną klasnęła w ręce, mówiąc do pani Berthier, - która stała pośrodku salonu: — Do roboty, do roboty... Proszę powtórzyć: „Robić po kryjomu sakiewkę dla własnego męża to uchodziłoby w wielu oczach za więcej niż romantyczne...”; pani to mówi trochę za sucho.

Helena usiadła na uboczu, zdumiona zajęciem, przy jakim zastała panią Deberle. Stoły i krzesła odsunięto pod ściany, cały dywan pośrodku był wolny. Pani Berthier, szczupła blondynka, wypowiadała swą rolę wznosząc oczy ku sufitowi w poszukiwaniu słów, a tęga, piękna brunetka, pani de Guiraud, która miała grać rolę de Léry, siedząc na fotelu czekała na swój występ. Panie w sukniach przedpołudniowych nie zdjęły nawet kapeluszy ani rękawiczek, Julietta we wspaniałym peniuarze z białego kaszmiru, z włosami w nieładzie, trzymając w ręku tomik Musseta, stała przed nimi niby pewny siebie reżyser, pouczający aktorów, jak mają grać i jakim tonem recytować. Dzień był pochmurny, więc firanki z haftowanego tiulu poupinano po bokach okna, tak że widać było ciemny i mokry od deszczu ogród.

— Pani jest za mało wzruszona — zawyrokowała Julietta. — Więcej uczucia, każde słowo musi wyrażać, przemawiać: „A teraz, droga sakiewko, wystroimy cię.” Powtarzamy.

— Ja tego dobrze nie zagram — mówiła pani Berthier zniechęcona i zrezygnowana. — Dlaczego nie zagra pani sama tego zamiast mnie? Byłaby pani wspaniałą Matyldą.

— Ja? Ależ nie... Przede wszystkim musi być blondynka. Poza tym doskonale umiem uczyć, ale sama grać nie potrafię... Do roboty, do roboty!

Helena siedziała w swoim kącie. Pani Berthier, pochłonięta rolą, nawet się nie obejrzała, pani de Guiraud zaledwie skinęła jej głową i Helena czuła, że nie powinna była zostawać, że jest tu najzupełniej zbędna. To już nie myśl o obowiązku, jaki miała do spełnienia, zatrzymywała ją teraz, a raczej przenikające do głębi, dziwne uczucie onieśmienia, jakiego nieraz już doznawała właśnie tutaj. Czuła się dotknięta obojętnością, z jaką ją przyjęto. Julietta w swych przyjaźniach była bardzo kapryśna, uwielbiała kogoś przez trzy miesiące, rzucała mu się na szyję, zdawała się żyć tylko dla niego, aż pewnego dnia z niewiadomego powodu przestawała go prawie poznawać. Bez wątpienia tak jak we wszystkim dostosowywała się do świata, podporządkowywała się modzie, musiała wielbić tych, których wielbiono wokół niej. Te gwałtowne Zmiany uczuć głęboko urażały Helenę, jej szczerze i zrównoważone usposobienie pragnęło zawsze stałości. Często powracała od Deberle'ów bardzo smutna, pełna prawdziwej rozpaczyny nad nietrwałością ludzkich uczuć. A tego dnia przeżywana rozterka potęgowała jeszcze boleśniej jej rozżalenie.

— Opuścimy scenę z Chavignym — powiedziała Julietta. — Nie przyjdzie dzisiaj... Teraz wchodzi pani de Léry. Na panią kolej, pani de Guiraud... Pani mi odpowiada. — I sama przeczytała: „Niech pani sobie wyobrazi, pokazuję jej tę sakiewkę...”

Pani de Guiraud wstała. Zaczęła recytować nienaturalnym głosem, z miną pełną przejęcia:

— „O! Wcale ładne. Proszę na chwilę.”

Gdy Piotr otwierał jej drzwi, Helena wyobrażała sobie wszystko zupełnie inaczej. Była pewna, że Julietta bez przerwy myśli o schadzce, że zastanie ją bladą, zdenerwowaną, drżącą, pełną rozterki, lecz bezsilną. Widziała siebie, jak zaklina ją, by się opamiętała, aż wreszcie Julietta z płaczem rzuca się w jej ramiona. Wtedy płakałyby razem i Helena odeszłaby, z myślą, że Henryk stracony jest już dla niej na zawsze, ale że właśnie ona zapewniła mu szczęście. Nic z tego — trafiła na próbę przedstawienia, z którego nic nie rozumiała, zastała Juliettę wyspaną, wypoczętą, z głową dostatecznie spokojną, by móc rozważać grę pani Berthier, nie przejmując się wcale tym,

co miała zrobić po południu. Ta obojętność, ta lekkomyślność mroziły Helenę, która przybyła tu niesłuchanie wzburzona.

Nie chciała milczeć, wreszcie odważyła się zapytać:

— A kto ma grać tego Chavigny'ego?

— Malignon — odpowie. działa Julietta obracając się ze zdziwioną miną. — Całą zeszłą zimę grał Chavigny'ego... Nieznośny, nigdy nie przychodzi na próby... Wiecie panie co, przeczytam jego rolę. Bez tego; nigdy nie wybrniemy.

I sama zaczęła grać także, a w tej roli mężczyzny, przejęta odtwarzaną sceną, mimo woli mówiła grubym głosem, poruszała się jak mężczyzna. Pani Berthier szczebiotała, tęgawa pani de Guiraud starała się, jak mogła, być żywą i pełną werwy. Piotr przyszedł! dołożyć dREW do kominka i spod oka przyglądał się paniom, które wydawały mu się bardzo zabawne.

Helena, mimo że serce jej się Ścisnęło, wciąż jeszcze zdecydowana rozmówić się z Juliettą, usiłowała odciągnąć ją na bok.

— Chwileczkę tylko. Mam pani coś do powiedzenia.

— Wykluczone, moja droga... Widzi pani sama, że jestem zajęta... Jutro, jeżeli pani będzie miała czas.

Helena nic nie odpowiedziała. Obojętny ton młodej kobiety drażnił ją. Poczowała gniew na widok spokoju Julietty, podczas gdy ona sama przeżywała od wczoraj tak bolesną udrękę. Już miała odejść i pozostawić sprawę własnemu biegowi. Co za głupota chcieć ratować tę kobietę; cała jej nocna udręka rozpoczęła się na nowo.

Rozpaloną gorączką rękę wsunęła do kieszeni i ścisnęła list. Dlaczego miałyby się troszczyć o innych, skoro oni sami nie przejmowali się własnymi sprawami, a o nią nie dbali wcale?

— O, świetnie — zawołała nagle Julietta.

Pani Berthier miała głowę opartą na ramieniu pani de Guiraud i powtarzała płacząc:

— „Jestem pewna, że on ją kocha, jestem pewna.

— Będzie pani miała szalone powodzenie — mówili Julietta. — Niech pani zrobi tu małą pauzę, dobrze? „Jestem pewna, że on ją kocha, jestem pewna...” Proszę trzymać tak głowę przez chwilę. Cudownie... A teraz pani, pani de Guiraud.

— „Nie, dziecko, to niemożliwe, to kaprys, chwila zapomnienia...” — deklamowała pulchniutka pani de Guiraud.

— Znakomicie! Ależ długa scena, prawda? Może chwilę odpoczniemy... Musimy to dokładnie opracować.

Wszystkie trzy zaczęły teraz roztrząsać sprawę urzędzenia salonu. Grający będą wchodzili i wychodzili na lewo przez drzwi do jadalni, na prawo stanie fotel, kanapa w głębi, a stół odsunie się do kominka. Helena podniosła się również i szła za nimi, jak gdyby i ją obchodziły te projekty. Dała za wygraną i nie chciała już żadnych wyjaśnień, próbowała jeszcze tylko nie dopuścić do schadzki.

— Przyszłam się tylko zapytać — powiedziała — I czy to nie dzisiaj wybiera się pani do pani de Chermette.

— Tak, dziś po południu.

— W takim razie, jeśli pani pozwoli, wstąpię po panią, bo już dawno obiecałam pani de Chermette, że ją odwiedzę.

Julietta przez chwilę wydawała się zakłopotana. Ale opanowała się natychmiast:

—> Oczywiście, byłoby mi bardzo miło... Ale muszę przedtem wpaść do kilku sklepów, mam tyle do załatwienia, że nie wiem naprawdę, o której u niej będę.

— To nic nie szkodzi — odparła Helena. — Chętnie się z panią przejdę.

— Wie pani, będę szczerą... Niech pani nie nalega, widzi pani, to by mnie krępowało... Wybierzemy się w następny poniedziałek.

Powiedziała to tak prosto, tak beztrąsko, z tak spokojnym uśmiechem, że Helena, zmieszana, nie odezwała się już więcej. Musiała pomóc Julietcie, która chciała natychmiast przenieść stolik do kominka. Po-

tern cofnęła się, bo próba rozpoczęła się znowu. Pod koniec sceny pani de Guiraud w swej roli wypowiedziała z patosem:

— „Och, cóż to za przepaść serce mężczyzny! Nie, [na honor, myśmy więcej warte od nich.”

Cóż mogła zrobić jeszcze? Pytanie to wywoływało u Heleny zamęt myśli niejasnych i gwałtownych. Czuła nieodparte pragnienie zemsty nad Juliettą za jej niewzruszony spokój, jak gdyby ta beztraska była zniewagą dla jej własnego, gorączkowego podniecie\* nia. Marzyła o zgubie Julietty, by przekonać się, czy i wtedy zachowałaby ona obojętność i zimną krew. Czuła dla siebie politowanie za swe przeczulenie i skrupuły. Zamiast wahać się i przeżywać to wszystko tak głęboko, dawno już powinna była powiedzieć; Henrykowi: „Kocham cię, zabierz mnie, wyjedźmy razem”, ze spokojem tej kobiety, która na trzy godziny przed pierwszą swą schadzka bawi się w teatralne próby. Jeszcze w tej chwili drżała bardziej niż Julietta. Świadomość własnego podniecenia wśród beztraskiego spokoju tego salonu doprowadzała ją do pasji; bała się, że nagle wybuchnie potokiem gwałtownych słów. Czyżby była nikczemnym tchórzem?!

Drzwi otworzyły się i nieoczekiwanie usłyszała głos Henryka:

— Niech panie sobie nie przeszkadzają... Tylko przejdę.

Próba miała się ku końcowi. Julietta, która wciąż jeszcze czytała rolę Chavigny'ego, chwyciła właśnie rękę pani de Guiraud.

— „Ernestyno, ubóstwiam cię” — wołała w pełnym przekonania porywie.

— „Więc pan już nie kocha pani de Blainville?” — recytowała pani de Guiraud.

Julietta nie chciała czytać dalej w obecności męża. Mężczyźni nie muszą wiedzieć o wszystkim. Doktor był bardzo uprzejmy, pochwalił grę pań i przepowiadał wielkie powodzenie. Nie można mu było nic zarzucić, ogołony starannie, w czarnych rękawiczkach, wracał właśnie ze swych wizyt. Wchodząc przywitał Helenę tylko lekkim skinieniem głowy. Kiedyś widział w Komedii Francuskiej w roli pani de Lcry sławną aktorkę i teraz tłumaczył pani de Guiraud:

— Chwilę przedtem, zanim Chavigny upadnie pani do stóp, zbliża się pani do kominka i rzuca sakiewkę w ogień. Całkiem na zimno, rozumie pani? Bez gniewu, jak kobieta, która udaje miłość...

— ■ Dobrze, dobrze, zostaw nas — powiedziała Julietta. — My to wszystko wiemy.

A gdy zamknął wreszcie drzwi do swego gabinetu, powtórzyła tę scenę.

— ? „Ernestyno, ubóstwiam cię!”

Nim wyszedł z pokoju, Henryk uklonił się Helenie raz jeszcze. Nie odzywała się, w wyczekiwaniu jakiejś katastrofy. To niespodziewane pojawienie się męża wydało jej się złowieszcze. A gdy go już nie było, pomyślała, że jest niezmiernie śmieszny razem ze swoją uprzejmością i zaślepieniem. I on także zajmował się tą błazeńską komedyjką I Nawet mu oczy nie zabłysły, gdy zobaczył ją tutaj! Wszystko wokół runęło, zapadło się, nic już nie wiązało jej z tym domem, który wydawał się teraz wrogi i zimny. Nic jej już nie powstrzymywało, nienawidziła Henryka tak samó jak Julietty. W kieszeni trzymała list w zaciśniętych kurczowo palcach. W głowie miała szum i zamęt, meble zdawały się tańczyć wokół niej. Bąknęła: „Do widzenia”, i wyszła; w uszach dźwięczały jej stale słowa wypowiedziane przez panią de Guiraud: „Do widzenia, dziś będzie się pan na mnie dąsał, ale jutro zmieni się to w nieco przyjaźni, a wierz mi pan, to więcej warte niż kaprys.”

Gdy zamknęła drzwi za sobą, już na ulicy Helena wyciągnęła list gwałtownym, na wpół świadomym ruchem i wsunęła go do skrzynki. Przez kilka chwil stała oszołomiona, patrząc na wąską miedzianą płytkę, która opadła na swe miejsce.

— Stało się — powiedziała półgłosem.

— Widziała dwa pokoje obite różowym kretonem, fotele, olbrzymie łóżko, widziała tam Malignona i Juliette, parę kochanków; nagle otwierają się drzwi i wchodzi mąż. Potem obraz rozplywa się, była zupełnie spokojna. Odruchowo obejrzała się, czy ktoś nie zauważył, jak wrzucała list. Ulica była pusta, Obeszła róg domu i wróciła na górę.

— Byłaś grzeczna, kochanie? — pytała całując Joasię.

Dziewczynka siedziała ciągle na tym samym fotelu, uniosła nadąsaną twarz. Bez słowa zarzuciła matce rękę na szyję i pocałowała ją wzdychając głęboko. Była bardzo zmartwiona.

Przy śniadaniu Rozalka nie mogła się nadziwić:

— Pani pewnie gdzieś daleko chodziła?

— Dlaczego? — spytała Helena.

— Bo je pani z takim apetytem... Już dawno pani tyle nie zjadła...

Była to prawda. Helena była bardzo głodna, gwałtowne odprężenie zaostrzyło apetyt. Miała w sobie niewypowiedziany spokój i zadowolenie. Po gwałtownych wstrząsach ostatnich dwóch dni wszystko w niej ucichło, czuła się rześka jak po wyjściu z kąpieli. Coś jej jednak ciążyło, coś uwierało, przytłaczało ją jakieś nieokreślone brzemie.

Gdy weszła do sypialni, od razu skierowała oczy na zegar, który wskazywał dwadzieścia pięć po dwunastej. Schadzka Julietty była wyznaczona na trzecią po południu. Jeszcze dwie i pół godziny. Obliczyła to machinalnie. Nie spieszyła się, nie niecierpliwiła wcale, wskazówki zegara posuwały się i teraz już nikt na świecie nie mógł wstrzymać biegu wydarzeń — niech się więc dopełnią. Dawno już zaczęty dziecienny czepeczek leżał na stoliku. Wzięła go do ręki i zaczęła szyc przy oknie. Pokój pograżył się w ciszy. Joasia białła na swym zwykłym miejscu, ale opuściła bezwładnie zmęczone ręce.

— Mamo — powiedziała — nie mogę pracować\*. Ćnudziła mi się ta robota.

Więc nie rób nic, kochanie... Masz, będziesz mi nawlekać igły.

Dziewczynka w milczeniu, powoli, zajęła się nawlekaniem igieł. Starannie obcinała końce równiutkich nitki, długo szukała uszka w igle i zaledwie nadązała z nawlekaniem, matka od razu brała przygotowane przez nią nitki.

— Widzisz — mówiła Helena — tak idzie prędej... Do wieczora skończę wszystkie sześć czepeczków.

Odróciła się, by popatrzeć na zegar. Dziesięć po pierwszej. Jeszcze prawie dwie godziny. Teraz Julietta pewnie zaczyna się ubierać. Henryk otrzymał już list. Na pewno pójdzie I Trafii od razu, adres był dokładny. Ale wszystko to wydawało się jej jeszcze bardzo odległe i była wciąż chłodna, opanowana. Szła równym ściegiem, wprawnie jak szwaczka. Minuty mijały jedna za drugą. Zegar wybił drugą.

Dźwięk dzwonka zaskoczył ją.

— Kto to może być, mateczko? — zapytała Joasia, która zadrżała na swym krzeselku. A gdy wszedł pan Rambaud, zawołała: — Ach, to tyL. Dlaczego dzwonisz tak mocno? Przestraszyłeś mnie.

Zacny człowiek stropił się. Istotnie może miał nieco przyciężką rękę.

— Nie jestem dzisiaj miła, źle się czuję — mówiła dziewczynka. — Nie wolno mnie straszyć.

Pan Rambaud zaniepokoił się. Cóż dolega kochanemu maleństwu? I nie usiadł, nim Helena nie dała mu gestem do zrozumienia, że dziecko ma dzisiaj swój zły dzień, jak mówiła Rozalka. Pan Rambaud prawie nigdy nie przychodził w ciągu dnia. Toteż zaraz zaczął wyjaśniać cel swej wizyty. Chodziło o starego robotnika, jego ziomka z Południa, który z powodu podeszłego wieku nie mógł już znaleźć pracy i w maleńkiej komórce mieszkał ze sparaliżowaną żoną. Trudno sobie nawet wyobrazić podobną nędzę. Pan Rambaud przekonał się o tym, gdy był tego ranka u nich. Mieszkali w norze na poddaszu z maleńkim okienkiem, przez którego wybite szyby lała się podczas

deszczu woda. W izbie na sienniku leżała kobieta owinięta w starą portierę, - a otępiały mężczyzna, który nie mógł się zdobyć nawet na wymięcenie śmieci, siedział na ziemi.

— Ach, biedacy, biedacy! — powtarzała Helena [wzruszona do łez.

| Nie o starego robotnika martwił się pan Rambaud. Wziąłby go do siebie i znalazłby mu jakieś zajęcie. Ale co zrobić ze sparaliżowaną kobietą? Jest bezwładna jak kłoda i mąż ani na chwilę nie może zostawić jej samej. Gdzie ją umieścić?

— Pomyślałem sobie o pani — ciągnął pan Rambaud. —< Trzeba, żeby pani ją niezwłocznie umieściła ; w przytułku... Zwróciłbym się sam do doktora Deberle, ale przyszło mi do głowy, że pani zna go lepiej i prędzej to załatwi... Gdyby zechciał się tym zająć, już jutro mogłoby być po kłopotcie.

Joasia słuchała błada i cała drżąca z przejęcia. Złożyła ręce i szepnęła:

— Mamo, bądź tak dobra, umieść tę biedną kobietę w przytułku...

— Ależ oczywiście! — powiedziała Helena, coraz bardziej przejęta. — Pomówię z doktorem, gdy tylko będę mogła. Sam na pewno zrobi, co będzie w jego mocy... Niech mi pan poda ich adres i nazwisko. Pan Rambaud skreślił parę słów na kartce na stoliku i powstał.

— Jest pięć po wpół do trzeciej — powiedział. — Może zastanie pani teraz doktora w domu.

Podniosła się także, popatrzyła na zegar i zadrżała całym ciałem. Rzeczywiście było pięć po wpół do trzeciej i wskazówki zegara posuwały się wciąż naprzód. Zaczęła się jąkać, mówiła, że doktor pewnie wyszedł na miasto do chorych. Nie spuszczała oczu z zegara. Tymczasem pan Rambaud, już stojąc z kapeluszem w rękę, zaczął całą historię opowiadać od początku. Ci biedni ludzie wyprzedali się ze wszystkiego, sprzedali nawet swój piecyk, od jesieni nie palili ani razu. Pod koniec grudnia cztery dni zupełnie nie mieli co jeść. Helena westchnęła boleśnie. Wskazówki zegara przesunęły się, była już za dwadzieścia trzecia. Pan Rambaud jeszcze dwie minuty gotował się do wyjścia.

— Liczę więc na panią — powiedział. Pochylając się, by pocałować Joasię, dodał: — Do widzenia, kochanie.

— Do widzenia... Bądź spokojny, mama nie zapomni, będę jej przypominała.

Gdy Helena wróciła z przedpokojem, dokąd odprowadziła pana Rambaud, zegar wskazywał za kwadrans trzecią. Za piętnaście minut będzie po wszystkim. Stojąc nieruchomo przy kominku, żywo wyobraziła sobie scenę, jaka miała się tam rozegrać: Henryk wchodził i zastawał Juliettę. Znała przecież ten pokój, wyobrażała sobie wszystkie najdrobniejsze szczegóły z przerażającą dokładnością. Poruszona jeszcze żalną historią opowiedzianą przez pana Rambaud, zadrżała gwałtownie od stóp do głowy. Coś w niej zaczęło krzyczeć nagle. Postąpiła nikczemnie wysyłając ten list, ten anonim, to była podłość. Objawiło jej się to nagle jak w oślepiającym blasku. I to ona popełniła podobną nikczemność! Przypomniała sobie, jak wrzuciła do skrzynki list, z otępieniem człowieka, który patrzy na zły czyn innego i nie usiłuje temu zapobiec. Zbudziła się nagle jak ze snu. Co to się stało? Czemu stała tutaj śledząc bez przerwy wskazówki na tarczy zegara?

Znowu upłynęły dwie minuty.

— Mamo — powiedziała Joasia — jeżeli cłicesz, to możemy,, pójść razem dziś wieczorem do doktora... Przejdę się trochę. Tak mi dziś duszno.

Helena nie słyszała. Jeszcze trzynaście minut. Nie mogła przecież dopuścić, by spełniła się taka okropność. W oszałamiającym przebudzeniu świadomości była w niej już tylko jedna szalona chęć przeszkodzenia temu. Musiała tego dokonać, nie mogłaby żyć, gdyby to się stało. I jak szalona wybiegła z pokoju.

—|— Więc zabierzesz mnie z sobą! — zawołała Joasia [uradowana, — Zaraz pójdziemy do doktora razem, prawda, mateczko kochana?

|— Nie, nie — odpowiedziała Helena i schyliła się szukając bucików pod łóżkiem.

Nie mogła ich znaleźć, z całkowitą beztroską machnęła ręką decydując się wyjść w rannych pantofelkach, które miała na nogach. Teraz zaczęła przewracać w szafie szukając szala. Joasia podeszła do niej z przywilną miną.

— To nie idziesz do doktora, mateczko kochana?

— Nie.

— Ale zabierzesz mnie z sobą i tak... Och, zabierz innie z sobą, zrobisz mi taką przyjemność!

Helena znalazła wreszcie szal i zarzuciła go na ramiona. Boże mój! Już tylko dwanaście minut, tyle tylko, by dobiec. Pójdzie tam, trzeba coś zrobić, wszystko jedno co. Namyśli się po drodze.

— Mateczko kochana, zabierz mnie z sobą ~ powtarzała Joasia cicho i coraz bardziej pieszczotliwie.

— Nie mogę ciebie zabrać — powiedziała Helena. — Idę tam, gdzie dzieci nie chodzą... Podaj mi kapelusz.

Joasia pobladła, oczy jej pociemniały. Zapytała twardym głosem:

— Gdzie idziesz?

Matka nic nie odpowiedziała zajęta zawiązywaniem wstążek kapelusza. Dziewczynka mówiła dalej:

—• Teraz stale wychodzisz beze mnie... Wczoraj wychodziłaś, dzisiaj wychodziłaś i teraz znowu idziesz.

Nie mogę już wytrzymać, boję się tutaj sama... Och! Umrę, jak mnie zostawisz. Słyszysz, mateczko, jumrę...

Szlochając w napadzie złości i cierpienia uczepliła się sukni matki.

— Daj spokój, puść mnie, bądź rozsądna, zaraz wrócę — powtarzała Helena.

— Nie, nie chcę... nie, nie chcę... — jęczała dziewczynka. — Ty mnie już nie kochasz, bobyś mnie zabrała z sobą... Och! Czuję dobrze, że innych kochasz

więcej niż mnie... Zabierz mnie, bo inaczej położę się na podłozę, zastaniesz mnie na podłozę...

Otoczyła rękami nogi matki, płakała w fałdy sukni czepiając się ich z całych sił, by jej nie puścić. Wskazówki zegara posuwały się naprzód, była za dziesięć trzecia. Helena pomyślała, że już nie zdąży na czas, i tracąc głowę gwałtownie odepchnęła Joasię.

— Co za nieznośne dziecko! — krzyknęła. — Co za okropna niewola!... Jak będziesz płakać, będziesz miała ze mną do czynienia!

Wyszła trzasnąwszy drzwiami. Joasia słaniając się cofnęła się do okna. Zdrętwiała, blada, przestała płakać od razu, dotknięta brutalnością matki. Jeszcze dwa razy zawołała: „Mamo! Mamo!”, wyciągając ręce ku drzwiom. Upadła na krzesło i pozostała tak z rozszerzonymi oczyma, z twarzą wykrzywioną zazdrością: matka ją oszukiwała.

Na ulicy Helena przyspieszyła kroku. Deszcz ustał, jedynie duże krople spływające z dachów ściekały jej na ramiona. Zamierzała namyśleć się, po drodze ułożyć jakiś plan. Ale teraz chciała już tylko zdążyć. Gdy weszła w Zaułek, zawahała się chwilę. Schody zamieniły się w prawdziwy potok. Woda z przepelnionych rynsztoków ulicy Raynouard wlewała się tu z szumem. Między murami spływały po stopniach bryzgi piany, połyskiwały kamienie wymyte prądem wody. Poprzez czarne gałęzie drzew z pochmurnego nieba wpadało tam nikle światło. Uniosła nieco spódnicę i zaczęła schodzić. Woda sięgała jej do kostek, omal nie pogubiła pantofelków w kałużach. Przez cały czas, gdy schodziła, słyszała koło siebie głośny szmer podobny do szumu strumyków płynących wśród trawy w głębi lasu.

Nagle znalazła się na schodach domu, pod drzwiami. Zatrzymała się tu, zmordowana, bez tchu. Przypomniała sobie, że lepiej zapukać do kuchni:

— Jak to, to pani! — zdziwiła się stara Fétu.

Nie mówiła już płaczącym głosem. Małe oczka (Świeciły, a pośród niezliczonych zmarszczek prze-

■ mknął chytry uśmiech. Już nie krępowała się wcale i słuchając urywanych wyjaśnień poklepywała Helenę po rękach. Helena dała jej dwadzieścia franków,,: — Bóg to pani wynagrodzi — powiedziała stara ■ Fćtu z przyzwyczajenia. — Niech pani robi, co się pani podoba, kochana.

Malignon rozparty w fotelu, z nogami wyciągniętymi do ognia płonącego na kominku, czekał spokojnie. Dla nastroju pozaciągał zasłony na oknach i pozapalał świece. Mały wiszący świecznik i dwa kandelabry oświetlały pierwszy pokój, w którym się znajdował. Natomiast w sypialni było prawie ciemno, wisząca kryształowa lampka zaledwie rozjaśniała mrok. Malignon wyciągnął zegarek.

— Co u diabła! — mruknął. — Czyżby dzisiaj znów; wystrychnęła mnie na dudka?

I ziewnął z lekka. Czekał już od godziny, przestawało go to bawić. Wstał i rzucił okiem na pokój. Nie podobało mu się ustawienie foteli, jedną z kanapek przesunął do kominka, świece rzucały czerwonawe odbłaski na kretonowe obicia, w pokoju było ciepło, cicho, duszno, za oknami słychać było gwałtowny szum wichury. Raz jeszcze zajrzał do sypialni, uśmiechnął się z zadowoleniem, podobała mu się, uznał ją za całkiem „wytworną”, usłaną jak gniazdko, z łóżkiem ginącym w przytulnym cieniu. W chwili gdy poprawiał falbanki koronek przy poduszkach, rozległy się trzy głośnie stuknięcia. Był to umówiony znak.

— Nareszcie — powiedział na głos z triumfującą miną.

Pobiegł otworzyć drzwi. Weszła Julietta, zasłonięta woalką, otulona futrem. Gdy Malignon cicho zamykał drzwi, stała nieruchomo, tak że nie można było zauważyć wzruszenia, które tamowało jej słowa. Nim jednak młody człowiek zdążył się z nią przywitać, pod

niosła woalkę ukazując twarz uśmiechniętą i spokojną, choć nieco bladą.

— Patrzcie! Zapalił pan świece! — wykrzyknęła. — Myślałam, że nie znosi pan w biały dzień zapalonych świec.

Malignon, który z góry ułożył sobie, że powita ją namiętnym uściskiem, stropił się i tłumaczył, że dzień jest bardzo pochmurny, a widok z okien nieciekawy. Zresztą on uwielbia noc.

— Z panem to nigdy nic nie wiadomo — mówiła kpiąco. — Zeszłej wiosny na moim balu dzieciennym zrobił mi pan całą awanturę, że jest się jak w piwnicy, że wchodzi się jak do grobu... Zresztą przyjmijmy, że zmienił pan upodobania.

Zachowywała się jak na wizycie, nadrabiała miną i mówiła trochę grubszym niż zwykle głosem. Była to jedyna oznaka zdenerwowania. Chwilami podbródek jej drżał lekko, jakby ją coś uwierało w gardle, ale oczy błyszczały żywo, bawiła ją ogromnie, sytuacja, w jakiej się znalazła. Odmieniało ją to całkowicie, przypominało panią de Chermette, która miała kochanka. Boże mój! Jakie to jednak mimo wszystko zabawne.

— Zobaczmy, jak się pan tu urządził — powiedziała.

Obeszła pokój dookoła. Szedł za nią myśląc, że powinien był ją pocałować przy powitaniu, teraz było już niezręcznie, musiał czekać. Tymczasem oglądała meble, przyglądała się ścianom, podnosiła głowę, cofała się, mówiąc bez przerwy.

Nie zachwycam się pana kretonikami. Takie pospolite! Gdzie pan wyszukał taki okropny różowy kolor?... To krzeselko jeszcze by uszło, gdyby nie było na nim tyle złoceń... Ani jednego obrazu, żadnych bibelotów, nic — tylko ten świecznik i kandelabry, którym zresztą brak jakiegokolwiek stylu... Może pan sobie kpić z mojego japońskiego pawilonu!

Śmiała się mszcząc się teraz za jego dawne drwiny, których mu dotąd nie darowała.

— Ma pan wspaniały gust, przypuśćmy!... Ale wie pan, że mój jeden magot jest więcej wart niż to całe urządzenie tutaj!... Zaden fryzjer nie wybrałby tych różowości. Marzył pan zapewne, by oczarować swoją praczkę.

Malignon, urażony, nic nie odpowiadał. Starał się wprowadzić ją do sypialni. Zatrzymała się na progu mówiąc, że nie chodzi do miejsc, gdzie jest tak ciem-, no. Zresztą i tak widziała już dosyć, sypialnia warta jest salonu. Wszystko to godne Przedmieścia Sw. Antoniego. Ubawiła ją zwłaszcza wisząca lampka. Nie miała litości, wracała bez przerwy do tej nocnej; lampki z jarmarku, marzenia biednych szwaczek, których nie stać na własne meble. Na bazarach za piętnaście su pełno takich lampek.

— Zapłaciłem za nią dziewięćdziesiąt franków! — wykrzyknął wreszcie zniecierpliwiony Malignon.

Wydawała się uszczęśliwiona, że doprowadziła go do złości. Opanował się i zapytał podstępnie:

— Nawet pani nie zdejmie płaszczka?

— Owszem — odpowiedziała. — Strasznie tu u pana gorąco!

Zdjęła także kapelusz, który zaniósł wraz z futrem na łóżko. Gdy wrócił, siedziała przy ogniu rozglądając się jeszcze po pokoju. Była już znów poważna, chciała okazać, że nie ma zamiaru się sprzeczać.

— Bardzo tu brzydko, ale panu może być całkiem wygodnie. Te dwa pokoje mogłyby być zupełnie ładne.

— Och, do tego, do czego są mi potrzebne! — wy' rwało mu się i lekceważąco machnęła ręką.

Pożałował natychmiast tych głupich słów. Trudno było być bardziej niezręcznym i bardziej grubiańskim. Spuściła głowę, uczucie bolesnego zmieszania ścisnęło jej gardło. Jego słowa przypomniały jej, po co tu przyszła. Chciał wykorzystać przynajmniej zakłopo\* tanie, w jakie ją wprowadził.

— Julietto — powiedział cicho pochylając się niej.

Odsunęła go od siebie i kazała usiąść. Już od trzeci lat żyli na poufalej stopie, wśród ustawicznych sprzeczek. W Trouville nad morzem Malignon, znudzony oglądaniem oceanu, postanowił się zakochać. Któregoś wieczoru wziął ją za rękę. Zrazu ubawiona tym, nie obruszyła się. Lekkomysłna, pusta główka, pozbawiona zmartwień i kłopotów, wyobraziła sobie, że go kocha. Aż dotąd robiła wszystko to samo, co robiły jej przyjaciółki, brakowało jej tylko miłości. Ciekawość i pragnienie, by być jak inne, skłaniały ją ku temu. Z początku zdobyły ją zapewne, gdyby okazał się bardziej agresywny. Był jednak na tyle zarozumiały i próżny, że nie chciał, by uległa mu pod wpływem impulsu, i pozwolił jej przyzwyczaić się do odgrywania roli kokietki. Toteż gdy pewnej nocy patrzyli razem na morze, jak kochankowie z wodewilu, przy pierwszej jego natarczywości odpędziła go, zdziwiona i rozgniewana, że psuje romantyczny nastrój, który ją tak bawił. Przyrzekł sobie, że w Paryżu będzie zręczniejszy. Pod koniec zimy, gdy wszystkie obiady, przyjęcia, bale, tak dobrze już jej znane, zaczynały nużyć swą jednostajnością, gdy zaczęła się nieco nudzić, zbliżył się do niej znowu. Zachwycił ją pomysł takiej tajemniczej schadzki w mieszkaniu specjalnie urządzonym w tym celu, ukrytym w zapadłej dzielnicy o nieco podejrzanym charakterze, z czego zdawała sobie sprawę. Wydawało jej się to niezwykle i chciała wszystko dokładnie obejrzeć. W głębi duszy była tak spokojna, że teraz u Malignona nie okazywała ani trochę więcej zmieszania niż u malarzy, do których zachodziła po obrazy na fanty loterii dobroczynnej.

— Julietto, Julietto — powtarzał usiłując nadać swemu głosowi pieśczośliwe brzmienie.

— No, no, niech pan będzie rozsądny — odpowiedziała krótko. Wzięła do rąk sprzed kominka chiński ekran i mówiła dalej tak swobodnie, jakby znajdowała się we własnym salonie: — Wie pan, mieliśmy dzisiaj próbę. Boję się, że wybór pani Berthier nie



był szczęśliwym pomysłem. Gra Matyldę jakoś płaczkliwie, nieznośnie... To takie ładne słowa, gdy mówi do swej sakiewki: „Biedna mała, całowałam cię przed chwilą!...”, a ona deklamuje to jak pensjonarka recytująca powinszowanie imieninowe... Jestem bardzo zaniepokojona.

— A pani de Guiraud? — zapytał przysuwając krzesło i biorąc ją za rękę.

— Och! Ta jest świetna!... Odkryłam znakomitą panią de Lery. Gra ją z zacięciem, z werwą.

Pozostawiła mu swoją rękę, którą całował w czasie rozmowy, czego zdawała się wcale nie spostrzegać, —

— Ale najgorsze, widzi pan — mówiła — że pan nie przyszedł. Przede wszystkim poduczyłby pan panią Berthier, a poza tym niepodobna, ażebyśmy się zgrali, jeśli pana nigdy nie będzie.

Tymczasem udało mu się objąć ją wpół.<sup>1</sup> — Skoro już znam swoją rolę... — wyszeptał.

— Doskonale, ale trzeba jeszcze sztukę wyreżyserować, wszystko uzgodnić... To nieładnie, że nie chce pan poświęcić nam paru przedpołudni.

Obsypał jej szyję gradem pocałunków nie pozwalając mówić dalej. Teraz, w jego objęciach, musiała wreszcie jakoś zareagować. Odepchnęła go machając chińskim ekranem, który wciąż trzymała w ręku. Bez wątplenia postanowiła sobie, że nie pozwoli mu posunąć się dalej. Jej blada twarz zarumieniła się od ognia płonącego na kominku, wargi zacisnęły się nadając twarzy wyraz zaciekawienia i zaskoczenia. Zaprawdę, to tylko tyle? Trzeba by przeżyć wszystko do końca — a tego się bała.

— Proszę mnie zostawić — wyjąkała uśmiechając się z przymusem — bo się znowu pogniewam.

Zdawało mu się jednak, że jest wzruszona. Rozważał całkiem chłodno: „Jeżeli pozwolę jej wyjść stąd tak, jak przysła, będzie dla mnie stracona.” Słowa były już zbędne, schwycił ją za rękę i chciał znowu objąć. Przez chwilę zdawało się, że ulega. Musiałaby tylko zamknąć oczy, wiedziała o tym. Zaczęła tego pragnąć, zastanawiała się nad tym najzupełniej trzeźwo. Wydało jej się jednak, że ktoś krzyknął: „Nie”. To ona sama krzyknęła, zanim jeszcze zdobyła się na odpowiedź.

— Nie, nie — powtarzała. — Proszę mnie puścić, sprawia mi pan przykrość... Nie chcę, nie chcę.

Nie odzywając się wcale ciągnął ją do sypialni; wyrwała mu się gwałtownie. Ulegała dziwnym odruchom, niezgodnym z jej własnymi pragnieniami, była zła na siebie i na niego. Oszołomiona, mówiła urywanymi słowami. Naturalnie, bardzo ładnie się odpłacił za jej zaufanie. Czegóż się spodziewał okazując się tak brutalnym? Nazwała go nawet podłym. Nigdy w życiu już jej nie zobaczy. Pozwalał jej mówić, by się sama ogłuszyła, gonił ją śmiejąc się tępo i ze złością. Zasłoniła się fotelem i zaczęła się jękać. Nagle ustąpiła, zrozumiała, że już należy do niego, choć jeszcze nie wyciągnął rąk po nią. Była to jedna z najbardziej przykrych chwil w jej życiu.

Stali tak naprzeciw siebie, ze zmienionymi twarzami, zażenowani i wzburzeni, gdy nagle rozległ się hałas. Z początku nie zrozumieli, co to. Ktoś otworzył drzwi, wbiegł do pokoju i zawołał do nich:

— Uciekajcie, uciekajcie... Zaraz tu będzie.

Poznali panią Grandjean. W osłupieniu patrzyli na

nią oboje. Zdumienie ich było tak wielkie, że zapomnieli o swej kłopotliwej sytuacji. Julietta nawet się nie zmieszała.

— Uciekajcie — powtarzała Helena. — Pani mąż przyjdzie tu za dwie minuty.

— Mój mąż — zdziwiła się Julietta — mój mąż... Po co? Dlaczego? Skąd?

Nic nie rozumiała. Wszystko mieszało się jej w głowie. Nie umiała sobie w żaden sposób wytłumaczyć, skąd się tu wzięła Helena ostrzegająca ją przed mężem. Ale Helena zniecierpliwiła się wreszcie:

— Teraz nie pora na tłumaczenie... Zaraz tu przyjdzie. Ostrzegam panią. Uciekajcie, uciekajcie oboje.

Julietę ogarnęło niezwykle podniecenie. Wzburzo-

na zaczęła biegać po pokoju, mówiła szybko, bez ładu i składu:

— Mój Boże, mój Boże!... Jakże mam pani dziękować. Gdzie moje palto? Co za idiotyzm taki ciemny pokój! Niech mi pan da moje palto, niech pan poda świecę, sama sobie znajdę! Niech mi pani daruje, że nie dziękuję pani, moja droga... Gdzie tu są rękawy, sama już nie wiem, co robię...

Strach obezwładnił ją. Helena musiała jej pomóc włożyć palto. Kapelusz włożyła krzywo, nie zawiązała nawet wstążek. Co gorsza, upłynęła dobra chwila, nim znaleziono woalkę, która spadła pod łóżko... Julietta mówiła bez związku, przerażona, drżącymi rękoma szukała dookoła, czy nie zostawiła czegoś, co by ją mogło skompromitować.

— Co za pech! Co za pech!... Już mi chyba ta nauczka starczy do śmierci.

Malignon, bardzo blady, miał głupią minę. Przestę- pował z nogi na nogę czując się ośmieszony i znienawidzony. Stanowczo mu się nie wiodło i był to jedyny niewątpliwy wniosek, jaki potrafił wyciągnąć z tej całej historii. Zdobył się tylko na jedno żalosne py- tanie:

— Więc pani sądzi, że ja także powinienem odejść?

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, wziął swoją laskę i mówił bez przerwy, by okazać zimną krew. Nie ma się co śpieszyć. Są przecież drugie, kuchenne schody, prawie nie używane, którymi jednak można zejść. Dorożka pani Deberle czeka przed domem, pojedą oboje wzdłuż nadbrzeży.

— Niechże się pani nie denerwuje... Wszystko się ułoży... — powtarzał. — Proszę, to tędy.

Otworzył drzwi, przez które widać było trzy małe pokoiki w amfiladzie, brudne i zaśmiecone, pełne gru- zu. Powiało stamtąd zatechłym, wilgotnym powietrzem. Julietta, nim weszła do tych ruder, raz jeszcze obruszyła się mówiąc głośno:

— Jak ja mogłam tu przyjść! Jakie to obrzydliwe!... Nigdy sobie tego nie daruję.

246

— Niech się pani pośpieszy — powiedziała Helena, równie zaniepokojona jak Julietta.

Popychała ją do drzwi. Julietta rzuciła się jej z płaczem na szyję. Była to reakcja nerwowa. Ogarnął ją wstyd, chciała się usprawiedliwić, wytłumaczyć, dlaczego znalazła się tutaj. Wreszcie odruchowo uniosła spódnicę, jak gdyby miała przejść przez rynsztok. Malignon poszedł pierwszy, końcem buta odrzucając gruzy rozsypane na kuchennych schodach. Drzwi zamknęły się za nimi.

Helena stała pośrodku saloniku. Nasłuchiwała. Cisza, głęboka cisza przerywana tylko trzaskaniem płonących na kominku polan zapanowała dookoła. Powietrze było ciepłe i stęchłe. Nic nie słyszała, w uszach jej dzwoniło. Po chwili, która wydała jej się nieskończenie długa, dobiegł ją głośny turkot dorożki. To odjeżdżała Julietta. Helena odetchnęła i uniosła ręce, jakby dziękując Opatrzności. Była szczęśliwa i wdzięczna. Nie będzie miała aż do śmierci wyrzutów sumienia, że postąpiła nikczemnie. Po ogromnym napięciu, jakie przeżyła, odczuła teraz ulgę, ale była tak wzruszona i słaba, że brakowało jej sił, aby z kolei samej się oddalić. Przyszło jej zresztą na myśl, że przecież zaraz przyjdzie Henryk i powinien kogoś tu zastać. Otworzyła natychmiast, gdy usłyszała pukanie.

Dla Henryka było to przede wszystkim wielkim zaskoczeniem. Przejęty otrzymanym anonimem, wszedł blady z niepokoju, a gdy ujrzał Helenę, nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

-r- Heleno!... Boże mój! To pani!

W okrzyku tym było znacznie więcej zdumienia niż radości. Nie spodziewał się wcale schadzki naznaczo- nej tak zuchwale. Ale niespodzianka ofiarowana mu w tak tajemniczych okolicznościach obudziła w nim wreszcie męzczyznę.

— Pani mnie kocha, pani mnie kocha — powtarzał. — I to pani tu przyszła... a ja wcale nie zrozumiałem! Wyciągnął ramiona, chciał ją objąć. Helena, która

■  
Egn Hffi

powitała go uśmiechem, teraz cofnęła się, pobladła. Pragnęła się z nim widzieć, to prawda, umyśliła sobie, że porozmawiają przez chwilę, że znajdzie jakieś wytłumaczenie. I teraz dopiero nagle zrozumiała: Henryk sądził, że ściągnęła go na schadzkę. Nie chciała za nic, by tak myślał. Oburzyła się.

— Henryku, błagam... Niech mnie pan zostawi... , Ale on chwycił jej ręce i powoli przyciągnął, jakby chcąc natychmiast pokonać ją pocałunkiem. [Miłość wzbierająca w nim przez całe miesiące, potem miona nieco zerwaniem ich zażyłych stosunków, wybuchła teraz ,tym silniej, że już zaczynał zanon^inań?. o Helenie. Krew napłynęła mu do twarzy i Helena przeraziła się, gdy zobaczyła teraz, jak cały płonie. Zaczęła się bronić. Już dwa razy patrzył na nią w ten sposób.

— Niech mnie \$an zostawi, boję się pana... Przysięgam panu, że pan się myli.  
Znowu się zdziwił.

— Czyż to nie pani pisała do mnie? — zapytał. Zawahała się chwilę. Co powiedzieć, jaką dać odpowiedź?

— Tak — szepnęła wreszcie.

Nie mogła przecież zdradzić Julietty, skoro ją już uratowała. Przed nią była jakby przepaść, do której sama się spychała. Henryk teraz oglądał ciekawie oba pokoje dziwiąc się szczególnie oświetleniu i przybraniu kotarami. Odważył się wreszcie zapytać:

— To pani mieszkanie? Nic nie odpowiedziała.

— Ten list bardzo mną wstrząsnął... Heleno, pani coś przede mną ukrywa. Na litość boską, niech mi pani powie prawdę.

Nie słuchała, myślała o tym, że ma rację przypuszczając, iż wyznaczyła mu spotkanie. Co tu mogła ro\* bić innego, po co czekała na niego? Nie umiała wymyślić żadnego tłumaczenia. Nie była nawet pewna, czy rzeczywiście nie wyznaczyła mu schadzki. Czula Bię jak w pułapce, w której musi zginąć.

Wypytywał ją coraz natarczywiej. Twarz swoją przysunął tuż do jej twarzy, nalegał coraz bardziej, by wydobyć z niej prawdę.

— Pani na mnie czekała? Prawda? Pani na mnie czekała?

Poddawała się wreszcie, powolna, ulegając uczuciu rozkosznego bezwładu, godząc się na to, czego on chciał, powtarzając posłusznie za nim to, co on mówił.

— Czekałam na pana, Henryku...

Twarze ich zbliżyły się jeszcze bardziej.

— A po cóż ten list?... Zastaję tutaj panią!... Gdzież my wreszcie jesteśmy?...

— Niech się pan nie dopytuje, niech pan nigdy nie próbuje się dowiedzieć... Proszę mi dać słowo... Jestem tu wraz z panem, widzi pan przecież. Czego pan chce więcej?

— Kocha mnie pani?

— Tak, kocham.

— Jesteś moją, Heleno, tylko moją?

— Tak, tylko twoją.

Mówili do siebie twarz przy twarzy, pocałowali Zapomniała o wszystkim, poddawała się czemuś, ca było silniejsze niż jej wola. Teraz wydawało się jej to oczywiste i nieuchronne. Stała się bardzo spokojna\* myślała tylko o swej młodości i przeżyciach tamtych lat. W podobny dzień zimowy na ulicy des Petites-\* -Maries, jako młoda dziewczyna, omal nie zacządziała na śmierć w zamkniętej komorze przy wielkim ogniu z drzewnych węgli do prasowania. Kiedy indziej, latem, zabłąkana w ciemnej uliczce zięba wpadła przez otwarte okno i obleciała jej pokój dookoła. Dlaczego myśli o swej śmierci, dlaczego przypomina jej się ten objający się o ściany ptak?

W tym rozkosznym obezwładnieniu całej swej isto- ty czuła się bardzo smutna i bezbronna jak dziecko.

— Jesteś cała mokra — powiedział cicho Hen-, ryk. — Przyszłaś tutaj pioszo?

\_ |Sciszał głos mówiąc jej „ty”, szeptał jej do ucha, I jak gdyby bał się, by go ktoś nie usłyszał. Teraz, gdy mu się już ofiarowywała, jego pożądanie jakby się ulękło, pieścił ją pelen ognia, a zarazem onieśmielenia, nie mógł się odważyć, zwlekał. Szczerze zatroszczył się o jej zdrowie, czuł potrzebę opiekiowania się nią, zadbania nawet o drobiazgi.

— Masz przemoczone nogi, rozchorujesz się — powtarzał. — Boże mój! Co za sens było biec tutaj w takich pantofelkach!

Posadził ją przy ogniu. Nie broniła się, uśmiechała się, pozwoliła, by zdjął jej pantofle. Małe domowe pantofelki zszargane w kałużach Mokrego Zaułka były ciężkie jak nasiąknięta wodą gąbka. Zdjął je i ustawił po obu stronach kominka. Pończochy miała także mokre, ubłocone aż po kostki. Nim zdążyła się zaczerwienić, ruchem gniewnym i pełnym czułości ściągnął je mówiąc:

— W ten sposób najłatwiej nabawić się kataru. Ogrzej się.

Przesunął swój taboret. Dwie śnieżnobiałe stopy zaróżowiły się od ognia. Było nieco duszno, w głębi drzemała sypialnia ze swym wielkim łóżkiem. Knotek zatonął w oliwie i zgasł, jedna strona kotary rozwiązana z upięcia opadała, na wpół zasłaniając drzwi. W saloniku świece dopalały się i napełniały pokój dusznym zapachem jak pod koniec balu. Chwilami słyszeli zza okien plusk ulewy, głuchy szum wśród głębokiej ciszy pokoju.

— Tak, to prawda, jest mi chłodno — szepnęła i wstrząsnęła nią dreszcz mimo gorąca w saloniku.

Stopy jej były lodowato zimne. Chciał je koniecznie ująć w dłonie. Ręce ma rozpalone, więc rozgrzeją się od razu.

— Czujesz je? — spytał. — Masz tak małe nóżki, że mogę objąć obie razem.

Tulił Je w gorących dłoniach. Widać było jedynie czubki różowych paluszków. Uniosła nieco nogi, dało się słyszeć lekkie trzaśnięcie w kostkach. Rozchylił dłonie i przez chwilę oglądał jej stopy, tak drobne, delikatne, z nieco odstającym wielkim palcem. Pokusa była zbyt wielka, zaczął je całować. Gdy zadrżała, powiedział:

— Nie, nie, ogrzej się... Gdy będzie ci ciepło...

Stracili oboje świadomość czasu i miejsca. Czuli tylko niejasno, że pora była późna, że nadeszła już długa zimowa noc. Świece dopalające się w drzemającym, parnym pokoju mówiły im, że już od dawna są tu razem. Ale gdzie są, zapominali. Pustynia była wokół nich, ani szmeru, ani głosu człowieka, czuli się jakby na ciemnym morzu wśród szalejącego wichru. Gdzieś poza światem o tysiące mil od ziemi. Zapomnieli o więzach łączących ich z życiem realnym, z własnym bytem, tak zupełnie, tak całkowicie, iż wydawało im się, że ich dotąd nie było na świecie, że zaraz przestaną istnieć, że mają umrzeć we wzajemnym uścisku.

Nie znajdowali nawet słów. Słowa nie oddawały ich uczuć. Być może, że znali się już dawniej, ale te inne ich spotkania nie liczyły się wcale. Liczyła się jedynie chwila obecna, przeżywali ją powoli, nie mówili o swej miłości, tak zżyci z sobą jakby po dziesięciu latach małżeństwa.

— Ciepło ci?

— O tak, dziękuję. — Zaniepokoiła się nagle: — Moje pantofle nie wyschną.

Uniół je, przysunął do kraty kominka i powiedział bardzo cicho:

— Tak wyschną lepiej, bądź spokojna.

Odwrócił się, pocałował jej stopy, przytulił do piersi. Żar kominka rozgrzewał ich oboje. Nie broniła się pieszczocie jego rąk, które w pożądaniu stawały się coraz bardziej natarczywe. W swym całkowitym zatraceniu się i unicestwieniu wszystkiego dookoła tylko jedno jedyne wspomnienie młodości trwało w niej jeszcze, odległe wspomnienie pokoju nagrzanego równie ciepło, wspomnienie wielkiego pieca z żelazkami do prasowania, nad którymi się pochylała; i pamięć-

Jtała, że doznawała podobnego unicestwienia, że było to równie słodkie jak pocałunki, którymi Henryk ją obsypywał i które nie dawały jej większej rozkoszy niż tamta powolna śmierć od czadu. Gdy nagle wziął ją w ramiona, by zanieść do sypialni, raz jeszcze; - ogarnęła ją trwoga. Wydało jej się, że ktoś krzyknął, - że o kimś zapomniała, że ktoś płacze w ciemnościach!! Ale trwało to tylko мгnienie oka, rozejrzała się po pokoju, nie zobaczyła nikogo. Pokój ten był jej obcy, żaden sprzęt nie mówił jej nic. Za oknem dud-; niła bez przerwy coraz gwałtowniejsza ulewa. Jak gdyby zmorzona nieprzepartą sennością osunęła się na ramię Henryka i pozwoliła mu się nieść. Za nimi: druga połowa kotary rozwiązała się z upięcia i opadła.

Gdy boso wróciła po swe pantofle przed wygasającym ogniem kominka, pomyślała sobie, że miłość ach tego dnia była mniejsza niż kiedykolwiek.

Joasia stała wpatrzona w drzwi, zgnębiona i przybita raptownym odejściem matki. Rozejrzała się pó pokoju, był pusty i martwy. Słyszała jeszcze odgłos szybko oddalających się kroków\*, szelest sukni, gwałtowne zatrzasknięcie wejściowych drzwi. A potem już nic. Została sama.

Zupełnie sama, zupełnie sama. Koronkowy peniuar matki, rzucony niedbale na łóżko, zwisał rozpostarty z rękawem zarzuconym na poduszkę, tak dziwnie powykęcany, jakby Iktoś szlochając upadł w niezmiernej rozpacz. Bielizna poniewierała się po całym pokoju. Czarny szalik tworzył na podłodze plamę żaloby. Wśród nieładu poroztrącanych krzesel, przysuniętego pod lustrzaną szafę stolika — zupełnie sama czuła dławiące ją lzy, gdy patrzyła na peniuar matki, która odeszła, peniuar rozplaszczony, pusty, bez życia. Złożyła ręce i zawołała raz jeszcze: „Mamo! Mamo!”

repeatUto MOHH

ASO

głos jej wsiąkał w aksamitne niebieskie obicia. Wszystko się skończyło. Została sama.

Czas upływał. Zegar wydzwonił trzecią. Za oknami zmierzchał pochmurny dzień. Ponure, ołowiane chmury płynęły po niebie. Poprzez wilgotne szyby widać było zacierający się, zasnuty mgłą obraz Paryża, dalej mgła gęstniała i jego krańce były już niewidoczne. Nawet miasto nie dotrzymywało dziecku towarzystwa, jak w pogodne popołudnia, gdy zdawało się, że wychyliwszy się nieco z okna można by dotknąć ręką jego ulic.

Czym się miała zająć? Z rozpaczą przycisnęła drobne rączki do piersi. Opuszczenie, w jakim się znalazła, wydało się jej bezgranicznie rozpaczliwe, niegodziwe i krzywdzące; oburzało ją do głębi. Po raz pierwszy w życiu przeżywała coś równie strasznego; zdawało jej się, że wszystko przepadło na zawsze, że już nic nigdy nie wróci. Zobaczyła obok siebie lalkę siedzącą na fotelu z wyciągniętymi nogami, opartą o poduszkę i patrzącą na nią jak żywy człowiek. Nie była to ta nakręcana lalka od pana Rambaud, lecz inna, duża, z głową z masy papierowej, z kręconymi włosami i szklanymi oczami, których nieruchome spojrzenie niepokoiło ją czasem. Po dwóch latach stałego rozbierania i ubierania była już wytarta na policzkach i brodzie, a różowe, wypchane trocinami ręce i nogi zmiękły, zwiotczały jak stare gałgany. Teraz lalka miała właśnie iść spać i była tylko w nocnej koszuli, a ręce miała wyciągnięte, jedną do góry, drugą na dół. Joasia widząc, że nie jest tak zupełnie sama, poczuła się przez chwilę mniej nieszczęśliwa. Wzięła ją na ręce i przytuliła mocno, a tekturowa głowa lalki zwisała do tyłu na wykręcanej szyi. Dziewczynka mówiła jej, że jest najgrzeczniejsza, ma dobre serce, nie wychodzi nigdy i nigdy nie zostawia jej zupełnie samej. Była jej skarbem, małym kotkiem, kochanym serduszkciem. Całowała ją czule, jeszcze drżąc cała i powstrzymując się od płaczu.

Poczuła się pomszczona nieco tym gwałtownym wy

lewem czułości. Wstała i opierając twarz o szybę wyj- I rżała przez okno; lalka jak lachman zwisała w jej rękach. Już nie padało, na widnokręgu, ku wzgórzom P&re-Lachaise jeszcze szaro zakreskowanym deszczem, wiatr odwiewał chmury ostatniej ulewy. Na tle tej nawałnicy, w mdłym świetle szarzejącego dnia Paryż stawał się wymarłym, smutnym ogro-.. mem. Zdawał się wyludniony, podobny do tych miast- -widm, jakie ukazują się w odbłasku zamarłej planety. Nie był to bynajmniej piękny widok. Joasi zaczęły się roić wspomnienia o wszystkich, których kochała, od kiedy żyła na świecie. Najdawniejszym jej ulubieńcem, jeszcze w Marsylii, był rudy, spasiony kot, niezmiernie ciężki, który nigdy nie drapał, gdy brała go na ręce, przyciskała do siebie i przenosiła z krzesła na krzesło. Jednak któregoś dnia znikł — była to pierwsza niegodziwość, jaka ją spotkała. Potem miała wróbla i pewnego dnia znalazła go nieżywego na piasku w klatce — było to drugie rozczarowanie w jej życiu. A zabawek, które psuły się specjalnie, by sprawić jej przykrość, nie liczyła nawet; nie mogła spamiętać wszystkich tych przeróżnych krzywd, przez które cierpiała tak wiele, bo była jeszcze bardzo niemądra. Najbardziej rozpacziała z powodu maleńkiej jak dłoń laleczki, która dała sobie rozbić głowę. Kochała ją tak bardzo, że po kryjomu pochowała w kącie ogrodu. Potem odgrzebała chcąc koniecznie znowu ją zobaczyć i rozchorowała się z przerażenia ujrzawszy, jaka jest czarna i brzydka. Zawsze nie ona pierwsza przestawała kochać. To od niej odchodzili, znikali na zawsze. Dlaczego, po co? Winni byli zawsze oni. Ona nie zmieniała się wcale — gdy kochała kogoś, to już na całe życie. Rozstanie było czymś potwornym, okropnym, czego nie mogła pojąć, co nie mieściło się w jej sercu, które tłuło się wtedy niespokojnie. Wstrząsnął nią dreszcz, myśli plątały się, zaczynała sobie uświadamiać: a więc przychodzi dzień, w którym trzeba się rozstać, rozejść w różne strony, nie widzieć się więcej, przestać się

kochać. Wpatrzona w Paryż ogromny i smutny, zdrętwiała, zmrożona w swej dwunastoletniej namiętności wobec odkrytego okrucieństwa życia.

Szyby zapotniały od jej oddechu. Przetarła je ręką, by lepiej widzieć. Splukane ulewą gmachy połyskiwały z daleka jak lustra. Szeregi domów, czyste i wymyte ze swymi jasnymi ścianami pośród dachów, wyglądały jak rozłożona bielizna schnąca po jakimś ogromnym praniu na łące zrudziałej trawy. Wypo- gadzało się. Za oddalającą się chmurą ciągnął jak ogon przejrzysty opar, okrywający jeszcze miasto, prześwietlony mglistymi promieniami słońca. Czuło się już radość dzielnic, nad którymi niebo zaczynało się uśmiechać. Joasia patrzyła w dół: na wybrzeżu i stokach Trocadero po gwałtownej ulewie ożywił się znowu ruch uliczny. Znow powoli toczyły się po bruku dorożki, a wśród ciszy pustych jeszcze ulic przejeżdżały omnibusy z głośniejszym niż zwykle hałasem. Parasole zamykały się, przechodnie, którzy schronili się pod drzewa, przechodzili śmiało z chodnika na chodnik wśród kałuż spływających już do rynsztoków. Ze szczególnym zaciekawieniem Joasia przyglądała się jakiejś pani z dziewczynką. Bardzo elegancko ubrane stały pod daszkiem straganu z zabawkami niedaleko mostu. Na pewno schowały się tam zaskoczone ulewą. Dziewczynka myszkowała pośród zabawek napierając się, by matka kupiła jej kółko. Teraz już odchodziły, dziecko biegło roześmiane i beztroskie, tocząc kółko przed sobą. Joasia posmutniała, lalka wydała jej się okropna, zapragnęła mieć takie właśnie kółko, biec z nim po ulicy, podczas gdy matka szłaby za nią powoli, wołając, aby nie odbiegała za daleko. Wszystko zaszło mgłą. Co chwila wycierała szybę. Nie wolno jej było otwierać okna, ale teraz zbuntowała się: skoro matka nie zabrała jej ze sobą, to może przynajmniej wyglądać na ulicę. Otworzyła okno, oparła się na łokciach jak dorosła osoba, jak matka, gdy czasem stała tu w milczeniu przez długie chwile.

Łagodne i wilgotne powietrze wydało się Joasi bardzo przyjemne. Cień zasnuwał z wolna widnokraj, spojrzęła w górę. Odniosła wrażenie, że ja- X kiś olbrzymi ptak rozpostarł ponad nią skrzydła. I Z początku nic nie widziała, niebo było jeszcze jasne, ale ciemna plama wynurzyła się zza rogu dachu, rozlała po całym niebie. Nowa, gnana z zachodu wichrem ulewa. Pociemniało nagle, w zsiniałym, światle miasto szerniało, domy nabrały koloru starej rdzy. Prawie jednocześnie lunął deszcz. Ulice jakby wymiotło od razu. Parasole pootwierały się z powrotem, spacerowicze, uciekając na wszystkie strony, znikali jak zdmuchnięci. Jakaś stara dama unosiła obiema rękami suknię, deszcz jak z rynny lał na jej kapelusz. Ulewa szła naprzód wraz z napływającą nad Paryż chmurą, strugi deszczu szybko posuwały się coraz dalej, nawałnica wielkich kropeł w pędzie galopującego konia zalewała coraz dalsze aleje wybrzeży, wzbijając tuż przy ziemi kurzawę bryzgów wody. Dobięła do Pól Elizejskich, gwałtownie wpadła w długie, proste ulice dzielnicy Saint-Germain, przewaliła się przez szerokie przestrzenie pustych placów, opustoszałych skrzyżowań ulicznych. W ciągu paru minut miasto zamazało się, przybladło za tą wciąż gęstniejącą zasłoną. Jak gdyby zaciągnięto ją firankę między niebem i ziemią. Unosiła się kurzawa bryzgów wodnych, ogłuszający plusk ulewy przypominał łoskot szczękającego żelastwa.

Oszołomiona hałasem Joasia cofnęła się. Wydało się jej, że biała błyszcząca ściana wyrosła nagle przed nią. Ale bardzo lubiła deszcz; wróciła, oparła się o parapet i wyciągnęła ręce, by czuć padające na nie wielkie, chłodne krople. To ją bawiło, zamoczyła się aż po rękawy. Lalkę też na pewno musiała boleć głowa. Posadziła ją więc na parapecie okrakiem opierając plecami o ścianę. I widząc, jak spływają z niej strugi deszczu, myślała, że to jej przynosi ulgę. Lalka siedziała sztywno, niezmiennie uśmiechając się wyszczerzonymi ząbkami; jedno ramię ociekało już wo  
J ftec/iargeah/e Af/Afff  
JS4&J

dą, a wiatr wydymał koszulę. Biedny, sflaczały tułów drżał z zimna.

Dlaczego matka jej nie zabrała? Woda, która uderzała Joasię po rękach, była nową pokusą, by znaleźć się na ulicy. Musiało tam być bardzo przyjemnie. I poprzez zaslonę ulewy widziała znów dziewczynkę toczącą kółko po chodniku. Tej się przynajmniej udało, matka wzięła ją ze sobą. I nawet obie wyglądały na bardzo zadowolone. To znaczy, że nawet w deszcz zabierano małe dziewczynki. Trzeba było tylko chcieć. Dlaczego jej matka nie chciała? Znów pomyślała o swym rudym kocie, który odszedł sobie po dachach, domów, z ogonem zadartym do góry, potem

o tym głupim małym wróbelku, którego próbowała nakarmić, jak już zdechł, a on udawał, że nic nie rozumie. Stale zdarzały się jej takie historie, nie kochano jej dostatecznie. O! Byłaby przecież gotowa w dwie minuty! Jeśli tylko chciała, potrafiła ubrać się szybko. Rozalka zapięłaby jej buciki, potem palto, kapelusz, i gotowe. Matka mogła doskonale zaczekać dwie minuty. Gdy wychodziła do swych znajomych, nie przewracała tak wszystkiego w pokoju, a gdy wybierała się do Lasku Bulońskiego, szła powoli trzymając ją za rękę i przystawała przy każdej wystawie na ulicy Passy. Joasia nic nie rozumiała, ściągnęła swe czarne brwi, a delikatne jej rysy wykrzywiły się okrutnym grymasem zazdrości, który nadawał jej zawsze wyraz złośliwej starej panny. Czuliła niejasno, że matka poszła gdzieś, dokąd dzieci nie chodzą. Nie zabrała jej ze sobą, by przed nią coś ukryć. Na tę myśl serce jej ścisnęło się niewypowiedzianym smutkiem, poczuła się chora.

Deszcz był teraz drobniejszy, okrywająca Paryż zasłona stawała się miejscami bardziej przejrzysta. Pierwsza wyłoniła się znów kopuła Inwalidów, lekka

1 migocząca wśród połyskliwych drgań ulewy. Spod odpływającej fali deszczu dzielnice ukazywały się kolejno; miasto zdawało się wynurzać z powodzi; z dachów ściekały strugi pokrywając ulice bryzgami

Winty-. UmjIm imkLilyufo AwImIlo, |<i<>|rllr\*f\*| pluēn pi^uliU j• i \*m/ uh>w>f IVHp# filiWLU;  
wy#{Ui\*Imli• tu jol\* inkiilnē}) wMrhil !•>\*■ W fl/iulliicy I Vii Itill |6jlll I i I i (Tomkom In/ • i&ImJ, i>mhih>  
11M luwyiu līi "Mil, lin Wyftpl

(lir, nu 11/4 )>li h h J>l Hailiilnllilnrli, 1 wIUUA Inni l,y|.)»

W lah »nr u rbuihli> I ltin)'l« 11II»y MlnliWn <1 f 141 y«

Nu l'tnwti \$»hly\*IH h/1'Hn W Hllnuj JmU iu/W/mi/<il mim|» |>ji niicnl hliinrr/nyrli, iilnhl00ll lv i n'»/i>w« (ul  
i lonlif y.nltuhn i>wy Wttl y JnwUiMWii wliliml" i <jji puli mlim f i /1 mi (Uipeiiwiyelt m im l< • wh 11\*  
HitHlulwwyly niif, felimUly Aiil^tf pfoiByi nu (u ynitpJowe iflflklI IYoihImiili\* lton<

i'M pi/yjii&ly, nmlpl vni;ln rlmuiin, uAihIpuIi yiMk)ni| Wp l'tirli, ihii 1 ołuwlnuyui iiIpIipiii I •«i■ y z ui'luli  
Ml wW(H| ft l' l .TV hf/l y III H/ili UPill JItntiln, «foMiiIit fiUAitt itjtnwy Ofiltf pi /miiouHiHitt', fnc/tytn lin  
In'.. >/i.I;IM OM I i'!.i|j|{ myAlit, In i)inlh M |ioMtn muIJIM <ln i'kaykn, nic oftuin i>| /i<nihm)it<J^ rliIotiu.  
IiIU^d jukHtiwHlM Iyllio leiy yniMKliyi Iuwnhl^w, l\*hfll00fl i wlitbj Sw, Jukulin, powlni \*ntn icli nn/wy  
WllAHUJfIlo id ulu | im JrMMi, nltf niu^ln Md lii Iw WyobfAlłoi IftclO At f 11\*

M. Jldy "MWW K MMctli Nlpwllpllwlt\* BUfiHU

iiiiMlalM bytf lwu, mjigwh\*\* W FmhliMfiw, 1)9 tffl mm|limh/Im| liiiiMiiuj^iyy, (ilbcryml, WiMiOIU wy  
H(ik<i w pt) Winien U niby UWlęnOfthtyift (t|l\*)|(J <inMI\*\* I'ni>Mi lf,rti|f/l« ak<> MUaI miim wluiV  
I'<iry& liyt illn tilfij inipjtM phi, <1 iil« <1 / Iit ul" rln»ii q Mnlkn nigdy ji>j Itti\*\*

iilfl pHiwml ,ltn < 'li(|f4liiliy riiM^ H>i, liy mól gt)bf)

IUlufI „Mnium Junt Inni j Um, ru|) I"iIm"/Mm ml III8 wylalu ]t>J i|i| ubyt <liUn, nlcpiutnliai w fiitfl  
Komii^! l'n|<IMyJn w rh'H/;/i »tim><| wMŠiito w liffj Krupie ilnni^w, (MMI nn Iowo, uft A U>>>> w  
I \* 1 i /111 (U < 4 piut woloktiii iii .iiwitil, K(uiyrlI l',M|<f\*)i WU^m Mlii hrtjMi (iMilWn' Mm^

liy# imhiiIm piitt ilt^tyl A (itit MkMnty ^fturtflj

<it III MiHln Iiv(^h A l\*i IIU<M, (ni Klocuj

A ifi #1 ^ 11 u t Ai mj Mig itMid. lin w Mj i'il

piWitfi 11 m |>iit ii 11 Nin wliMpirt #it>U I<l!HU> nit^ HftJM

iltf Imn cuikMm, hiA t>4mlm4 ticiyiiUtMg^t JS^I (4<lk>wQ|yiikl II|<> tuiwiiiiiy MM In tutti «#A<

unii

uimtyftiy ule|iii(|i|ly jpj «1#1\*solitf<n iilplwniiiiiiMu^< I ?MI(1/h|y du |il4ii'/n Nlp/iutiy 1'niy^/p NWyml ilynm  
liil, MWyni Wl^rriiyin Ii.mImommi, ku twym >y

I'lwin ity^Ml hi\* pnit |mJ hIujimmiI, i'/ul<i Ji jj.i uililiifli

W tym w 11 tf i \* 111 y 11 >, <t|>|ilyiii ^dw)pti/u mlwllly, émiln ntjil/y, IhmiIii, /Jtniillil, dfl klóiyelt lub lin  
etieg iJfj W j^ljwiI3, Julą ^ityliy forliyUild nit) nrtil Ktt|>> w 11 < 11 /111111 jpiui^ li u |n<yiiil wylewami  
uiiiwl-

^"llliyi'11, iiltrylycli w nloj b^^ieili WyiitPiInU I i! (•lyiM! IiiWnIiImI, l'aiilPMM, wlpftn ftw, Jnkulin,  
wlrjt waj jilft nio tifi Kimln, iir/ncM^lo ju t<i I litwytit/iilii, iiiiylInIM upnioloi ^ mllm pi<plywtt wAróil  
lyt^h oluripryelt iyilPiIhc, Ulócy^lt n# yimlii, inni  
IpIiii, im iliilfti

NpmI^ (iilwióclln MHylMliy inyynirjiln, Utn4 |irr4^NiHn1l pi /tur. pflęńj, n ilt<MUi4liki4 • ta  
itiilluii;

In loli Uii Jt\*J l'mihImiiIh, A1p pdkńj byl iHiniy, w tyto iiniityiu 41 i i' I m 11 -1>> ( w JmUlim |Mi/imtHwllrt  
tfu I ImIwumj tipiiIMtH' rir|j,l' JpMffi^ti jilukni wyrntftil^ty, |>| Oluny nn wn^ulowlu (Afckn, AIIHIIUHi  
nupjr^iiln

lii i>i> |niUit)u, l'ui'yuln UoImK w Mnrett, llylw siutift, tsu« iulnlp nafnu, Mi^p iitó), mnUtn wyohotl^i'  
pupelmi! jn ;|m, |iitpi<lini)ln ImII IIIOCIKI, uimitIM i'n wtpml^'. Tu Imilftlitt HWiiriinlArIP InUi^wnlu Mit)  
vi\6w I^iIpiii w m mliiiiinchi IMnopetf" J>i Hilnr^>iu>y Ily Iw ptiftiselil gPl^li\*

HM. illo III0 MIIIMIU Ultillo KMMU^1^'. I(44IM tft hl^Ur|h)(4

lym vlt;i'nj^ flfWfeift) umlkn trftktoWtiU Jh tmi

in^uliilP, Iuliilmit\* JmH HlndyA w itiittpiA^Iwiw, MiW uliMMIhmo JH wllUlnn, Hftil^go file moj|ln

ilMi0iimln Ippfy

Ima/, oMyiiM)»ro w uuoUii i>#i>ttMU>ty nnpptitnn ftfi m)ii t /lilfiUM, itiuuyAlnlh ni(| jnitunH ItiU'^^,  
l'uwnll \v IMHh vv\*)»Wm<ly \ ttiilpw Nn

myM, iMiiUrt wUj>|tl k<i>h> tyoh, \\w kiAty>>>| \\u lilwyl\* oitiiyi'HM|ni> )H Uli monui, niiftW

rnup <to iitaml l^cnft Jul litu

Nuit l'nry^iMn w or\*\*^HlsyMi\lti HM^ rotu

tilrtw lAWyU wU^ilMM INihUhuImIh, i

m



ry nadciągały z szumem. Joasia przy oknie zakaszła gwałtownie, ale marznąc tak czuła się jakby pomszczona, chciała się zaziębić. Z ręką przy piersiach czuła, że jest coraz bardziej chora. Trwoga opanowywała jej całe ciało. Drżała z lęku, bała się obrócić, przerażona na samą myśl spojrzenia w głąb pokoju. Nie ma się wcale sił, gdy jest się małą. Jakiś dziwny, nowy ból nappełniał ją wstydem i gorzką słodyczą. Podobne przejmujące dreszcze miewała czasem, gdy dla żartu łaskotano ją nie zważając na jej śmiech. Wyprężona sztywno, czekała — jej niewinne, dziewicze ciało buntowało się w głębi swej istoty, swej płci rozbudzonej kobiety. Żywy ból szarpnął ją jak cios niespodziewany. Słabnąc wydała stłumiony okrzyk: „Mamo! Mamo!”, i nikt nie mógłby odgadnąć, czy woła na pomoc, czy oskarża matkę o ten ból, który przyprawił ją o śmierć.

Nagle zerwała się burza. W ciszy pełnej niepokoju ponad poczerniałym miastem zawył wiatr. Słysząc było przeciągłe trzaski dobiegające z Paryża. Łomocące okiennice, zrywane dachówki, ruryv kominów i rynny uderzające o bruk uliczny. Na chwilę wróciła cisza i znów nowy oddech burzy tak szarpnął powietrzem, że morze dachów, wstrząsane gwałtownie, zdawało się falować, wznosić i ginać w wichurze. Wszystko się zakotłowało. Olbrzymie chmury, jak rozlane plamy atramentu, gnały wśród stada mniejszych, rozpierzchłych i kołyszących się łachmanów, unoszonych i rozrywanych na strzępy przez wiatr. Dwie chmury natarły na siebie, rozbiły się z trzaskiem, rozsiewając po niebie okruchy koloru miedzi, i za każdym razem, gdy huragan szalał dmąc ze wszystkich stron, w powietrzu rozlegały się jakby salwy armat, jakby walenie się jakiegoś olbrzymiego gmachu, którego ruiny zawieszono nad Paryżem miały zaraz na niego runąć. Nie padało jeszcze. Nagle jedna z chmur pękła nad śródmieściem, a masa wody wylała się i uniosła gwałtownie nurt Sekwany. Zielona wstęga, zmacona uderzeniem kropel, od razu

260

zmieniła się w brudny potok błota. Poprzez mgłę ulewy można było dojrzeć mosty coraz bardziej smukłe, zamazane i na wpół widoczne. Na obu opustoszałych nadbrzeżach oszalała wichura wyginała drzewa wzdłuż szarej linii chodników. W głębi, przy katedrze Marii Panny, chmury rozdzieliły się, lunęły z taką siłą, że wyspa Cite została całkowicie zalana i tylko wieże szybowały ponad zatopioną dzielnicą, jak wraki okrętu. Niebo otworzyło się ze wszystkich stron i prawe nadbrzeże po tych nawrotach ulewy zostało połknięte przez wodę. Pierwsza nawałnica spustoszyła odległe przedmieścia, rozszerzyła się waląc w wieżyczki Św. Wincentego a Paulo i wieżę Św. Jakuba, które błądy pod jej uderzeniem. Dwie inne nawałnice raz za razem wylewały się na Montmartre i na Pola Elizejskie. Przez chwilę widać było Pałac Przemysłu pokryty dymem deszczowych kropel odbitych od jego oszkleń, kopułę Św. Augustyna szybującą we mgle, jak księżyc przesłaniany przez chmurę, rozplaszczony dach kościoła Św. Magdaleny podobny do płaskich nagrobków omywanych strumieniem wody na zrujnowanym cmentarzu; w tyle olbrzymi, zatopiony masyw Opery przywodził na myśl rozbitą okręt bez masztów, wciśnięty między skały, opierający się uderzeniom burzy. Na lewym brzegu przykrytym wodną kurzawą widać było kopułę Inwalidów, iglice Św. Klotyldy, wieże Św. Sulpicjusza moknące, roztopiające się w bryzgach wody. Jedna z chmur rozszerzała się, po kolumnadzie Panteonu spływał wodospad grożący zatopieniem dzielnic niżej położonych. Od tej chwili fale gwałtownego deszczu zalały ze wszystkich stron całe miasto, zdawało się, że niebo zważyło się na ziemię, ulice pogrążyły się, to znikwały w powodzi, to wynurzały się pod ciosami, których gwałtowność zdawała się zapowiadać koniec miastu. Przeciągły huk ulewy wzmagął się, wezbrane rynsztoki płynęły z szumem i z łoskotem wpadały do ścieków. Powoli chmury rozplywały się, stawały coraz pldsze, równomiernie rozlane, bez żadnych smug

i cieni, ponad Paryżem całym zbryzganym i ubłoconym na jeden żółty kolor. Deszcz rzedł, padał prosto, monotonnie; gdy zrywał się wiatr, krople zaczynały z ukosa prawie poziomo, uderzały z przeciągłym świstem o ściany rysując na nich plamy wilgoci, a gdy wiatr uciszał się, padały pionowo, miarowo i uparcie, bijąc o ziemię od wzgórza Passy aż po płaskie pola Charenton. Pod zasnutym chmurami niebem wielkie miasto po straszliwym wstrząsie leżało zrujnowane i martwe, jak pole zasłane kamieniami.

Joasia udręczona, znużona widokiem tonącego w ulewie Paryża, opadła na parapet okna, szepcząc raz jeszcze: „Mamo! Mamo!” Z rozwianymi włosami, z twarzą mokrą od deszczu, wyczerpana, czuła smak gorzkiej rozkoszy, która przejmowała ją dreszczem, a jednocześnie serce jej napelniał żal za czymś bezpowrotnie utraconym. Poczuli się bardzo • stara, wszystko wydało się jej skończone. Czas mógł płynąć, nie patrzyła już nawet w głąb pokoju. Nie obchodziło jej wcale, że jest opuszczona i sama. Dziecinne serce nabrzmiało tak wielką rozpaczą, że wszystko dokoła stawało się całkiem czarne. I gdyby teraz, kiedy jest chora, matka jak zwykle gniewała się na nią, byłoby to wielką niesprawiedliwością. Myśl o tym była dotkliwa jak ból głowy. Coś w niej złamano przed chwilą i nie mogła temu zapobiec. Musiała zgodzić się na to, czego chcieli inni, nie było żadnej rady. Była już zbyt zmęczona. Ogarnęła ją senność, spłotła ręce na framudze okna, głowę oparła na rękach i tylko od czasu do czasu otwierała swe ogromne oczy, by popatrzeć na ulewę.

Deszcz padał i padał, z bladego nieba lało jak z cebra. Wichura ścichła... Słychać było monotonny plusk kropel. Roz pasany deszcz bił bez przerwy w opustoszałe, zamarłe miasto, którym zawładnął. Spozą kryształowych strug wody zamazane kontury widma Paryża zdawały się ginąć i rozpluwać. Paryż przynosił Joasi tylko nieodparte pragnienie snu, wśród szkaradnych widziadeł, jakby wszystko, co w nim było nieznanne, całe niepojęte zło wydzielalo przenikającą mgłę, wywołującą kaszel. Ilekroć otwierała oczy, jego napady wstrząsały nią i przez kilka chwil patrzyła na Paryż, potem opuszczała głowę zatrzymując pod powiekami obraz miasta. Wydawało się jej, że rozciąga się nad nią i ją przygniata.

Padalo ciągle. Która teraz mogła być godzina? Joasia nie miała pojęcia. Może zegar w ogóle przestał chodzić? Żybit wielkim wysiłkiem wydawało się jej obrócić i popatrzeć. Co najmniej tydzień minął od wyjścia matki. Nie czekała jej powrotu, pogodziła się z myślą, że już jej nie zobaczy. Zapomniała o wszystkim, o przykrościach, których doznała,

o dziwnym bólu, który dolegał jej przed chwilą, nawet o opuszczeniu, w którym pozostawił ją świat. Dziwna jakaś ociążalność ogarniała ją kamiennym chłodem. Była bardzo nieszczęśliwa, tak nieszczęśliwa jak te biedne dzieci, którym pod drzwiami dawała miedziaki. To się już nigdy nie skończy, będzie już tak całe lata — to za wielkie, za ciężkie dla jednej małej dziewczynki. Mój Boże! Gdy się już nie jest kochaną, jakże się robi zimno, jakże się wtedy kaszlet

Przymknęła zmęczone powieki, w głowie jej zawirowało, ogarniała ją senność gorączki, ostatnią myślą było niejasne wspomnienie z dzieciństwa: kiedyś widziała w młynie małe ziarenka zboża toczące się pod wielkie jak domy kamienie młyńskie.

Mijały długie, długie godziny, z każdą minutą upływało stulecie. Nie kończący się deszcz padał jedno\* stajnie, miarowo, jakby zamierzał padać bez wytchnienia całą wieczność, aż zatopi ziemię. Joasia spała. Obok niej, na framudze okiennej, lalka w mokrej koszuli przyklejonej do różowego kadłuba w śmiesznej 1 rozdierającej serce pozie małego trupka, z nogami w pokoju, a głową za oknem, z włosami ociekającymi wodą i wytrzeszczonymi oczami, podobna do topielca, tak wynędzniała, że chciało się nad nią płakać. Joasia, z wyciągniętymi ramionami, nie otwierała już oczu, kaszlała przez sen. Zanosila się świszczącym kaszlem

nie budząc się wcale. Już nic nie istniało, spała pogrążona w ciemności, nie cofając nawet ręki, z poczerwieniałych palców spływały ciurkiem przejrzyste krople deszczu w głąb pustej przestrzeni rozpościerającej się pod oknem. Czas płynął, mijał. Paryż znikł jak zjawia, niebo zatoneło w chaosie mgły rozlanej, szary deszcz padał bezustannie, uparcie.

#### CZĘŚC PIĄTA

|

Był już późny wieczór, gdy Helena wróciła do domu.

Z ociekającym wodą parasolem z trudem wchodziła na schody przytrzymując się poręczy. Przed drzwiami mieszkania przystanęła na chwilę dysząc ciężko, oślepią blaskiem latarni ulicznych odbijających się migotliwie w kałużach wody, oszołomiona gwałtowną ulewą, potrącaniem się ludzi uciekających przed deszczem. Szła pogrążona w marzeniach, półprzytomna, odurzona pocałunkami, które wciąż jeszcze czuła na sobie, przygodą, której nie spodziewała się przeżyć. Szukając kluczy w torebce, pomyślała, że nie odczuwa ani wyrzutów, ani radości. Stało się, już się nie odstanie. Kluczy nie mogła odnaleźć, musiały zostać w kieszeni jakiejś innej sukni. Poczuli się jakby wygnana z własnego domu; brak kluczy sprawił jej wielką przykrość. Musiała zadzwonić. <sup>1</sup> — Ach, to pani — powiedziała otwierając drzwi Rozalka. — Zaczynałam się już niepokoić. — I odbierając jej z ręki parasol, by wstawić go w kuchni do zlewu, mówiła dalej: — Ależ deszcz!... Zefiryn przyszedł dopiero co, zmoczony jak kura... Zatrzymałam go na obiad, proszę pani; pani się nie gniewa?, Ma przepustkę do dziesiątej.

Helena na wpół świadomie szła za nią do kuchni. Zapragnęła nagle, nim się rozbierze, przekonać się, czy w jej mieszkaniu jest jak przedtem.

— Dobrze zrobiłaś, moja droga — odpowiedziała Rozalce.

Chwilę stała na progu kuchni patrząc na płonący pod płytą ogień. Odruchowo zajrzała do szafy i zaniknęła ją z powrotem. Wszystko stało na swoim zwykłym miejscu. Sprawilo jej to ulgę, niemal ra

dość. Na jej widok Zefiryn wstał z szacunkiem; kiwnęła głową uśmiechając się do niego.

— Sama już nie wiedziałam, czy wstawić pieczeń' do piecyka — mówiła Rozalka.

— A któraż to godzina? — spytała Helena.

Zaraz siódma, proszę pani.

— Co ty mówisz?i Siódma godzina!

Nie przypuszczała, że może być już tak późno. Była bardzo zaskoczona. Wracała do rzeczywistości.

— Co robi Joasia? — zapytała.

— Była bardzo grzeczna przez cały czas. Nawet mi się zdaje, że zasnęła, bo wcale jej nie słychać.

— Nie zapaliłaś jej lampy?

Rozalka zmieszana się, nie chciała się przyznać, że Zefiryn naznosił tych swoich obrazków, a panienska była zupełnie cicho, widocznie niczego od niej nie potrzebowała. Helena nie słuchała jej już. Weszła do sypialni, gdzie zaskoczył ją ogromny chłód.

— Joasiu, Joasiu! — wołała.

Nie otrzymała odpowiedzi. Potknęła się o fotel, na dywan padało trochę światła przez drzwi do stołowego pokoju, których nie zamknęła za sobą. Zadrżała z zimna i niepokoju, wydało się jej, że w sypialni pada deszcz, taki wiał tu wilgotny wiatr i tak wyraźny był szum ulewy. Spozstrzegła wreszcie, że okno jest otwarte, pusta rama odcinała nieco jaśniejszy prostokąt wieczornego nieba.

— A któż to otworzył okno?! — zawołała. — Joasiu! Joasiu!

Wciąż nie było odpowiedzi. Śmiertelny lęk ścisnął jej serce. Gdy po omacku podeszła do okna, ręce jej natrafiły na włosy — włosy Joasi! Rozalka wniosła lampę, dziecko ukazało się blade, śpiące z policzkiem na wyciągniętych ramionach, a strugi ciekącej z dachu wody bryzgały na nią. Nie oddychała prawie zmożona zmęczeniem i rozpaczą. Na długich czarnych rzęsach zachowały się dwie duże łzy.

— Moje biedactwo wyszeptala Helena. — Jakże tak można!... Mój Boże, jest zimna jak lód! A zakar załam jej przecież otwierać okno... Żeby zasypiać na oknie w taką pogodę!... Joasiu, obudź się. Co ci jest, Joasiu!

<sup>1</sup> Rozalka przezornie wymknęła się z pokoju. Dziewczynka, jakby omdlała, nie mogła ocknąć się z kamiennego snu. Z bezwładnie opuszczoną głową zwiślała na rękach matki. Wreszcie jednak zbudziła się odurzona i na wpół przytomna mrużyła oczy, które raziło światło lampy.

— Joasiu, to ja, mama... Co ci jest? Popatrz, jestem już z powrotem.

Ale Joasia nic nie rozumiała, nieprzytomnie szeptała tylko:

— Ach!... Ach!... — Patrzyła na matkę, zdawała się jej nie poznawać. Nagle zadrżała, jakby teraz dopiero odczuła panujący w pokoju chłód. Powoli wracała do przytomności. Łzy stoczyły się jej po twarzy. Zaczęła się wyrzywać z rąk matki. — To ty... To ty!... Puść mnie, ściskasz mnie za mocno, tak mi było dobrze!...

Wyśliznęła się, bała się matki. Zalekńniona, cofnęła się z odrazą przed pieszczotą ciepłej i wilgotnej dłoni, z której Helena zdjęła rękawiczkę. Niespokojnie patrzyła na jej ręce i ramiona, jakby były zupełnie obce. Nie pachniały już znajomym zapachem weny, palce zdawały się być dłuższe, dłoń jakaś ciepła i wilgotna. Dotyk ciała Heleny, które jakby zmieniło skórę, był dla Joasi przykry.

— Widzisz, nie gniewam się na ciebie — mówiła dalej Helena. — Ale .czyż tak postępuje rozsądna dziewczynka... No, pocałuj mnie.

Jednak Joasia wciąż odsuwała się od matki. Suknia i palto wydały się jakieś nie znane, nie przypominała ich sobie. Suknia drażniła swym wygniecionym i pomiętym wyglądem, pasek był źle zawiązany. Dlaczego matka wróciła tak nieporządnie ubrana? Coś wstrętnego i bardzo smutnego było w tym wszystkim. Spódnica zabłocona, pantofle zszargane, nic się nie trzymało jak należy, jak sama mawiała, gdy pokazy

i

porząd

wała Joasi małe dziewczynki, które nie umiały się Iporządnie ubrać.

— Pocałuj mnie, kochanie!

Nawet głosu Joasia nie poznawała teraz wcale, wydawał się jej inny, bardziej ostry. Podniosła głowę i zaskoczona przyglądała się twarzy matki. Zmęczone oczy stały się jakby mniejsze, usta nienaturalnie czerwone. Wyraz całej twarzy był dziwnie obcy. W[ tym wszystkim było coś odrażającego. Jak zawsze gdy sprawiano jej przykrość, odczuwała teraz ból w piersiach. Zaczęła gwałtownie płakać podrażniona czymś nieuchwytnym i odstręczającym, co wyczuwała blisko siebie i w czym wietrzyła zdradę.

— Nie, nie, proszę cię... Zostawiłaś mnie samą. Byłam taka nieszczęśliwa.

— Ale wróciłam przecież, kochanie... Nie płacz, przecież jestem tu, przy tobie.

— Nie, nie, skończyło się... Nie chcę już ciebie... Czekałam i czekałam. Było mi strasznie źle.

Helena objęła ją znowu i przyciągnęła łagodnie do siebie, choć dziecko opierało się powtarzając:

— Nie, nie, już nie jest jak przedtem, ty już nie jesteś taka sama.

— Co ty mówisz? Co ty opowiadasz, moje dziecko?,

— Ja nie wiem, nie jesteś już taka sama.

— Myślisz, że już ciebie nie kocham?

—  
— ftfie wiem, nie jesteś taka sama... Nie sprzeczasz się ze mną... Nie kochasz mnie, tak jak kochałaś. Skończyło się, skończyło, skończyło. Chciałabym umrzeć. >

Helena pobjadała, objęła ją i uniosła do góry. A więc było to widać z jej twarzy? Pocałowała Joasię, ale dziewczynka wstrząsnęła się z wyrazem tak głę~ bokiego bólu, że nie ośmieliła się pocałować jej raz jeszcze w czoło. Trzymała ją jednak w objęciach! Żadna z nich nie mówiła ani słowa. Joasia płakała cichutko, całą sztywna, zbuntowana, podrażniona. Helena pomyślała, że nie należy przywiązywać wagi ido tych kapryśków. W głębi duszy było jej wstyd, ru

mieniła się czując ciężar dziecka na swym ramieniu. Wreszcie postawiła Joasię na podłodze. Obie doznały ulgi.

— Otrzyj teraz oczy, bądź rozsądna — powiedziała Helena. — Wszystko jakoś się załatwi.

Dziewczynka otarła łzy, była bardzo cicha, nieco zalękniona, patrzyła na matkę z ukosa. Nagle wstrząsnął nią atak kaszlu.

— Mój Boże, i znów jesteś chora. Naprawdę, ani na chwilę nie mogę odejść od ciebie... Zimno ci?

— Tak, mam, w plecy.

— Masz, okryj się szalem. W stołowym pokoju jest napalone w piecu. Ogrzejesz się tam... Chcesz jeść?

Joasia zawahała się. Chciała powiedzieć prawdę, że nie jest wcale głodna, ale znowu spojrzała kątem oka i powstrzymała się. Odpowiedziała cicho:

— Tak, mam.

— Chodźmy, nic ci nie będzie — powiedziała Helena czując potrzebę przekonania samej siebie. — Tylko, proszę cię, ty niedobre dziecko, nie strasz mnie więcej.

Gdy Rozalka weszła oznajmiając, że podała do stołu, Helena rozgniewała się na nią. Służąca spuściła głowę i przyznała, że rzeczywiście powinna była doglądać panienki. I by ułagodzić nieco panią, pomogła jej przy rozbieraniu. Mój Boże! Ładnie jej pani wyglądała! Joasia przypatrywała się sukniom, które matka zdejmowała z siebie, jakby chciała je wybadać, jakby oczekując, że ta ochlapana błotem bielizna zdradzi tajemnicę tego, co przed nią ukry wanó. Zwłaszcza tasiemka od spódnicy za nic nie chciała się rozwiązać; Rozalka przez dobrą chwilę musiała mocować się z węzłem. Dziewczynka jak urzeczona podeszła blisko, równie niecierpliwa jak służąca, gniewna na ten węzeł, ogarnięta ciekawością, jak też on był zaplątany. Ale nie mogła wytrzymać i uciekła kryjąc się za fotel z dala od ubrania, którego ciepłego i wilgotnego zapachu znieść nie mogła. Odwróciła głowę.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak skępowana na widok przebijającej się matki.

— Będzie pani teraz przyjemnie — powiedziała Rozalka. — Jak się zmoknie, to nie ma nic lepszego niż przebrać się w suche.

Helena westchnęła lekko, naprawdę poczuła się przyjemnie w swym niebieskim peniuarze. Była u siebie; gdy pozbyła się ciężkiego, wilgotnego ubrania, w którym wróciła do domu, doznała ulgi. Służąca mogła sobie powtarzać, że obiad jest już podany, Helena musiała najpierw starannie umyć twarz i ręce. Odświeżona, jeszcze wilgotna, zapinała peniuar pod szyję, gdy Joasia podeszła do niej, ujęła za rękę i pocałowała.

Jednak przy stole nie odzywały się do siebie ani słowem. W piecu huczało, mały stołowy pokój technął spokojem i radością swych wypolerowanych mahoni i błyszczącej porcelany. Helenę ogarnęło bezmyślne odrętwienie, jadła powoli, machinalnie, jakby smakując każdy kęs. Joasia, naprzeciwko niej, nieufnie przyglądała się znad szklanki matce, śledząc każdy jej ruch. Zakaszła. Helena, która zupełnie zapomniała o obecności córki, zaniepokoiła się nagle.

— Co to, znowu kaszlesz?!... Czyżby jeszcze było ci zimno?

— Nie, mam, jest mi bardzo ciepło.

Helena chciała dotknąć jej ręki, by przekonać się, czy mówi prawdę, i wtedy spostrzegła, że jedzenie Joasi było nie tknięte.

— Przecież mówiłaś, że jesteś głodna... Nie smakuje ci?

— Owszem, mam, smakuje. Jem.

Joasia z wysiłkiem przełknęła kawałek. Helena przez chwilę pilnowała, by jadła, ale wkrótce myśli jej wróciły tam, do pogrążonego w ciemności pokoju. Dziewczynka widziała doskonale, że stała się matce obojętna. Pod koniec obiadu skuliła się cała, opuściła ręce, opadła bezwładnie na krzesło, podobna do małej staruszki.

Jej oczy zmatowiały jak u tych podstarzałych panien, których już nikt nigdy nie będzie kochał.

— Panienska nie będzie jadła konfitur? — spytała Rozalka. — Mogę sprzątnąć ze stołu?

Helena siedziała zapatrzona przed siebie.

— Chce mi się spać, mam — powiedziała Joasia zmienionym głosem. — Chciałabym się położyć. Czy mogę?... W łóżku będzie mi lepiej.

Helena ocknęła się znowu, oprzytomniała.

— Tobie coś jest, kochanie! Co takiego? Powiedz!

— Przecież ci mówię, że nic mi nie jest!... Chce mi się spać, jest już późno.

Wstała od stołu prostując się, by nie dać poznać po sobie, że jej coś dolega. Zdrętwiałymi nogami powłóczyła po podłodze. W sypialni opierała się o meble i pomimo trawiącej ją gorączki mężnie powstrzymywała się od płaczu. Tak szybko sama się rozebrała, że gdy matka przyszła jej pomóc, zaplotła jej już tylko warkocze na noc. Joasia prędko wsunęła się pod kołdrę, bez pomocy matki, i natychmiast zamknęła oczy.

— Dobrze ci? — spytała Helena otulając ją troskliwie.

— Bardzo. Zostaw mnie, nie ruszaj... Zabierz światło.

Chciała leżeć po ciemku, z otwartymi oczami, sama ze swym cierpieniem, nie oglądana przez nikogo. Nie pragnęła nic więcej. Gdy wreszcie pozostała sama w ciemnościach, otworzyła szeroko oczy.

Obok, w sypialnym pokoju, Helena chodziła bez przerwy. Czuła potrzebę ruchu, nie mogła usiedzieć na miejscu, nie mogła nawet myśleć o położeniu się do łóżka. Spojrzała na zegar; za dwadzieścia dziewięć; co by tu robić? Zaczęła przewracać w szufladach, sama nie wiedząc, czego szuka. Podeszła do biblioteki, popatrzyła na książki nie mogąc się zdecydować na żadną, zniechęcona już samym nrir Tyły woniom tytii- JjŚ2t\* Cisza sypialni dzwontła~jej w uszach; samotność <sup>1u</sup> Przytłaczająca atmosfera pokoju były nie do znie-

sienią, Pragn<sup>^</sup>jh<sup>^</sup>gwaru, ruchu, ludzi, czegoś, co by jej ppZWoTfro zapomnieć o SAMflJ SObia. ^.liwnlgrnLn<sup>n</sup> na. ' sluchiwaŁa przy drzwiach pokoiku Joasi, skąd nio dochodził najmniejszy szmer. Wszystko pogrążone było we śnie. Znowu zaczęła chodzić po pokoju przestawiając wszystko, co jej wpadło w ręką. Przyszło jej nagle do głowy, że Zefiryn pewnie jest jeszcze w kuchni. Z uczuciem ulgi, uszczęśliwiona, że może nie być sama, poszła tam powłócząc pantoflami.

Już w przedpokoju, gdy otwierała oszklone drzwi do małego korytarzyka, usłyszała ze zdziwieniem głuchy odgłos siarczystego policzka.

— A masz! Tylko spróbuj jeszcze raz mnie uszczypnąć!... — wołała Rozalka. —■ Ręce przy sobie!...

Zefiryn mruknął niewyraźnie:

— To przecież nic, najdroższa moja, to tylko tak z miłości...

i — A masz jeszcze...

Skrzypnęły drzwi. Gdy Helena weszła, oboje siedzieli spokojnie za stołem, zapatrzeni w swe talerze, jakby to nie oni mówili przed chwilą. Udawali obojętnych. Tylko twarze były zaczerwienione, oczy błyszczały jak świeczki; kręcili się niespokojnie na wyplatanych krzesłach. Rozalka poderwała się i podbiegła do Heleny.

— Czy pani czego potrzebuje?

Helena nie obmyśliła sobie zawczasu pretekstu. Przyszła, aby ich zobaczyć, porozmawiać z nimi, być po prostu wśród ludzi. Ale teraz zawstydziła się i nie miała odwagi powiedzieć, że nie potrzebuje niczego.

— Może masz jeszcze gorącą wodę? — zapytała wreszcie.

— Nic, proszę pani, i ogień mi prawie wygasł... Ale to nie szkodzi, za minutkę się zrobi... Zaraz się zagrzeje. — Poruszyła w palenisku, postawiła garnek, a widząc, że pani stoi wciąż na progu, dodała. — Zaraz przyniosę, proszę pani.

Helena machnęła ręką, niezdecydowana.

r— Nie spiesz mi się, zaczekam. Nie przeszkudzaj-

cie sobie, moja droga, jedzcie, jedzcie... Przecież on musi niedługo wracać do koszar.

Rozalka w końcu usiadła. Zefiryn, który stał na baczność, usiadł także i krajał mięso szeroko rozstawiając łokcie, by pokazać, że umie się zachować przy stole. Gdy po obiedzie pani jedli we dwoje, nie wysuwali nawet stołu na środek kuchni, woleli siedzieć obok siebie, zwrócieni twarzami do ściany. W ten sposób nie przestając jeść mogli się trącać kolanami, poszturchiwać, szczypać, a kiedy podnosili oczy, mieli przed sobą połyskujące rondle. Na ścianie wisiały pęczki tymianku i laurowych liści. Z pudełka z przyprawami wydobywał się ostry zapach pieprzu. W kuchni panował nieład, naczynia z obiadu porozstawiane były wokoło. Ale mimo to zakochany żołnierz czuł się tu doskonale, apetyt mu dopisywał i mógł sobie wynagrodzić jednostajność koszarowego wikt. Zapach skroplonej octem pieczeni i sałaty wybijał się ponad inne. Odblaski gazowego płomienia tańczyły; w wyczyszczonych miedzianych i żelaznych rondlach. Płyta kuchenna grzała nieznośnie, więc uchylili okno i świeże powiewy wiatru napływały z ogrodu poruszając zasłonki z niebieskiego perkalu.

— A więc punktualnie o dziesiątej musicie być w koszarach? — zapytała Helena.

— Tak jest, z przeproszeniem, proszę pani — odpowiedział Zefiryn.

— To ładny kawał drogi L. Jeździcie omnibusem?.

— Jak czasem, proszę pani... Jak się dobrze pomaszeruje, to jeszcze prędejsz się zajdzie.

Helena przeszła się po kuchni i oparła o kredens, opuściła ręce splatając dłonie na peniuarze. Rozmawiała z nimi o brzydkiej pogodzie tego dnia, o ko- uzarowym życiu, o drożyznie jajek. Ale po każdej odpowiedzi na jej pytania rozmowa się urywała. Krępowala ich pani stojąca za plecami, nie odwracali #iQ już, mówiąc patrzyli w talerze, kuląc ramiona pod JeJ wzrokiem. Jedli wytwornie małymi kęsami. Helenie było tu dobrze, uspokajała się powoli.

— Niech się pani nie niecierpliwi — powiedziała Rożalka. — Woda już syczy... Gdyby był większy ogień...

Helena nie pozwoliła jej wstać od stołu. Jeszcze zdąży. Czują w nogach ogromną ociężałość. Machinalnie, nie zastanawiając się, co robi, przeszła przez kuchnię, zbliżyła się do okna, gdzie stało trzecie, bardzo wysokie krzesło. Ale nie od razu usiadła na nim. Na rogu stołu zauważyła cały stos obrazków.

— A to co takiego? — powiedziała biorąc je do ręki, by sprawić przyjemność Zefirynowi.

Mały, żołnierz uśmiechnął się radośnie. Rozpromienił się cały patrząc, jak pani przegląda obrazki, i kiwał głową, gdy podziwiała jakiś bardzo kolorowy.

— Ten tu — powiedział niespodziewanie — znalazłem na ulicy du Tempie... Bardzo piękna kobieta, ta z kwiatami w koszyku.

Helena usiadła. Przypatrywała się pięknej kobiecie na złocistym i błyszczącym wieku od pudełka po karmelkach, które Zefiryń wytarł starannie. Ścierka rozwieszona na poręczy krzesła nie pozwalała Helenie oprzeć się. Odsunęła ją i dalej oglądała obrazki. Zefiryń i Rożalka widząc, że pani jest tak łaskawa, nie czuli się już skrępowani. Wreszcie nawet zapomnieli o niej. Jeden za drugim odkładała obrazki na kolana, patrzyła na zakochanych, uśmiechając się leciutko, i słuchała, co mówią.

— No cóż, mój mały — mówiła służąca — nie dobierzesz sobie pieczeni?

Zefiryń nie odpowiedział ani tak, ani nie. Kręcił się na krześle, jakby go połaskotano, i aż promieniał, gdy dołożyła mu na talerz gruby plaster mięsa. Czerwone naramienniki unosiły się w górę, a okrągła głowa o odstających uszach kiwała się w żółtym kołnierzu, jak u porcelanowego Chińczyka. W bezgłośnym śmiechu zatrzęsły mu się ramiona, na których zapięta pod szyję bluza niemal pękała. Nigdy jej nie rozpiął yr kuchni z szacunku dla pani.

— To lepsze niż rzepy starego Rouveta — powiedział wreszcie z ustami pełnymi pieczeni.

Były to wspomnienia z ich rodzinnej wioski. Oboje zaśmiewali się do łez. Rożalka aż przytrzymała się stołu, by nie upaść. Kiedyś, jeszcze przed pierwszą komunią, Zefiryń ściągnął trzy rzepy staremu Rouvetowi. Twarde były te rzepy, zęby można sobie było na nich połamać! Rożalka jednak zjadła swoją połowę, ukryta za szkołą. I odtąd ilekroć zdarzyło się im jeść razem, Zefiryń nie omieszkiał powiedzieć:

— To lepsze niż rzepy starego Rouveta.

L zawsze wtedy Rożalka wybuchała takim śmiechem, że pękała jej tasiemka przy spódnicy. Tym razem także się rozerwała.

— A co, już pękła! — zawołał z triumfem mały żołnierz.

Wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, ale Rożalka trzępnęła go mocno po niej.

— Siedź spokojnie, i tak jej nie zeszyjesz... Jakie to głupie rozrywać mi stale tasiemkę. Co tygodnia muszę wciągać nową.

A gdy mimo wszystko chciał sprawdzić własnoręcznie, chwyciła swymi grubymi palcami kawałek skóry na jego dłoni i wykręciła boleśnie. Ta oznaka czułości podnieciła go jeszcze bardziej, ale spiorunowała go wzrokiem wskazując na panią, która na nich patrzyła. Nie przejął się zbytnio i wpakował sobie do ust olbrzymi kawał pieczeni, mrużąc oczy. Mina rozochoconego wojaka zdawała się mówić, że wszystkie kobiety, nawet wielkie panie, nie gniewają się o takie żarty. Na pewno lubią choć popatrzeć na kochających się ludzi.

— Jeszcze pięć lat musicie służyć w wojsku? — spytała Helena siedząc na wysokim drewnianym krześle, urzeczona ich pogodnym szczęściem

— Tak, proszę pani, może tylko cztery, jeśli nie będę potrzebny.

Rożalka pojęła, że pani ma na myśli ich małżeństwo. Niby z wielką złością wykrzyknęła:



— Proszę pani, dla mnie to może służyć jeszcze i dziesięć nawet. Na pewno nie będę o niego pisała do rządu. Zaczyna sobie za dużo pozwalać, już go tam zdążyli nauczyć... Tak, tak, możesz sobie się śmiać. Ale ze mną to ci się nic uda. Kiedy pójdziemy do pana mera, zobaczymy, kto się będzie śmiać.

A kiedy śmiał się jeszcze bardziej, by wobec pani okazać się prawdziwym zdobywcą serc, Rozalka rozgniewała się na dobre.

— 'Możesz sobie poszukać innej, proszę bardzo!... On zupełnie zgłupiał, proszę pani. To ten mundur ich ogłupia, aż strach pomyśleć! To przy kolegach nauczył się tak przechwalać. Jak go kiedy wyrzucę za drzwi, zobaczy pani, że będzie płakał na schodach... Mara cię w nosie, mój mały! Jak mi się nie będzie chciało, to długo poczekaasz, nim obejrzyś moje podwiązki. — Spojrzała mu prosto w oczy, ale gdy zobaczyła, że na jego dobroduszej, piegowatej twarzy pojawił się niepokój, zmiękła od razu i powiedziała bez żadnego przejścia: — Ale, ale, nie powiedziałam ci jeszcze, że miałam list od ciotki... Guignardy chcieliby sprzedać swój dom prawie za grosze... Może będziemy mogli... Później...

— Do diabła! — wybuchnął Zefiryn uradowany. — Byłoby się na swoich śmieciach... Miałoby się gdzie postawić dwie krowy.

Nie mówili więcej. Jedli teraz deser. Mały żołnierz jak łakome dziecko zlizywał z chleba powidlą, a służąca z macierzyńską troskliwością starannie obierała mu jabłko. Zefiryn w jednej ręce trzymał chleb z powidłami, drugą opuścił pod stół i gładził ją po kolanie, ale tak delikatnie, że mogła udać, iż tego nic czuje. Nie gniewała się, jeżeli tylko nie posuwał się za daleko. I choć się do tego nie przyznawała, musiała lubić takie oznaki czułości, bo z zadowolenia aż wierciła się na krześle. Tego dnia przyjęcie u Rozalii Pichon było niezwykle udane.

Proszę pani, woda już kipi — powiedziała po chwili milczenia.

. t ■ , . 270

Helena nie poruszyła się. Czuła się jak otulona i cici miłością. I pogrążyła się w marzeniach. Marzyła za nich wyobrażając sobie, jak to będą w przyszłości mieszkać razem w swej wiosce, w domu po Guignardach, ze swymi dwiema krowami. Uśmiechnęła się, widząc, jak siedzą: on z poważną miną, z jednej ręką pod stołem, a Rozalka sztywno wyprostowana, by nic nie dać poznać po sobie. W świadomości Heleny zatracało się poczucie tego, kim jest sama, a kim tamci, zapomniała, gdzie jest, co tu robi; miedziane rondle połyskiwały, na ścianie, Helena zamysliła się, nie chciało się jej stąd ruszać, było jej dobrze z nimi, nie raził nieporządek w kuchni. Dobrowolne zniżenie się do tych prostych ludzi, którym tak niewiele potrzeba było do szczęścia, sprawiało jej szczególną przyjemność. Od rozpalonej płyty szła ku niej fala ciepła, aż krople potu wystąpiły na czole, na karku czuła miły, chłodny powiew wiatru z otwartego okna.

— Woda kipi, proszę pani ■ — powtórzyła Rozalka. — Wszystko się wygotuje, nic nie zostanie w kociołku.

Postawiła przed nią garnek z wodą. Helena, trochę zdziwiona, musiała wreszcie wstać.

— Tak, tak... bardzo ci dziękuję.

Nie miała już powodu, by siedzieć tu dłużej. Odeszła z żalem, ociągając się; w sypialni nie wiedziała, co zrobić z garnkiem wody. Budziły się w niej zmysły. Drętwota, dotychczas ją otępiająca, tajała teraz i spływała falą namiętności, które paliły jak ogień. Drżała z pragnienia nie zaznanej wcale rozkoszy. Napływały wspomnienia, nieco za późno wzburzyła się w niej krew, namiętność, której nie zaspokojono. Wyprostowana stała pośrodku pokoju prężąc się całym ciałem, załamując nerwowo wzniesione ponad głowę ręce, aż trzeszczało jej w stawach. Kochała go, pragnęła, następnym razem odda mu się naprawdę.

W chwili gdy zdejmowała penniwr oglądając swe nagie ramiona, wydało się jej, że słyszy kaszel Joasi;

przestraszona chwyciła lampę. Dziewczynka miała zamknięte powieki, zdawała się spać. Ale gdy uspokojona odwróciła się od niej, Joasia otworzyła szeroko swe czarne oczy i śledziła matkę wracającą do sypialni. Nie spała jeszcze. Nie chciała, by matka ją usypiała. Schowała głowę pod kołdrę, głusząc nowy atak kaszlu, który rozrywał jej płuca. Teraz mogła już sobie umrzeć, matka nawet tego nie zauważyła. Patrzyła przed siebie w ciemności szeroko otwartymi oczami. Wszystko rozważyła, wszystko zrozumiała, wszystko już wiedziała i chciała umrzeć bez skargi.

II

Nazajutrz Helena pomyślała, jak ułożyć sobie życie. Zbudziła się z poczuciem konieczności walki o swe szczęście. Drżała z obawy, że przez jakiś fałszywy krok może utracić Henryka. W porannym chłodzie, gdy pokój spał jeszcze, czuła, że całą istotą pragnie go i uwielbia. Nigdy dotąd nie troszczyła się o to, czy potrafi dość zręcznie kierować swymi sprawami. Od razu postanowiła, że musi się jeszcze tego przedpołudnia zobaczyć z Juliettą. Tylko w ten sposób uniknie kłopotliwych wyjaśnień, dociekań, które mogą zniweczyć wszystko.

Pani Deberle wstała już, gdy około dziewiątej Helena zjawiała się u niej. Była blada, oczy miała zaczerwienione jak bohaterka dramatu. Gdy tylko zobaczyła Helenę, rzuciła się jej z płaczem w ramiona, nazywając swym aniołem stróżem. Wcale przecież tego Malignona nie kocha! Może przysiąc! Boże mój, co za idiotyczna historia! Nie przeżyłaby tego na pewno, przecież teraz czuje wyraźnie, że ze wszystkich kobiet świata najmniej nadaje się do tych powikłań, kłamstw, cierpień zadawanych przez miłość zawsze niezmiennie okrutną. Jakże bardzo się cieszy, że nie dała się wciągnąć, że zachowała wolność. Śmiała się, szczęśliwa, to znów szlochała błagając przyjaciółkę,

by nią nie gardziła. Na dnie tego podniecenia krył się niepokój, że mąż wie o wszystkim. Wieczorem wrócił ogromnie czymś wzburzony. Zasypała Helenę pytaniami. Helena śmiało i bez zająknięcia, sama sobie nie mogąc się nadziwić, opowiedziała jej całą historię z obfitością najdrobniejszych szczegółów, które zmyślała na poczekaniu. Przysięgła, że doktor nie wie o niczym. To ona sama, gdy dowiedziała się o wszystkim, postanowiła ją uratować i umyśliła sobie, że w ten sposób przeszkodzi schadzce. Z uśmiechem radości na zalanej łzami twarzy Julietta słuchała i uwierzyła w tę bajkę. Raz jeszcze rzuciła się przyjaciółce na szyję, a czułości te nie wprawiały Heleny w najmniejsze zakłopotanie; teraz nie doznawała żadnych skrupułów, które dotąd tak ją dręczyły. Wreszcie Julietta przyrzekła, że zachowa spokój, i Helena wyszła od niej śmiejąc się w duszy, pełna podziwu dla własnej przebiegłości.

Minęło kilka dni. Nie przestawała myśleć o Henryku, żyła jego życiem, w jej własnym wszystko przestało być ważne, wszystko zmieniło się nie do poznania. Ważne były teraz tylko sprawy sąsiedniej willi, gdzie Henryk żył i oddychał. Gdy tylko mogła swą wizytę czymś upozorować, biegła tam uradowana, szczęśliwa, że oddycha tym samym powietrzem co on. Zaskoczona i upojona, że kocha i jest kochana, traktowała Juliettę jak przedmiot należący do Henryka i sam jej widok był dla niej miły, prawie rozrzuwający. Mimo jej częstych wizyt Henryk nie miał okazji widzieć się z nią sam na sam. Można by sądzić, że Helena specjalnie opóźnia chwilę ich powtórnej schadzki. Któregoś wieczoru, gdy odprowadził ją do przedpokoju, kazała mu przysiąc, że nigdy więcej nie pokaże się w domu przy Zaułku, dodając, że to by ją skompromitowało. Sami nie wiedzieli, gdzie i kiedy przeżyją swoją drugą noc, ale w oczekiwaniu jej oboje drżeli z niecierpliwości. Helena, dręczona żądzą, niecierpliwie pragnęła tej chwili, która była odtąd jedynym celem jej życia. Zobojętniała

na wszystko inne, dnie całe spędzała na marzeniach i jej całkowite szczęście mącił jedynie niepokój z powodu kaszlu Joasi.

Kaszel Joasi był krótki i suchy, a pod wieczór stawał się coraz częstszy i bardziej gwałtowny. Miewała podwyższoną temperaturę, w nocy pociła się, budziła się osłabiona. Na pytania matki odpowiadała, że nic jej nie jest, że czuje się zdrowa. To pewnie przeziębienie jeszcze nie przeszło. Helena uspokajała się tym tłumaczeniem i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się tuż obok niej dzieje, ale mimo upojenia, w jakim teraz żyła, doznawała jednak niejasnego uczucia głuchego bólu przygniatającego ją jak ciężar i przedziwnie dotkliwego. Czasem rozrzucona radością, której przyczyny nie potrafiłaby określić, nagle czuła tuż za plecami jakieś nieszczęście i ogarniała ją trwoga. Odwracała się i uśmiechała z ulgą: nie było za nią nikogo. Gdy człowiek jest zbyt szczęśliwy, wciąż drży z niepokojem. Joasia piła ziółka — ma pewno kaszel przejdzie jej niedługo.

Pewnego popołudnia stary doktor Bodin, który stał się przyjacielem domu, przedłużył swą wizytę i kątem małych niebieskich oczu zaniepokojony przyglądał się Joasi. Niby to dla zabawy wypytywał ją o różne rzeczy i tego dnia na tym poprzestał. Ale w dwa dni potem zjawił się znów i teraz, nie badając już Joasi, z jowialnością starego człowieka, który wiele w życiu widział, zaczął rozmawiać o podróżach. Był kiedyś lekarzem wojskowym i znał całe Włochy. Uroczy kraj, trzeba go zwiedzać wiosną. Dlaczego pani Grandjean nie zawiezie tam córki? Wreszcie po długim lawirowaniu poradził wręcz dłuższy pobyt w tym kraju słońca, jak się wyraził. Helena spojrzała na niego uważnie. Wówczas zaczął się tłumaczyć — żadna z nich nie jest chora, oczywiście, ale zmiana powietrza każdego odświeża i odmładza. Na myśl o opuszczeniu Paryża Helena zbladła przejęta śmiertelnym chłodem. Boże mój! Odjechać tak daleko, tak strasznie daleko! Tak niespodziewanie stracić Henryka, miłość ich pozbawić jutro! Przejęło ją to taką rozpaczą, że schyliła się nad Joasią, by ukryć wzruszenie. A Joasia, czy chciałaby pojechać? Dziewczynka splotła dłonie, jakby skostniała z zimna. Tak, tak, bardzo by chciała! Bardzo by chciała pojechać do słońca tylko z matką! Same, bez nikogo! I jej wymizerowana twarzyczka z wypiekami gorączki rozbłysła nadzieją nowego życia. Ale Helena, nieufna, buntująca się, przekonana, że wszyscy: ksiądz, doktor Bodin, nawet Joasia, sprzysięgli się, by rozłączyć ją z Henrykiem, nie chciała o niczym słyszeć. Stary doktor widząc, jak pobladła, sądził, że nie był dość ostrożny, pośpieszył dodać, że nie ma nic pilnego, ale postanowił sobie pomówić jeszcze o tym z Heleną.

Tego dnia pani Deberle miała być w domu i zaraz po wyjściu doktora Helena szybko nałożyła kapelusz. Joasia wolała zostać w domu, najlepiej czuła się przy kominku, obiecała być grzeczna, nie otwierać okna. Teraz już nie napierała się wcale, by matka zabierała ją ze sobą, odprowadzała ją tylko wiele mówiącym spojrzeniem. Potem, gdy zostawała sama, kulila się na krześle i siedziała tak nieruchomo całymi godzinami.

— Mamo, czy to daleko do tych Włoch? — zapytała, gdy Helena odchodząc pocałowała ją na pożegnanie.

— Bardzo daleko, moja malutka.

Joasia objęła ją za szyję i przytrzymała chwilę mówiąc:

— Wiesz co, Rozalka będzie pilnować mieszkania. Obejdzimy się bez niej... Weźmiemy tylko jeden mały kuferek... Jak by było nam dobrze, mateczko! Same, bez nikogo!... Wróciłabym taka gruba, o taka!

Wydęła policzki i pokazała rękoma, jaka byłaby gruba. Helena odpowiedziała, że pomyśli o tym, i wysłała polecając Rozalce, by nie zapomniała czasem o panience. Joasia skuliła się przy kominku i pograżona w marzeniach patrzyła na płomień. Od czasu do czasu odruchowo wyciągała ręce, by ogrzać

je przy ogniu. Blask jego raził ją w oczy. Była tak zamyślona, że nie słyszała, jak pan Rambaud wszedł do pokoju. Przychodził teraz częściej w sprawie — jak mówił — tej sparaliżowanej kobiety, której doktor Deberle nie zdołał jeszcze umieścić w przytułku. Gdy zastawał Joasię samą, siadał po drugiej stronie kominka i rozmawiał z nią jak z dorosłą. To doprawdy przykre, biedna kobieta czeka już cały tydzień, ale on zaraz zejdzie na dół, zobaczy się z doktorem, który wreszcie może to załatwi. Jednak nie odchodził.

— Mamusia nie wzięła cię ze sobą? Zmęczona, zrezygnowana, wzruszyła ramionami.

[Wszystko przestało ją bawić. Wizyty, ludzie już ją tylko męczą. I dodała:

— Starzeję się. Nie mogę się przecież stale bawić jak dzieci. Mama lubi się bawić w towarzystwie, a ja najlepiej bawię się u siebie w domu, sama ze sobą. I dlatego nie możemy bawić się razem.

Zapadła cisza. Dziewczynka zadrżała z zimna i wyciągnęła ręce do palącego się jasnym płomieniem ognia. Naprawdę przypominała staruszkę: głowę mia- r ła owiniętą ciepłą chustką, na szyi szalik, a plecy otulone ogromnym pledem. Tak grubo opatulona podobna była do ciężko dyszącego małego, chorego ptaka z nastroszonymi piórami. Pan Rambaud z rękami splecionymi na kolanach wpatrywał się w ogień, po chwili odwrócił się do Joasi i zapytał, czy matka wychodziła wczoraj. Joasia potwierdziła skinieniem głowy. A przedwczoraj? A dwa dni temu? Wciąż kiwała głową potakująco. Mama wychodziła codziennie. Pan Rambaud i Joasia, bladzi i poważni, spojrzeli na siebie przeciągle, jak gdyby dzieląc się wspólnym zmartwieniem. Nic nie mówili, bo trudno małej dziewczynce rozmawiać o tych sprawach ze starym człowiekiem, ale oboje wiedzieli dobrze, dlaczego są smutni i dlaczego siedzą po obu stronach kominka w pustym domu. Garnęli się do siebie, by czuć się

mniej osamotnieni. Razem, naprzeciwko siebie, było im lżej. Byli sobie w tej chwili bardzo bliscy, mieli ochotę pocałować się i płakać.

— Musi ci być zimno, mój kochany, na pewno. Przysuń się bliżej do ognia.

— Ale nie, kochanie, wcale mi nie zimno.

— Tylko tak mówisz, masz zmarznięte ręce... Przysuń się bliżej, bo się pogniewam.

— Teraz on się zaczął niepokoić.

— Może ci naparzyć ziółek... Pewnie ich nie piłaś, pewnie zapomniano ci je przyszykować, założę się... Doskonale umiem jarzyć ziółka, zobaczysz... Gdybym to ja opiekował się tobą, przekonałabyś się, że miałabyś wszystko w porę.

— Nie pozwalał sobie mówić wyraźniej. ^

Joasia odpowiedziała żywo, że ziółek piła już aż za dużo i całkiem jej obrzydły. Czasami zgadzała się jednak, by pan Rambaud krzątał się przy niej jak matka koło dziecka. Podsuwał jej poduszkę pod plecy, podawał lekarstwa, o których zapominała. Gdy przechodziła przez pokój, podtrzymywał ją troskliwie. Te dowody czułości wzruszały oboje. Bawili się w ojca i córkę, których matka wyszła, jak to określała Joasia patrząc na pana Rambaud tak przejmująco, że pocziwiec drżał pod tym spojrzeniem. Nagle ogarniał ich smutek, przestawali mówić i ukradkiem spoglądali na siebie ze współczuciem.

Tego dnia po długiej chwili ciszy dziewczynka powtórzyła pytanie zadane poprzednio matce:

— Czy to daleko do Włoch?

— No chyba — powiedział pan Rambaud — to jeszcze dobry kawał drogi za Marsylią... Dlaczego pytasz o to?

— A bo tak... — odpowiedziała poważnie.

Zaczęła się skarżyć, że nic nie umie. Wciąż jest chora. Nigdy nie chodziła do szkoły. Wreszcie oboje umilkli usypiani ciepłem kominka.

Tymczasem Helena zastała panią Deberle i Paulinę w pawilonie japońskim, gdzie często teraz spędzały

popołudnia. Było bardzo duszno, z wylotu kaloryferów buchało gorącym powietrzem. Przez wielkie pozamykane okna widać było mały ogródek w zimowej szacie, podobny do grawiury wykonanej sepią z najdrobniejszymi szczegółami. Małe czarne gałązki odcinały się ostro na tle brązowej ziemi. Siostry sprzeczały się ze sobą zawzięcie.

— Nie zavracaj głowy! — wołała Julietta. — W naszym interesie jest sojusz z Turcją.

— A mnie mówił pewien Rosjanin — odpowiedziała Paulina, również cała rozgorączkowana — że w Petersburgu mają dla nas dużo sympatii. To właśnie są nasi prawdziwi przyjaciele.

Julietta skrzyżowała ramiona i powiedziała poważnie:

— Cóż więc zrobisz z równowagą europejską?

Cały Paryż żył sprawą Bliskiego Wschodu, wszędzie mówiono tylko o niej; kobiecie choć trochę obytej towarzysko nie wypadało mówić o czym innym. Od idwóch dni pani Deberle pochłonięta była bez reszty polityką zagraniczną. Miała już ustalone poglądy na wszystkie grożące poważnymi następstwami ewentualności. Tymczasem Paulina chcąc być oryginalna stała po stronie Rosji wbrew oczywistym interesom Francji. Julietta nie mogła nawet słuchać spokojnie jej wywodów, najpierw usiłowała ją przekonać, a potem zniecierpliwiła się i uniosła.

— Daj spokój! Przestań gadać, pleciesz same głupstwa... Nie masz o tych sprawach zielonego pojęcia. Przecież zrozum... — Przerwała, witając się z wchodzącą Heleną. — Dzień dobry, kochana. Świetnie, że pani przyszła... Pani pewnie jeszcze nie wie. Dziś od rana mówią o ultimatum. Posiedzenie parlamentu było niezwykle burzliwe.

— Nie, nic o tym nie wiem — powiedziała Helena zaskoczona pytaniem. — Ja tak mało wychodzę z domu.

Zresztą Julietta nie zwracała, uwagi na jej odpowiedź. Tłumaczyła dalej Paulinie, dlaczego musi być utrzymana swoboda żeglugi na Morzu Czarnym, co chwila wymieniając angielskich i rosyjskich generałów jak swych dobrych znajomych, których trudne nazwiska wymawiała zadziwiająco poprawnie. Henryk nadszedł z całą furą gazet. Helena domyśliła się, że przyszedł tu dla niej. Oczy ich spotkały się, wpatrzyli się w siebie. Przy powitaniu nie zamienili ani słowa i tylko jakby się objęli nawzajem w długim i mocnym uścisku ręki.

— Jest coś nowego w gazetach? §§§ zapytała Julietta podniecona.

— W gazetach, moja droga? — odpowiedział doktor. — Tam przecież nigdy nic nie ma.

Na chwilę zapomniano o Bliskim Wschodzie. Rozmawiano o kimś, kto miał przyjść, a wciąż jeszcze go nie było. Paulina zauważyła, że już blisko trzecia. Przyjdzie, przyjdzie na pewno, obiecał solennie, zapewniała pani Deberle nie mówiąc, o kogo chodzi. Helena słuchała nie słysząc. Wszystko, co nie było Henrykiem, nie ciekawiło jej ani trochę. Nie przynosiła, już swych robótek, siedziała po parę godzin nie biorąc udziału w rozmowie, marząc stale jak dziecko, że wszyscy znikną jakimś cudem, a oni zostaną we dwoje. Odpowiadała na pytania Julietty, a spojrzenie Henryka stale krzyżujące się z jej spojrzeniem niepokoiło ją rozkosznie. Niby chcąc poprawić firankę, przeszedł za jej plecami i dotknął lekko włosów. Po dreszczu, jakiego doznała, poczuła dobrze, że pragnie i domaga się schadzki, a ona także nie miała już sił opierać się dłużej.

— Ktoś dzwoni, to na pewno on — powiedziała niespodzianie Paulina.

Siostry przybrały obojętny wyraz twarzy. Wszedł Malignon, jeszcze staranniejszy niż zwykle ubrany, bardzo poważny i uro"czysty. Uściskał wyciągnięte ku sobie ręce, zachowywał się jednak powściągliwie i oficjalnie w domu, gdzie do niedawna był codziennym gościem. Paulina i doktor narzekali, że ostatnio widują go tak rzadko, a Julietta nachyliła się nad He

leną, które pomimo swego całkowitego zobojętnienia była jednak zaskoczona.

— Dziwi się pani, prawda? Boże mój! W gruncio rzeczy nie mam do niego żalu, ostatecznie to taki dobry chłopak, trudno się na niego gniewać... Nloch pani sobie wyobrazi, że wygrzebał męża dla Paullny. Nie uważa pani, że to bardzo ładnie z jogo strony?,

— Oczywiście — zgodziła się uprzejmie Helena.

— To jeden z jego przyjaciół, bardzo bogaty, który wcale nie miał zamiaru się zenić... Obiecał go do nas przyprowadzić... Nie mogliśmy się go dziś doczekać, bo ma dać ostateczną odpowiedź... Byłam zmuszona wobec tego zapomnieć o wielu sprawach... Sama pani chyba rozumie. Zresztą nie jest już dla mnie niebezpieczny, znamy się teraz aż za dobrze.

Roześmiała się bardzo wesoło, lekko zarumieniona wywołanym wspomnieniem, i zajęła się Malignonem rozmawiając z nim z ożywieniem. Helena uśmiechała się również, znajdowała w tym dla siebie choć częściowe wytłumaczenie. Jakże była głupia przeżywając całe tragedie, gdy wszystko układało się tak uroczo i gładko. Żadne zakazy moralno nie są w gruncie rzeczy niewzruszone — pocieszała się z satysfakcją. Gdy Julietta i Paulina otworzyły drzwi pawilonu i wyprowadziły Malignona do ogrodu, Helena usłyszała tuż za plecami stłumiony a namiętny głos Henryka.

— Heleno! Błagam cię! Kiedy?... Proizę cię...

Zadrzała i przestraszona rozejrzała się dookoła. Byli sami, widziału tamtych troje spacerujących po alejkach ogrodu; Henryk ujął ją za ramiona. Przeraziła się, a przerażenie jej pełne było upojenia.

— Kiedy zechcesz — szepnęła rozumiejąc dobrze\* że prosi o schadzkę.

Rozmawiali szybko, urywanymi zdaniami.

— Czekaj na mnie dziś wieczór w domu w Zaułku.

~t Niemożliwe... Wiesz przecież, tłumaczyłam ci Już—  
przrzekleś...

SM

-- A więc gdzie chcesz... gdziekolwiek... Bylebyśmy tylko mogli być razem... Może u ciebie, dziś wieczór?

Obruszyła się, przecząco pokręciła tylko głową widząc, że panie wracają z Malignonem do pawilonu. Pani Deberle, która wyprowadziła go pod pozorom pokazania fiołków rozkwitłych nieoczekiwanie tak późno, wracała rozpromieniona wyprzedzając tamtych dwoje.

— Załatwione —<sup>J</sup> wyszeptła.

— Co załatwione? — zawołała Helena jeszcze wzbu\* < rzonu, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— No, przecież to małżeństwo!... Nareszcie po kło- pociel... Za długo to się z Pauliną przeciągało... Ten młody człowiek widział ją i jest zachwycony. Jutro będziemy razem na obiedzie u papy... Mam ochoty wycalować Malignona za to.

Honryk, całkowicie opanowany, powoli odsunął się od Heleny. On także wydawał się Malignonem oczarowany i ogromnie cieszył się wraz z żoną z małżeństwa swej kochanej szwagierki, a potem zwrócił Helenie uwagę, że gubi rękawiczkę. Helena podziękowała. Z ogrodu dobiegał rozbawiony głos Paullny; rozmawiała z Malignonem, szepiała mu coś do ucha, a gdy jej odpowiadał w ten sam sposób, wybuchała śmiechem. Zapewne mówił coś o przyszłym narzeczonym. Przez otwarte drzwi pawilonu Helena z rozkoszą oddychała świeżym powietrzem.

W tej właśnie chwili w mieszkaniu jej Joasia i pan Rambaud umilkli, prawie uśpieni ciepłem kominka. Po długiej chwili milczenia dziewczynka nagle zapytała, a pytanie to było jakby zakończeniem jej marzeń:

— Może byśmy poszli do kuchni?... Może zobaczymy stamtąd mamę?...

— Świetnie, chodźmy — powiedział pan Rambaud.

Togo dnia czuła się nioco lepiej. O własnych siłach przeszła do kuchni i przycisnęła twarz do szyby. Pan Rambaud również wyglądał przez okno. Poprzez nagło gałęzie drzew, przez wielkie lustrzane szyby w-

dać było wyraźnie wewnątrz japońskiego pawilonu. Rozalka zajęta szumowaniem rosółu zauważyła, że panienka jest bardzo ciekawa. Dziewczynka dojrzała suknię matki i pokazywała ją rozplaszczając twarz na szybie, by lepiej widzieć. Paulina, która właśnie uniosła głowę, zaczęła dawać jej znaki. Helena ukazała się także przyzywając ręką córkę do siebie.

— O! Zobaczyli panienkę — powiedziała Rozalka. — Chcą, żeby panienka do nich zeszła.

Pan Rambaud musiał otworzyć okno. Wszyscy prosili usilnie, by koniecznie przyprowadził Joasię. Joasia odmówiła stanowczo i schowało się w głąb pokoju zarzucając swemu przyjacielowi, że umyślnie stukał w szybę. Bardzo chciała popatrzeć na matkę, ale za nic nie chciała iść tam do nich, i na wszystkie perswazje i prośby pana Rambaud odpowiadała swym okropnym: „A bo tak”, które musiało wystarczyć za wszelkie wyjaśnienia.

— Właśnie ty nie powinienesz mnie do tego zmuszać — rzekła wreszcie z ponurą miną.

Powtarzała jej jednak dalej, że przysparza matce zmartwienia, że nie można wobec obcych tak głupio kapryścić. Wcale nie będzie jej zimno, ubiorze się ciep- ło, i tak perswadując otulała ją pledem, a na głowę zamiast chustki włożył ciepły kapturek. Już ubrana, Joasia opierała się jeszcze. Wreszcie zgodziła się zejść pod warunkiem, że gdy tylko będzie się czuła źło, pan Rambaud odprowadzi ją od razu na górę. Kon- sjerżka otworzyła im furtkę do ogrodu, gdzie przyjęto ich okrzykami radości. Zwłaszcza pani Deberle była dla Joasi bardzo serdeczna. Posadziła ją w fotolu przy kaloryferze, poleciła natychmiast zamknąć okna mówiąc, że powietrze jest zbyt ostre dla drogiego dziecka. Malignona już nie było. Helena zmieszała się trochę, gdy zobaczyła Joasię wśród obcych tak dziwnie opatuloną pledem i w kapturku na głowie; poprawiła jej potargane włosy. Julietta zawołała:

~T Niechże pani da spokój. Przocioi jesteśmy w rodzinie... Biedne dziecko, tak nam jej brakowało,

Zadzwoń 1 zapytała, czy panna Smithson już wróciła z Lucjanem ze spaceru. Nie było ich jeszcze.

Zresztą Lucjan jest ostatnio zupełnie nieznośny. Poprzedniego dnia wszystkie pięć panien Levasseur płakały przez niego.

— Może zabawilibyśmy się w ciuciubabkę? — spytała Paulina, którą oszołamiała myśl o przyszłym mał- żeństwie. — To nie jest wcale męczące.

Ale Joasia przecząco pokręciła głową. Spod oka uważnie przyglądała się wszystkim dokoła. Doktor Deberle zawiadomił pana Rambaud, że jego protegowana została wreszcie przyjęta do przytułku, a pan Rambaud, wzruszony, ścisnął mu rękę, jakby jemu osobiście wyświadczono wielkie dobrodziejstwo. Wszyscy rozsiedli się w fotelach i rozmowa przeszła w swobodną, miłą pogawędkę. Głosy ściszały się, chwilami milkły zupełnie. Pani Deberle z Pauliną szeptały między sobą.

— Doktor Bodin radzi nam wyjechać do Włoch — powiedziała Helena do doktora i pana Rambaud.

— Aha, to dlatego Joasia wypytywała o Włochy — wykrzyknął pan Rambaud. — Chciałabyś tam poje- chać, prawda?

Dziewczynka bez słowa przycisnęła obie ręce do piersi, a jej ziemista twarzyczka rozpromieniła się.

Trwożliwie spojrzała na doktora zdając sobie sprawę, że matka radzi się go. Zadrżał lekko, ale zapanował nad sobą. Niespodziewanie wmieszała się Julietta, pragnąc jak zawsze brać udział w każdej rozmowie.

— Co? Co? Mówicie o Włoszech?... Mówi pani, że wybiera się pani do Włoch?... Co za zabawny sbieg okoliczności! Akurat dziś rano nudziłam Henryka, by mnie zawiózł do Neapolu... Niech sobie pani wyobrazi, od dziesięciu lat marzę, by zobaczyć Neapol. Obiecuję mi każdej wiosny, a potem kończy się na obietnicy.

— Nie powiedziałem ci przecież, że nie chcę jechać — powiedział doktor,

■

Jak to, nie mówiłeś?... Powiedziałeś mi wyraźnie, tłumacząc, że nie możesz opuścić swoich chorych. Joasia przysłuchiwała się. Odruchowo wykręcała sobie palce jeden po drugim, a głęboka zmarszczka przecięła jej czoło.

— Moich chorych?... — odpowiedział doktor. — Przez kilka tygodni doskonale może mnie zastąpić któryś z kolegów... Gdybym był pewien, że ci to sprawi tak wielką przyjemność...

— Czy pan także jest zdania, panie doktorze — przerwała Helena — że taka podróż zrobiłaby Joasi dobrze?

— Oczywiście, to by ją od razu postawiło na nogi... Dzieciom zawsze podróż służy doskonale.

— A więc — zawołała Julietta — zabierzemy Lucjana i pojedziemy wszyscy razem... Zgoda?

— Ależ oczywiście, zgadzam się zawsze na wszystko, czego chcesz — odpowiedział z uśmiechem.

Joasia spuściła głowę ocierając dwie wielkie łzy, które gniew i ból wycisnęły jej z oczu. Usiadła głębiej w fotelu, jakby nie chcąc nic więcej słyszeć ani widzieć, a pani Deberle, zachwycona niespodziewaną perspektywą przyjemnego spędzenia czasu w najbliższej przyszłości, wybuchnęła potokiem hałaśliwych słów. Bardzo miły jest ten jej mąż. Musiała go ucałować. Od razu zaczęła omawiać przygotowania do podróży. Można by wyjechać w następnym tygodniu. Mój Boże! Jakże zdąży załatwić wszystko na czas, jak sobie da radę. Chciała zaraz ustalić trasę podróży, przecież trzeba to z góry postanowić, w Rzymie pozostałoby przez tydzień, potem zatrzymaliby się w okolicy, o której pani de Guiraud opowiadała, że talca urocza. Wreszcie pokłóciła się z Pauliną, która domagała się odłożenia podróży, by mogła pojechać już razem z mężem.

— Ale skądże — powiedziała Julietta — wesele u rządzący po naszym powrocie.

O Joasi zapomniano zupełnie. Dziewczynka przyglądała się uważnie matce i doktorowi. Helena, rzecz prosta, teraz godziła się na podróż, która by ją zbliżyła do Henryka. Jakżeby to było pięknie, jak przyjemnie. Oboje pojechaliby do tej krainy słońca, byłiby razem przez całe dni, mieliby dużo czasu dla siebie. Mimo woli uśmiechnęła się z ulgą, tak bardzo obawiała się utracić go, była tak szczęśliwa, że może wyjechać razem z wszystkimi, których kochała! Gdy Julietta wymieniała miejscowości, przez które będą przejeżdżać, oboje wyobrażali sobie już, że są tam we dwoje, wiosną, że pod pięknym słońcem Włoch spacerują razem, i mówili sobie spojrzemiami, że będą się kochać we wszystkich tych miastach, że będą się kochać wszędzie, gdzie tylko będą razem.

Pan Rambaud, który, zasmucony, nie brał od chwili paru udziału w rozmowie, spostrzegł przygnębienie Joasi. -

— Czujesz się niedobrze, moja 'droga? — zapytał ją półgłosem.

— Tak, bardzo mi niedobrze f.. Odprowadź mnie na górę, bardzo cię proszę.

— Trzeba powiedzieć mamie.

— Nie, nie trzeba, jest zajęta, nie ma czasu... Chodźmy... Chodźmy.

.Wziął ją na rękę mówiąc Helenie, że dziecko jest zmęczone. Helena prosiła, by zaczekał na nią na górze, że zaraz przyjdzie. Dziewczynka, choć nie ważyła wiele, wysuwała mu się z rąk i na drugim piętrze musiał przystanąć dla odpoczynku. Oparła mu głowę na ramieniu i bardzo smutno popatrzyli na siebie. Na schodach było zimno i zupełnie cicho. Zapytał:

— Cieszysz się, że pojedziesz do Włocłf, prawda?

Dziewczynka wybuchnęła płaczem mówiąc, że już nie chce jechać, że woli umrzeć w swoim pokoju. Nie, nie pojedzie tam, zachoruje, czuje to doskonale. Już nigdzie, nigdzie nie pojedzie. Jej trzewiczki można oddać biednym dzieciom. Słakana powiedziała wreszcie całkiem cicho:

s» Pamiętasz, kiedyś wieczorem pytałeś mnie?...



— O co cię pytałem, maleńka?

— O to, czy chcę, żebyś został z mamą na zawsze... Jeżeli jeszcze chcesz, to ja też chcę tego teraz.

Łzy zabłyśły w oczach pana Rambaud. Pocałował ją czule, a Joasia powiedziała jeszcze ciszej:

— Pewnie gniewasz się na mnie, że byłam taka zła wtedy. Widzisz, ja wtedy nie wiedziałam... Ale teraz chcę, żebyś to był ty... I to zaraz, słyszysz? Ciebie kocham więcej niż jego.

Na dole w japońskim pawilonie Helena znowu zapomniała o wszystkim. Ciągłe rozmawiano o podróży. Pragnęła nieodparcie powiedzieć Henrykowi, jak bardzo jest szczęśliwa. W chwili gdy Julietta z Pauliną naradzały się zapamiętała, ile sukien mają wziąć ze sobą, pochyliła się ku Henrykowi i wyznaczając schadzkę, na którą godzinę wcześniej nie chciała się zgodzić, powiedziała:

— Przyjdź dziś wieczór, będę cię czekać.

A gdy wreszcie wracała do siebie, spotkała na schodach przejętą Rozalkę, szybko zbiegającą na dół. Na widok pani służąca krzyknęła:

— Proszę pani! Proszę pani! Niech pani idzie prędko!... Panienka jest bardzo chora!... Pluje krwią...-

ip

Wstając od obiadu doktor Déberle powiedział żonie, że musi odwiedzić pacjentkę, która spodziewa się rozwiązania, i pewnie spędzi przy niej całą noc. Wyszedł z domu o dziewiątej i spacerował nad Sekwaną po zupełnie ciemnym, pustym nadbrzeżu. Dał wilgotny wiatr, a wezbrana rzeka toczyła atramentowe fale. Gdy wybiła jedenasta, wrócił na skarpe Troca- dero i zaczął krążyć wokół domu, którego wielka prostokątna bryła zdawała się być tylko czerniejącą plamą wśród ogólnych ciemności. Jedynie okna stołowego pokoju Heleny świeciły się jeszcze. Obszedł dom dokoła, w kuchni świeciło się także. Zaskoczony, za trzymał się i czekał coraz bardziej niespokojny. Na firankach poruszały się cienie, jakby coś się działo w mieszkaniu. Czyżby pan Rambaud był na obiedzie? Nigdy przecież pocziwiec nie zostawał dłużej niż do dziesiątej. Doktor Deberle nie miał odwagi wejść na górę; cóż by powiedział, gdyby mu drzwi otworzyła Rozalka? Wreszcie około północy, nie mogąc już opanować zniecierpliwienia, zdeterminowany, zadzwonił i przeszedł bez słowa obok konsjerżki. Na górze otworzyła mu Rozalka.

— Ach, to pan doktor. Proszę wejść... Powiem pani, że pan przyszedł... Pani na pewno nie może się pana doktora doczekać.

Wcale nie zdziwiła się widząc go o tej porze, a podczas gdy, zmieszany, w milczeniu wchodził do stołowego pokoju, wzburzona mówiła dalej:

— Panienka jest bardzo, bardzo chora, panie doktorze... Straszna noc! Nóg już nie czuję.

Pozostawiła go samego. Usiadł odruchowo. Zapomniał, że jest lekarzem. Spacerując nad rzeką wyobrażał sobie, jak Helena wprowadzi go do swej sypialni, z palcem na ustach, by nie obudzić śpiącej w sąsiednim pokoju Joasi. Paliby się nocna lampka, pokój pogrążony byłby w cieniu, ich pocałunki nie mąciłyby ciszy. A oto siedział sam, z kapeluszem na kolanach. — przyjęto go tu jako lekarza, a zza drzwi słychać było uparty, suchy kaszel.

Rozalka z miednicą w rękach przebiegła przez pokój mówiąc mu po drodze:

— Pani prosiła, żeby pan doktor nie wchodził.

Siedział niezdecydowany; nie mógł odejść. Więc schadzka przełożona na inny dzień? Przecież to niemożliwe, nic nie rozumiał. Z tymi dziećmi zawsze tylko kłopot i zmartwienie. „Biedna Joasia, istotnie nie ma zdrowia”, rozmyślał siedząc samotnie. Drzwi otworzyły się i wszedł doktor Bodin tłumacząc się gęsto. Wyjaśniał zawile, że został wezwany, że współpraca ze znakomitym kolegą będzie dla niego zawsze wielkim szczęściem.

— Oczywiście, oczywiście — powtarzał doktor Deberle, któremu szumiało w uszach. Stary lekarz uspokoił się, udawał, że się waha, że nie może postawić diagnozy. Zniżając głos opisywał symptomy choroby używając fachowych terminów, przerywał swe wywody i robił wieloznaczne miny. Suchy kaszel bez flegmy, ogromne osłabienie, wysoka temperatura. Czyżby to była gorączka tyfoidalna? Nie wypowiadał się ostatecznie, bał się nieprzewidywanych komplikacji, od tak dawna przecież leczono pacjentkę na nerwicę na tle anemii.

— Cóż pan myśli o tym, panie kolego? — pytał za każdym zdaniem.

Doktor Deberle rozkładał ręce. Słuchając wywodów swego kolegi zaczynał się wstydzić, że go tu zastano, Po co w ogóle tu przychodził?

— Przyłożyłem jej dwie wezykatorie — mówił dalej stary lekarz. — Cóż robić, trzeba czekać... Chciałbym, żeby pan ją zbadał. Powie pan, panie kolego, swoje zdanie.

Wprowadził go do sypialni. Henryk wszedł drżąc cały. Lampa bardzo słabo oświetlała pokój. Przypominał sobie inne podobne noce, ten sam zapach przegrzanego, dusznego pokoju, ten sam półmrok, w którym drzemały meble i obicia. Teraz jednak nikt nie wyszedł mu na spotkanie z wyciągniętymi rękoma, jak to bywało wtedy. Pan Rambaud, przybity, zdawał się drzemać w fotelu. Helena nie odwróciła się nawet, stała przy łóżku, w białym peniuarze wydawała mu się bardzo wysoka. Przez chwilę przypatrywał się Joasi. Była tak osłabiona, że nie miała nawet sił otworzyć oczu. Złana potem, bezwładna, blada, z wypiekami na twarzy.

— Galopujące suchoty — powiedział wreszcie głośno, prawie bezwiednie, nie okazując żadnego zdziwienia, jak gdyby przewidywał to od dawna.

Helena usłyszała i popatrzyła na niego. Oczy miała suche, była zupełnie spokojna, jej spokój był przerażający, —

— Tak pan sądzi, panie kolego? — powiedział doktor Bodin, przytakując głową z miną człowieka, który nie chce wypowiedzieć się pierwszy.

Znów osłuchiwał chorą. Joasia, bezwładna, poddawała się badaniom, zdając się nie rozumieć, dlaczego ją męczą. Lekarze zamienili ze sobą krótkie, lakoniczne uwagi. Stary lekarz mówił o oddechu amforycznym, o oddźwiękach czerepowych, ale udawał, że się jeszcze waha, i napomknął o zapaleniu oskrzeli. Doktor Deberle twierdził, że coś musiało ostatecznie wywołać chorobę, zapewne przeziębienie, ale miał już parokrotnie okazję zaobserwować, że anemia sprzyja gruźlicy. Stojąc za nimi Helena słuchała uważnie.

— Niech pan ją sam osłucha, panie kolego — powiedział doktor Bodin ustępując miejsca Henrykowi.

Henryk pochylił się chcąc unieść chorą. Joasia dotąd nie otworzyła oczu i osłabiona gorączką poddawała się badaniu. Spod rozpiętej koszuli widać było dziecinne piersi nabierające już kształtów kobiecych. Było coś nad wyraz bolesnego i nieskalanego w tym ledwie rozkwitającym życiu naznaczonym już piętnem śmierci. Nie protestowała, gdy badał ją stary lekarz. Ale zaledwie dotknęły ją ręce Henryka, wstrząsnęła się gwałtownie, jak porażona prądem, ocknęła się ze swego ośpienia: wstyd i lęk malował się na jej twarzy. Ruchem zaskoczony w swej nagości młodej kobiety skrzyżowała biedne, wychudzone ramiona na piersiach i wyszeptała drżącym głosem:

— Mamo... Mamo.

Otworzyła oczy. Gdy poznała, kto jej dotykał, ogarnęło ją przerażenie. Zobaczyła wtedy, że jest naga, rozpląkała się ze wstydu i pośpiesznie nakryła kołdrą. W swej agonii jakby nagle postarzała o lat dziesięć i bliska śmierci zaledwie u progu życia, dojrzała dostatecznie, by zrozumieć, że mężczyzna \*<sup>en</sup>n\*<sup>e</sup> P<sup>0V</sup>Vi-nien jej "dotykać i odnajdywać w niej jej matkę.

-Krzyknęła^ znów wołając o ratunek:

— Mamo!... Mamo!... Proszę cię!...

Helena, która do tej pory nie odezwała się ani słowo

wem, podeszła do Henryka. Spojrzała mu w oczy z kamiennym wyrazem twarzy. Dotknęła jego ramienia i stłumionym głosem powiedziała krótko:

— Proszę stąd odejść!

Doktor Bodin starał się uspokoić Joasię wstrząsaną atakiem kaszlu. Przyrzekał jej, że nikt się jej nie będzie sprzeciwiał, że zaraz wszyscy pójdą sobie i zostawią ją w spokoju.

— Proszę stąd odejść — powtórzyła Helena cichym głosem do ucha kochanka. — -Widzi pan przecież, żeśmy ją zabili.

Henryk bez słowa opuścił pokój. Chwilę zatrzymał się w jadalni, sam nie wiedział, na co czeka, co mogłoby się jeszcze wydarzyć. Widząc, że doktor Bodin nie pokazuje się, wyszedł; nawet Rozalka nie zatroszczyła się, by mu poświęcić na schodach. Zamyślony, schodził po omacku. Znał dobrze przebieg galopujących suchot, którymi w swej praktyce zajmował się specjalnie. Gruźelki w płucach mnożą się szybko w tysiące, chory nie ma czym oddychać. Joasia z pewnością nie przeżyje i trzech tygodni.

Minął tydzień. Na szerokim niebie rozciągającym się przed oknami sypialni słońce wschodziło i zachodziło ponad Paryżem, ale Helena straciła poczucie czasu, który upływał miarowo i bezlitośnie. Wiedziała już, że córka jest skazana, i żyła jak oszołomiona ciosem, który rozdzierał jej serce. Było to oczekiwanie bez nadziei, pewność, że śmierć nie daruje. Nie mogła płakać, troskliwie opiekowała się chorą nie odstępując jej na chwilę, cicho poruszała się po sypialni, opanowana i skupiona. Czasami pokonana zmęczeniem opadała na krzesło i wpatrywała się w córkę całymi godzinami. Joasia słabła coraz bardziej, bolesne torsje wyczerpywały ją ogromnie, gorączka nie spadała. Gdy przychodził doktor Bodin, badał ją krótko i zostawiał receptę. Kiedy wychodził, jego zgarbione plecy wyrażały taką bezradność, że matka nawet go nie odprowadzała, nie chcąc o nic pytać. Następnego dnia po krwotoku przybiegł ksiądz

Jouve. Obaj z bratem przychodzili co wieczór, w milczeniu witali się z Heleną uściskiem dłoni, nie mając odwagi pytać o nowiny. Ofiarowali się czuwać przy chorej na zmianę, ale o dziesiątej wyprawiała ich do domu, nie życząc sobie, by ktokolwiek był w nocy w sypialni.

Pewnego wieczoru ksiądz, który od poprzedniego dnia, jak się wydawało, miał czymś zaprzątniętą głowę, odciągnął ją na bok.

— Myślę stale o tym... Tak bym chciał — powiedział cicho. — Kochana dziecina przez swój stan zdrowia trochę się opóźniła... Mogłaby tutaj odbyć pierwszą komunię.

W pierwszej chwili Helena nie zrozumiała, o co mu chodzi. Mimo swej wyrozumiałości ksiądz był w tej chwili tylko duchownym pochłoniętym całkowicie troską o sprawę nieba i propozycja jego zaskoczyła, a nawet uraziła Helenę. Machnęła ręką lekceważąco i odpowiedziała:

— Nie, nie! Nie chcę jej męczyć... Jeżeli niebo istnieje naprawdę, to i tak tam trafi.

Tego wieczoru Joasia czuła się pozornie znacznie lepiej, co tak często ludzi umierających. Dostyszała słowa księdza swym wyostrzonym słuchem chorego.

— To ty, mój kochany ojczulku... Mówisz o komunii?... Chyba już niedługo będę ją mogła przyjąć.

— Oczywiście, moje kochanie — odpowiedział.

Chciała, by podszedł bliżej, by z nią porozmawiał.

Matka uniosła ją i oparła o poduszki. Siedziała drobna, malutka, a choć uśmiechały się jej spieczoną gorączką usta, z błyszczących oczu wзираła już śmierć.

— Niedługo już będę zdrowa — mówiła po chwili. — Gdybym tylko chciała, mogłabym wstać... Powiedz mi, czy będę miała białą sukienkę i bukiet kwiatów?... A kościół będzie też tak ładnie ubrany jak na majowe nabożeństwo?

— Jeszcze piękniejszy, moje złotko.

— Naprawdę? I będzie też tyle kwiatów, i będą tak ładnie śpiewać... Już niedługo, prawda?. Przyrzekasz?

P

Promieniała radością. Patrzyła na zasłony łóżka przed sobą i mówiła w ekstazie, że bardzo kocha dobrego Pana Boga, że Go widziała, gdy śpiewano w ko- ■ ściele. Słyszała organy, widziała wirujące światła i kwiaty w wielkich wazonach wlatujące jak motyle. Chwył ją atak gwałtownego kaszlu, opadła na po- i duszki bez sił. Uśmiechała się nadal, zdawała się nie spostrzegać, że kaszle, i powtarzała:

— Jutro wstanę, nauczę się katechizmu na wy- , rywki, wszyscy będziemy się cieszyć.

Helena stojąc w nogach łóżka załkała. Dawno już nie płakała, ale słysząc śmiech Joasi nie mogła po- wstrzymać łez dławiących ją w gardle. Tłumiąc szloch wybiegła do stołowego pokoju, by ukryć swą rozpacz. || Ksiądz wyszedł za nią. Pan Rambaud wstał szybko, by zająć czymś dziewczynkę.

— Co się stało? Dlaczego mama krzyknęła? Czy ją coś zabolalo? — zapytała.

— Mamę? — odpowiedział. — Ależ ona wcale nie krzyczała, przeciwnie, roześmiała się, cieszy ją, że tak dobrze się czujesz.

W jadalni, z głową opartą o stół, Helena ukrywszy twarz w dłoniach usiłowała stłumić płacz. Ksiądz, pochylony nad nią, prosił, by się opanowała. Unosząc , zalaną twarz powiedziała, że to ona sama zabiła córkę. W krótkich, urywanych zdaniach oskarżała się i wyznała mu wreszcie wszystko. Nigdy nie uległaby temu człowiekowi, gdyby Joasia była przy niej. Musiało się tak zdarzyć, że spotkała go w jakimś obcym pokoju. Boże mój! Niebo powinno zabrać ją razem z dzieckiem. Nie potrafi żyć dalej. Ksiądz, przestraszony, uspokajał ją obiecując przebaczenie.

Ktoś zadzwonił, z przedpokoju dobiegły głosy rozmowy. Gdy Rozalka weszła, Helena otarła oczy.

— Proszę pani, przyszedł pan doktor Deberle.

— Nie chcę, żeby tu wchodził.

— Pyta, jak się panienka czujek

— Powiedz mu, że umiera.

grzez otwarte drzwi do przedpokoju Henryk słyszał wszystko i nie czekając na powrót służącej zszedł na dół. Zjawiał się potem codziennie, otrzymywał tę samą odpowiedź i odchodził.

Największym udręczeniem dla Heleny były wizyty znajomych pań, które poznała u pani Deberle. Pani de Chermette, pani Levasseur, pani de Guiraud i inne panie uważały teraz za swój obowiązek odwiedzać ją i pocieszać. Nie wchodziły nawet, ale tak głośno wypytywały Rozalkę, że słysząc je było przez cienkie przepierzenie w głębi małego mieszkania. Helena\*, zniecierpliwiona, przyjmowała je w jadalni stojąc i zbywając krótkimi odpowiedziami. Cały dzień chodziła w szlafroku, zapominając o zmianie bielizny, a swe piękne włosy zwijała i upinała byle jak. Twarz miała zaczerwienioną, w ustach gorzki smak i zakrzepłą ślinę. Oczy jej same zamykały się ze zmęczenia i z trudem odpowiadała na pytania. Gdy przychodziła Julietta, nie mogła jej nie wpuścić do sypialni i nie pozwolić przez chwilę posiedzieć przy łóżku Joasi.

— Przecież pani się zamęcza — powiedziała pewnego razu przyjaźnie do Heleny. — Nie można się tak poddawać, moja droga.

Helena musiała odpowiadać, a Julietta, by ją rozerwać, opowiadała jeszcze o wydarzeniach, o których mówił cały Paryż.

— Będziemy mieli wojnę, wie pani, to już pewne... Jestem bardzo zmartwiona, mam dwóch kuzynów, którzy pójdą na front.

Spędziwszy popołudnie na wizytach w mieście Julietta w drodze do domu wstępowała do Heleny, podniecona plotkami, które przynosiła. Do pokoju chorej wносиła szelest swych długich sukien, a choć starała się mówić jak najciszej, okazywać współczucie, widać było wyraźnie, jak mało się tym wszystkim przejmuje, jak bardzo jest szczęśliwa i zadowolona z własnego zdrowia. W jej obecności Helena czuła się nieswojo, zazdrościła jej tego zdrowia i szczęścia i cierpiała podwójnie.

— Proszę pani — zapytała cicho Joasia pewnego wieczora — dlaczego Lucjan nigdy nie przychodzi zobaczyć się ze mną?

Julietta zmieszana się i tylko się uśmiechnęła.

— Czy on też jest chory? — pytała dalej dziewczynka.

— Nie, kochanie, nie jest chory... Chodzi do szkoły.

A gdy Helena odprowadzała ją do przedpokoju, Julietta starała się wytłumaczyć jej ze swego kłamstwa:

— Chętnie bym go przyprowadziła, wiem przecież, że to nie jest zaraźliwe... Ale dzieci tak łatwo przestraszyć, a Lucjan jest taki głupi! Mógłby się rozplakać na widok pani biednego aniołka...

— Tak, tak, ma pani rację — przerwała Helena, udręczona widokiem tej beztrudnej kobiety, której dziecko było takie zdrowe.

Minął drugi tydzień. Choroba postępowała unosząc z każdą godziną nieco życia. Nie śpieszyła się wcale. Niszczyła wątłe i urocze ciało, niczego mu nie oszczędzając; wszystkie przewidziane stadia przechodziły kolejno w swym błyskawicznym tempie, choroba miała czas na wszystko. Krwotoki ustały, ustawał chwilami i kaszel. Joasia dusiła się, oddychała z takim trudem, że łatwo można się było zorientować, jakie spustoszenia poczyniła gruźlica w płucach. Było to zbyt okrutne na jej wątłe siły. Gdy ksiądz i pan Rambaud słyszeli oddech Joasi, oczy ich napelniały się łzami. Przez całe dni i noce słychać było przez firanki łóżka ciężki oddech, wydawało się, że jedno dotknięcie powinno zabić to biedne stworzenie, a jednak nie mogło ono umrzeć i w pocie czoła pracowało nad swą śmiercią. Matka, sama już u kresu sił, nie mogła znieść tego chrapliwego rżenia, uciekała do drugiego pokoju i opierała głowę o ścianę.

Joasia powoli odchodziła od świata. Nie widziałaś" już ludzi, na twarzy miała wyraz rozmarzony i nie"y| obecny, jak gdyby żyła już gdzie indziej, zupełnie y sama. Kiedy otaczające ją osoby, chcąc ściągnąć jej g uwagę, wymawiały swe imiona, by je poznała, wpatrywała się w nie uparcie, bez uśmiechu, i odwracała się do ściany z wyrazem znużenia. Jakiś cień odgradzał ją od światła, odchodziła nadąsana i rozgniewana jak za złych czasów swej zazdrości. Ale czasem kaprysy chorej budziły ją z otępienia. Któregoś ranka zapytała matki:

Czy to dzisiaj niedziela?

— Nie, kochanie, dopiero piątek... Dlaczego o to pytasz? ,

Zdawała się nie pamiętać już, o co pytała, ale w dwa dni potem, gdy Rozalka była w sypialni, powiedziała do niej cicho:

— Dziś niedziela... Jest Zefiryn, poprosz go, żeby przyszedł.

Służąca zawahała się, ale stojąca obok Helena dała jej znak, że pozwala. Dziewczynka powtórzyła:

Przyprowadź go... Przyjdźcie oboje razem, będzie mi przyjemnie...

Gdy Rozalka weszła z Zefirynem, Joasia uniosła się na poduszkach. Mały żołnierz z ogoloną głową, z opuszczonymi rękami, kiwał się, by ukryć wzruszenie. Bardzo lubił panienkę i zmartwił się szczerze, gdy zobaczył, że tak patrzy na księżą oborę, jak potem wyraził się w kuchni. Mimo upomnień Rozalki, która poleciła mu, by był wesoły, stał oniemiały, przerażony, gdy ujrzał panienkę tak bladą i wychudzoną, jak- hy jej już nie było wcale. Był bardzo uczuciowy mimo swej pozycji zdobywcy serc. Nie znalazł ani jednego ze swych kwiecistych wyrażań, jakimi się ostatnio stale popisывał. Służąca szczypała go z tyłu, by go rozśmieszyć, ale zdołał tylko wyjąkać:

— Przepraszam najmocniej... panienkę i towarzystwo.

Joasia uniosła się na wychudzonych rączkach. Jakby szukając czegoś, otwierała swe wielkie, zionące pustką oczy. Potrząsała głową, zapewne oślepiła ją światło dnia, odchodziła już w krainę cieni.

— Zbliżcie się, moi drodzy — powiedziała Helena

KRHKMtt'

do żołnierza. — Panienska chciała koniecznie was widzieć.

Słoneczny promień wpadł przez okno do pokoju żółtą smugą, w której tańczyły pyłki kurzu uniesione<sup>1</sup> z dywanu. Był to już marzec, nadchodziła wiosna. ^ Zefiryn zrobił krok naprzód i stanął w słońcu. Jego j puciołowata, upstrzona piegami twarz miała złotawy odbłask dojrzałego zboża, guziki bluzy połyskiwały, • a spodnie czerwieniły się jak łan polnych maków/; Joasia spostrzegła go w końcu, ale oczy jej niespo-lij kojnie i niepewnie błędziły z jednego kąta w drugi-

— Czego chcesz, moje dziecko? — zapytała Hele-1| na. — Jesteśmy tu wszyscy. — Wreszcie zrozumiała: jj Podejdz, Rozalko... Panienska chce was widzieć razem.

Z kolei Rozalka podeszła ku słońcu. Miała na głowie czepek, którego troczki opuszczone na ramiona poruszały się jak skrzydła motyla. Złota kurzawa- opadała na twarde, ciemne włosy i dobroduszną twarz o spłaszczonym nosie i wydatnych wargach. I tylko ' oni jedni byli w pokoju, opromienieni słońcem, stali obok siebie. Joasia patrzyła na nich.

— No cóż, moja kochana, nic im nie powiesz — mówiła Helena. — Ś Są już razem. Joasia patrzyła na nich, głowa jej drżała jak głowa staruszki. Stali przed nią jak mąż i żona, gotowi odejść ręka w rękę do swej wioski. Ciepło" wiosennego powietrza rozgrzało ich i pragnąc rozweselić panienskę zaczęli się śmiać do siebie czule i tępo. Z ich barczystych, dobrze odżywionych postaci promieniowało zdrowie. Gdyby byli sami, Zefiryn na pewno objąłby Rozalkę i otrzymałby siarczysty" policzek. Można to było wyczytać z ich oczu.

— I cóż, kochanie, nic im nie masz do powiedzenia?

Joasia patrzyła na nich dysząc coraz ciężiej. Nie powiedziała ani słowa. Nagle załżała się łzami. Zefiryn i Rozalka musieli czym prędzej wyjść z sypialni.

— Przepraszam najmocniej... panienskę i to warzy-  
stwo — powtórzył mały żołnierz wycofując się w osłupieniu.

Był to jeden z ostatnich kaprysów Joasi. Wpadła w ponury nastrój, z którego nic jej nie mogło wyrwać. Odcięła się od świata, nawet od matki. Gdy ta nachylając się nad łóżkiem szukała jej wzroku, dziewczynka milczała uparcie, jakby nie odróżniała cienia matki od cienia, jaki rzucały na nią firanki łóżka. jByła w niej niema, rozpaczliwa rezygnacja istoty ^opuszczonej, która czuje, że umieraj Trudno było odgadnąć z jej zanikającego spojrzenia, co za uparta myśl ją pochłania, gdy leżała tak z na wpół przymkniętymi oczami, nieraz przez długie godziny. Poza dużą lalką leżącą w łóżku obok niej niczym się już nie interesowała. Pewnej nocy, gdy Joasia bardzo cierpiała, podano ją jej, by się czymś zajęła, i odtąd nie chciała się z nią rozstać, protestowała gwałtownie, gdy chciano ją zabrać. Lalka z głową z papierowej masy, opartą na poduszce, leżała, okryta kołdrą •po szyję, jak człowiek chory. Bez wątplenia dziewczynka pamiętała o niej, bo od czasu do czasu swymi rozpalonymi rękami dotykała powykręcanych rąk z różowej skóry, z których- trociny wysypały się prawie zupełnie. Całymi godzinami mogła się wpatrywać w nieruchome szklane oczy i w wyszczerzone w wiecznym uśmiechu białe zęby. Czasami w przypływie czułości przyciskała do piersi lalkę, której dotknięcie zdawało się przynosić ulgę, i opierała policzek o jej perukę. Szukała ucieczki w miłości dla swej ulubienicy; gdy się budziła, szukała jej koło siebie, ją tylko widziała, z nią tylko rozmawiała i na ponurej twarzy pojawiał się czasem uśmiech, jak gdyby lalka szeptała jej coś wesołego do ucha.

Kończył się trzeci tydzień. Któregoś ranka stary lekarz — zamiast wyjść jak zwykle po krótkiej wizycie — został przy chorej. Helena zrozumiała, że to koniec. Już drugi dzień żyła w całkowitym otępieniu. Prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Nie walciono już ze śmiercią, rachowano tylko

I godziny. Joasię trawiło stale pragnienie i lekarz polecił podawać jej tylko napój z opium, by złagodzić agonię; to poniechanie leków całkowicie załamało Helenę. Póki lekarstwa stały na nocnym stoliku, miała jeszcze nadzieję na jakiś cud, który córkę uleczy. A teraz, gdy nie było buteleczek ani pudełek, znikła ostatnia nadzieja. Pragnęła już tylko być przy Joasi, patrzeć na nią, nie odstępować aż do końca. Stary doktor, chcąc oderwać Helenę od konającej, pod rozmaitymi pozorami usiłował wyprawić ją z pokoju. Ale wracała natychmiast, zniewolona, przyciągana fizyczną potrzebą patrzenia na umierające dziecko. Czekala wyprostowana, z beładnie opuszczonymi rękami, z wyrazem rozpacz na twarzy.

Ksiądz Jouve i pan Rambaud nadeszli koło południa. Obaj pobledli, gdy doktor Bodin wyszedł im naprzeciw i wypowiedział jedno tylko słowo. Stanęli jak wryci, ręce zaczęły im drżeć. Helena nie odwróciła się nawet w ich stronę.

Dzień był piękny, jeden z tych rozświeczonych kwietniowych popołudni pierwszych dni wiosny. Joasię ogarniał niepokój. Jej wargi spalone gorączką i pragnieniem poruszały się z trudem od czasu do czasu. Wysunęła spod kołdry wychudzone ręce i poruszała nimi w powietrzu. Krecia praca choroby została zakończona, ustał kaszel, oddech stał się prawie normalny. Już kilka chwil Joasia obracała głowę szukając wzrokiem światła. Doktor Bodin otworzył okno na łoścież. Dziewczynka przestała się niepokoić, oparła głowę o poduszkę i leżała oddychając ciężko, coraz wolniej. Patrzyła na Paryż.

Przez trzy tygodnie choroby nieraz spoglądała na miasto rozpościerające się przed oknami. Poważniała wówczas, zamyślała się głęboko. Teraz, w ostatniej godzinie jej życia, Paryż uśmiechał się w promieniach kwietniowego słońca. Przez okna wpadał ciepły powiew wiosny, śmiechy dzieci, ćwierkanie wróbli. Konająca zebrała ostatek sił, by jeszcze zobaczyć dymy nad odległymi dzielnicami. Odszukała wzrokiem troje znajomych: Panteon, Inwalidów, wieżę Sw. Jakuba, dalej zaczynało się nieznanne i wobec rozległego morza dachów przymknęły się jej zmęczone oczy. Może marzyła o tym, że z wolna staje się coraz lżejsza, że ulatuje jak ptak. Wreszcie miała się dowiedzieć wszystkiego, poruszy tylko parę razy skrzydłami, usiądzie sobie na jakiejś kopule czy wieży i stamtąd będzie widziała wszystko, co zawsze ukrywa się przed dziećmi. Po chwili ogarnął ją znowu niepokój, ręce szukały czegoś, uspokoiła się dopiero, gdy przycisnęła do piersi swą wielką lalkę. Chciała ją zabrać ze sobą. Wzrok jej tonął w dali gubiąc się wśród kominów zaróżowionych od słońca.

Dochodziła czwarta, zmrok zaciągał zasłonę niebieskawych cieni. Nadchodził koniec, zamierała powoli i spokojnie, oddychała coraz słabiej. Już nie miała sił bronić się przed śmiercią. Pan Rambaud, złamany, skrył się za firanką i z pochyloną głową, klęcząc, płakał cicho. Ksiądz ukląkł także tuż przy łożku i ze złożonymi rękami szeptał modlitwy za konających.

— Joasiu, Joasiu — szepnęła Helena, której włosy zjeżyło bezgraniczne przerażenie.

Odepchnęła doktora Bodin, padła na kolana przed łożkiem, by móc z bliska patrzeć na córkę. Joasia otworzyła oczy, ale nie spojrziała na matkę. Wzrok jej wybiegał stale ku Paryżowi, który zniknął w mroku. Mocniej jeszcze przycisnęła do serca lalkę, swą ostatnią miłość. Odetchnęła głęboko, a potem jeszcze dwukrotnie nieco lżej. Oczy bładły, na twarzy przez chwilę pojawił się grymas udręki, ale wkrótce rysy wypogodziły się, przestała oddychać, usta miała otwarte.

— To już koniec — powiedział stary doktor ujmując rękę zmarłego dziecka.

Martwymi oczami patrzyła Joasia na Paryż. Jej długa twarzyczka sarenki stała się jeszcze dłuższa, rysy jeszcze bardziej ostre, twarz bladła, szary cień zachodził na ściągnięte brwi, nawet po śmierci za

chowała wyraz zazdrosnej kobiety. Lalka z odrzuconą do tyłu głową zdawała się równie martwa jak ona.

— To już koniec — powtórzył stary doktor. Ręka zmarłej wysliznęła mu się z dłoni i opadła na koldrę.

Helena z wykrzywioną bólem twarzą ścisnęła rękami skronie, jakby czuła, że czaszka jej pęka. Nie płakała, patrzyła tylko przed siebie nieprzytomnie. W nogach łóżka spostrzegła parę małych, zapomnianych bucików; zaczęła gwałtownie szlochać. Joasia nigdy już ich nie włoży, można je teraz oddać biednym dzieciom. Klęczała przed łóżkiem, oparła głowę o zwisającą rękę zmarłego dziecka, płakała. Ksiądz modlił się na głos, w uchylonych drzwiach stołowego pokoju Rozalka gryzła chusteczkę tłumiąc łkanie. Pan Rambaud szlochał głośno.

Właśnie w tej chwili doktor Deberle zadzwonił do drzwi, chciał koniecznie dowiedzieć się o stanie zdrowia Joasi.

— Jak zdrowie dziecka? — zapytał.

— Panie doktorze — mówiła płacząc Rozalka — właśnie umarła.

Znieruchomiał, zaskoczony wieścią, której oczekiwał z dnia na dzień. Potem szepnął:

— Mój Boże! Biedne dziecko, co za nieszczęście!

Tylko te banalne słowa współczucia potrafił wypowiedzieć.

Drzwi się zamknęły. Doktor Deberle zszedł ze schodów.

Gdy pani Deberle dowiedziała się o śmierci Joasi, wybuchła głośnym płaczem. Przejęła się ogromnie i jak zwykle u niej trwało to pełne dwa dni. Była to hałaśliwa rozpacz bez granic. Pobiegła do Heleny i rzuciła się jej na szyję. Zaslyszawszy coś o pogrzebie, od razu postanowiła zająć się nim sama i myśl ta pochłonęła ją całkowicie. Zmarły aniołek powinien mieć niezwykle uroczysty i wzruszający pogrzeb.

806

Wzięła na siebie załatwienie wszystkiego aż do najdrobniejszych szczegółów, ponieważ Helena, wyczerpana płaczem, siedziała na krześle bez ruchu, całkowicie otepiała, a pan Rambaud, który miał się zająć pogrzebem, tracił głowę i z wdzięcznością przyjął pomoc pani Deberle. Helena ocknęła się tylko na chwilę, by powiedzieć, że chce, by były kwiaty, dużo kwiatów.

Nie tracąc czasu pani Deberle zadała sobie niezmiernie wiele trudu. Cały następny dzień poświęciła na wizyty zawiadamiając wszystkie panie o smutnym wydarzeniu. Zamarzył się jej cały orszak małych dziewczynek w białych sukienkach, musiało ich być co najmniej trzydzieści, i nie spoczęła, póki nie miała kompletu. Osobiście udała się do zakładu pogrzebowego, ustaliła, jaki będzie karawan, wybrała draperie. Całe ogrodzenie ogrodu miało być przybrane tymi draperiami, a trumna ustawiona wśród bzów okrytych już zielonymi pączkami. Będzie wyglądało prześlicznie.

— Boże mój, żeby tylko jutro była pogoda! — westchnęła wieczorem po pracowitym dniu.

Nazajutrz dzień wstał promienny, słońce świeciło jasno, niebo było błękitne, a powietrze czyste, prawdziwie wiosenne. Pogrzeb wyznaczono na dziesiątą rano. Już o dziewiątej upinano draperie i Julietta osobiście kierowała robotnikami. Nie pozwoliła zakrywać drzew całkowicie. Białe draperie ze srebrną frędzlą, rozpostarte jak baldachim na dwóch skrzydłach bramy, tworzyły rodzaj przedsionka między bzami. Szybko wróciła do salonu, by przyjmować panie. Zbierały się u niej, żeby nie robić tłoku w małym mieszkaniu pani Grandjean. Julietcie było tylko przykro, że mąż musiał tego dnia wyjechać do Wersalu na konsylium, którego — jak mówił — nie można było odłożyć. W takiej chwili pozostawił ją zupełnie samą; jakże sobie da radę...

Pierwsza zjawiła się pani Berthier ze swoimi dwiema córeczkami.



I — Niech sobie pani wyobrazi! — zawołała pani De-perle — Henryk zostawił mnie samą!... Lucjanie, cóż to, nie witasz się?

| Lucjan stał obok niej w czarnych rękawiczkach. Zdziwił się, gdy zobaczył Zosię i Biankę ubrane jak na procesję. Białe muślinowe sukienki przepasane były jedwabnymi wstążkami, małe czepki z jedwabnego tiulu ukryte były pod welonami z gazy opadającymi aż do ziemi. Matki rozmawiały ze sobą, a dzieci, nieco sztywne w swych uroczystych strojach, przyglądały się sobie nawzajem. Wreszcie Lucjan powiedział:

— Joasia umarła!

Był smutny, ale uśmiechał się pełen zdziwienia. Od poprzedniego dnia — przejęty śmiercią Joasi — był bardzo grzeczny. Ponieważ matka, zbyt zajęta, nie miała czasu z nim rozmawiać, wypytywał domowników. Jak ktoś umrze, to się już nie rusza? >

— Umarła, umarła — powtarzały obie siostry, zarumienione w swych białych welonach. — Czy ją zobaczymy?

Lucjan zastanawiał się chwilę z otwartymi ustami, z oczami utkwionymi w jeden punkt; starał się odgadnąć to, czego jeszcze nie wiedział, i wreszcie rzekł cicho:

— Już jej nie zobaczymy.

Schodziła się reszta dziewczynek. Na znak matki Lucjan witał je wszystkie po kolei. Małgorzata Tissot z wielkimi oczami, w obłoku białego muślinu, podobna była do małej Matki Boskiej. Jasne włosy wymykały się spod małego czepeczka tworząc złotą pelerynkę pod białym welonem. Wszyscy uśmiechali się mimo woli na widok pięciu panien Levasseur. Podobne do siebie, szły szeregiem od najstarszej do najmłodszej, jedna za drugą, jak cały pensjonat. Ich sute, szerokie spódniczki zajęły pół pokoju. Ale dopiero mała Guiraud wywołała prawdziwą sensację. Podawano ją sobie z rąk do rąk, by lepiej obejrzeć i ucałować. Mała jak ptaszek, w swym obłoku gazy, który ją śmiesznie pogrubiał, wyglądała jak biały gołąbek z nastroszonymi piórkami. Własna matka nie mogła się doszukać jej rąk. Salon wypełniał się powoli płatkami śniegu. W tej bieli czarne ubranka chłopców tworzyły ciemne plamy. Lucjan, któremu umarła narzeczona, szukał sobie innej pary. Długo wahał się w wyborze, pragnął, żeby jego narzeczona, tak jak Joasia, była większa od niego. Wydawało się jednak, że zadziwiony złotymi włosami Małgorzatki zdecyduje się na nią. Nie odstępował jej na krok.

— Trumna nie jest jeszcze zniesiona — oznajmiła Paulina Julietcie.

Była tak podekscytowana, jak gdyby szło o przygotowania do balu. Siostra miała z nią wiele kłopotu, bo chciała koniecznie ubrać się na biało.

— Coś podobnego! — krzyknęła pani Deberle. 7— Na co oni czekają... Zostań tu z paniami, pójdę na górę.

Szybko wyszła z salonu, w którym matki w żałobie rozmawiały ze sobą półgłosem, a dzieci, bojąc się pognieść ubrania, nie śmiały się poruszać. Na górze, gdy Julietta weszła do pokoju zmarłej, przeniknął ją wielki chłód. Joasia leżała jeszcze na łóżku ze złożonymi rękoma i, jak Małgorzatka, jak panny Levasseur, ubrana była w białą suknię, białe pantofelki, biały czepeczek. Upięty na nim wianek z białych róż czynił z niej królową jej małych przyjaciółek, królową, której święto obchodzili wszyscy zgromadzeni na dole. Pod oknem na dwóch krzesłach stała dębowa trumienka wyściełana atłasem, jak otwarta szkatułka na klejnoty. Meble podstawiane były pod ścianę, paliła się gromnica, zaciemniony, zamknięty pokój tchnął ciszą i wilgocią od dawna zamurowanego grobu. Przybyła ze słońca, z roześmianego wiosną życia, Julietta zatrzymała się nagle i stanęła bez słowa, nie mając odwagi powiedzieć, by się pośpieszono.

— Czekaj już dużo osób — wyszeptwała wreszcie. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi i dodała, aby cokolwiek powiedzieć: — Henryk musiał wyjechać na konsylium do Wersalu, niech mu pani wybaczy.

Helena siedząc przy łóżku spjrzała na nią martwymi oczami. Nie można było jej skłonić do opuszczenia pokoju. Już półtorej doby siedziała tak mimo usilnych nalegań pana Rambaud i księdza Jouve, którzy razem z nią czuwali przy zmarłej. W tej nie kończącej się agonii zламаły ją ostatnie dwie noce. Wreszcie przeżyła jeszcze okrutny ból przy ubieraniu zmarłej, uparła się, że sama włoży jej na nogi białe jedwabne pantofelki. Potem już siedziała bez ruchu, wyczerpana ostatecznie, otębiała nadmiarem rozpaczy, „y— Czy są kwiaty? — spytała z trudem, patrząc na panią Deberle.

— Tak, tak, moja droga — odpowiedziała Julietta. — Niech się pani o to nie martwi.

Od chwili gdy córka wydała ostatnie tchnienie, uparta i natrętna myśl nie opuszczała Heleny: kwiaty, całe masy kwiatów. Każdego, z kimkolwiek rozmawiała, wypytywała niespokojnie o kwiaty, nie wierzyła, że będzie ich dosyć. /— Czy są róże? — zapytała po chwili znowu.

— Tak... Zapewniam panią, że będzie pani zadowolona.

Helena potrząsnęła głową i popadła z powrotem, w swój bezwład.

Karawaniarze czekali już na schodach, nie można było zwlekać dłużej. Pan Rambaud, który sam się zataczał jak pijany, prosił ruchem ręki Juliettę, by pomogła mu wyprowadzić z pokoju zrozpaczoną kobietę. Oboje wzięli ją delikatnie pod ręce, podnieśli i wyprowadzili do stołowego. Ale gdy tylko zrozumiała, że już mają zabrać jej córkę, odepchnęła ich w przystępie najwyższej rozpaczy. Był to przejmujący widok. Rzuciła się na kolana przed łóżkiem, uczepliła się pościeli i napełniła pokój głośnym lamentem, a Joasia pogrążona w wiecznym milczeniu, sztywna i zimna, leżała pełna kamiennego spokoju. Twarz jej poczerniała trochę, dziecinne usta wykrzywił mściwy i zawzięty grymas i ten posępny, bezwzględny wyraz twarzy zazdrosnej córki doprowadzał Helenę do sza

leństwa. Drugi już dzień bez przerwy patrzyła na nią, jak zastygała w swej zawziętości, stając się coraz bardziej sroga i zagniewana, im bliżej była ziemi. Cóż by to była za ulga, gdyby Joasia raz jeszcze mogła się uśmiechnąć!

— Nie! Nie! — krzyknęła. — Błagam, nie zabierajcie jej jeszcze... Nie możecie mi jej zabrać. Muszę ją jeszcze pocałować... Jeszcze chwilę, chwileczkę...

Chwyciła ją drżącymi rękami broniąc przed tymi ludźmi, którzy, odwróciwszy się tyłem, stali w przedpokoju ze znudzonymi minami. Ale usta jej nie mogły rozgrzać zimnej twarzy. Joasia opierała się i odmawiała przebaczenia, matka czuła to dobrze. Wreszcie, zrezygnowana, pozwoliła się odprowadzić; w stołowym pokoju opadła na krzesło skarżąc się żałośnie, bez końca.

— Boże mój, Boże!...

Pani Deberle i pan Rambaud już także osłabli ze wzruszenia. Gdy po chwili Julietta uchyliła drzwi do sypialni, było po wszystkim. Robotnicy załatwili się bez hałasu, prawie nie było słycać. Nasmarowane zawczasu śruby zamknęły wieko na zawsze. Pokój zionął pustką, trumna zakryta była białym prześcieradłem.

Drzwi otworzono i Helena mogła poruszać się swobodnie. Gdy wróciła do sypialni, błędnym wzrokiem powiodła po ścianach i meblach. Wynoszono trumnę. Rozalka wyrównała kołdrę na łóżku, by zakryć wszelki ślad po tej, która odeszła. Helena na wpół przytomna wyciągnęła przed siebie ręce i rzuciła się ku schodom. Chciała koniecznie zejść. Pan Rambaud powstrzymał ją, a pani Deberle starała się wytłumaczyć, że to nie wypada. Ale Helena obiecywała, że będzie rozsądna i nie pójdzie za pogrzebem. Śmiało mogą jej pozwolić być obecną, w pawilonie zachowa się zupełnie spokojnie. Słuchając jej próśb oboje zaczęli płakać. Musieli ją ubrać. Julietta zakryła jej codzienną suknię czarnym szalem, nie mogła tylko dobrać kapelusza, wreszcie znalazła jakiś, od którego ode-

rwała bukiet czerwonej werweny. Pan Rambaud, który miał prowadzić orszak pogrzebowy, podał ramię Helenie.  
— Niech pan od niej na krok nie odchodzi, ja muszę się przecież wszystkim zająć — powiedziała pani Deberle, gdy zeszli do ogrodu, i oddaliła się szybko.

Helena szła powoli, z trudem wypatrując czegoś przed sobą. Gdy wchodziła do ogrodu, westchnęła głęboko. Mój Boże, jaki przepiękny dzień! Wzrok jej pobiegł natychmiast w stronę ogrodzenia. Dostrzegła małą trumnę pod baldachimem z bieli. Pan Rambaud nie dopuścił jej bliżej niż na dwa kroki.

— Niechże pani będzie dzielna — mówił, sam drżąc cały.

Oboje pstrzyli na małą trumienkę skąpaną w promieniach słońca. W nogach na koronkowej poduszce leżał srebrny krucyfik, a obok niego z lewej strony kropidło zanurzone w naczyniu ze święconą wodą. Wielkie gromnice paliły się płomieniem niewidocznym w słońcu, tylko smugi kopcia unosiły się z nich w górę. Pod baldachimem gałązki krzewów obsypane różowiacymi się pączkami tworzyły rodzaj altany. Cięte kwiaty, którymi pokryta była trumna, ożywały w złotych blaskach słońca wpadających poprzez rozsunięta draperie i tworzyły prawdziwą oazę wiosny. Była to powódź kwiatów, pęki białych róż, białych kamelii, białych bzów, białych goździków, jakby śnieżna zaspą białych płatków; trumny nie było widać pod tą białą lawiną. Białe hiacenty, białe pierwiosnki opadały na

••

\*

r

»r

draperie i zasypywały ziemię. Nieliczni przechodnie ulicy Vineuse zatrzymywali się, uśmiechali wzruszeni i przejęci, przed tym ogrodem opromienionym słońcem, gdzie mała zmarła spała wśród kwiatów. Cała ta biel jasno i czysto świeciła w słońcu, którego blaski ozłacały draperie, bukiety i wieńce, nadając im pozór życia. Nad różami brzęczała pszczoła.

— Kwiaty.- kwiaty... — wyszeptła Helena nie n\*->- gac znaleźć innych słów.

Łzy napłynęły jej do oczu, przyciskała chusteczkę do ust. Wydało jej się, że Joasi powinno być ciepło; myśl ta wzruszyła ją jeszcze bardziej i była wdzięczna niezmiernie tym wszystkim, którzy obsypali kwiatami jej dziecko. Chciała podejść bliżej, a pan Rambaud już się nie sprzeciwił. Jakże pięknie było pod draperiami! Powietrze było nieruchome, ciepłe, pachniały kwiaty, Helena pochyliła się i podniosła jedną różę, przyszła tu właśnie po tę jedną różę, by przypiąć ją do stanika. Nagle zaczęła drzeć, pan Rambaud przestraszył się.

— Chodźmy stąd — powiedział wyprowadzając ją. — Obiecała pani, że nie będzie pani narażać swego zdrowia.

Prowadził ją do pawilonu, gdy drzwi salonu otworzyły się szeroko. Pierwsza ukazała się Paulina. Podjęła się prowadzić orszak dzieci. Jedna za drugą schodziły z tarasu dziewczynki. Można było sądzić, że to krzaki głogu okryły się przed wczesny m kwieciem. W słońcu ich białe sukienki wydymały się, migotały przezroczyście wszystkimi odcieniami bieli, jak pióra na skrzydłach łabędzi. 2 jabłoni opadały płatki kwiecia. nici babiego lata snuły się w powietrzu, białe sukienki miały w sobie niewinność wiosny. Lekkie, lotne jak puch dziewczynki schodziły bez końca, niespodziewanie rozkwitając w ogrodzie. Pierwsze okrążyły już trawnik, inne schodziły wciąż jeszcze z tarasu.

Ogród stał się już cały biały i patrząc r.a tę rozproszoną gromadę dzieci Helenie przypominał się zesz>- roczny bal z wesołym tupotem ich nóżek. Widziała znów Malgorzatkę przebraną za Mleczarkę, z bańką na mleko wiszącą u paska; Zosię jako Subretkę tańczącą ze swą siostrą Bianką — Pajacem brzęczącym dzwoneczkami. Widziała pięć małych Levasseur, których czerwone kapturki przewiązane czarnymi aksamitkami roily się wszędzie, małą Guiraud z kokardą Alzatkę we włosach, podskakującą zapamiętała przed dwa razy większym od niej Arlekinem- Dzisiaj wszystkie te dziewczynki były ubrane na biało. A Joasia, także w białej sukience, leżała na poduszce z bia-

J tego atlasu pośród białych kwiatów. Delikatna Japo- neczka z długimi szpilkami wetkniętymi we włosy, w purpurowym kimonie w haftowane ptaki odchodziła cała w bieli.

— Jak one urosły — szeptała Helena zalewając się łzami.

Były tu znowu wszystkie, brakowało tylko jej córki. Pan Rambaud wprowadził Helenę do pawilonu; zatrzymała się we drzwiach chcąc widzieć, jak rusza kondukt pogrzebowy. Panie podeszły i kłaniały się jej dyskretnie. Dzieci przyglądały się jej ciekawie swymi niebieskimi oczami.

Paulina ustawiała orszak i wydawała polecenia. \* Mówiła cicho, stosownie do powagi ceremonii, ale czasami zapominała się i podnosiła głos:

— Stójcie grzecznie... Patrz, głuptasie, już się pe- walałeś... Stójcie spokojnie, zaraz po was przyjdę.

Karawan zajechał, można było wyruszyć. Ukazała ;; się pani Deberle wołając:

— Bukiety, gdzie są bukiety... Paulinko, prędko ; bukiety!

Zrobiło się trochę zamieszania. Dla każdej dziewczynki był przygotowany bukiet z białych róż i trzeba było je rozdać. Dziewczynki były zachwycone, wielkie, pachnące wiązanki trzymały przed sobą jak świece. Lucjan nie odstępował Małgorzatki i wachał z zachwytem kwiaty, które mu podsuwała pod sam nos. Dzieciarnia z bukietami w rękach, roześmiana ? w słońcu, spoważniała nagle na widok trumny ładowanej na karawan.

— Czy ona jest tam w środku? — spytała cicho Zosia.

Bianka skinęła głową i powiedziała:

— A dla dorosłych to jest, o, takie duże.

I rozstawiła ręce, jak mogła najszerzej, by pokazać, jak duża bywa trumna. Małgorzatka zaczęła chichotać z nosem w bukietach róż, mówiąc, że kwiaty ją ła

skoczą. Wtedy wszystkie dzieci powtykały nosy w bukiety, by się przekonać. Skarcono je i znowu od razu spoważniały. ^

Kondukt wyruszył za bramę. Na rogu ulicy Vineuse jakaś kobieta w sabotach i bez kapelusza zapłakała ocierając łzy rogiem fartucha. Z okien wyglądali ludzie, w ciszy ulicy słychać było westchnienia współczucia. Karawan, obity białymi draperiami ze srebrną frędzlą, toczył się cicho, słychać było tylko miarowe stąpanie dwóch białych koni dudniące głucho po bruku jezdni. Trumny nie było widać. Karawan wyglądał jak poruszająca się sęta białych kwiatów, bukietów i wieńców. Jadąc podskakiwał lekko i gałązki bzu spadały z niego na ziemię. Spływające z czterech rogów długie wstęgi białej mory trzymały cztery dziewczynki, Zosia i Małgorzatka, jedna z sióstr Le- vasseur i najmniejsza z nich wszystkich mała Guiraud, która potykała się co chwila i matka musiała iść obok niej. Reszta dziewczynek z bukietami róż w rękach otaczała karawan zwartą gromadą. Szły powolutku, powiewając welonami, a koła karawanu toczyły się pośród nich jak w obłoku muślinu, z którego uśmiechały się delikatne, niewinne dziecięce twarze. Z tyłu kroczył pan Rambaud, blade, z opuszczoną głową, za nim szły panie, kilku małych chłopców, Rozalka z Zefiryne i służba pani Deberle. Na samym końcu jechało pięć pustych czarnych powozów. Na ulicy pełnej słońca latały białe gołębie mijając ten ukwiecony orszak.

— Boże mój, jaka szkoda — powtarzała Julietta na widok wyruszającego konduktu. — Dlaczegoż Henryk nie odłożył tego konsylium. Tak go prosiłam.

Nie miała pojęcia, co zrobić z Heleną, która siedziała w otępieniu na krześle w pawilonie. Gdyby był Henryk, zająłby się nią trochę. To jednak wielka szkoda, że go nie ma. Na szczęście panna Aurelia, która nie lubiła smutnych ceremonii, ofiarowała się, że zostanie, i obiecała zająć się tymczasem poczęstunkiem, który miano podać dzieciom, gdy wrócą z cmen-

tarza. Pani Deberle szybko dogoniła kondukt, który ulicą Passy zmierzał ku kościołowi.

Ogród opustoszał, robotnicy zwijali draperie. Tylko opadłe płatki kamelii leżały na piasku tam, gdzie stała trumna Joasi. Helena pozostała samotna w ciszy ogrodu i z przerażeniem uświadomiła sobie, że córka rozstała się z nią na zawsze. Raz jeszcze, jeden jedyny raz być z nią! Natrętna myśl, że Joasia odeszła urażona i nie prześlagnana, poruszyła ją boleśnie jak rozpalone żelazo. Widząc, że panna Aurelia jej pilnuje, postanowiła wymknąć się i pobiec na cmentarz.

— Tak, to wielka strata — mówiła stara panna rozsiadając się wygodnie w fotelu. — Bardzo lubię dzieci, a zwłaszcza małe dziewczynki. Ale gdy się zastanowię, jestem zadowolona, że nie wyszłam za mąż. Przynajmniej nie mam żartów...

Była pewna, że odrywa Helenę od jej bólu. Opowiadała o jednej ze swych przyjaciółek, która miała sześćdziesięciu dzieci — i wszystkie poumierły. Inna pozostała sama ze swym dorosłym synem, który ją bił, to właśnie on powinien być umrzeć, matka nie martwiłaby się na pewno. Helena udawała, że słucha. Siedziała bez ruchu drżąc z niecierpliwości.

— Ot i pani też się uspokoiła — powiedziała wreszcie panna Aurelia. — Mój Boże, ze wszystkim czło-, wiek musi się jakoś pogodzić.

Drzwi stołowego pokoju wychodziły prosto na pawilon. Panna Aurelia otworzyła je i zajrzała. Stół zastawiony był słodyczkami i ciastkami. Helena szybko wymknęła się przez ogród. Brama była jeszcze otwarta, robotnicy z zakładu pogrzebowego wynosili swoje drabiny.

Ulicę Vineuse przecinała z lewej strony ulica des Reservoirs. Tam właśnie był cmentarz Passy. Jak olbrzymi taras wznosił się ponad ulicami, ponad Tro-cadero, ponad całym Paryżem, spadał ogromną omurowaną skarpy na bulwar de la Muette. Helena przebiegła kilkadziesiąt kroków i znalazła się przy otwartej bramie, przy której widać było opustoszałe pole białych grobów i czarnych krzyży. Weszła. Dwa wielkie bzy pokryte pąkami rosły u wejścia pierwszej alei. Chowano tu rzadko, pieniały się chwasty, kilka cyprysów tworzyło ciemną plamę na tle zieleni. Helena szła prosto przed siebie, stado wróble zerwało się spłoszone, jakiś grabarz, na wpół ukryty w kopanym grobie, wyrzucając ziemię spojrzął na nią. Zapewne pogrzeb nie przybył jeszcze, cmentarz wydawał się zupełnie pusty. Skręciła na prawo, doszła aż do skarpy, a gdy okrążyła cmentarz, dostrzegła za kępą akacji białe sukienki dziewczynek klęczących nad rozkopaną mogiłą, do której właśnie opuszczano trumnę Joasi. Ksiądz Jouve stał i wyciągniętą ręką błogosławił po raz ostatni. Usłyszała głuchy łoskot ziemi, zasypywano grób. Wszystko było skończone.

Paulina zobaczyła ją i pokazała pani Deberle, która poczuła się prawie dotknięta.

— Jak to, przyszła i tu? Jakże to wygląda, to już zupełnie nie wypada!

• Zbliżyła się do Heleny i wyrazem twarzy dała do zrozumienia, że jej nie pochwała. Inne panie zbliżyły się także z ciekawością. Pan Rambaud podszedł i w milczeniu stanął obok. Helena oparła się o jedną z akacji czując, że słabnie — wszyscy ci ludzie męczyli ją ogromnie swą obecnością. Kiwała głową w odpowiedzi na składane jej wyrazy współczucia, dręczona jedną jedyną myślą, że przyszła za późno; słyszała tylko łoskot zsypywanej ziemi. Wzrok jej powracał stale do grobu, który porządkował stróż cmentarny.

— Paulinko, pilnuj dzieci — powtarzała pani Deberle.

Dziewczynki wstawały z klęczek, jak spłoszone białe wróble. Kilka z nich, te najmniejsze, zaplątały się w swych sukniach, pouisały na ziemi i trzeba je było podnosić. Gdy trumnę z Joasią spuszczano do grobu, większe dziewczynki zaglądały, by się przekonać, czy dół jest głęboki. Było tam tak czarno, że

poblady i zadrzały. Zosia zapewniała po cichu, że leży się tam całymi latami. „I w nocy też?” — zapytała jedna z panien Levasseur. „Oczywiście, że i w nocy. I w dzień, i w nocy.” W nocy, ach, Bianka by umarła. Spoglądały na siebie szeroko otwartymi oczami, jak gdyby opowiadano im historie o zbójcach. Ale gdy wstały otaczając grób, znowu zaróżowiły im się buzie — to wszystko nie było prawdą, straszono się na żarty. Pogoda była piękna, ogród ze swymi wybujałymi chwastami bardzo im się podobał, jakże świetnie można by się tu bawić w chowanego za tymi wszystkimi kamieniami! Nóżki nie mogły ustać na miejscu, białe sukienki trzepotały jak skrzydełka. Wśród ciszy, grobów, w cieplej ulewie słonecznych promieni dzieciarnia rwała się do życia. Lucjan ośmielił się nawet dotknąć pod welonem włosów Małgorzatki. Chciał się przekonać, czy ich czasem czym nie smaruje, że są takie żółte. Mała nastroszyła się. Wtedy powiedział, że się z nią ożeni. Małgorzatka zgadzała się na małżeństwo, tylko bała się, by jej nie ciągnął za włosy. Dotykał ich ciągle i uważał, że są miękkie jak bibułka. g — Nie odchodźcie daleko ■ — wołała Paulina.

— No cóż, będziemy wracać — powiedziała pani Deberle. — Nie mamy tu już nic do roboty, dzieci muszą być głodne...

Trzeba było zebrać dziewczynki, które się rozpierzchny jak uczennice podczas pauzy. Policzone je, brakowało małej Guiraud, i wreszcie znaleziono ją bardzo daleko. Spacerowała poważnie, z parasolką matki, po jednej z alejek. Panie ruszyły w stronę bramy, poprzedzane całym tłumem białych sukienek. Pani Berthier wieszowała zaręczyn Paulinie, której ślub miał się odbyć w następnym miesiącu. Pani Deberle opowiadała, że za trzy dni wyjeżdża z mężem i Lucjanem do Neapolu. Ludzie się rozchodzili. Zostali już tylko Zefiryn i Rozalka, wreszcie i oni odeszli. Wzięli się pod rękę i mimo wielkiego smutku cieszyli się z tego spaceru, szli powoli i jeszcze przez chwilę

widać było na końcu alei w blaskach słońca sylwetkę dwojga zakochanych.

- — Chodźmy — powiedział pan Rambaud.

Helena ruchem ręki poprosiła go, by zaczekał. Została sama i wydawało jej się, że z życia jej wyrwano jedną kartkę. Gdy już nikogo nie było widać, z trudem uklękła przed grobem. I ksiądz Jouve, w komży, klęczał wciąż jeszcze. Oboje modlili się długo. Wreszcie bez słowa, ze swym dobrym uśmiechem miłosierdzia i przebaczenia, ksiądz pomógł jej powstać.

— Podaj jej rękę — powiedział do pana Rambaud.

Na widnokręgu w radosnym poranku wiosennym jaśniał Paryż. Na cmentarzu śoiewała zięba.

v

Minęły dwa lata. Mroźnego grudniowego poranka mały cmentarz drzemał pod śniegiem, który padał już drugi dzień drobnymi płatkami, niesiony północnym wiatrem. Z przejaśniającego się nieba coraz rzadsze płatki sfruwały powolutku jak piórka. Śnieg twardniał z wolna. Okrywał balustradę tarasu wysoką naroślą łabędziego puchu. Za tą białą linią, na bladym i zamglonym horyzoncie, rysował się Paryż.

Pani Rambaud modliła się klęcząc na śniegu przy grobie Joasi. Jej mąż powstał już i czekał w milczeniu. Pobrali się w listopadzie w Marsylii. Pan Rambaud sprzedał swoją firmę w Paryżu przy Halach Targowych i teraz przebywał tu od trzech dni, by zakończyć ostatecznie transakcję. Przed bramą cmentarza oczekiwał na nich powóz, mieli jeszcze tylko wstąpić do hotelu po rzeczy, a stamtąd odjechać na dworzec. Helena jedynie po to przybyła do Paryża, by pomodlić się na grobie córki. Z opuszczoną głową,  
SIO

jakby w zapamiętaniu, klęczała nieruchoma -nie czu- I jąc chłodu zamarznętej ziemi.

Tymczasem wiatr ucichł. Pan Rambaud wyszedł na taras, by pozostawić żonę samą w niemym bólu jej wspomnień. Nad dalekimi krańcami Paryża unosiła się mgła pogrążając go w swym obłoku. U stóp Tro- cadero ołowianoszare miasto wydawało się martwe, zasypywane z wolna ostatnimi płatkami śniegu. Jasne cętki na ciemnym tle opadały kołysząc się wolno i nieustannie w znieruchomiałym powietrzu. Za kominami Piekarni Wojskowej, której ceglane wieże przybrały kolor starej miedzi, nieprzerwane przesuwanie się tych gęstniejących bieli podobne było do gazy rozwijanej zwój za zwojem. Najmniejszy powiew nie poruszał prószonego jak w bajce śniegu, opadającego niby w uśpieniu i ukołysaniu. W miarę zbliżania się do dachów płatki zdawały się zwalniać lot, układały się jeden na drugim bez przerwy milionami, a tak cicho, że listki kwiatów opadałyby głośniej. Zapomnienie świata i życia, spokój nieograniczony przynosiła ze sobą ta kołysząca się mnogość, której ruchu w przestrzeni nie było słychać. Niebo rozjaśniało się coraz bardziej, ze wszystkich stron od razu, przybierając barwę mleczną, którą jeszcze mąciły tylko smugi dymów. Wysepki domów wynurzały się powoli, Paryż ukazywał się jak z lotu ptaka, pocięty ulicami i placami, których wąwozy i jamy cieni rysowały szkielec miasta.

Helena powstała z wolna. Na śniegu pozostały dwa ślady jej kolan. Otulona w ciemny szeroki płaszcz przybrany futrem, stanęła wyprostowana na tle bieli i wydawała się bardzo wysoka. Pleciony z czarnego aksamitu otok kapelusza nadawał czołu królewski majestat. Piękna twarz odzyskała dawny spokój. Okrągły, nieco zbyt wydatny podbródek i spojrzenie szarych oczu sprawiały wrażenie powagi i stanowczości. Gdy odwracała głowę, profil miał znów surowość posągu. Krew zdawała się drzemać pod świeżą bledością policzków. Była znowu pełna godności. Dwie

łzy spłynęły spod powiek, jej spokój wynikał z przeżytych cierpień. Stała w milczeniu przed skromną kolumną, gdzie po imieniu Joasi następowały dwie daty odmierzające krótki żywot zmarłej dwunastoletniej dziewczynki.

Wokół cmentarz rozpościerał biel swego śnieżnego całunu, który przerywały tylko krawędzie zmurszałych grobów i zardzewiałe krzyże żelazne podobne do ramion wyciągniętych w rozpacz. Ślady stóp Heleny i pana Rambaud tworzyły samotną ścieżkę w tym bezludnym zakątku. Było to nieskalane ustronie, gdzie spali umarli. Wzdłuż alei ośnieżone drzewa stały jak widma. Od czasu do czasu ze zbyt obciążonej gałęzi spadał bezgłośnie zwał śniegu i znów wszystko dokoła zastygało w bezruchu. W głębi cmentarza przesunął żalobny orszak, chowano kogoś pod tym białym całunem. Inny kondukt ukazał się z lewej strony. Trumny i żalobnicy sunęli w ciszy, jak czarne cienie rysujące się na tle bieli.

Helena ocknęła się z zadumy: spostrzegła w pobliżu wlokącą się żebraczkę. Była to stara Fetu, szła po śniegu cicho w wielkich męskich trzewikach, porwanych i reperowanych sznurkiem. Była jeszcze grubsza i minę miała otępiałą. Jeszcze nigdy Helena nie widziała jej w tak pożałowania godnym stanie, okrytą tak brudnymi łachmanami. Dla wzbudzenia litości stara w czasie niepogody, mrozów czy ulewnych deszczów szła za pogrzebami. Wiedziała, że na cmentarzu lęk przed śmiercią skłania do dawania jałmużny. Obchodziła groby nagabując klęczących właśnie w chwili, gdy tonęli we łzach, bowiem wtedy odmawiali rzadko. Teraz weszła z ostatnim konduktem i już od kilku chwil czatowała z daleka na Helenę. Ale wcale nie poznała dobrej pani, popłakując opowiadała, że ma u siebie dwoje małych dzieci, które mrą z głodu. Helena, jakby zdziwiona tą zjawą, słuchała w milczeniu. Biednym dzieciom było zimno, starsze umierało na suchoty. Nagle stara FĆtu umilkła, na jej pooranej tysiącem zmarszczek twarzy widać było pracę myśli,

wąskie oczka zamruwały. Jak to! To przecie ta dobra pani! Więc niebo wysłuchało jej modłów i nie zmyślając już na temat dzieci, zaczęła wzdychać i jęczeć zasypując Helenę nie kończącą się lawiną słów. Zębów miała teraz jeszcze mniej, trudno ją było zrozumieć. Wszystkie nieszczęścia i klęski, jakie Bóg zsyła na ludzi, zwały się na nią. Jej pan zwolnił ją z pracy, przez trzy miesiące leżała chora, zdrowa to już ona nigdy nie będzie. Coś się w niej teraz rusza, sąsiadka powiada, że gdy spała, na pewno pajak wlaźł jej do środka przez usta. Gdyby tylko miała choć trochę: czym napalić, rozgrzałaby sobie żołądek, może by to coś pomogło. A tu nic a nic, ani nawet kawałeczek szczapki... Pani na pewno podróżowała sobie — ale w to ona już się nie wtrąca. No, ale spotyka ją piękną, świeżą i zdrową. Bóg jej to wszystko wynagrodzi. Gdy Helena wyjęła sakiewkę, stara westchnęła i oparła się o kratę okalającą mogiłę Joasi.

Kondukty oddaliły się. Niedaleko w jednym z pobliskich grobów słysząc było regularne uderzenia kilofa grabarza, którego nie było widać. Tymczasem — stara Fétu, wpatrzona w sakiewkę, odsapnęła już. I by wyzebrać więcej, stała się przymilna i zaczęła mówić o drugiej pani. Trzeba przyznać: jest bardzo litościwą. Lecz cóż! Nie umie dawać, pieniądze od niej nie przynoszą szczęścia. Przezornie zerknęła na Helenę mówiąc to wszystko. Wreszcie odważyła się wspomnieć o doktorze. Och, ten to sama słodycz. Zeszłego lata znowu podróżował z żoną. Ich mały rośnie, piękne z niego dziecko. Alą palce Heleny, która otwierała sakiewkę, zaczęły drżeć i stara od razu zmieniła głos. Pomieszana, przestraszona, teraz dopiero uświadomiła sobie, że dobra pani stoi przy grobie swej córki. Zaczęła wzdychać, bełkotać coś i starała się rozrzewnić Helenę. Taki śliczny anioleczek, rączki miłosierne, które ma jeszcze przed oczami, jak dawały jej srebrne pieniążki. A jakie miała długie włosy, jak to patrzyła na biednych swymi wielkimi oczami pełnymi łez. Gdzie to szukać takiego aniołka, w całym Passy nie

znajdziesz podobnego. Na wiosnę co niedziela będzie zrywać na fortach bukiecik stokrotek i przynosić na ten grób. Umilkła wystraszona gestem, którym Helena przerwała jej słowa. Czyżby nie mówiła, jak należało? Dobra pani nie płakała wcale i dała tylko dwadzieścia su.

Tymczasem pan Rambaud zbliżył się do balustrady tarasu. Helena podeszła ku niemu. Na jego widok starej rozbłyły oczy. Nie знаła tego pana, musiał to być jakiś nowy. Powłócząc nogami podążała za Heleną obsypując ją błogosławieństwami, a kiedy znalazła się obok pana Rambaud, znów zaczęła mówić

O doktorze. Ten to by miał ładny pochówek, gdyby umarł, a biedni, których leczy za darmo, poszliby wszyscy za jego trumną. Co prawda, ugania się za spódniczkami, nie można temu zaprzeczyć. Panie z Passy dobrze go znają. Ale to mu wcale nie przeszkadza kochać żonę, taką śliczną kobietę, która mogłaby się źle prowadzić, a przecież ani myśli o tym. Prawdziwa para gołąbków. Czy pani ich odwiedziła? Na pewno są w domu, na ulicy Vineuse, sama widziała otwarte żaluzje. Kiedyś tak lubili panią, tacy byliby szczęśliwi, gdyby mogli panią uścisnąć! Tak plotąc bez przerwy, spoglądała na pana Rambaud. Słuchał tej gadaniny ze spokojem zanego człowieka. Wspomnienia wywołane przez starą nie mąciły pogody jego twarzy. Zauważył natomiast, że natarczywość żebraczki męczy Helenę, sięgnął więc do kieszeni i również dał starej jałmużnę, odprawiając ją ruchem ręki. Ujrzawszy drugą srebrną monetę stara Fetu rozplynęła się w podziękowaniach. Kupi sobie teraz trochę drzewa

I wygrzeje swoje bóle, nic innego nie pomaga już na jej chory żołądek. Tak, prawdziwa para gołąbków, toteż doczekali się drugiego dziecka, które pani urodziła zeszłej jesieni. Piękna dziewczynka, różowa i pulchniutka, teraz musi już mieć ze czternaście miesięcy. W dzień chrzcina doktor wsunął jej do ręki przed drzwiami kościoła sto su. Dobre dusze poznają się, pani przyniosła mu szczęście. Spraw, Panie Boże, by



pani nie miała zmartwień. Oby Pan Bóg panią stokrotnie wynagrodził. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Stara Fétu odeszła pomiędzy grobami mamrocząc trzy Ojczy nasz i Zdrowaś Maria, a Helena pozostała sama naprzeciw Paryża. Śnieg już nie padał, ostatnie płatki układały się na dachach powoli, jak gdyby zmęczone, a na szaroperłowym niezmiernym niebie, za rozwiewającymi się mgłami słońce zapalało różową jasność. Tylko nad Montmartre rozciągał się na horyzoncie pas błękitu, tak delikatnego i bladego jak połysk białego ałtasu. To Paryż uwalniał się z mgieł rozpościerając się coraz szerzej ze swymi śnieżnymi połaciami, wyzwajając z śmiertelnej martwoty, w której był pogrążony. Teraz fruujące płateczki nie sprawiały już wrażenia, jakby całe miasto wstrząsane było wielkim dreszczem, którego blade fale drżały na tle rdzawoszarych fasad. Domy wynurzały się z bieli, wśród których drzemały, całe czarne, jakby opleśniałe wilgocią wieków. Ulice wydawały się zrujnowane, przeżarte kwasem, dachy niemal pozapadane, okna wypaczone. Jakiś plac, którego bielejący czworobok widać było z daleka, zawalony był stosem gruzów. Ale w miarę jak w stronie Montmartre powiększał się pas błękitu, rozlewało się światło zimne i przejrzyste, niby woda źródłana, rozpościerając nad Paryżem tafłę lustrzanego szkła, w której najdalsze nawet okolice nabierały wyrazistości japońskich obrazków.

Helena, otulona futrem, z rękoma wsuniętymi w rękawy, zamyśliła się. Jedną i tą samą myśl powracała do niej jak echo: a więc mają dziecko, małą dziewczynkę, różową i tłuściutką. I Helena starała się wyobrazić ją sobie przywołując na pamięć obraz Joasi w tym uroczym wieku, kiedy zaczynała mówić. Dziewczynki są takie milutkie, właśnie gdy mają półtora roku! Policzyła miesiące: czternaście — to prawie dwa lata, jeśli wziąć pod uwagę także okres ciąży; to właśnie by się zgadzało niemal z dokładnością do ty

godnia. Mignęło przed nią wspomnienie słonecznycli Włoch, tego kraju wymarzonego, ze złocistymi owocami, gdzie kochankowie objęci wół przechadzają się pod cieniem pachnących, słodkich nocy. Henryk i Julietta zdawali się iść przed nią w świetle księżycy. Byli dla siebie czuli jak małżonkowie, którzy znowu stali się kochankami: Mała różowa dziewczynka, której ciało śmieje się do słońca, usiłuje wymawiać jakieś słowa, a matka przerywa je pocałunkami! I Helena myślała o tym wszystkim bez gniewu, Iz sercem otępiałym, czerpiącym spokój ze swego smutku. Wiza słonecznego kraju znikła, a ona powoli wodziła wzrokiem po Paryżu, którego olbrzymie cielsko przeżyło się w uścisku zimy. Marmurowe olbrzymy zdawały się uspięne we wszechwładnym spokoju chłodu, niby członki umęczone jakimś dawno przeżytym cierpieniem, którego już nie odczuwały. Niebieska głębia otworzyła się nad Panteonem.

Wspomnienia płynęły dalej. W Marsylii żyła jakby w jakimś odrętwieniu. Pewnego dnia przechodząc przez ulicę des Petites-Maries rozplakała się gwałtownie przed domem swego dzieciństwa. Były to jej ostatnie łzy. Pan Rambaud przychodził często, stale odczuwała jego opiekę. Nie domagał się od niej niczego, nie mówił o swej miłości. Jakoś na jesieni spostrzegła pewnego wieczoru, że ma oczy zaczerwienione i wygląd człowieka dotkniętego wielkim cierpieniem. Okazało się, że zmarł mu brat, ksiądz Jouve. Teraz na Helenę przyszła kolej pocieszenia. Dalej nie pamiętała już dokładnie przebiegu wydarzeń. Zdawało się, jakby ksiądz bez przerwy był przy nich, i Helena z wolna poddawała się uczuciu rezygnacji, które w nią wpajał. A ponieważ pan Rambaud wciąż jeszcze pragnął małżeństwa, przyszła do przekonania, że nie ma powodu odmawiać mu. Uznała, że tak będzie najrozsądniej. Żałoba jej dobiegała właśnie końca, sama więc spokojnie omówiła z nim wszystko. Ręce starego przyjaciela drżały ze wzruszenia. Tak jak sobie życzyła, czekał na nią całe miesiące — teraz wystarczyło

mu jedno jej skinienie. Wzięli ślub w czarnych strojach. Tego wieczoru on także całował jej alabastrowe stopy, jej piękne nagie stopy posągu. I życie potoczyło się dalej.

Helena patrzyła na coraz obszerniejszy pas błękitu na horyzoncie i dziwiła się własnej przeszłości, która odżyła w jej wspomnieniach. Czyżby była szalona przez cały jeden rok swego życia? Dzisiaj, rozmyślając o kobiecie, która przez trzy lata zamieszkiwała ów pokój przy ulicy Vineuse, osądzała ją niby osobę obcą, której postępowanie napępniało ją uczuciem pogardy

I zdziwienia. Co za nieprawdopodobny wybuch szału, ślepy, nieopatrzny jak uderzenie piorunu, co za ohy- da! Nie pragnęła przecież tego. Żyła sobie spokojnie, ukryta w swym kąci, bez reszty oddana miłości dziecka. Droga jej życia biegła prosto nie wzbudzając ciekawości ani pragnień. A oto wionął jeden podmuch i obalił ją na ziemię. Jeszcze teraz nie mogła tego zrozumieć. Przestała być panią siebie, jakby ktoś inny nią kierował. Czyż to możliwe? To naprawdę była ona? Potem przejmujący chłód ścisnął jej serce — wspomnienie Joasi, która spoczęła pod różami. Ten odrętwiający ból przywrócił jej spokój i wyzbyta wszelkich pragnień i marzeń podjęła na nowo swą prostą drogę. Powrócił jej surowy spokój i duma uczciwej kobiety.

Pan Rambaud zrobił krok w kierunku żony chcąc zabrać ją z tego smutnego miejsca. Ale Helena dała mu znak, że pragnie pozostać tu jeszcze. Podeszła do balustrady i spojrzęła w dół, na aleję Muette, przystanek powozów, które, stare i zniszczone, tworzyły wzdłuż chodnika długi szereg. Budy i koła były omszone, pojazdy zdawały się butwieć tam od zamierzchłych czasów. Woźnice tkwili nieruchomo, zeszywniali w swych oblodzonych okryciach. Inne powozy przesuwwały się z wolna po śniegu, jeden za drugim. Konie ślizgały się, wyciągały szyje, podczas gdy ludzie, po- schodziwszy z kozłów, trzymając zwierzęta za uzdy, ciągnęli je wśród przekleństw, a poprzez szyby widać było twarze cierpliwycK podróżnych, wspartych o poduszki i pogodzonych z tym, że dziesięciminutowy odcinek drogi zabierze im ze trzy kwadransy. Puszysta wata śniegu tłumiła hałasy, a w tej martwocie ulic tylko głosy ludzkie, dziwnie rozedrgane, brzmiały szczególnie donośnie i piskliwie: nawoływania, śmiechy ludzi zaskoczonych gołoledzią, przekleństwa woźniców trzaskających z bata, parskania i chrapanie wystraszonych koni. Dalej, na prawo, wysokie drzewa wybrzeża stały jak zaczarowane, jakby były ze szklanych nici; olbrzymie świeczniki weneckie, którym kaprys artysty powykreślał ramiona upstrzone kwiatami. Wiatr oszronił je od północy, zamieniając w białe kolumny. W górze gmatwały się gałęzie pokryte śnieżnym puchem, jak kity z białych piór, delikatna wycinanka białą obrzeżonych czarnych gałązek. Brał mróz, najłżejszy wiaterek nie poruszał przezroczystego powietrza.

Helena pomyślała sobie, że wcale Henryka nie znała. Przez cały długi rok widywała go prawie codziennie; długie godziny przebywali razem, rozmawiali za sobą patrząc sobie w oczy. Któregoś wieczoru oddała mu się, a on skorzystał z okazji. A jednak nie znała ,go wcale, nadaremnie usiłowała zrozumieć, skąd wziął się. przy niej. Prędzej umarłaby, nim uległaby innemu, czemu więc uległa właśnie jemu? Cóż miał w sobie takiego? Nie umiała zrozumieć, było to odurzenie, w którym straciła rozum. Ostatniego jak i pierwszego dnia ich znajomości pozostał jej równie obcy. Na próżno kojarzyła ze sobą luźne fakty, jego słowa, czyny, wszystko, co o nim zapamiętała. Kochał swą żonę i dziecko, uśmiechał się ironicznie i uprzejmie, zachowywał się całkowicie jak człowiek dobrze wychowany. Ujrzała w pamięci jego twarz pałającą i ręce drżące z pożądania. Uplywały tygodnie, znikał, stawał się obcy. Nie umiałaby dzisiaj powiedzieć, kiedy rozmawiała z nim po raz ostatni. Minął, cień jego znikł razem z nim. Historia ta nie mogła się skończyć' inaczej. Nie znała go wcale.

Nad miastem rozciągało się błękitne niebo, nie skalane ani jedną chmurką. Helena uniosła zmęczoną wspomnieniami głowę rozkoszując się tą czystością nieba. Przejrzyste, bladoniebieskie, przy jasnym świetle słońca miało zaledwie odcień błękitu. Tarcza słoneczna nisko nad horyzontem, niby srebrna lampa, świeciła zimno w odbłasku śnieżnym wśród mroźnego powietrza. W dole szerokie dachy kamienic, dachówki Piekarni Wojskowej, gonty domów wybrzeża rozpościerały białe, czarno obrzeżone płachty. Po drugiej stronie rzeki widać było prostokąt Pola Marsowego, J niby szeroka łąka, na której ciemne punkciki pojedynczych powozów nasuwały skojarzenia z rosyjskimi saniami sunącymi z brzękiem dzwoneczków. Wiązy na Quai d'Orsay, zmalane w oddali, stały w szeregu jakby kryształowe kolczaste kwiaty. Wśród bezruchu tego morza lodu Sekwana toczyła swe mętne wody, a białe wybrzeża otulały ją niby gronostaje. „... Kra płynęła po niej już gęsta i widać było, jak tafle lodu uderzają o filary mostu Inwalidów, wpadając pod jego arkady. Dalej mosty pięły się jeden za drugim, podobne do białych koronek, coraz bardziej nikłych, im bliżej do Citiś, gdzie katedra Marii Panny wznosiła swe ośnieżone szczyty. Inne wieże, widoczne po lewej stronie, urozmaicały jednostajność dzielnic. Św. Augustyn, Opera, wieża Sw. Jakuba były jakby szczytami górskimi, na których panują wieczyste śniegi. Nieco bliżej budynki Tuileries i Luwru, połączone nowymi domami, tworzyły cały łańcuch górski o ośnieżonym grzbiecie. Z prawej strony białe wierzchołki Inwalidów, Sw. Sulpicjusza i Panteonu, który nieco bardziej oddalony rysował się na tle nieba jak zaczarowany pałac z niebieskiego marmuru. Nie było słycać nawet szmeru. Ulic można się było domyślać po szarych szczelinach, skrzyżowania zdawały się ze zgrzytem ścierać ze sobą. Znikły całe szeregi domów | tylko fasady bliższych kamienic można było rozpoznać po tysiącnych kreskach ich okien. Pj oddali płaszczyzny śniegu łączyły się, zamazywały,

tworząc niby jezioro, którego niebieskie cienie zlewały się z błękitem nieba. Paryż, ogromny i jasny, w tych błyskach lodu lśnił pod srebrnymi promieniami słońca.

Helena po raz ostatni objęła czułym spojrzeniem niewzruszone miasto, które także pozostało dla niej nieznane i obce. Odnajdywała je takim, jakie je opuściła, jakie widziała codziennie przez trzy lata, nieśmiertelne i spokojne wśród śniegów. Paryż był dla niej pełen wspomnień, zawarł w sobie wiele z jej przeszłości. W nim i jakby wraz z nim kochała i w nim i jakby wraz z nim straciła Joasię. Ale ten towarzysz wszystkich owych chwil, niemy świadek uśmiechów szczęścia i łez, które zdawały się spływać wraz z falami Sekwany, pozostał nieczuły i zachował pogodę swego olbrzymiego oblicza. Czasem czuła w nim okrucieństwo potwora, czasem łaskawość dobrotliwego olbrzyma. Teraz wiedziała, że nie znała go nigdy, był obojętny, ogromny, nieogarniony — jak życie.

Pan Rambaud dotknął lekko jej ramienia, trzeba było odjeżdżać. Pocziwa jego twarz wyrażała niepokój.

— Nie martw się — powiedział cicho.

Wiedział o wszystkim i nic więcej nie mógł powiedzieć.

Pani Rambaud spojrziała na niego i uspokoiła się. Twarz jej była zaróżowiona od mrozu, oczy błyszczały. Wracała myślą do terażniejszości, trzeba było żyć.

— Nie wiem, czy dobrze zamknęłam wielki kufer — powiedziała.

Pan Rambaud przyrzekł sprawdzić. Pociąg odchodził w południe, mieli jeszcze dość czasu. Posypywano ulice piaskiem, jazda powozem nie potrwa ani godziny. Nagle podniósł głos:

— Jestem pewien, że zapomniałaś o wędkach!

— O, rzeczywiście! — wykrzyknęła zdziwiona i niezadowolona z tego braku pamięci. — Powinniśmy byli kupić je wczoraj.

Były to specjalne pręty Ho wędek, jakich w Marsylii nie można było dostać. Mieli nad morzem imać domek wiejski, w którym zamierzali spędzić lato. Pan Bambaud spojrział na zegarek. Po drodze na dworzec mogą jeszcze wędkę kupić. Zwiąże się je razem z parasolami. Drepcząc prowadził żonę, skracając drogę między grobami. Cmentarz był pusty, prócz śladów ich własnych stóp żadnych innych nie było na śniegu. Na wprost rozciągniętego szeroko Paryża Joasia pozostała w grobie sama, na zawsze.